

JOHN

SAUL

**DRUGIE
DZIECKO**

Dla Helen, Alison i Maryi

Rozdział 1

Kiedy Polly MacIver obudziła się krótko przed świtem, tego feralnego poranka, ani przez myśl jej nie przeszło, że niebawem umrze. Jej umysł unosił się leniwie na fali odpływającego snu i śmiała się w duchu, przypominając sobie, co ją zbudziło. Śnił się jej Dzień Dziękczynienia i w domu było pełno gości. Niektórych z nich znała, innych nie. Tom leżał na podłodze, naprzeciw kominka i studiował uważnie szachownicę, na której Teri najwidoczniej wpędziła w potrzask jego hetmana. Teri natomiast rozłożyła się po turecku na dywanie i z beczelnym uśmiechem na twarzy obserwowała z zadowoleniem, w jakich to tarapatkach znalazł się ojciec. W salonie były też inne osoby, więcej nawet niż zdaniem Polly mogło się tam pomieścić. Ale sny rządzą się swą własną logiką i wydawało się nie mieć znaczenia, ile osób, znanych Polly lub obcych jej, weszło do pokoju — salon w czarodziejski sposób powiększył się i pomieścił je wszystkie.

Przyjęcie było udane i wszyscy dobrze się bawili, dopóki nie poszła do kuchni zobaczyć, co z kolacją. Tam czekała na mą przykra niespodzianka. Musiała pewnie nastawić zbyt wysoką temperaturę w piecyku, bo kiedy weszła, zobaczyła, że wydobywają się z niego kłęby dymu. Lecz kiedy schyliła się, aby otworzyć drzwiczki, nie zmartwiła się zbyt, bo dokładnie to samo zdarzało się jej już wiele razy przedtem. Gotowanie było sztuką, w której Polly nigdy nie osiągnęła perfekcji. Otworzyła piecyk i, jak było do przewidzenia, na kuchnię wypełzły kłęby dymu, które otoczyły ją i popłynęły przez niewielką jadalnię do salonu. Dobiegający stamtąd kaszel gości i przeraźliwy krzyk córki wyrwały ją wreszcie ze snu. Obrazy zaczęły odpływać i Polly przeciągnęła się ospale, przewróciła na drugi bok i przytuliła

do ciepłego ciała Toma.

Na zewnątrz słychać było nadciągającą letnią burzę. Już miała z powrotem zasnąć, kiedy bladą szarość świtu przecięła błyskawica, a zaraz po niej nastąpił grzmot, który ją całkowicie rozbudził. Wyrwana raptownie ze snu, usiadła wyprostowana na łóżku, dysząc ciężko.

Płuca miała pełne dymu i piersi dusił jej kaszel. Ze strachu rozszerzyły się jej źrenice — dym był rzeczywisty i nie pochodził ze snu!

Ułamek sekundy później usłyszała strzelanie płomieni. Odrzuciwszy kołdrę, chwyciła męża za ramię i potrząsnęła nim gwałtownie.

— Tom! Tom!

Tom, na wpół senny, przewrócił się na drugi bok, stęknął i próbował objąć żonę.

Polly wyrwała się i zaczęła szukać po omacku wyłącznika stojącej na nocnym stoliku lampy. Mąż nie reagował.

— Tom! — wrzasnęła przerażona. — Obudź się! Dom się pali!

Tom otrzeźwiał natychmiast. Zerwał się na równe nogi i wepchnął ramiona w rękawy szlafroka.

Polly, ubrana jedynie w cienką, nylonową podomkę, pobiegła do drzwi i chwyciła za klamkę. Rozgrzany do wysokiej temperatury metal sparzył jej palce.

— Teri! — krzyknęła łamiącym się z przerażenia głosem. — Na miłość boską, Tom! Musimy wydostać z pokoju Teri!

Mąż jednakże odepchnął ją już na bok. Owinięty zdjętym z łóżka wełnianym kocem, osłonił jednym z jego rogów dłoń, chwycił klamkę i spróbował otworzyć drzwi. Udało mu się uchylić je o parę centymetrów. Przez szczelinę do pokoju wpłynął dym. Wciskające się wszędzie gorące kłęby otaczały ich swymi mackami i chwyciły gwałtownie, próbując wessać ich w swe duszące objęcia.

Gdzieś w bezkształtnym, kłębiastym cielsku skrywała się dusza pożaru. Polly instynktownie cofnęła się przed potworem, który schwycił w swe szpony jej dom. Niewyraźnie, jakby z oddali, dobiegały ku niej słowa krzyczącego coś

Toma.

— Idę po Teri! Ty wychodź przez okno!

Sparaliżowana strachem zobaczyła, jak drzwi otwierają się szerzej i jej mąż znika w trzewiach rozbuchanej, atakującej ich bestii.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Polly pragnęła pójść za mężem w ogień, być przy nim i razem z nim szukać córki. Ruszyła bez namysłu w tamtą stronę, lecz w tym momencie przypomniała sobie słowa

Toma: „Wychodź oknem!”

W gardle uwiązał jej bezradny jęk. Powlokła się przez cały pokój w stronę okna i otworzyła je. Zacerpnęła w płuca świeżego powietrza i spojrzała w dół. Pięć metrów pod nią rozciągał się betonowy podjazd, łączący ulicę z garażem na tyłach domu. Nie było żadnego gzymsu, żadnego drzewa, nawet wyrwy w murze, której mogłaby się ucześcić. Skacząc w dół na pewno połamałaby sobie nogi.

Cofnęła się i jeszcze raz obróciła w stronę drzwi. Zaczęła powoli przemierzać pokój, gdy nagle potknęła się o coś miękkiego. Była to leżąca na podłodze narzuta na łóżko. Podniosła ją, narzuciła na siebie, a potem, podobnie jak zrobił to Tom parę minut wcześniej, jednym z jej rogów owinęła klamkę, żeby się nie sparzyć. Wciągała powoli powietrze w płuca, filtrując je przez przyciśniętą do nozdrzy narzutę.

W końcu przełamując strach, który już miał ją pokonać, otworzyła drzwi.

Płomienie z korytarza wessały natychmiast płynące z okna świeże powietrze i wyrosły przed nią, a ich trzask przemienił się we wściekły huk.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu i każda sekunda przeciąga się w nieskończoność.

Języki ognia dosięgały jej, lecz ona stała bezradna, nie mogąc zmusić się do ucieczki, sparaliżowana strachem. Czuła na twarzy piekący żar, czuła nawet, jak w

miejscach,
gdzie skóra była nie osłonięta, tworzą się pęcherze.
Usłyszała dziwny, miękki syk, przypominający skwierczenie oleju na rozgrzanej patelni i dotknęła odruchowo ręką głowy.
Jej włosy zniknęły, pożarte przez nienasycony ogień, a ona wpatrywała się tępo przez długą chwilę w ich spopielone resztki na palcach. To co jeszcze przed chwilą było gęstą, ciemnoblonde czupryną, zamieniło się teraz w dziwnie śliską substancję na pokrytej pęcherzami skórze dłoni.
Z wolna traciła świadomość. Jej umysł nie przyjmował do wiadomości tego, co widziała, i zaprzeczał istnieniu palącego żaru, który ją pochłaniał. Cofnęła się chwiejnym krokiem. Narzuta owinęła się jej dokoła stóp, jak gdyby sprzymierzywszy się z ogniem, chciała ją unicestwić.
Niewyraźnie, jakby przez mgłę, usłyszała głos Toma wołającego Teri. Do jej uszy dochodziły głuche stuki mogące być łomotaniem do drzwi.
Potem już nic nie słyszała.
Nic poza sykiem i trzaskiem tańczących przed nią i hipnotyzujących ją płomieni. Cofając się krok po kroku i poty-kaiac co chwilę, wyrwała się z macek pożaru. Zderzyła się z czymś twardym, czymś, co stawiało jej opór i z oczami wciąż utkwionymi w szalejących w jej domu płomieniach zaczęła ręką macać wokół siebie.
Jej dłoń trafiła w próżnię.
Ogarnęła ją panika, bo znajoma dotąd przestrzeń sypialni nagle rozpląnęła się, wystawiając ją na pastwę ognia.
Analizując po kolei swój każdy krok, uświadomiła sobie, że stoi przy otwartym oknie.
Jęcząc usiadła na parapecie i zaczęła przeciskać się przez szczelinę między parapetem a futryną, wysuwając najpierw jedną, potem drugą nogę.
Wareszcie mogła odwrócić się plecami do żółtych, rozszalałych języków.
Trzymając się kurczowo futryny, wpatrywała się przez chwilę w szarzące niebo, a potem spojrzała w dół na rozciągający się pod nią betonowy podjazd.
Przełamała strach i trzymając się mocno narzuty, zaczęła się spuszczać na dół.
Kiedy jej dłonie puściły już futrynę, jeden z rogów narzuty zahaczył o coś. Polly poczuła szarpnięcie i zaczęła zastanawiać się gorączkowo, co to mogło być. Pokrętko kaloryfera? Poluzowany gwóźdź w podłodze?
Spada!
Zawisła do góry nogami i zaczęła odwijać się z narzuty jak z kokonu.
Jej palce kurczowo chwyciły się materiału; wysliznął się jej z rąk, jak gdyby był umoczony w oliwie. Spadała głową w dół i nie zdążyła nawet wysunąć rąk, by zamortyzować upadek, kiedy uderzyła czaszką o betonowy podjazd. Nie poczuła żadnego bólu.
Była tylko chwila zaskoczenia i krótki chrzęst w okolicach szyi oznaczający, że

kręgosłup złamał się i uszkodził rdzeń kręgowy.

Nie upłynęły nawet trzy minuty od momentu, w którym obudziła się, uśmiechając się w duchu z tego, co się jej przy-

Cichy śmiech przebrzmiał i Polly MacIver już nie żyła.

Teri stała nieruchomo na trawniku przed domem, przybrawszy skromną pozę piętnastolatki, i trzymała prawą ręką poły szlafroka. Oczy miała utkwione w płomieniach trawiących resztki piętrowego domu, będącego jej mieszkaniem przez ostatnie dziesięć lat. Dom był stary, postawiono go przed pół wiekiem, kiedy San Fernando było jeszcze niewielkim miasteczkiem położonym w jednej z dolin Kalifornii o tej samej nazwie. Zbudowany całkowicie z drewna, wygrzewał się w słońcu przez pięćdziesiąt lat, a budulec powoli zaczynał przypominać próchno. W noc pożaru ogień przepalenie. Było to tak, jak gdyby w jednej chwili dom był jeszcze całością, a w następnej połknęły go płomienie.

Dziewczyna tylko częściowo rozumiała, co działo się wokół niej. W oddali słychać było narastające wycie syren, lecz do niej to nie docierało.

Jej umysł wypełniały huk ognia i trzask bocznych ścian domu, zwijających się i odrywających pod wpływem gorąca od drewnianego szkieletu i torujących drogą świeżemu powietrzu, które dostawało się do wnętrza i podsycalo szalejące płomienie.

Rodzice...

Co się stało z rodzicami? Czy zdołali się wydostać? Z trudem oderwała wzrok od hipnotyzującej scenerii i rozejrzała się dokoła siebie. Ktoś biegł w jej stronę z drugiego końca ulicy, lecz sylwetka biegnącej osoby rysowała się niewyraźnie na tle bladego od świtu nieba.

Potem zaczęły dobiegać do niej głosy ludzi krzyczących do siebie i pytających, co się stało.

Po chwili, przez huk ognia i szum głosów przebił się krzyk.

Dobiegał z wnętrza domu i nie tłumili go już walące się ściany.

Krzyk wyrwał ją z odrętwienia i pobiegła w stronę podjazdu. Spojrzała w kierunku okna sypialni rodziców na pierwszym piętrze i jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Spostrzegła matkę, a właściwie jej sylwetkę na tle płomieni.

Była w coś owinięta, może w koc, a może w narzutę. Widziała, jak matka przekłada nogi przez parapet i po chwili robi koziołka w powietrzu, a narzuta zaciska się jej wokół stóp.

Teri wydawało się, że matka tkwi nieruchomo w powietrzu, zawieszona nad ziemią. Już chciała krzyknąć, gdy nagle głos uwiązał jej w gardle i zobaczyła, że wyslizguje się z narzuty jak z kokonu i spada głową w dół na podjazd.

Czy kiedy jej głowa uderzyła o beton, usłyszała rzeczywiście jakiś dźwięk, czy też zrodził się on jedynie w jej wyobraźni.

Zaczęła biec, lecz zdawało jej się, że brnie przez grząskie bagno. Miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, zanim dotarła do miejsca, w którym nieruchomo, nienaturalnie wykrzywione, leżało ciało jej matki. Wyciągała przed siebie jedno ramię, jak gdyby chciała dotknąć córki, jak gdyby nawet w chwili śmierci chciała kurczowo uczyć się życia.

— Mamo? — wydusiła z siebie Teri, puszczając poły szlafroka i dotykając delikatnie jej ciała. Jej głos przerodził się w pełne bólu zawodzenie: — Mamo! Lecz matka milczała, a dziewczyna, gdy uświadomiła sobie, że ktoś biegnie ku niej, położyła głowę Polly na swoich kolanach, i zaczęła gładzić jej pokryty pęcherzami policzek.

Policzek kobiety, która zaledwie przed paroma godzinami głaskała jej twarz, całując ją na dobranoc.

- Nie! - zaszlochała z oczami pełnymi łez. — Nie, Boże, nie pozwól jej umrzeć! — Ale nawet wypowiadając te słowa. Ten w głębi serca wiedziała, że było już za późno, że jej mamy już przy niej nie było.

Poczuła na ramieniu czyjeś delikatne dłonie i podniósłszy głowę zobaczyła Lucy Barrow, mieszkającą po drugiej stro-

— Nie żyje — powiedziała Teri łamiącym się głosem. To anie musiało w niej wyzwolić tłumioną dotychczas falę uczuć. Zakryła rękoma twarz, a jej ciałem wstrząsnął szloch.

Lucy, sparaliżowana widokiem poparzonego i połamanego ciała Polly, podniosła dziewczynę z kłęczek i poprowadziła w stronę ulicy.

— Ojciec... — rzekła Teri. — Gdzie jest ojciec? Czy udało mu się wydostać? Oderwała ręce od twarzy, a w jej oczach pojawiła się niepewność. Chciała coś powiedzieć, lecz nim wydobyła z siebie głos, do jej uszu dobiegł głośny trzask, a po nim donośny łoskot.

Lucy chwyciła mocno ramię Teri i pociągnęła ją w stronę ulicy, bo w tej właśnie chwili dach domu zawalił się i runął

w ogień, a uwolnione płomienie wystrzeliły w rozjaśniające

Trzy wozy straży pożarnej zablokowały ulicę przed domem rodziców Teri, a wzdłuż chodnika, aż do hydrantu na rogu ulicy, rozciągało się kłębowisko węży.

Ambulans zabrał ciało Polly już ponad godzinę temu, lecz na miejsce pożaru wciąż przybywali nowi gapie i wpatrywali się z przerażeniem w dymiące zgliszczka. Inni, z niezdrowym zainteresowaniem wskazywali miejsce, gdzie skoczyła po swoje przeznaczenie matka Teri. Ludzie wpatrywali się przez długą chwilę w podjazd, wyobrażali sobie Polly i ciarki przechodziły ich na myśl o strachu, jaki musiała odczuwać w chwili śmierci.

Czy wiedziała przynajmniej, że jej córka wydostała się z pożaru? Nie, bo skąd mogła o tym wiedzieć. Ludzie potrzásali głowami i cmokali ze współczuciem.

Potem uwaga

tłumu przeniosła się z powrotem ku dymiącym szczątkom. Większość belek nadal stała prosto i chociaż dach zawalił się, większa część piętra pozostała nienaruszona. Blask słońca uwydatnił zgliszczka i dom przypominał teraz wyschły i pociemniały szkielet.

Teri spędziła ostatnie dwie godziny, siedząc w milczeniu w salonie domu państwa Barrow i nie mogąc oderwać wzroku od feerii ognia. Kiedy wyszła na werandę, Lucy Barrow otoczyła ją opiekuńczym ramieniem i próbowała nakłonić do powrotu do środka.

— Nie mogę — wyszeptała Teri. — Muszę znaleźć ojca. On jest... — Głos jej się załamał, a wzrok powędrował ku ruinom po drugiej stronie ulicy.

Lucy przygryzła bezwiednie wargę, jak gdyby pragnąc wziąć na siebie część cierpień Teri. — Może udało mu się wydostać — odezwała się z nadzieją, ale drżenie głosu zadawało kłam jej słowom.

Teri nic nie odpowiedziała i ruszyła w stronę domu, ubrana cały czas w szlafrok, który miała na sobie w momencie wydostania się z płomieni. Nad całą ulicą zaległa niezwykła cisza i gdy przechodziła przez rozstępujący się przed nią tłum, milkły szepty gapiów.

Dotarła wreszcie do podwórza tego, co było kiedyś jej domem. Stała nieruchomo, wpatrując się w zwęglone i osmalone cegły wznoszącego się jeszcze komina. Podeszła nieśmiało w stronę resztek werandy i poczuła na ramieniu uścisk męskiej dłoni.

— Nie wolno ci tam wchodzić.

Wstrzymała oddech, odwróciła się i ujrzała szare, dobroduszne oczy jednego ze strażaków.

— Ale przecież mój tata... — zaczęła.

— Już tam wchodzimy — odpowiedział jej strażak. — Jeśli jest w środku, znajdziemy go.

Teri spoglądała w milczeniu, jak dwóch strażaków, ubranych w grube kombinezony i rękawice, torowało sobie ostrożnie drogę w głąb domu. Kiedy odrąbali frontowe drzwi, dostrzegła wiodące na górę schody. Strażacy zaczęli wchodzić po nich ostrożnie, badając każdy stopień. Wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność, nim wreszcie dotarli na piętro. Poruszali się teraz po domu i można ich było dostrzec najpierw w jednym, potem w drugim oknie. W jednym z pokoiów spłonęły doszczętnie ściany i większa część podłogi. Strażacy stąpali ostrożnie między belkami, balansując na osmalonym rusztowaniu, wreszcie utorowawszy sobie drogę do sypialni Teri mieszczącej się w głębi domu, zniknęli jej z oczu.

Dziesięć minut później ten sam strażak o dobrodusznym, szarych oczach, pojawił się we frontowych drzwiach i podszedł do wpatrzonej w niego dziewczyny.

— Bardzo mi przykro — powiedział drżącym głosem, przypominając sobie zwęglone zwłoki Toma MacIvera, które znalazł przed zamkniętymi drzwiami jej sypialni. — Próbował cię wydostać. Nie wiedział, że udało ci się uciec...

Jego masywna dłoń spoczywała przez chwilę w uspokajającym geście na ramieniu dziewczyny. Następnie odwrócił się i polecił wydobyć ciało mężczyzny ze zgliszczy.

Teri stała jeszcze przez chwilę w tym samym miejscu. Wpatrywała się w dom i wydawało się, że nie wierzy w to, co usłyszała. Wreszcie dotarł do niej głos Lucy.

— Musimy do kogoś zadzwonić. Musimy powiadomić twoją rodzinę.
Odwróciła się plecami do dymiących zgliszczy i spojrzała tępych wzrokiem na Lucy. Przyjaciółka nie była przez chwilę pewna, czy Teri w ogóle ją usłyszała, aż wreszcie dziewczyna odrzekła:
— Mój ojciec. Czy ktoś może do niego zadzwonić? Boże drogi — pomyślała Lucy.
— Nic nie rozumie. Nie wie w ogóle, co się stało. Objęła Teri i przytuliła do siebie.
— Kochanie — wyszeptła — nie udało mu się uciec. To właśnie starał ci się powiedzieć ten strażak. Tak mi przykro — dokończyła, uświadamiając sobie całkowitą absurdalność tych słów. — Ogromnie mi przykro...
Teri pozostawała przez chwilę w jej ramionach, następnie wyzwoliła się z objęć i potrząsnęła głową.
— To nie on — powiedziała. — Musimy zadzwonić po mojego prawdziwego ojca. Skierowała powtórnie wzrok w stronę domu, gdzie trzech mężczyzn starało się wydostać ciało Toma.
— To był mój ojczym. Adoptował mnie, gdy miałam cztery lata. Musimy zadzwonić do mojego prawdziwego taty.

Rozdział 2

Ostry blask słońca zalał pokój i gdy Melissa Holloway otworzyła oczy, ogarnęło ją natychmiast poczucie winy — znowu zasnęła. Odrzuciła cienką kołdrę i w tym momencie przypomniała sobie. Nie było nic zdrożnego w tym, żeby dzisiaj zasnąć. Bo tego dnia ten i inne drobne występki, których ofiarą padała każdego dnia, zostaną jej wybaczone. Bo dzisiaj są jej urodziny. I to nie jakieś tam zwyczajne urodziny. Obchodzi dzisiaj trzynaście lat, a to początek zupełnie nowej ery w jej życiu. Ciągłe bycie dzieckiem dobiegło wreszcie końca. Była nastolatką. Opadła na poduszki, przeciągnęła się z rozkoszą i starała się wyobrazić sobie różnicę pomiędzy dzisiejszą Melissą, a tą, która istniała do tej pory. I nie dostrzegła żadnej różnicy. Uczucie błogości osłabło, ale zaraz powiedziała sobie, że przecież to nie ma znaczenia, czy coś odczuwa, czy nie. To przyjdzie z czasem. Rzecz w tym, że była inna. Usiadła na łóżku i rozejrzała się po dużym pokoju, w którym mieszkała co roku każdego lata. Będzie trzeba go zmienić — zdecydowała. Nie wygląda wcale na

pokój nastolatki. Był to typowy pokój małej dziewczynki, z półkami na ścianach pełnymi lalek i pluszowych zwierząt. Po kątach leżały poupychane ulubione zabawki z dzieciństwa. Obok kominka stał jej olbrzymi wiktoriański dom dla lalek, który z całą pewnością trzeba będzie wyrzucić. W końcu dom dla lalek to dobre dla małych dzieci.

Zmarszczyła brwi i zastanowiła się natychmiast, czy nie powinna pójść w tym wypadku na kompromis. Nie był to przecież zwyczajny dom dla lalek.

Był ogromny — tak duży, że kiedy była mała, mogła wypełznąć do środka. W dodatku znajdowały się w nim wierne, miniaturowe kopie sprzętów z epoki wiktoriańskiej.

— Co o tym sądzisz, D'Arcy? — zapytała głośno. — Czy nie wydaje ci się, że powinniśmy go zatrzymać na jakiś czas?

Zasłoniła usta rękoma i przypomniała sobie o obietnicy, jaką złożyła ojcu. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przyrzekła mu, że z dniem dzisiejszym zapomni o D'Arcy. Kiedy się dorasta, zapomina się o wymyślonych przyjaciółach i zastępuje ich prawdziwymi. Z tym jednakże wyjątkiem, że dla Melissy D'Arcy nie istniała tylko w jej wyobraźni. Była prawie tak samo rzeczywista jak ona sama. Mieszkała nad nią, na strychu, tu w Secret Cove i nigdy nie wracała z nimi do Nowego Jorku, kiedy opuszczali zatokę, by resztę roku spędzić na Manhattanie. Rzecz jasna, było niewiele osób poza Mellisą, z którymi D'Arcy mogłaby rozmawiać. Jedynie Cora Peterson, gospodyni — ale to wcale nie martwiło jej przyjaciółki.

Melissa sądziła, że D'Arcy musi czuć się straszliwie samotna, kiedy dom w Secret Cove pustoszeje zamykany na zimę, ale bardzo dawno temu, w czasie jednej z ich długich nocnych rozmów, wtedy kiedy Melissa nie mogła zasnąć, D'Arcy powiedziała jej, że lubi, kiedy jest zupełnie sama. Co więcej, kiedy Melissa wyznała jej wczoraj, że obiecała, iż nie będzie z nią więcej rozmawiać, D'Arcy zgodziła się na to bez wahania. — Ale nie przestanę myśleć o tobie — zapewniła ją Melissa.

D'Arcy nic na to nie odpowiedziała, ale dziewczyna była pewna, że jej przyjaciółka wie, co ma na myśli. To właśnie było wspaniałe w D'Arcy. Rozumiała ją zawsze, nawet wtedy, gdy nie rozumiał jej nikt inny.

Melissa westchnęła. Trudno będzie przestać myśleć o D'Arcy. Trudniej nawet, niż rozstać się z domem dla lalek. A może by tak troszeczkę oszukać tatę. Może powinna zatrzymać dom dla lalek i rozmawiając z D'Arcy udawać, że rozmawia z drewnianymi, wiktoriańskimi figurkami, które w nim mieszkają? No tak, ale jeżeli nawet nabiorą się na to rodzice i Cora, ona sama będzie wiedziała, że oszukuje.

— Wiesz co — powiedziała, zapominając, że ponownie mówi na głos. — Możesz sobie zatrzymać dom dla lalek. Zaniosę go na strych i będę tam czasem wpadała. A jeżeli tam będziesz, jak przyjdę, to już nie moja wina. Mam rację?

Była pewna, że gdzieś w oddali, w głębinach swej wyobraźni, usłyszała łagodny śmiech D'Arcy.

Przestała myśleć o domku dla lalek i podeszła do okna.

Na dworze był ciepły poranek — nawet tu, w Maine, lipiec nie był chłodny — niebo było bezchmurne i czyste.

Czternastoletni wnuk Cory, Tag, skosił właśnie murawę i Melissa wdychała zieloną woń świeżo ściętej trawy. Trawnik rozciągał się aż po znajdującą się o pięćdziesiąt metrów dalej plażę, którą obmywały łagodnie tego ranka fale zatoki. Załamywały się z lekkim sykiem, wyrzucając na piasek białą warstewkę piany, i zacierają ślady ptaków pierzchających przed nadpływającą wodą.

Wzrok Melissy wędrował po plaży. Przedstawiała dziś sobą widok taki, jaki zawsze lubiła — prawie bezludna — jedynie w oddali, na południu, na piasku koło klubu opalało się kilka osób. Pomiędzy ich posiadłością a budynkiem klubu, usadowionym na południowym krańcu zatoki, stało jeszcze pięć innych domów. Żaden z nich nie był tak duży jak dom Melissy, ale wszystkie okalały równie starannie zadbane ogrody i trawniki. A ponieważ większość dzieci spędzała cały czas w klubie, Melissa uważała plażę niemalże za swą wyłączną własność.

Szybko ubrała się, wkładając czyste dżinsy i koszulkę, którą w zeszłym tygodniu wycygała od Taga, i zeszła na dół poszukać ojca. Postanowiła, że pierwszą rzeczą, jaką dzisiaj zrobią, będzie długi spacer brzegiem morza. Pójdą na północ, w przeciwnym kierunku niż klub, i może uda im się wspiąć na skaliste wzniesienie odcinające Secret Cove od ciągnącej się dalej plaży. Zbiegając po schodach miała już w głowie kilka innych pomysłów dla siebie i taty na ten dzień. Pomyślała jednakże, że tak na dobrą sprawę wszystko, co będą dziś robić, będzie jej odpowiadało. Najważniejsze było to, że dzisiaj były jej urodziny i niezależnie od tego, jak ważne są interesy tatusia, cały dzisiejszy dzień spędzi razem z nią, nawet gdyby zdaniem mamy miało to być dziecinne.

Melissa uśmiechnęła się, przypominając sobie rozmowę, którą podsłuchiwała zeszłej niedzieli, krótko przed wyjazdem taty na trzy dni do Nowego Jorku.

- Ona kończy w tym roku trzynaście lat — powiedziała matka. — Już nie jest dzieckiem i z pewnością nic się jej nie stanie, jeżeli wrócisz dopiero w piątek wieczorem.

Melissa wstrzymała oddech, czekając na to, co powie tata.

— To są jej urodziny, nieważne które — powiedział. — Chcę być tutaj dla niej, bo ona na to liczy.

Rozmowa toczyła się dalej, ale Melissa nie zwracała już na nią uwagi, bo wiedziała, że kiedy ojciec coś postanowi, nawet matka nie może zmienić jego decyzji. Co znaczyło, że cały dzisiejszy dzień należał do niej, a tatuś zrobi wszystko, co zechce, nawet jeżeli będzie to tylko leżenie plackiem na plaży i wymyślanie historyjek o tym, do czego podobne są chmury płynące po niebie. To właśnie robili w zeszłym roku, a mama patrzyła na Melisse tak, jakby brakowało jej piątej klepki. Nawet teraz, chociaż już upłynął rok od tamtej chwili, słyszy wciąż jej zagniewany głos: „Dzisiaj to już z pewnością udało ci się zmarnować cenny czas ojca! To bardzo egoistyczne z twojej strony kazać mu jechać taki szmat drogi tutaj, żeby leniuchować razem z tobą, jak to masz w zwyczaju”.

Melissa, dotknięta do żywego tymi słowami, poczuła, jak do oczu napływają jej łzy, ale w tym momencie ojciec pospieszył jej z pomocą.

— Zawsze myślałem, że cały sens naszego pobytu w Secret Cove sprowadza się

właśnie do tego, że nic nie musimy tutaj robić — powiedział. — Jeżeli Melissa bawiła się dzisiaj tak dobrze jak ja, to gotów jestem się założyć, że cały dzisiejszy dzień był dość udany.

Mellissa spostrzegła kątem oka, jak matka zaciska wargi, nie odzywając się jednak ani słowem. Lecz nazajutrz, gdy tata wyjechał do Nowego Jorku...

Odsunęła od siebie stanowczo to wspomnienie. Ten rok będzie zupełnie inny. Znalazła ojca w kuchni, gdzie rozmawiał z Corą. Kiedy weszła, uśmiechnął się do niej.

- Masz ochotę na naleśniki z jagodami i czekoladą, które tak lubiłem, gdy byłem w twoim wieku? — spytał.

Cora zmarszczyła z dezaprobatą brwi.

— Bóg mi świadkiem, panie Holloway, że nie wiem, skąd panu przychodzą do głowy te pomysły. Przecież nigdy nie robiłam panu takich naleśników, kiedy był pan chłopcem!

— Chcesz jednego? — przerwał jej Charles, robiąc oko do leniwej gospodyni, która zacisnąwszy usta zlustrowała zlew pełen brudnych naczyń, pozostawionych przez panią Holloway, i wreszcie westchnęła zrezygnowana.

— No cóż, jeden chyba nikomu nie zaszkodzi...

— Idź, zawołaj Taga — powiedział Charles do Melissy i mrugnął do niej znacząco.

— Powiedz mu, że w dniu twoich urodzin wolno mu się jedynie wygłupiać i nic poza tym.

Melissa pobiegła w stronę kuchennych drzwi, ale w tej samej chwili rozległ się donośny dźwięk telefonu. Przystanęła i zobaczyła, jak Cora podnosi słuchawkę. W chwilę później twarz gospodyni zbladła i drżącą ręką podawała słuchawkę ojcu.

— To Polly — powiedziała łamiącym się głosem i jej oczy wypełniły się nagle łzami. Usiadła machinalnie na taborecie obok zlewu, a Charles wyrwał jej z ręki słuchawkę.

Melissa stała przy drzwiach, próbując ze strzępów zdań wypowiedzianych przez ojca zrozumieć, o co chodzi. Kiedy wreszcie odłożył telefon, jego twarz była równie blada jak twarz Cory. — Obawiam się, że stało się coś niedobrego, córeczko — powiedział łagodnym i zdławionym z emocji głosem. — Będę musiał natychmiast lecieć do Los Angeles.

Melissa wpatrywała się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

— Polly i Tom Maclver nie żyją — ciągnął dalej ojciec. — Ich dom spalił się dzisiaj rano.

— Teri — westchnęła Cora wbijając wzrok w Charlesa. — Co z Teri?

Ten przymknął na chwilę oczy i sięgnął prawą ręką do czoła, jak gdyby poczuł nagły ból głowy. Wreszcie skinął z wysiłkiem.

— Nic jej nie jest. Wydostała się. Z tego, co mi mówio-

no, wynika, że Tom nie wiedział, że uciekła, i próbował ją ratować. Polly starała się wydostać oknem, ale wypadła. - Boże drogi! — wyszeptała Cora.

Melissa słyszała, o czym rozmawiał tata z Corą, docierało nawet do niej znaczenie słów, ale kręciła głową z niedowierzaniem. — Ale przecież dzisiaj są moje

urodziny...

Charles podszedł do niej, objął ją i przytulił mocno do siebie.

- Wiem, córeczko — wyszeptał jej do ucha — i pamiętam, co d obiecywałem, ale nic nie mogę na to poradzić. Jestem ojcem także i dla Teri i muszę do niej pojechać. Nie ma teraz nikogo prócz mnie. Czy nie możesz tego zrozumieć? Melissa stała przez chwilę nieruchomo, a potem przytaknęła głową i kiedy Charles wypuścił ją z objęć, zdobyła się na niepewny uśmiech.

— A jak wrócisz, to czy Teri przyjedzie z tobą i zamieszka z nami?

Charles zawahał się nie będąc pewny, jakiej odpowiedzi oczekuje Melissa.

- Wydaje mi się że tak, a ty jak sądzisz? — zapytał. — Jest moją córką i nie ma dokąd pójść, a gdyby nawet miała, to czy nie wydaje ci się, że jej miejsce jest tutaj? Melissa wahała się, próbując pogodzić kotłujące się w niej sprzeczne uczucia. Było jej oczywiście przykro z powodu tego, co się stało z mamą i z ojczymem Teri, ale przecież nigdy ich nie widziała i w ogóle niewiele o nich wiedziała. Nie wiedziała także niczego o Teri z wyjątkiem dwóch rzeczy:

- że Teri urodziła się właśnie tutaj, w tym domu,

— że Teri była jej przyrodną siostrą.

A przecież przyrodnia siostra to prawie to samo co rodzona siostra, a Melissa, jak daleko umiała sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze najbardziej na świecie marzyła o siostrze, starszej siostrze, która byłaby jej przyjaciółką i odpowiadałaby na jej wszystkie pytania, nawet takie, których nigdy nie zadałaby mamie.

Melissa zawsze chciała, żeby kimś takim była dla niej D'Arcy. Ale D'Arcy była wymysłem jej wyobraźni, podczas gdy Tari MacIvt\er istniała naprawdę.

— Już dobrze, tatusiu — powiedziała. — Strasznie mi przykro i powodu tego, co się stało, ale wreszcie będę miała to, czego zawsze chciałam, będę miała siostrę, mam rację?

Charles przygryzł wargi, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Tak — powiedział. — Chyba masz rację.

Melista unosiła się na wodzie, poruszając stopami tylko na tyle, by utrzymać się na powierzchni. Na twarzy czuła gorące słońce, lecz przez zamknięte powieki do jej oczu docierali jedynie blada, różowa mgiełka. Ze wszystkich sił starali się zatrzymać wirujące pod powiekami kolory. W końcu słońce schowało się za chmurę i zabawa się skończyła. Otworzyli oczy i wpatrywała się w nadpływające znad morza obłoki. Potem odwróciła się na brzuch i rozejrzała wokół siebie. Nie opodal, z zamkniętymi oczami unosił się na fali Tag. Melissa, najciszej jak mogła, wyciągnęła rękę, żeby chlapnąć pokrytą piegami twarz chłopca. Ale kiedy już, już miała zamachnąć się, Tag nagle ożył i przekręcając się zwinnie un brzuch uderzył dłonią o wodę, tak że w rezultacie nie on, lecz ona poczuła w oczach piekącą, morską sól.

- Mam cię! — krzyknął i zaczął płynąć w stronę brzegu. Melina ruszyła w ślad za nim i w chwilę później dogoniła go i chwyciła za kostkę lewej nogi. Pociągnęła go z całej siły, tak że znalazł się pod nią, a potem położyła mu obie ręce na plecach i zepchnęła go głębiej, cały czas manewrując i kopiąc nogami by nic dać się

schwytac i wciagnac pod wode.

Szamotoanina trwala. Kazde z nich zanurzalo co chwila drugiego, az wreszcie oboje rownoczesnie przestali walczyc i ruszyli w strone brzegu, unoszeni na ostatnich metrach lagodna fala. Melissa, zdyszana, rzucila sie ze smiechem na platek i zakryla dloniami twarz, bo w tej wlasnie chwili pod-biegl do niej w podskokach Blackie, olbrzymi czarny labrador, który teoretycznie tylko nalezal do Taga, i zaczal ja lizac z czuloscia olbrzymim jezorem.

— Lezec! — krzyknela wreszcie do psa Melissa, a Blackie polozyl sie poslusznie na piasku obok niej i oparl swój duzy leb na jej kolanach. Melissa podrapala psa za uszami, a potem spojrzala na rozciagnietego nie opodal chlopca.

— Jak myslisz, jaka ona jest?

Tag w lot pojal, o co jej chodzi. — Chcialabyś wiedziec, czy cie polubi? — zapytal. Melissa zarumienila sie. — Moze... — przyznala. — Ciekawa jestem, jak wyglada. Tag usmiechnal sie do niej szelmowsko. — Chcesz zobaczyc jej zdjecia?

Dziewczyna wlepila w niego wzrok. Przez caly dzisiejszy dzien, odkad tata pojechal na lotnisko, bez przerwy rozmawiala z Tagiem o Teri. Az do tej pory nie wspominal o zadnych zdjeciach!

— Czy to znaczy, ze masz jakieś fotografie? — spytala natarczywie.

Tag wyszczerzyl w usmiechu zęby. — Jasne. Babcia dostawala co roku jedna od jej mamy. Trzyma je wszystkie w szufladzie.

Melissa podniosla sie z piasku. — Dlaczego mi wczesniej nie powiedziales? — spytala.

— Dlaczego wczesniej nie pytales? — odciatal sie Tag, podnoszac rącznik i owijajac go sobie wokół szyi. — Chcesz, zebym czytal w twoich myslach, czy jak?

Zeszli z plazy i przez trawnik skierowali sie w strone malego domku, w którym kazdego lata, od pol wieku, mieszkal Cora Peterson, a Blackie powlokł sie za nimi. Dotarli prawie pod drzwi, kiedy Melissa uslyszała głos matki, dobiegajacy z jednego z pokoi na piętrze:

— Melisso, dokad idziesz?!

Melissa zdrętwiala i zaczela myslec goraczkowo. — Poplywac w basenie! - zawolala. - Jestem cala w soli!

- Nie prosciej wziac prysznic?!— odkrzyknela Phyllis. -Wiesz przeciez, ze Tagowi nie wolno korzystac z basenu!

Melissa zarumienila sie, zakłopotana. Mama widziala, ze obok stal Tag. A dlaczegoz to nie wolno mu uzywac basenu — pomyslala, lecz po chwili przypomniała sobie, ze basen to tylko pretekst.

— Dobrze! — zawolala do matki. Odwrócila sie pospiesz* nie, ale ostry głos Phyllis przeszył jeszcze raz cisze popołudnia.

— Chce, zebyś byla w domu za piec minut!

— Dobrze, mamol — odkrzyknela Melissa, Przyspieszyla kroku i dogonila Taga, który wlasnie znikal

za rogiem domu dla sluzby. Chociaz nic nie mowil. Melissa widziala z wyrazu jego

twarzy, że słyszał wszystko, co powiedziała matka.

— Wolno nam używać basenu, kiedy tylko chcemy — powiedziała pojednawczo.

— Tatusi powiedział, że możemy.

— Pewnie — odpowiedział kwaśno Tag. — I zaraz po naszej kąpieli twoja mama każe mi spuścić wodę i wyszorować kafelki. — Przyjął pogardliwy wyraz twarzy. — Wiesz przecież dobrze, że służba nie grzeszy czystością.

Melissa jeszcze raz zarumieniła się z zażenowania, Chciała powiedzieć, że nie to miała na myśli jej matka, ale czy to miało jakiś sens? Phyllis właśnie to miała na myśli i oboje dobrze o tym wiedzieli.

— Ty i Cora wcale nie jesteście służącymi. Ja traktuję Corę jak babcię — oświadczyła.

Tag spojrział na nią wymownie, - Tylko nie mów tego nigdy swojej mamie.

Dotarli właśnie do drzwi domku i instynktownie obejrzeni się za siebie. Ale z miejsca, w którym stali, nie było już widać okien pokoju Phyllis. Jak spiskowcy wślizgnęli się do środka.

— Zdjęcia są w ostatniej szufladzie w komodzie — powiedział Tag. Rzucił ręcznik na schody i wszedł do salonu, którego całe umeblowanie składało się z wysłużonej kanapy i dwóch zdezelowanych krzeseł - W chwili później wręczył Melissie niewielki album.

Dziewczyna przypatrywała się przez chwilę taniej, plastikowej okładce, wahając się, czy zajrzeć do środka. Wreszcie otworzyła go i zaczęła przyglądać się uważnie pierwszemu zdjęciu.

Przedstawiało małą dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż dwa lata, trzymającą się kurczowo ręki mamy, niewidocznej na zdjęciu. Miała na sobie błękitną sukienkę, białe podkolanówki i sandały. Jej jasne, blond włosy przewiązane były kokardką.

Dziewczynka na fotografii nie różniła się zbyt wiele od innych dziewczynek w tym wieku i Melissa, poczuwszy się wyraźnie lepiej po obejrzeniu tego zdjęcia, przekartkowała album aż do końca.

I wtedy serce jej zamarło. Na ostatniej fotografii zobaczyła wysoką i szczupłą młodą damę. Włosy miała niewiele ciemniejsze od tych na pierwszym zdjęciu. Starannie dobrana fryzura podkreślała doskonale rysy twarzy, wyraźne, ale delikatne zarazem. Błękitne, szeroko rozstawione oczy zdały się spoglądać na Melissę z tym rodzajem pewności siebie którego ona nigdy w życiu nie doświadczyła. Spojrzała bezwiednie w stronę wiszącego nad kominkiem lustro i zaczęła w milczeniu porównywać siebie z nieznaną dziewczyną, Jej niczym nie wyróżniające się, brązowe włosy spadały zwyczajnie na ramiona. Próbowała wmówić sobie, że to dla tego, że przed chwilą wyszła z wody, ale wiedziała, że to nieprawda — chociażby godzinami je szczotkowała, nigdy nie chciały nabrać blasku.

Własne rysy twarzy wydawały się jej beznadziejnie pospolite nos trochę za duży, a pozbawione prawie zupełnie rzęs brązowe oczy, osadzone zbyt blisko siebie. Była także pewna, że pucołowatość jej twarzy, wbrew temu, co mówił ojciec, nie była jedynie przypadłością okresu dojrzewania. - Ależ ona piękna, prawda? —

wybąkała. Tag skinał głową. — Babcia mówi, że jest bardzo podobna do swojej mamy.

Melissa jeszcze raz spojrzała na fotografię w albumie. Przyjrzała się jej uważnie i pomyślała, że może jednak nie będzie tak źle. Choć nigdy nie wyobrażała sobie, że Ten może być aż tak piękna, zauważyła równocześnie, że wiedziała, jak się ubrać i jak zadbać o dobrą fryzurę.

Na Teri wszystkie ubrania leżały jak ulał.

Na niej wyglądały, jak gdyby kupiono je dla kogoś innego.

Może Teri nauczy ją, jak się korzystnie ubrać i jakie ubrania kupować, tak żeby dobrze w nich wyglądać.

A poza tym — powtórzyła sobie jeszcze raz w myślach — chociażby nie wiadomo jak była piękna, Teri była przecież jej siostrą. A co będzie, jeśli mnie nie polubi? Odsunęła od siebie tę myśl i oddała album Tagowi.

- Lepiej już pójdę do domu. Mama powiedziała... Nie skończyła, gdy dało się słyszeć głośne stukanie do

drzwi, a w chwilę później pojawiła się w nich spoglądająca groźnie Phyllis Holloway.

— Melisso — odezwała się stanowczym głosem — a co ty tutaj robisz?

— Ja... Tag mi właśnie coś pokazywał...

- Czyżby? — odrzekła Phyllis, kierując oskarżycielski wzrok w stronę chłopca. — Nie podoba mi się to, że przyprawiasz tutaj Melissę — dodała. — Porozmawiam o tym z Corą. — Nie czekając na jego odpowiedź, chwyciła córkę za ramię i poprowadziła w stronę drzwi.

- I co ja mam z tobą zrobić? — pytała ją, gdy szły razem w stronę domu. — Wiem, że Tag jest twoim przyjacielem, i oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Ale musisz także pamiętać o tym, że jest tylko służącym i że są pewne granice.

— Ależ, mamo...

Phyllis puściła nagle ramię dziewczyny i uśmiechnęła się do niej.

— Żadnych „alew” — powiedziała. — Wydaje mi się, że nie powinnyśmy się sprzeczać w dniu twoich urodzin. Poza tym, musisz przygotować się na przyjęcie. Melissa spojrzała na matkę z niedowierzaniem. — Na jakie przyjęcie? — spytała.

— Nie robię żadnego przyjęcia!

— Ale ja robię — obwieściła Phyllis. — I wierz mi, nie było łatwo przygotować wszystko jak należy na ostatnią chwilę. Wiem jednak, jak bardzo zmartwił cię wyjazd ojca, i opowiedziałam o wszystkim, co się wydarzyło, mamom twoich przyjaciół...

Phyllis trajkotała dalej o zaproszonych dzieciach, ale Melissa już jej nie słuchała. Uświadomiła sobie zrezygnowana, co zrobiła matka. Cove Club.

Phyllis zadzwoniła do wszystkich swoich przyjaciółek z Cove Club, prosząc usilnie, żeby przysłały swoje pociechy do Maplecrest, na urodziny Melissy. Oczywiście, kiedy wyjaśniła, co się stało, i dlaczego tatuś Melissy musiał nagle wyjechać, wszyscy poczuli dla niej litość i zgodzili się z tym,

że należy się jej przyjęcie urodzinowe.

Przyjdą oczywiście wszyscy i będą się zachowywać tak samo jak w klubie. Będą rozmawiali tylko między sobą i zupełnie ją zignorują.

— Zobaczysz, córeczko, będzie cudownie — usłyszała słowa matki, kiedy wchodziły do domu. — Możesz ubrać swoją różową, organdyńską sukienkę. Zamówiłam nawet disc jockeya, tak że będziecie mogli tańczyć. Będziesz miała znakomite przyjęcie, W końcu jesteś już nastolatką i czas najwyższy, żebyś przebywała częściej w towarzystwie. Chyba nie ma lepszej okazji do tego niż urodziny.

Melissa, chociaż robiło się jej niedobrze już na samą myśl o tym, co ją czeka, wiedziała, że nie ma sensu spierać się z matką. Powlokła się w milczeniu do swego pokoju i zaczęła się przygotowywać do przyjęcia.

Schowała się w malej toalecie dla gości, znajdującej się pod schodami, i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Zanim weszła do środka, spojrzała na zegar. Była dopiero czwarta, co znaczyło, że wszystko będzie się ciągnęło jeszcze przez dobrych parę godzin.

Disc jockey jeszcze nie przyszedł, a dostawcy z klubu zaczęli dopiero przygotowywać bufet na tarasie obok basenu. A przecież czas, który upłynął od początku urodzin, wydawał się dla Melissy wiecznością.

Oszczędziła sobie przynajmniej upokorzenia związanego z noszeniem różowej, organdyńskej sukienki, którą wybrała dla niej mama. Już miała ją na sobie i nawet chciała zejść na dół, kiedy usłyszała, jak przed domem zatrzymał się samochód, i zobaczyła, jak wysiada z niego Brett Van Arsdale. Było to czarne porsche, które dostał w prezencie dwa tygodnie temu na swoje szesnaste urodziny. W sportowym samochodzie tłoczyło się sześć osób i kiedy wygramoliły się z wnętrza, Melissa zobaczyła, jak są ubrane.

Wszyscy mieli na sobie stroje do tenisa.

Koszulki chłopców były jeszcze przesiąknięte potem i widać było, że przyjechali prosto z klubu, nie zadawszy sobie nawet trudu, by się przebrać.

Kiedy usłyszała dzwonek do drzwi, a zaraz potem głos matki rozkazujący jej zejść na dół, pobiegła z powrotem do pokoju, wydostała się z sukienki i wciągnęła pospiesznie szorty i coś na górę. Szamocząc się z guzikami, uświadomiła sobie, że bluzka, która była jej dobra jeszcze w zeszłym roku, jest teraz za ciasna. Wsunęła adidasa i popędziła na dół. Biegąc po schodach, potknęła się i o mały włos nie spadła z dziesięciu ostatnich stopni. Uklękła więc, żeby zawiązać sznurówki. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że całe towarzystwo było już w holu i gapiło się na nią. Był też między nimi Jeff Barnstable, w którym Melissa podkochiwała się skrycie od dwóch lat. Obok niego stała Ellen Stevens i trzymała go za rękę.

— My już graliśmy w tenisa — powiedziała dziewczyna, spoglądając znacząco na buty Melissy. — Teraz moglibyśmy trochę popływać.

Nie czekając na odpowiedź z jej strony, goście przemaszrowali przez hol w stronę basenu, gdzie czekały już na nich stroje kąpielowe. Zanim Melissa zdążyła pójść na górę, żeby się przebrać, mecz piłki wodnej już się rozpoczął. Stała w milczeniu na

skraju tarasu, czekając, aż któraś z drużyn weźmie ją do siebie, ale żadna tego nie zrobiła. Kiedy

w parę minut później matka wyszła zobaczyć, co się dzieje, i zapytała ją, czemu nie gra, Melissa odpowiedziała, że nie ma ochoty. Teraz zastanawiała się, jak długo uda się jej pozostać w ukryciu. Wiedziała, że niebawem mama zacznie jej szukać.

Klamka poruszyła się i ktoś nerwowo zastukał do drzwi.

Po chwili usłyszała głos Ellen.

— Co jest w końcu grane? Najpierw zaprasza się nas na urządzone z litości urodziny, a potem nie można nawet wejść do łazienki!

— Chodźmy na górę — odpowiedziała jej Cindy Miller. — Może znajdziemy jakąś szminkę Melissy.

W toalecie dał się słyszeć zjadliwy śmiech Ellen. — Melissa i szminka! Nawet jeśli ma coś takiego, to na pewno w okropnym kolorze, a w ogóle to dlaczego nie pójdziemy po prostu do domu?

— Nie możemy — odpowiedziała Cindy. — Mama mi powiedziała, że musimy tu zostać co najmniej do dziewiątej, nawet gdyby nam się nie podobało. Jeśli tego nie zrobimy, ona znów będzie musiała wysłuchać narzekań pani Holloway o tym jak niegrzeczne byliśmy dla jej małej córeczki — dodała z przekąsem.

I w tym momencie Melissa nie wytrzymała. Otworzyła szeroko drzwi i powstrzymując a całej siły cisnące się do oczu łzy, wbiła wzrok w Ellen i Cindy.

— Nie musicie wcale zostawać - powiedziała półgłosem. — W ogóle nie chciałam, żebyście przychodziły.

Obie dziewczyny, starsza od niej tylko o rok, spoglądały niepewnie na siebie.

Wreszcie pierwsza odezwała się Cindy:

— Nie powinnaś była stać tutaj i podsłuchiwać nas — powiedziała.

Melissa czuła, że traci panowania nad sobą. Nic im nie zrobiła — pomyślała - nie starała się nawet słuchać tego, co mówią! Ale stały właśnie w tym miejscu i rozmawiały

o niej! Czy to była jej wina? — I wtedy zobaczyła, jak po schodach schodzi matka, zatrzymuje się i spogląda na nią.

— Czy coś się stało? — spytała.

Melissa potrząsnęła głosą, ale było już za późno.

— Wydaje mi się, pani Holloway, że lepiej będzie, jak sobie pójdziemy — powiedziała Ellen, udając, że próbuje znaleźć najbardziej dyplomatyczne wyjście z tej sytuacji. — Melissa właśnie zakomunikowała nam, że nie chce, abyśmy tutaj byli.

Widząc gniew w oczach matki, Melissa pobiegła na górę, do swego pokoju. Rzuciła się na łóżko i zaczęła walić pięściami w poduszki z rozpacz, a jej ciałem wstrząsał szloch. Lecz wkrótce uspokoiła się, a złość na Cindy, Ellen i resztę jej gości odeszła.

W końcu to nie była jej wina. Nie chcieli przyjść tak samo, jak i ona nie chciała, aby przyszli. Nie zrobiliby tego gdyby nie matka i jej błagalne telefony.

Tak więc złość wypaliła się — ale na jej miejsce pojawił się strach. Gdyż była

pewna, że po tym, co się wydarzyło dzisiejszego popołudnia, może wieczorem, a może dopiero kiedy Cora pójdzie spać, matka przyjdzie do jej pokoju. Odwiedzi ją, żeby z nią „porozmawiać”.

Rozdział 3

Charlesa Holloway a po raz kolejny ogarnęło poczucie dziwnego zagubienia, towarzyszące mu zawsze wtedy, kiedy przylatywał do Los Angeles. Było ono spowodowane częściowo tym, że wszystkie tutejsze autostrady, nawet kiedy krzyżowały się pod kątem prostym, zdawały się biec albo na północ, albo na południe. W końcu udało mu się dotrzeć do doliny San Fernando i po półtorej godzinie od wylądowania skręcił wynajętym samochodem w ulicę, przy której stał dom

Polly. Widział tę część doliny po raz pierwszy i zrozumiał natychmiast, dlaczego tak zauroczyła ona jego byłą żonę.

Wszystkie domy w tej okolicy cechowała pewna trwałość, Otoczone były dużymi cienistymi drzewami, a wygląd trawników świadczył o tym, że pielęgnowano je starannie od dziesiątków lat. Nigdzie nie zauważył jaskrawej zieleni świeżo założonej murawy ani popularnych dekoracji ogrodowych, które zaśmiecały obejścia w nowych dzielnicach. Cała okolica dawała poczucie stabilności i solidności tak typowych dla klasy średniej. Chyba te właśnie względy zdecydowały o Wyborze Polly.

Dla niego było to oczywiście strasznie zapyziałe miejsce, jeszcze jedna, tym razem kalifornijska, wersja miasteczek ze Wschodu, z których wiało dla niego zawsze niewysłowioną nudą, ale do których Polly ciągnęła jak ćma do światła.

Są przynajmniej rzeczywiste — powtarzała wielokrotnie w ciągu pierwszych kilku miesięcy małżeństwa, kiedy miała jeszcze nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Nie mogę znieść tego — mówiła — że będę wychowywać dzieci na Manhattanie i w Secret Cove.

Charles w pewnym sensie rozumiał, co miała na myśli. Oboje od dzieciństwa wiedli styl życia inny niż większość ludzi. Charles go po prostu zaakceptował i kiedy ożenił się z Polly, sądził, że i ona zrobiła to samo, lecz jak się wkrótce miało okazać, Polly nie w smak były bogactwo i status społeczny, z którymi się urodziła. Nie należy sądzić, że rodzina Porterów była tak bogata jak rodzina Charlesa. Nigdy ani w przeszłości, ani wtedy nie byli w stanie dorównać jej majątkiem. Nigdy nawet nie myśleli takimi samymi kategoriami jak Hollowayowie i większość innych mieszkańców „towarzystwa z Secret Cove”, jak ludzie ci nazywali samych

siebie, lecz bez cudzysłowu.

Charles nie był świadom tego wszystkiego, gdy zenił się z Polly. Oczywiście wiedział, że Polly studiowała w Berkeley, podczas gdy wszyscy inni udawali się do Harvardu, Yale, Bennington lub Vassar, lecz dopiero po paru latach małżeństwa uświadomił sobie, do jakiego stopnia wpłynęło na nią

Zachodnie Wybrzeże. — No ale skoro nie podoba ci się nasz styl życia, to dlaczego wyszłaś za mnie? — zapytał ją już po rozwodzie.

— Ponieważ tego ode mnie oczekiwano — odpowiedziała. — Na miłość boską, Charles, oboje od początku wiedzieliśmy, że będziemy się musieli pobrać, i naprawdę myślałam, że wszystko się ułoży. Ale po pobycie w Berkeley całe życie tutaj wydaje mi się takie nierealne. Weź chociażby Lenore Van Arsdale. Ona nie tylko, że nie wie, co dzieje się poza Secret Cove — ją to nawet nie obchodzi! Charles zdumiony rozchylił usta.

— Przecież Lenore to twoja najlepsza przyjaciółka! Razem dorastałyście.

Polly uśmiechnęła się ironicznie.

— Wiem o tym, ale ja wyrosłam już z niej, z ciebie i ze wszystkiego, co się dzieje w Secret Cove. Nie potrafię żyć, planując przyjęcia, których koszt przekracza trzykrotnie sumy, jakie całe to towarzystwo zbiera co roku na jakiś zbożny cel. Nie potrafię wydawać masy forsy na ciuchy, gdy wiem, jak wielu ludziom ledwie starcza pieniędzy, żeby kupić sobie coś do ubrania.

— No to co zamierzasz zrobić? — zapytał w końcu Charles. — Rzucić to wszystko?

Ku jego zdumieniu, właśnie to chciała zrobić i dopięła swego. Po rozwodzie założyła fundację, powołała radę nadzorczą, której żaden z członków nie wywodził się z Secret Cove, i przekazała fundacji cały swój majątek. Nikt nie mógł jej w tym przeszkodzić — jej rodzice zginęli w wypadku trzy lata wcześniej.

Charles chciał początkowo starać się w sądzie o przyznanie mu opieki nad córką, ale w końcu odstąpił od tego zamiaru. Polly mimo wszystko była zawsze oddaną matką i Charles wolał już zgodzić się na to, by wychowywała Teri po swojemu, niż narażać dziecko na uczestnictwo w przewlekłych potyczkach w sądzie. Co więcej, zgodził się nawet na adop-

cję Teri, kiedy Polly poślubiła Toma MacIvera i wyprowadziła się na Zachód. Tam osiągnęli dobre pozycje na jednym z uniwersytetów.

On, pragnąc otrząsnąć się z rozwodu, poślubił niezwłocznie Phyllis, którą właśnie Polly przyprowadziła do ich domu jako niańkę dla Teri. Chociaż Phyllis nie należała do ludzi z Secret Cove, szanowała przynajmniej wyznawane przez nich wartości i mimo że ich małżeństwo było dalekie od doskonałości, pozwalało mu wieść dalej styl życia, w którym został wychowany i który miał zamiar prowadzić aż do swej śmierci. Już w kilka miesięcy po ślubie Phyllis obdarzyła go córką, która szybko wypełniła pustkę powstałą po stracie Teri. Tak więc życie każdego z nich jakoś się ułożyło.

Lecz gdy stał teraz, wpatrując się w zwęglone szczątki domu MacIverów, wiedział, że wszystko po raz kolejny uległo zmianie. Teri czekała przeprowadzka na drugi

koniec kontynentu, gdzie miała zostać wrzucona w obce jej środowisko i między obcych jej ludzi. Podejrzał, że Polly nigdy nie przygotowała swojej córki na to, jakie może być życie na Wschodzie. W końcu dłaczegóż by miała to robić?

Odwrócił się od pociemniałych zgliszczy i skierował w stronę domu po drugiej stronie ulicy o numerze zgodnym z tym, który zapisał szybko na skrawku papieru dzisiejszego ranka. Nie różnił się od reszty domów na tej ulicy, był niewielki i skromny, lecz wyglądał solidnie. Wspinając się po stopniach na werandę, zastanawiał się, czy spłonąłby równie szybko jak dom Polly.

Podejrzał, że tak.

Nacisnął dzwonek przy drzwiach i słyszał łagodny dźwięk gongu. W chwilę później drzwi uchyliły się odrobinę i wyjrzała spoza nich pulchna kobieta.

— Czy pani Barrow? — zapytał. — Jestem Charles Holloway, ojciec Teri.

Drzwi natychmiast otworzyły się szerzej.

— Panie Holloway! — powiedziała pani Barrow z ulgą w głosie. — Dzięki Bogu... Nie wiem, co powiedzieć. To

wszystko było takie straszne... I kiedy Teri powiedziała mi, że mam do pana zadzwonić... — Przerwała i stała przez chwilę nieruchomo. Tylko jej drżące ręce zdradzały zdenerwowanie. — Nie wiem, jak to powiedzieć... Nikt z nas nawet nie wiedział o pana istnieniu. To jest... chciałam powiedzieć, że Polly i Tom nigdy w rozmowach z nami nie wspominali... - zamilkła znowu.

Charles wyciągnął rękę i dotknąwszy delikatnie jej ramienia skierował ją w stronę salonu.

— Wszystko w porządku, pani Barrow — powiedział. — Rozumiem, co pani czuła. To wszystko... — W tym momencie oboje przekroczyli próg salonu i słowa uwięzły mu w gardle, bo ujrzał swoją córkę.

Siedziała w cienkim, ściśle przylegającym do ciała szlafroku, wtulona w róg kanapy. Wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi, niepewnymi oczyma i wydawało mu się, że aż do tej chwili czekała w napięciu cały czas, nie wiedząc, czy w ogóle po nią przyjedzie.

Milczeli oboje przez długą chwilę. Wreszcie Teri poruszyła się na kanapie i podniosła z wahaniem. Otworzyła usta i kiedy odezwała się, jej głos brzmiał ochryple, jak gdyby cały dzień płakała.

— Tato...

Dławiony wzruszeniem Charles przemierzył trzema szybkimi krokami pokój i objął córkę. Trwała przez chwilę napięta w jego ramionach, ale po chwili rozluźniła się i oparła mu głowę na piersi. Pogładził ją niezręcznie po włosach, a potem ujął pod brodę i spojrzał jej w oczy.

— Już dobrze, Teri. Jestem tu z tobą. Już nie jesteś sama. Ztroszczę się o ciebie. — Przytulił ją jeszcze raz do siebie i chociaż nie widział twarzy córki, bo oparła znów głowę na jego piersi, zdawało mu się, że czuje nieśmiały uśmiech, przebijający przez łzy.

Wiedział, że aż do tej chwili musiała czuć się straszliwie samotna.

Samotna i przerażona.

Melissa siedziała przy małej toaletce, stojącej między dwoma ogromnymi oknami

jej pokoju, i męczyła się z kolacją, przyniesioną godzinę temu przez Corę. Chociaż starała się jak mogła, zjadła nie więcej niż połowę tego, co było na talerzu, i nawet ta niewielka ilość ciążyła jej w żołądku jak ołów. Wpatrywała się posępnie w talerz, by wykrzesać z siebie chociaż odrobinę apetytu. Cora przygotowała na urodzinową kolację jej ulubione danie — niewielki stek, przysmażony dokładnie tak, jak lubiła, kukurydzę w kaczanie (rzecz jasna tę białą, nie wchodzącą w zęby) i fasolkę, którą dziewczyna sama pomagała Tagowi sadzić w małym ogródku za garażem. A przecież powinna być głodna — nic prawie nie jadła przez cały dzień. Usłyszawszy na korytarzu jakieś kroki, wzięła szybko do ręki nóż i widelec, pewna, że to matka przychodzi, aby ją skontrolować. Lecz kiedy drzwi otworzyły się i okazało się, że to tylko Cora, Melissa odetchnęła z ulgą. Kiedy gospodyni spojrzała na prawie nietknięty posiłek, dziewczyna zarumieniła się ze wstydu. — Strasznie mi przykro, Coro — powiedziała. — Jakoś nie potrafię dzisiaj zjeść więcej.

— Ależ nic się nie stało, Melisiu — odpowiedziała Cora, zwracając się do niej w sposób już dawno temu zabroniony przez Phyllis Holloway. — Zjedz tyle, ile możesz, i zostaw sobie trochę miejsca na to. — Położyła na stoliku duży kawałek tortu czekoladowego i pokiwała z zadowoleniem głową, widząc uśmiech pojawiający się na twarzy Melissy. — Wydaje mi się — mówiła — że nawet dobrze się stało, jak się stało. Żadne z tych dzieci ani w połowie tak bardzo jak ty nie doceniłoby mojego tortu. Jutro ty i Tag możecie zajadać się nim do woli cały dzień.

Zostawiając resztki steku, Melissa wzięła widelec i zanurzyła go w pulchnej i wilgotnej czekoladowej masie.

Lecz kiedy miała włożyć do ust pierwszy kawałek, w drzwiach pojawiła się matka. — Co to ma znaczyć, Melisso? — spytała Phyllis. — Wiesz przecież, że nie jemy deseru, jeśli nie skończyliśmy obiadu.

Radość, która pojawiła się w oczach dziewczyny na widok tortu, zgasła i Melissa posłusznie odłożyła widelec.

— Chyba, Coro, nie zjem już dzisiaj nic więcej — wyjąkała, błagając oczami gospodynię, by nie sprzeciwiała się matce. — Może będę w stanie zjeść trochę jutro.

Cora, starając się nie patrzeć w twarz Phyllis, pozbierała talerze z resztkami kolacji i wymknęła się z pokoju.

Phyllis, nie odezawszy się do córki ani słowem, opuściła sypialnię, zamykając za sobą starannie drzwi.

Melissa zostawszy sama, usiadła skulona na łóżku, czekając na to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Wzięła do ręki książkę i próbowała czytać, lecz uświadomiła sobie, że jej wzrok wciąż tkwi na tej samej stronie; jej oczy prześlizgiwały się po literach, lecz nie rozumiała słów. Minuty płynęły wolno i wreszcie kiedy głos Cory, wołającej na psa, oznajmił jej, że gospodyni udaje się do swego domu na spoczynek, Melissa odłożyła książkę. Pięć minut później drzwi jej sypialni otworzyły się raz jeszcze i do pokoju weszła matka. Bez słowa zamknęła okno i w końcu zwróciła się do

córki:

— Jak śmiesz tak się zachowywać? — zapytała drżącym z oburzenia głosem narastającym w jej wnętrzu od popołudnia. — Czy cokolwiek ma dla ciebie jakieś znaczenie? Czy docenisz w ogóle to, co staram się dla ciebie zrobić?

Melissa skuliła się jeszcze bardziej i podciągnęła bezwiednie kolana do piersi w obronnym odruchu. Wpatrywała się w matkę i szeptała w myślach do D'Arcy: — Czym zawiniłam, D'Arcy? Czym? Przecież nikomu nic nie zrobiłam! Dlaczego mama nie potrafi zrozumieć, że oni mnie nie lubią?

— Twoja sukienka, Melisso? — zapytała Phyllis z żądaniem w głosie. — Gdzie ją masz?

Melissa milczała przez ułamek sekundy, lecz kiedy matka podeszła bliżej, wydusiła przez zaciśnięte gardło: — W szafie.

Żrenice Phyllis zwęziły się. Odwróciła się, podeszła do szafy i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi tak, że z łoskotem uderzyły o ścianę. Różowa, organdynowa sukienka leżała zmięta na dnie szafy, ześliznąwszy się z wieszaka, na którym Melissa powiesiła ją pośpiesznie przed paroma godzinami. Phyllis chwyciła ją i zwróciła się do córki:

— To tak szanujesz swoje ubrania?

Ujęła sukienkę w obie dłonie i szarpnęła z całej siły. Rozległ się trzask rozdieranego materiału i dziewczynie zachciało się płakać.

Lecz nagle, ożywiona gwałtownością matki, podbiegła do niej. — Nie! — krzyknęła. — Nie niszcz mojej sukienki!

Już wyciągnęła po nią rękę, kiedy powstrzymał ją siarczysty policzek wymierzony przez Phyllis.

Sapiąc wycofała się z powrotem w stronę łóżka. Phyllis ruszyła za nią, miętosząc w jednej ręce podartą sukienkę, a drugą zaciskając w pięść.

Dziewczyna usiadła skulona na łóżku, opierając się plecami o wezgłowie.

— Pomóż mi! — błagała, kierując swój krzyk w stronę pokoju, w którym przebywała sam na sam z matką. — D'Arcy, proszę cię! Pomóż mi! Nie pozwól jej, żeby mnie znów biła!

Gdy matka zbliżała się, Melissa przebiegała gorączkowo wzrokiem pokój, jak gdyby szukając schronienia lub kogoś, kto mógłby przyjść jej z pomocą.

I wtedy w jednym z rogów dostrzegła znajomy cień. Ledwie widoczna, przezroczysta z początku sylwetka przybrała szybko postać dziewczyny i podpłynęła bezszelestnie do łóżka.

- Powstrzymaj ją! — szeptała Melissa dziwnej zjawie widzialnej tylko dla jej oczu.

— Powiedz jej, proszę, że nie zrobiłam nic złego! Nie pozwól, żeby mnie karała!

Lecz D'Arcy była już przy niej i szeptała wprost do jej jaźni łagodne słowa:

- Śpij, Melisso, jestem z tobą opiekować. Zaśnij i śpij...

Gdy matka podeszła do łóżka, dziewczyna czuła już tylko delikatne ciepło tulących ją do siebie ramion D'Arcy. Zamknęła oczy, wsłuchując się w jej śpiwny i kołyszący ją do snu głos.

Gniewne słowa matki rozplynęły się i zaczęła ją otaczać znajoma ciemność.

Unoszona przez sen odpływała, zostawiając D'Arcy sam na sam z gniewem matki.

Phyllis zacisnęła dłoń na ramieniu Melissy i szarpnięciem postawiła córkę na nogi. — A dlaczegoż to nie mam zniszczyć tej sukienki? — spytała natarczywie. — Czy ty za nią płaciłaś? Czy ty w ogóle dbasz o nią? Czy ty w ogóle chcesz ją nosić? W żadnym razie! — Potrząsnęła dziewczyną i pchnęła ją na poduszkę. Rozdarła sukienkę na dwie części, potem szarpnęła jeszcze raz, oderwała rękawy i cisnęła je Melissie w twarz.

- Nie wiem, co z tobą zrobić — warknęła, spoglądając na córkę. — Czy zdajesz sobie sprawę, jak ciężko było nakłonić te dzieci, żeby dzisiaj przyszły do nas? Czy sądzisz, że miały na to ochotę? A ty jak okazujesz swoją wdzięczność? Obrazasz je jedynie, to wszystko!

Ścisnęła ją jeszcze raz za ramię i wywinęła nią młynka. Dziewczyna upadła na bok, lecz nie wydała z siebie żadnego głosu, nie wyciągnęła nawet ramion, by osłonić się przed gniewem matki. Wpatrywała się prosto przed siebie z szeroko otwartymi oczyma, podczas gdy Phyllis potrząsała nią gwałtownie i uderzała o wezgłowie łóżka. Przez cały ten czas Melissa milczała, nie odzywając się ani słowem. Nie krzyknęła nawet, kiedy jej szyję przeszył kłujący ból ani kiedy jej głowa uderzyła o łóżko.

Jej szeroko otwarte oczy patrzyły tępo przed siebie, dopóki nie wypalił się gniew matki. Phyllis, dysząc z wysiłku, puściła Melissę, a dziewczyna upadła na łóżko. Matka pozbierała podarte strzępy tego, co jeszcze przed chwilą było różową sukienką i cisnęła je raz jeszcze w stronę córki.

— Masz czas do jutra — powiedziała niskim, złowróbnym głosem. — Chcę, żeby sukienka była zszyta i wisiała z powrotem w szafie.

Rzucając jej surowe spojrzenie, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Gdy drzwi zamknęły się, Melissa wstała z łóżka i podeszła do toaletki. Uniósłszy w nienaturalny sposób głowę, wpatrywała się w lustro pustymi, niewidzącymi oczyma. Z naprzeciwwka spoglądało na nią jej własne oblicze, lecz ta druga Melissa wyglądała jak gdyby trochę inaczej. Miała szczuplejszą twarz, a warstewka tłuszczu spod policzków zniknęła, uwydatniając kości policzkowe i nadając łagodność jej rysom. Sięgnęła delikatnie ręką i dotknęła włosów, odgarniając je z czoła. Potem pogładziła palcami piekące uszy, jeszcze czerwone po kuksańcach matki. Wreszcie odwróciła się od lustra, pozbierała strzępy sukienki i ruszyła ku drzwiom. Zgasiwszy światło wyszła na pogrążony w ciemnościach korytarz.

Przystanęła, nasłuchując przez chwilę, lecz w całym domu panowała cisza.

Z podartą sukienką w dłoniach przeszła całe półpiętro i dotarła do stromych schodów, prowadzących na strych. Znowu przystanęła, a potem krok za krokiem zaczęła się ostrożnie wspinać, aż dotarła do zamkniętych drzwi strychu.

Wśliznęła się do środka i zamknęła je za sobą. Strych był pogrążony w ciemności, a mrok rozświetlała jedynie blada poświata księżycy, przeświecająca przez małe okienka w dachu. Lecz Melissa, wciąż z szeroko otwartymi, pustymi oczyma, poruszała się bez trudu w ciemnościach, stąpając ostrożnie między stertami skrzyń, wiekowymi kutrami i starymi meblami, które przez lata znoszono w to miejsce.

Nie zwracając uwagi na otaczające ją sprzęty, szła dalej, aż dotarła do niewielkiego pokoiku wciśniętego pod spadzisty dach. W środku były wysłużona sofa, komoda i

stolik. Na stoliku stała lampa naftowa. Melissa położyła na sofie strzępy sukienki, potarła zapalnik i ostrożnie zapaliła lampę. Mały pokój wypełniło ciepłe, żółtawe światło.

Podeszła do komody i wyjęła z dolnej szuflady stare, drewniane pudełko, pełne różnorodnych igieł, nici, szpilek i naporstków. Wzięła je z sobą na sofę i otworzyła. Wybrała starannie nić o kolorze niemal identycznym z kolorem sukienki. Odwijając spory kawałek, nanizła fachowo igłę i przystąpiła do pracy. Przebierając zwinnie palcami, zaczęła przyszywać sprawnie prawy rękaw sukienki. Igła śmigła tam i z powrotem, zostawiając za sobą drobne i równe ściegi. Nie zwracając uwagi na miejsce, w którym się znajdowała, Melissa pracowała w milczeniu i wytrwale w migotliwym świetle lampy naftowej.

Godziny mijały, lecz jej palce nie odczuwały zmęczenia. Nie czuła też żadnego bólu w ramionach, spowodowanego ciągłym trzymaniem materiału.

Gdyż tak naprawdę to nie Melissa była tą, która ślęczała nad robotą przez ciągnące się bez końca godziny. Nie Melissa, lecz jakaś inna dziewczyna, która szyła wytrwale w ciszy nocy, dopóki znad morza nie wychynęły pierwsze promienie słońca. Dopiero wtedy, ukończywszy pracę, pozwoliła sobie na sen.

Cora Peterson obudziła się rześka o pół do szóstej następnego ranka, tak jak to miała w zwyczaju prawie każdego dnia. Ubrała się i zaczęła słać łóżko, spoglądając co pewien czas z niepokojem na zamknięte okna sypialni Melissy po drugiej stronie podwórka. Myślała o tym, czy nie odstępować od swego normalnego trybu zajęć i nie pójść od razu do głównego budynku i zobaczyć, czy nic się jej nie stało. Z całą pewnością nie wyglądała dobrze zeszłego wieczora, kiedy nie była nawet w stanie zjeść do końca kolacji. Twarz miała zmizerowaną i nerwy biednej dziewczyny były napięte jak struna. Może po prostu była zmęczona — pomyślała Cora — i dlatego zapomniała otworzyć okno przed pójściem spać. W końcu tego lata nie było z nią jeszcze żadnych kłopotów i dlatego gospodyni zdecydowała, że nie będzie sobie tym teraz zaprzętać głowy.

Skończyła ścielić łóżko i schodząc na dół, żeby przygotować śniadanie, zastukała do drzwi Taga. Oczywiście o wiele łatwiej byłoby jej przygotować posiłek dla siebie i wnuka w dużej kuchni głównego budynku, lecz druga pani Hollo-way — bo wciąż tak nazywała w myślach Phyllis, chociaż upłynęło już tyle lat — wprowadziła swoje prawa, a jedno z nich mówiło, że służba jada osobno. Służba — powiedziała do siebie wzgardliwie Cora, rozbijając sześć jajek na jajecznicę. — Tak, jakby dom roił się od pokojówek i lokajów, a nad wszystkim czuwał major domus. No cóż, tak było parę pokoleń wcześniej i nawet Cora, chociaż miała siedemdziesiąt trzy lata, niezbyt dobrze pamiętała te czasy. Teraz cała służba ograniczała się do kilku osób, przychodzących co tydzień sprzątać dom, a w ciągu tygodnia do wszystkiego była tylko ona. Jednakże nie miała nic przeciwko temu — w końcu troszczyła się o Charlesa Hollowaya od dnia jego urodzin i będzie opiekować się nim i jego dziećmi, dopóki jej starczy sił.

Pomyślała, że Charles mógłby przywieźć z powrotem Polly, i przez chwilę zebrало jej się na płacz. Wiedziała jednak, że łzy tu nic nie pomogą i jeżeli było cokolwiek, czym mogła się chlubić, to było to to, że zawsze stała twardo nogami na ziemi.

Nie, nie wolno jej myśleć o Polly. Zamiast tego zaczęła myśleć o przyjeździe Teri. Trzeba będzie wybrać dla niej sypialnię. Może tę w północno-wschodnim skrzydle domu z oknami wychodzącymi wprost na zatokę. Zastanowiła się. Co też przychodzi jej do głowy? Teri, powracająca za parę dni do Secret Cove, to już nie małe dziecko, to nastolatka, dziewczyna, która z pewnością sama będzie chciała zdecydować o swoim pokoju.

Wyrwał ją z zamyślenia Tag, który wszedł właśnie do kuchni i rozwalił się na krześle. Miał na sobie tylko znoszone dżinsy z odciętymi nogawkami. Cora spojrzała na nie wesoło.

— Znów bierzesz sobie wolne? — spytała. Tag potrząsnął głową.

— Będę pracował w ogrodzie. Pani Holloway nie chce mnie nawet widzieć.

Cora mruknęła i postawiła przed wnukiem talerz z jedzeniem, zastanawiając się, nie po raz pierwszy zresztą, po kim jej wnuk odziedziczył swój charakter i usposobienie. Na pewno nie po jej synu, który będąc chłopcem, zawsze starał się wymigać od każdej roboty. Na pewno też nie po swojej matce, która zawsze, jak tylko Cora potrafiła sięgnąć pamięcią wstecz, spędzała większość czasu w knajpie, gdzie też spotkał ją Kirk Peterson. Oboje ulotnili się, kiedy Tag był jeszcze niemowlęciem, i zostawili jej go „na parę tygodni”. Ty godnie zamieniły się w miesiące, a następnie w lata. Tak więc wychowała Taga sama i była rada, widząc, że wnuk jest zupełnym przeciwieństwem syna. Pracował ciężko. Nigdy na nikogo się nie złościł, podchodząc do świata z pogodnym nastawieniem, które zdaniem Cory musiało być jego własnym wynalazkiem, jako że niemożliwe było, by je po kimkolwiek odziedziczył.

Kładąc na stole swój talerz, spojrzała raz jeszcze na jego byle jak obcięte nogawki i powiedziała:

— Jeśli każe ci przebrać się w porządne spodnie i koszulkę, nie mów, że cię nie ostrzegałam,

Tag wyszczerzył w szelmowskim uśmiechu zęby. — Daj spokój, babciu. Czy ty naprawdę wierzysz w to, że pani Holloway pojawi się w ogrodzie przy warzywach? Założę się, że ona nawet nie wie, gdzie to jest.

Cora zmarszczyła czoło. Sądziła, że powinna coś powiedzieć na temat szacunku należnego jej chlebodawczyni, ale zmieniła zdanie. W końcu Tag miał rację. Phyllis Martin, odkąd poślubiła Charlesa Hollowaya, starannie unikała wszystkiego, co mogłoby przypominać jej niskie pochodzenie, Cora sądziła, że była to jakaś farma w Pensylwanii, Farma ta, jak przypuszczała, nie była niczym innym, jak dużym, warzywnym ogródkiem i z pewnością dlatego potężna i wszechwładna pani Holloway nie miała ochoty zbliżyć się do grządek z warzywami koło domu.

- W porządku, ale jak przyłapie cię ubranego w ten sposób, pamiętaj, co ci powiedziałam.

- Będę pamiętał — obiecał Tag. Odniósł talerz do zlewu i zaczął zmywać naczynia. Cora położyła obok swój talerz i kubek, ucisnęła krotko wnuka i ruszyła do domu państwa Holloway, by zacząć swój normalny dzień pracy. Lecz przechodząc przez trawnik, spojrzała jeszcze raz na zamknięte okna sypialni Melissy. Gdy weszła do

domu, nawet nie zatrzymywała się w kuchni, ale poszła od razu na piętro i bez pukania otworzyła drzwi sypialni dziewczyny.

Jej złe przeczucia sprawdziły się — Melissy nie było w łóżku.

Gospodyni udała się na strych. W miarę wspinania się po stromych schodach czuła narastający ból w stawach. Na końcu schodów przystanęła, by zaczerpnąć tchu.

Promienie słońca, przebijające przez okienka dachu tylko częściowo rozświetlały panujący na strychu półmrok. Lawirując między stertami rupieci, dotarła do drzwi wiodących do małego pokoiku wciśniętego pod jeden ze szczytów dachu.

Wstrzymując oddech, weszła do środka.

Na zakurzonej sofie leżała zwinięta w kłębek i pogrążona w głębokim śnie Melissa.

- Och, dziecino — wyszeptała półgłosem Cora. — Wszystko, tylko nie to.

Podeszła do sofy, pochyliła się i zaczęła delikatnie budzić Melissę, uważając, żeby jej nie przestraszyć. Po chwili powieki dziewczyny poruszyły się i Melissa otworzyła oczy. Przez moment uśmiechała się do Cory, ale kiedy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, uśmiech znikł z jej twarzy.

Westchnęła przerażona, usiadła na sofie i zaczęła się rozglądać nerwowo wokół siebie. Wreszcie z twarzą bladą ze strachu spojrzała na Corę.

- Tylko nic nie mów mamie — błagała — dobrze? Gospodyni ujęła delikatnie jej dłoń.

— Melisiu, wiesz przecież, że muszę jej o tym powiedzieć. Jeśli znów będziesz chodzić we śnie, mama musi o tym wiedzieć. Mogłoby ci się przecież coś stać.

— Ale to mi się zdarzyło dopiero po raz pierwszy tego lata — upierała się Melissa.

— Nie zrobię tego więcej, obiecuję. Tylko, proszę cię, nie mów mamie, dobrze?

Cora podniosła się, pomagając równocześnie dziewczynie wstać.

— Teraz zaprowadzę cię z powrotem do łóżka, a o wszystkim porozmawiamy później, dobrze?

Melissa przygryzła wargę i skinęła potakująco głową, a Cora zaczęła ją prowadzić z powrotem między stertami starych gratów, walających się na strychu. W chwilę później były już w sypialni, a Cora kładła Melissę do łóżka.

— A teraz prześpij się jeszcze parę godzin — powiedziała gospodyni. — Odpocznij sobie i o nic się nie martw. To, co się stało, to nie twoja wina i mama nie będzie ci miała tego za złe. Ona chce ci po prostu pomóc.

Pocałowała ją delikatnie w czoło i wychodząc otworzyła okna, by wpuścić trochę świeżego, porannego powietrza.

Melissa zostawszy sama w pokoju, leżała w łóżku i próbowała przypomnieć sobie, co zdarzyło się zeszłej nocy. Wszystkie wydarzenia zaczęły powoli wyłamać się z jej pamięci.

Mama przyszła i była na nią wściekła, tak wściekła, że nawet podarła jej różową, organdynową sukienkę. A potem ją uderzyła. Od tego momentu Melissa już niczego nie pamiętała.

Bo wtedy właśnie z pomocą przyszła jej D'Arcy — tak jak robiła to zawsze wtedy, kiedy matka była na nią bardzo zła.

Leżała przez chwilę w łóżku i pomyślała jeszcze raz o sukience. Wstała, podeszła do szafy i otworzyła ją z wahaniem.

Sukienka wisała jak gdyby nigdy nic na wieszaku.

Melissa przypatrywała się jej przez chwilę. Czy mogła się aż tak mylić? Czy to możliwe, że mama w ogóle do niej nie przysłała? A może wymyśliła sobie to wszystko?

Wreszcie drżącymi rękoma zdjęła sukienkę z wieszaka, wywinęła ją na drugą stronę i przyjrzała się dokładnie szwom. Większość z nich nie zwróciła jej uwagi, lecz te, która łączyły rękawy i przód, wyglądały inaczej.

Ścieg był równy i gęsty, ale nitka odbiegała nieznacznie kolorem od koloru sukienki.

Uśmiechnęła się i spojrzała w górę. — Dziękuję ci, D'Ar-cy — wyszeptała. — Dziękuję, że to dla mnie zrobiłaś.

Rozdział 4

— Coro, na miłość boską, co ty robisz?

Na ostry głos Phyllis gospodyni drgnęła przestraszona, upuszczając do zlewu nóż do obierania owoców, który trzymała w dłoni. Spojrzała odruchowo na duży zegar, wiszący na ścianie: było wpół do dziesiątej i brakowało jeszcze co najmniej trzydziestu minut do godziny, o której pani Hollo-way pojawiała się zazwyczaj w kuchni. Wyjęła nóż, położyła go na suszarce, po czym zwróciła się ku Phyllis.

— Pomyślałam, że upiekę szarlotkę — wyjaśniła. — Pani wie, jak bardzo Melissa lubi moją szarlotkę.

Phyllis zacisnęła wargi. — Wątpię, czy po jej wczorajszym zachowaniu zasługuje na to, by ją tak traktowano, a ty jak sądzisz?

Cora, wiedząc, że pytanie było czysto retoryczne, milczała.

— A poza tym dzisiaj są ważniejsze sprawy do roboty niż szarlotka. Mam rację? — ciągnęła Phyllis.

Gospodyni zmarszczyła czoło i przebiegła szybko w myślach wszystko, co zrobiła dzisiejszego ranka. Śniadanie Melissy było już gotowe, naczynia pozmywane, a dzbanek z kawą dla pani Holloway czekał już na nią jak zwykle w jej pokoju. Posprzątała na dole po wczorajszym przyjęciu i odkurzyła starannie wszystkie pokoje. Nagle uświadomiła sobie, o co chodzi Phyllis. — Czekałam z odkurzaniem podłóg, bo nie chciałam pani przeszkadzać.

— To bardzo rozsądne z twojej strony — odrzekła Phyllis, trochę łagodniejszym tonem. — Ale ja myślałam o Teri.

Wydaje mi się, że powinniśmy przygotować dla niej pokój.

Cora poczuła ulgę, zrozumiałszy, że zostanie jej oszczędzona jedna z tyrad jej pani na temat jakiegoś drobiazgu, o którym zapomniała. — Zastanawiałam się nad tym — powiedziała. — Pomyślałam, że może ten narożny pokój we wschodnim skrzydle. — Zawahała się, spostrzegając pochmurny wzrok pani Holloway. — We wschodnim skrzydle? — powtórzyła Phyllis. — Ale to przecież pokój dla gości! Z niego jest najlepszy widok na zatokę. Miałam na myśli pokój obok Melissy.

Cora uniosła w zdumieniu brwi. Pokój Melissy znajdował się w rogu południowego skrzydła domu i sąsiedował jedynie z niewielkim pokoikiem dla niańki, od którego odgradzała go łazienka. — No cóż, nie wiem... jest strasznie ciasny — zaczęła, ale Phyllis nie pozwoliła jej dokończyć.

— Pójdziemy na górę i obejrzymy go dokładnie.

— Tak, proszę pani — odpowiedziała posłusznie Cora. Wytarła ręce w ścierkę i podążyła przez pokój, gdzie przechowywano zastawę, jadalnię i duży hol, za Phyllis. Na piętrze skręciły w prawo i po chwili weszły do małego pokoiku, sąsiadującego z dużym i przestronnym pokojem Melissy, Cora rozejrzała się wokół z powątpiewaniem. Na całe skąpe umeblowanie składały się jedynie mała amerykańska, wysłużony, stojący pod ścianą sekretarzyk, stół pod oknem i stary, drewniany bujak. Na podłodze z desek leżał wytarty, orientalny dywan, który — o czym Cora dobrze wiedziała — znajdował się niegdyś w jednym z pokoiów dla gości i zawędrował tutaj, gdy stwierdzono, że nie nadaje się już do tego, by zdobić pokoje. Oczywiście nikt nie miał na myśli pokoiów dla służby.

— Chyba jednak jest trochę za mały — odezwała się gospodyni z powątpiewaniem w głosie i napotkawszy wzrok Phyllis, natychmiast pożałowała swoich słów.

- To był kiedyś mój pokój, Coro — zwróciła jej uwagę Phyllis — i nie pamiętam, bym kiedykolwiek skarżyła się na jego ciasnotę.

Ale też nie pomieszkałaś w nim długo — pomyślała sobie Cora. Kiedy jednak odezwała się znowu, starała się, by jej głos brzmiał naturalnie. — Wydawało mi się tylko, że powinniśmy poszukać czegoś większego, bardziej odpowiedniego dla nastolatki, która ma dużo ubrań i innych rzeczy.

Phyllis po raz kolejny zareagowała w gwałtowny sposób. — Bądź poważna, Coro — powiedziała ostro. — Rozmawiałam dzisiaj rano z panem Hollowayem i powiedział mi, że Teri nic nie ma. Ledwie uszła z życiem z płonącego domu. To chyba byłoby nierozsądne umieszczać ją w ogromnym pokoju, pełnym pustych szaf i komód. A poza tym — dodała — musimy pamiętać, skąd pochodzi. Chcemy przecież, żeby czuła się tutaj dobrze. A jak się będzie czuła, mieszkając w pokoju tak wielkim, jak cały dom, w którym się wychowała? Można przecież bez trudu go urządzić — ciągnęła dalej. — Chociaż pod pewnym względem masz rację. Nigdy nie podobały mi się te meble. Nie wierzę, że na strychu nie ma czegoś lepszego. Zawołaj Taga, pójdziemy na górę i rozejrzemy się.

Dwadzieścia minut później Phyllis i Cora, w towarzystwie Melissy i Taga, szły na strych. Gdy Phyllis otworzyła drzwi i weszła do środka, stanęła jak wryta. W

grubej warstwie kurzu pokrywającej podłogę widać było świeże ślady stóp. Phyllis przypatrywała się im przez chwilę, po czym zwróciła się do córki.

— Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć, Melisso?

Kiedy dziewczyna zobaczyła wyraźne dowody swej winy, w jej oczach pojawił się strach. Spojrzała natychmiast na Corę, błagając ją wzrokiem o pomoc.

— Czy chodziłaś zeszłej nocy we śnie? — spytała Phyllis.

Melissa przygryzła wargę nie odpowiadając ani słowem, aż wreszcie gospodyni przerwała milczenie.

- Zdenerwowało ją wczorajsze przyjęcie — odezwała się nieśmiało. - To się zdarzyło po raz pierwszy w tym roku.

Phyllis przybrała surowy wyraz twarzy. — Czyżby? A może po prostu nikt wcześniej mi nic nie powiedział? — Wpatrywała się bez przerwy w córkę, lecz jej głos nie zdradzał jej prawdziwych uczuć. — Powiedz mi, Melisso, czy to naprawdę pierwszy raz w tym roku?

Melissa czuła, jak ją ściska w dołku ze strachu, i żałowała, że nie ma tutaj taty, który na pewno by jej pomógł, Co powinna powiedzieć? Dlaczego matki nigdy nie zadowalała żadna z jej odpowiedzi? Jednakże, czując wciąż na sobie wzrok Phyllis, wiedziała, że musi coś powiedzieć. — Ja... ja naprawdę nie wiem, mamó — wymamrotała. — Nie przypominam sobie, żebym to zrobiła.

Phyllis odetchnęła głęboko i zwróciła się do Cory. — No cóż — powiedziała. — Skoro ona nie pamięta, to może ty powiesz mi, co się stało?

Cora, tak zdawkowo, jak tylko można było, opowiedziała Phyllis o wszystkim. — Ale nic się jej nie stało — zakończył. - Weszła sobie do tego maleńkiego pokoiku na końcu strychu, tego nad jej sypialnią. Kiedy ją znalazłam, to spała sobie smacznie.

Phyllis jeszcze raz wbiła wzrok w córkę. — Rozejrzyj się tutaj - powiedziała do gospodyni, nie odrywając wzroku od Melissy. — Zobacz, czy jest coś, co mogłoby się spodobać Terii. Ja niestety będę musiała porozmawiać teraz z Melissą.

Chwytając dziewczynę za ramię, sprowadziła ją przed sobą schodami na dół, a potem szerokim korytarzem poprowadziła w stronę jej pokoju. W chwilę później Tag usłyszał, jak drzwi sypialni Melissy zamykają się, i spojrzał niespokojnie na babcię.

— Co teraz będzie, babciu, co ona jej zrobi?

Cora milczała przez chwilę, wreszcie potrząsnęła głową,

— Nie wiem — powiedziała. — Naprawdę nie wiem.

Phyllis zamknęła drzwi i spojrzała na córkę. Melissa stała koło kominka, oparta plecami o ścianę, trzymając ręce niepewnie za sobą. Matka przypatrywała się jej w milczeniu, aż dziewczyna, rumieniąc się ze wstydu, odwróciła głowę. Phyllis podeszła do szary i otworzyła ją. Różowa, organ-dynowa sukienka wisiała na wieszaku tak, jak ją powiesiła Melissa.

Phyllis zdjęła wieszak i podeszła z sukienką do okna, przypatrując się starannie szwom. Wreszcie spojrzała na córkę.

— Bardzo dobrze — powiedziała.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, lecz nie odrywała czujnych oczu od matki.

— Ty to zrobiłaś?

Melissa wahała się przez chwilę, wreszcie potrząsnęła głową.

— Jeżeli ty tego nie zrobiłaś — zapytała Phyllis zwodniczo spokojnym głosem — to kto?

Pytanie zawisło w powietrzu, a Melissa gorączkowo szukała w myślach odpowiedzi, która zadowoliłaby matkę. Jednak w końcu zdecydowała, że powie prawdę. — D'Arcy — wyszeptała ledwie słyszalnym głosem.

Żrenice Phyllis zwęziły się niebezpiecznie.

— Kto? — powtórzyła z naciskiem.

Melissa skuliła się. — D'Arcy — powtórzyła głośniej. — Nie szyję za dobrze, więc D'Arcy przysłała i pomogła mi.

Ręce Phyllis zacisnęły się na cienkim, różowym materiale i przez nieznośnie długą chwilę Melissa była pewna, że matka raz jeszcze podrze sukienkę. Lecz zamiast tego Phyllis cisnęła ją na łóżko. — Ale przecież D'Arcy nie istnieje, prawda? — zapytała uniesionym głosem.

Melissa skurczyła się ze strachu i z wysiłkiem potrząsnęła głową.

Phyllis podeszła w stronę kominka. Oparła dłonie na ramionach córki i wbiła paznokcie w jej skórę tak mocno, że dziewczyna o mało nie krzyknęła z bóla.

Kiedy zaczęła mówić, jej głos przemienił się we wściekły syk.

— Melisso, wałkowałyśmy to już tyle razy. D'Arcy nie istnieje. Wymyśliłaś ją sobie, rozumiesz?

Melissa, oniemiała z przerażenia, potakiwała głową.

— Masz już trzynaście lat, Melisso — ciągnęła Phyllis, nie zwalniając uścisku. — Jesteś już za duża na to, żeby wymyślać historie o ludziach, którzy nie istnieją, a równocześnie jesteś na tyle dorosła, żeby brać odpowiedzialność za to, co zrobiłaś. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Melissa raz jeszcze zmusiła się do tego, by me wyraźnie skinąć głową.

— Dobrze, a teraz powiedz mi, dlaczego ubiegłej nocy znów chodziłaś we śnie?

Melissie zakręciło się w głowie. Chciała powiedzieć mamie całą prawdę, chciała jej wyznać, że zeszłej nocy D'Arcy przysłała, żeby jej pomóc, że w takim razie to ona musiała ją zabrać na strych, żeby tam zszyć sukienkę, i że po prostu tam zasnęła.

Ale tak naprawdę to niczego nie pamiętała. Wszystko, co była sobie w stanie przypomnieć, to to, że D'Arcy przysłała, aby jej pomóc. Po tym następowała pustka aż do momentu, w którym dzisiejszego ranka obudziła ją Cora. Ale teraz wiedziała przynajmniej, jakiej odpowiedzi oczekuje od niej matka.

— Ja... ja zdenerwowałam się na moich urodzinach, a kiedy się zdenerwuję, chodzę we śnie.

Uścisk Phyllis zelżał, a ostry, przeszywający ból w ramionach zastąpiło rwanie mięśni.

— A dlaczego zdenerwowałaś się na urodzinach? — przypierała ją dalej Phyllis. Melissa zacisnęła mocno powieki i wyrecytowała prawidłową odpowiedź:

— Ponieważ byłam dla wszystkich niegrzeczna. Przyjęcie było bardzo miłe, a ja je zepsułam. To wszystko moja wina, mamó.

Phyllis zdjęła dłonie z ramion córki, a na jej twarzy zagościł uśmiech. — To prawda — powiedziała. — Wszystko, co się zdarzyło wczoraj, zdarzyło się z twojej winy i to poczucie winy sprawiło, że chodziłaś we śnie.

Melissa przytaknęła sztywno głową i spojrzała błagalnie na matkę. — Czy teraz już dobrze? — spytała.

Phyllis nadal się uśmiechała, lecz w jej oczach pojawił się chłód, który znowu przyprawił dziewczynę o drżenie. — Zobaczmy — powiedziała — zobaczymy co się dzisiaj jeszcze wydarzy.

Wczesnym rankiem tego samego dnia Phyllis zajęła mercedesem na parking przed budynkiem Cove Club. Spuściła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w zamontowane w niej podświetlane lustro, poprawiając fryzurę i makijaż. Pojedynczy kosmyk jej jasnobłond włosów wyostał się spod spinki, więc wpięła go z powrotem. Na koniec pociągnęła błyszczkiem usta, po czym wysiadła z samochodu, odpowiedziała niedbałym skinieniem głowy na ukłon portiera i weszła do holu. Tak jak to miała w zwyczaju, zatrzymała się na chwilę i przez olbrzymie okno, stanowiące w całości wschodnią ścianę budynku, podziwiała przez chwilę otwartą przestrzeń Atlantyku. Lekko zdenerwowana rozejrzała się dokoła i zbeształa w myślach samą siebie za niespokojne poczucie wyobcowania, którego znów padła ofiarą, mimo że przychodziła tu już od trzynastu lat. Spojrzała w jedno z wysokich lustro, przytwierdzonych do strzelistych kolumn, podtrzymujących sklepienie i upewniła się, że jej strój po-zostaje bez zarzutu. Miała na sobie szmaragdowy kostium z naturalnego jedwabiu, a pod spodem jedwabną, kremową bluzkę. Na nogach pończochy o modnym wzorze, bez śladu zaciągnięć, i buty, niezbyt wygodne, lecz doskonale harmonizujące z kostiumem. Kiedy zbliżył się do niej szef sali Phyllis uśmiechnęła się do niego grzecznie, lecz równocześnie na tyle chłodno, by utrzymać go na dystans. — Mam nadzieję, że nie jestem pierwsza — powiedziała. — Nie znoszę siedzieć sama.

— Ależ nie — odpowiedział grzecznie Andre. — Panie już piją drinki. - Odwrócił się i wprowadził Phyllis do głównej sali klubu, gdzie na drugim jej końcu ujrzała trzy inne

członkinie komitetu, zajmującego się przygotowaniem balu, siedzące przy stoliku, zajmowanym zazwyczaj przez Lenore Van Arsdale. Phyllis podeszła bliżej i krew zastygła jej w żyłach. Lenore i dwie jej sąsiadki miały na sobie zwykłe dresy gimnastyczne, a na nogach tenisówki lub sandały. Na twarzy żadnej z nich nie było ani śladu makijażu. Kelner wysunął jej krzesło, a Lenore uśmiechnęła się do niej. Na jej twarzy można było ujrzeć współczucie, lecz Phyllis była pewna, że tak naprawdę, Lenore była rozbawiona.

— Tak mi przykro — zaczęła — powinnam była zadzwonić do ciebie i uprzedzić, że rano grałyśmy w tenisa i postanowiłyśmy się nie przebierać. Ale ty wyglądasz cudownie. Ja nigdy nie miałabym tyle odwagi, żeby ubrać się w ten sposób o tak wczesnej porze. Zawsze zostawiam jaskrawe kolory na duże przyjęcia, bo wtedy

jestem pewna, że nie zgubię się Harry'emu.

Phyllis czuła, że płonie ze wstydu, i miała jedynie nadzieję, że rumieńce nie będą widoczne spod warstwy pudru. A więc grały w tenisa i nie zaprosiły jej! I czy Lenore ma ją za kompletną idiotkę, mówiąc jej, że się niestosownie ubrała? A dlaczegóż to nie powinna była ubrać się w ten sposób do lunchu? Jednakże rozejrzawszy się nerwowo po sali, Phyllis uświadomiła sobie, że Lenore ma rację. Wszystkie obecne w klubie kobiety ubrane były w ciepłe, pastelowe kolory. Miały na sobie proste bawełniane spódniczki i proste, a równocześnie drogie, sweterki z dzianiny. Jak mogła być aż tak głupia?... Przecież podczas ich ostatniego spotkania...

I wtedy przypomniała sobie. Kiedy spotkały się po raz ostatni, wszystkie kobiety wybierały się na uroczyste przyjęcie. Na przyjęcie, na które jej nie zaproszono... Z zamyślenia wyrwało ją dotknięcie Kay Fielding i uświadomiła sobie, że Kay coś do niej mówiła, a ona nie usłyszała z tego ani słowa.

- Przepraszam — powiedziała do siedzących przy stoliku kobiet. — Zamyśliłam się.

- Jakże mogłabym cię o cokolwiek obwiniać — powiedziała Kay pełnym współczucia głosem. — Po tym, co się stało...

Phyllis po raz kolejny zarumieniła się. — Nawet nie wiesz, jak mi przykro — zaczęła. — Nie wiem, co wstąpiło w Melisę. Przypuszczam, że to zdenerwowanie z powodu wyjazdu ojca. Prosiła mnie, żebym przeprosiła was wszystkich. Z twarzy Kay znikł nagle uśmiech. — Przeprosić? Ale za co?...

Phyllis nerwowo przetłknęła ślinę. — Za wczorajsze urodziny. Mellisa niestety zachowała się skandalicznie i chcę, abyście wiedziały, że już z nią o tym rozmawiałam.

Nad stołem rozbrzmiał perlisty śmiech Lenore. — Na miłość boską, Phyllis! Czy kto widział kiedy urodziny dziecka bez żadnej wpadki?! Któż mógłby winić Melisę za jej zły humor? Wszyscy przecież wiemy, co czuje do ojca. — W tym momencie Lenore przybrała poważny wyraz twarzy i pochyliła się nad stołem. — Kay mówiła o biednej Polly. To po prostu straszne. Jak mogło do tego dojść? I nagle pozostałe trzy kobiety też pochyliły się i utkwili wzrok w Phyllis.

Uświadomiła sobie, że przynajmniej raz chciały usłyszeć, co ma do powiedzenia. Starając się przypomnieć sobie dokładnie wszystko, co powiedział jej tego ranka przez telefon Charles, opisała, co się zdarzyło.

Kiedy skończyła, Lenore oparła się plecami o krzesło i westchnęła głośno. — To straszne — powiedziała. — Dzięki Bogu, że przynajmniej Teri udało się ujść z życiem. No ale co z nią teraz będzie?

Wzrok czterech kobiet znów spoczął na Phyllis Hollo-way.

— No cóż, zamieszka z nami, rzecz jasna — powiedziała Phyllis. — Jest przecież córką Charlesa. Dokąd miałyby pójść?

Kay starannie wypielęgnowanymi rękami obracała widelec.

— Myślałyśmy po prostu... — zaczęła — wszyscy wiemy, że Melissa... — przerwała, szukając odpowiedniego słowa — że ta dziewczyna ma problemy. Ona zawsze była tak znerwicowaną

dziewczyną...

Phyllis czuła, jak płonie jej cała twarz, lecz zdobyła się na spokojny uśmiech. — Wydaje mi się, że dobrze jej robi, że Teri będzie z nią. Czasami uważam, że większość problemów Melissy wynika z tego, że jest ona po prostu jeszcze dzieckiem.

— Być może masz rację — odrzekła Kay. Ale z tonu jej głosu można było wnosić, że nie wierzy w to, co mówi. Po chwili ożywiła się. — Jeżeli jednak chodzi o Teri, ta dziewczyna ma doskonałych przodków. No bo po ojcu Hollowayowie, a po matce Porterowie. Trudno przebić czymś to pochodzenie.

Do rozmowy po raz pierwszy włączyła się Eleanore Stevens:

— Polly jednak to właśnie zrobiła — zauważyła przekornie. — No bo czy możecie sobie wyobrazić, że rozdajecie co do centa swój majątek? Jej rodzice pewnie jeszcze do dziś przewracają się w grobie. — Pokiwała głową ze współczuciem. — To dziecko powinno było otrzymać tyle rzeczy, a Polly wszystkiego je pozbawiła. Czasem wydaje mi się, że ona była po prostu stuknięta.

Lenore posłała Eleanor pełne dezaprobaty spojrzenie. — To wszystko przez Berkeley — powiedziała stanowczo. — Gdyby poszła do przyzwoitego college'u, byłaby normalna. Była moją najlepszą przyjaciółką i zapewniam cię, że zachowywała się jak wszyscy, dopóki nie wyjechała do Kalifornii. Kiedy stamtąd wróciła, to już nie była ta sama Polly.

— No cóż — powiedziała z ożywieniem Kay. — Mamy przynajmniej z powrotem Teri i jest jeszcze trochę czasu, żeby zapewnić jej dobry start w życiu.

Rozmowa toczyła się dalej, ale Phyllis już nie zwracała na nią uwagi. Jej umysł pracował gorączkowo. Jeszcze parę minut temu, chociaż nie zwierzała się z tego nikomu, zachodziła w głowę, co zrobi, kiedy do domu wprowadzi się Teri MacIver. Dość było kłopotów z jedną nastolatką, zwłaszcza z taką jak Melissa. Ale dwie? Wydawało jej się, że sobie z tym nie poradzi. A przecież — jak uświadomiła to sobie w tej chwili — była jeszcze druga strona medalu. Siedzące obok niej kobiety, które nie pozwalały jej ani na chwilę zapominać, że nie należy do ich sfery, były gotowe przyjąć do swego grona Teri MacIver, mimo że od ponad trzynastu lat nie utrzymywały kontaktów z jej matką. Była pewna, że Teri będzie zapraszana na wszystkie przyjęcia, z których wyłączano Melisse. Nadejdzie też oczywiście pora na przyjęcia u niej — w Maplecrest, gdyż będzie musiała zrewanżować się za gościnność, którą wszyscy będą hojnie okazywać dziewczynie. Chociaż... może dzięki Teri Secret Cove zaakceptuje Phyllis i dostąpi ona tego, czego zawsze jej odmawiano.

To właśnie było niesprawiedliwe.

Podobnie jak i to, że zawsze musiała żyć ze świadomością tego, że gdyby sama Polly powróciła kiedyś pewnego dnia na Wschodnie Wybrzeże, te same kobiety przyjęłyby ją z powrotem do swego grona, jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżała. Jak gdyby Polly Porter była dla Charlesa równie dobrą żoną jak ona.

Ale przynajmniej w głębi serca wiedziała, że to nieprawda. Polly nie była tym ekscentrycznym wyjątkiem od reguły, jakim zapamiętały ją wszystkie jej przyjaciółki. Co więcej, były chwile, kiedy Phyllis chciała im powiedzieć, co

naprawdę działo się w Maplecrest, zanim Polly na dobre opuściła Secret Cove. Aż do tej pory pamiętała wyraźnie wszystko.

Zwłaszcza jeden wieczór.

W Maplecrest miało się odbyć przyjęcie i chociaż nie należało to do jej obowiązków, Phyllis zajęła się przygotowaniem wszystkiego. Razem z Corą opracowała szczegółowe menu, zamówiła z kwiaciarni w miasteczku kwiaty i upewniła się, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

A Polly przez cały dzień siedziała po turecku na sofie w bibliotece, ubrana w wytarte dzinsy i bluzkę i czytała wiersze.

Wiersze, widział to kto! Godzinę przed rozpoczęciem przyjęcia, kiedy Charles przyszedł do niej, sugerując, że może zaczęłyby się już przebierać, ona tylko zerknęła na niego obojętnie znad książki.

— Może sobie to podaruję — powiedziała. — Znów będzie to samo nudne towarzystwo, które wciąż gędzi o niczym.

Phyllis, obecna wtedy przypadkiem w bibliotece, dostrzegła ból w oczach Charlesa. Spojrzał nawet na nią, lecz nie było w jej oczach zakłopotania spowodowanego tym, że była świadkiem ich rozmowy.

Błagał ją wzrokiem o zrozumienie.

A ona pojęła, o co mu chodzi.

Zrozumiała, że Charles potrzebował żony, która z oddaniem poświęci się temu stylowi życia, jaki prowadzi on sam.

Potrzebował pani domu, która zabawiałaby jego współników w interesach bez cienia nudy w oczach.

Potrzebował towarzyszkę życia, która zrozumiałaby, że o majątek Hollowayów należy troszczyć się i doceniać go, a nie traktować z pogardą.

Potrzebował jej, a nie Polly.

Ale żadna z nich — żadna z tych kobiet, które były przyjaciółkami Polly od dziecka — nie rozumiała tego. Polly była dla nich zawsze tą samą Polly, którą znały przez całe życie. A ona pozostanie dla nich zawsze kimś z zewnątrz.

Ale teraz, gdy powraca tutaj Teri MacIver, wszystko to, być może, ulegnie zmianie.

Lunch trwał nadal, a kobiety zaczęły omawiać ostatnie szczegóły balu kostiumowego, który odbywał się tradycyjnie w Secret Cove w połowie sezonu.

Phyllis przysłuchiwała się rozmowie i wtrącała czasem swoje uwagi, lecz jej umysł zaprzątnięty był przyjazdem Teri. Może mimo wszystko nie miała racji, decydując się na mały pokój obok Melissy. Może Teri powinna otrzymać coś większego. Nie byłoby rozsądnie nie przyjąć odpowiednio ich drugiego, niespodziewanego dziecka. Zanotowała sobie w pamięci, że kiedy wróci do domu, musi jeszcze raz porozmawiać z Corą. Pomyślała: — Nie, lepiej zadzwonić do niej teraz, bo może zostanie tutaj po lunchu, żeby rozkoszować się lampką martini na tarasie przed basenem. Przeprasząc na chwilę swoje sąsiadki, Phyllis odeszła od stolika i poszła do telefonu.

Ledwie zniknęła, Lenore Van Arsdale pochyliła się nad stolikiem i zaczęła mówić półgłosem.

— Rany boskie! — powiedziała. — Wyobraźcie sobie, co mogłaby pomyśleć Polly. Phyllis nie tylko udało się złapać jej męża, ale także córkę.

— Jednego nie rozumiem — włączyła się do rozmowy Kay. — Dlaczego Charles w ogóle żyje z taką osobą jak ona? Przecież to, jak ona go traktuje...

— To wszystko z powodu Melissy — wtrąciła Eleanor. — Charles zawsze był porządnym człowiekiem i nie wyobrażam sobie, by mógł zostawić Melissę Phyllis.

— Przecież w ogóle nie musiałyby tego robić — zaproponowała Kay. — Każdy sąd przyznałby mu opiekę nad dzieckiem.

- Oczywiście, że tak — zgodziła się Eleanor. — Ale nie w tym rzecz. Problem polega na tym, że Phyllis rozpętałaby straszną wojnę, a Melissa byłaby w niej główną ofiarą. Jak ją znam, ciągnęłaby to latami, nawet gdyby wiedziała, że przegra, Charles nie chce, żeby Melissa przez to przeszła, I wcale go o to nie obwiniam.

— Ale żeby aż mieszkać z Phyllis... — westchnęła Kay — i nie wiem, czy to dobrze wpływa na Melissę... Życie pod jednym dachem z Phyllis doprowadziłoby do obłędu każdego, a to biedne dziecko staje się z każdym dniem coraz bardziej nie do poznania. Zdarzy się cud, jeśli...

Zamilkła, czując jak Eleanor kopie ją pod stołem w kostkę. Odwróciła głowę i spostrzegła stojącą za sobą Phyllis...

Pięć minut później, już za kierownicą mercedesa, Phyllis dała upust swej wściekłości, wciskając do podłogi pedał gazu i słysząc pisk tylnych opon, tracących kontakt z podłożem. Wskoczyła z parkingu i pognąła w dół, drogą wzdłuż wybrzeża. Opuściła szybę, pozwalając chłostać się w twarz wiatrowi.

Wciąż brzmiały w jej uszach słowa, wypowiedziane przez Kay Fielding, kiedy wróciła do stolika.

„To biedne dziecko staje się coraz bardziej nie do poznania...”

Nic dziwnego, że tak trudno dostać się jej do świata ludzi z Secret Cove! Każdy w miasteczku podejrzewa, że z jej córką coś jest nie tak. A dlaczegoż miałyby być inaczej? Od samego początku Melissa różniła się od reszty dzieci w Secret Cove. Była zupełnie inna niż Teri.

Ta, w ciągu tych kilku miesięcy kiedy była jej niańką, stanowiła ideał niemowlęcia. Niebieskooka, o jasnoblond włoskach, nigdy nie kaprysiła i uśmiechała się szczęśliwie do każdego, kto na nią spoglądał. Zdawało się, że obserwuje dokładnie wszystko, co dzieje się wokół niej, i uśmiechając się i kwiląc radośnie wyciągała rączki po wszystko i do każdego.

Z Melissa było zupełnie inaczej. Płakała prawie cały czas i uspokajała się jedynie, kiedy na ręce brał ją ojciec. Podczas gdy Teri, nawet jako niemowlę, była otwarta na ludzi, Melissa była przerażająco nieśmiała. Nie chciała się bawić na plaży z innymi dziećmi i zawsze wolała przebywać sama. Stale odcinała się od innych. Zawsze zachowywała się dziwnie. Ciągle wystawiała na pośmiewisko swą matkę. To właśnie Melissa — pomyślała Phyllis — uniemożliwiła jej od samego początku zostanie jedną z dam towarzystwa z Secret Cove.

To było niesprawiedliwe. Nie tak to sobie zaplanowała. Zajęła miejsce Polly jako żona Charlesa i matka jego dziecka. Należało jej się także miejsce Polly wśród elity z Secret Cove. Lecz nigdy do tego nie doszło. Jednak obecnie, wraz z przyjazdem Teri, przed Phyllis stawała kolejna szansa, o ile, oczywiście, szansy tej nie zniweczy Melissa. Phyllis zaczęła w milczeniu modlić się o to, by Teri powróciła nie zmieniona, by była tak doskonała, jak ją zapamiętała z jej dzieciństwa.

Charles Holloway, przebywający w pokoju hotelu „Pod Czerwonym Lwem”, wyłączył telewizor i przewrócił się na drugi bok, żeby spojrzeć na stojący na nocnym stoliku budzik. Było wpół do dwunastej, a budzik był nastawiony na szóstą. Wbił głowę w twardą poduszkę, typową, jego zdaniem dla wszystkich nowoczesnych hoteli, i wziął do ręki kryminał — tajemniczą historię morderstwa, z którą kładł się do łóżka od miesiąca. Do tej pory udało mu się przebrnąć przez sto stron, a to oznaczało, że sypiał dość dobrze. Podejrzał jednak, że dzisiejszego wieczoru przeczyta co najmniej dwadzieścia pięć kolejnych. Na szczęście jeszcze tylko kilka dni i będzie z powrotem w domu.

Przeczytał kilka akapitów, kiedy nagle od lektury oderwał go przytłumiony dźwięk, dochodzący z sąsiedniego pokoju. Przysłuchiwał mu się przez chwilę, a następnie odłożył książkę; i podszedł do drzwi oddzielających jego pokój od pokoju Teri. Po chwili usłyszał to samo.

Już wiedział, co to było.

Teri płakała.

Nałożył szlafrok, przewiązał się paskiem i ostrożnie otworzył drzwi do jej pokoju. Panował w nim mrok, lecz w słabym świetle, dochodzącym ze stojącej na jego nocnym stoliku lampy, dostrzegł Teri, leżącą na łóżku i przyciskającą ramiona do poduszki. Podszedł do łóżka, usiadł nań i położył dłoń na ramieniu córki.

— Teri? Kochanie? Czy nic ci nie jest?

Teri odwróciła się do ojca i wpatrywała się w niego wilgotnymi od łez oczyma.

- Przepraszam — powiedziała — poczułam się tak jakoś... strasznie samotna. Nie chciałam cię obudzić.

— Nie obudziłaś mnie - uspokoił ją Charles — powinnaś była przyjść do mnie.

- Nie chciałam ci sprawiać kłopotu — westchnęła Teri. — Musiałeś przecież przyjechać po mnie taki szmat drogi. — Głos jej się załamał, a w gardle uwiąz jej płacz. Charles przytulił ją do siebie, kołyszając delikatnie.

— To żaden kłopot i nawet zabraniam ci myśleć w ten sposób. Jestem twoim ojcem i kocham cię. — Poczul, jak Teri tuli się do niego sztywno, a potem odsuwa się odrobinę, by spojrzeć mu badawczo w twarz.

— Naprawdę? — powiedziała, a w jej głosie brzmiała niepewność.

— Oczywiście — odrzekł Charles. — Mama mówiła inaczej.

Charles uniósł zdumiony brwi. — Co to znaczy, że mama mówiła inaczej?

— Powiedziała, że teraz kochasz tylko Melissę — chlipała Teri. — Powiedziała, że to dlatego nigdy nie przysyłasz mi listów ani prezentów na Boże Narodzenie.

Charles zmartwiało. Czy to możliwe? Czy Polly mogła w ogóle powiedzieć coś

takiego? To przecież nieprawda!

— O czym ty mówisz, kochanie? — spytał. — Zawsze pisałem do ciebie listy i nigdy nie zapomniałem o twoich urodzinach i o Bożym Narodzeniu. Co roku posyłałem ci paczkę. Nie dostawałaś ich?

Teri potrząsnęła głową. — Ja nawet nie byłam pewna tego, czy dzisiaj przyjedziesz.

— Mój Boże! — powiedział z przejęciem Charles, przytulając ją jeszcze raz do siebie. — Nic dziwnego, że płakałaś. Musiałaś się pewnie strasznie bać.

— Nie musisz mnie brać z sobą, jeśli nie chcesz — powiedziała Teri. — Mogę zostać tutaj. Mam ta przyjaciół, dostanę jakąś pracę...

Charles zasłonił jej delikatnie usta ręką, zatrzymując potok słów. — Nawet nie chcę słyszeć czegoś podobnego — powiedział, czując, jak rośnie w nim gniew do swojej byłej żony. Mógł się zgodzić na to, że odcięła Teri od jej przeszłości, lecz próbować nastawiać ją wrogo do własnego ojca było czymś niewybaczalnym. Nic dziwnego, że nie dostał żadnego listu od Teri, skoro ona myślała, że nie chce o niej słyszeć.

— Posłuchaj mnie — powiedział starając się, żeby w jego głosie nie było słyhać gniewu. — Nie wiem, dlaczego mama opowiadała ci coś takiego, ale to nieprawda. Nigdy nie przestałem cię kochać i nigdy nie przestałem myśleć o tobie. I nigdy nie było żadnej wątpliwości z mojej strony, czy po ciebie przyjechać. Jesteś moją córką i zawsze nią byłaś. Tęskniłem za tobą każdego dnia, odkąd wyjechałaś,

i nigdy nie mogłem znieść myśli, że cię już nigdy więcej nie zobaczę. A jeżeli chodzi o listy i prezenty, to nie rozumiem, dlaczego ci ich nie dawała. Przecież w zeszłym roku na Boże Narodzenie posłałem ci naszyjnik z pereł. Był bardzo ładny. Różowe perełki, wszystkie tej samej wielkości. Były też inne prezenty. Zabawki, kiedy byłaś mała, ubrania, wszystko. Dlatego nie wolno ci myśleć, że jesteś zupełnie sama. Wciąż masz ojca, a teraz także drugą mamę i siostrę.

Teri siedziała teraz wyprostowana i opierała się plecami o wezglowie łóżka, spoglądając niepewnie na Charlesa.

— Siostra? — wyszeptała. — Jaka ona jest? Charles uśmiechnął się w ciemności.

— Polubisz ją. Wczoraj skończyła trzynaście lat. Jak ją poznasz, to dojdiesz do wniosku, że to najmiłsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek znałaś. Ona też chciała, żebym ci powiedział, jak jej przykro z powodu tego, co się stało. Ale powiedziała mi też, że zawsze marzyła o siostrze, no i teraz jej marzenie się spełniło.

Teri poruszyła się niespokojnie na łóżku. — Ale co będzie, jeśli mnie nie polubi? Charles uściśnął delikatnie dłoń córki. — Ależ oczywiście, że cię polubi. Będzie kochać cię tak mocno, jak ja ciebie kocham.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż Teri uspokoiliła się

i przestała szlochać. Charles położył ją do łóżka i pocałował na dobranoc.

- I pamiętaj — powiedział. — Jeśli będzie ci smutno, przyjdź i obudź mnie.

Teri skinęła głową. Po wyjściu Charlesa z pokoju, leżała nieruchomo w ciemnościach i myślała.

O matce.

O matce i ojczymie.

I o swoim prawdziwym ojcu.

Dzisiejsza noc w pewnym sensie nie różniła się zbyt wiele od wszystkich innych nocy, kiedy leżała w łóżku i usiłowała zrozumieć, dlaczego mama odeszła od ojca. Wydawało jej się, że kiedy wszyscy razem żyli w ogromnym domu nad brzegiem morza, byli szczęśliwi. Nie mogła tego oczywiście pamiętać — kiedy miał miejsce rozwód, była jeszcze bardzo mała. Chociaż większą część życia spędziła poza Secret Cove, traktowała je jako swój prawdziwy dom. Jako miejsce, do którego należała. Teraz znów powracała do domu.

Szkoda tylko, że mama nie mogła wrócić razem z nią. Wtedy wszystko byłoby tak jak dawniej, kiedy była małą dziewczynką. Byliby znów szczęśliwi.

Odsunęła od siebie zdecydowanie tę myśl; nie chciała roztrząsać tego, co niemożliwe. Położyła się na boku, próbując zasnąć, lecz sen nie nadchodził.

Wreszcie zapaliła lampę na nocnym stoliku, wstała z łóżka i podeszła do szafy. Zanurzyła dłoń w kieszeni szlafroka i wróciła z powrotem do łóżka, niosąc w ręku jedyny przedmiot, który wyniosła z płonącego domu.

Trzymała go, przyglądając mu się uważnie. Był to sznur różowych pereł jednakowej wielkości. Przypatrywała się im przez długą chwilę, przesuwając je między palcami i ocierała o policzki. Kiedy wreszcie godzinę później zmorzył ją sen, wciąż ścisnęła w dłoni różowe paciorki.

Rozdział 5

- Teri? Za dwadzieścia minut lądujemy. Teri przetarła oczy i przeciągnęła się niezgrabnie na siedzeniu pierwszej klasy samolotu DC-9. Miała sucho w ustach i mimo że po zmianie samolotu w Chicago zdrzemnęła się na chwilę, czuła się tak zmęczona, jak gdyby nie spała całą noc. Oczy ją piekły i bolały ją wszystkie stawy. Ojciec uśmiech-nął się do niej, widząc wyraźnie, jak się czuje.

— Nienawidzę nocnych lotów — powiedział ponurym głosem. — Zwłaszcza, kiedy leci się latem na wschód. Wsiadasz na pokład, kiedy jest jeszcze jasno, kiedy lądujesz, znów jest rano, ale wydaje ci się, że nie było nocy. A może był tak poszła i odświeżyła się trochę? Poczujesz się lepiej.

Teri, czując pieczenie w gardle, nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową i przeciskając się między siedzeniami, skierowała się do ciasnej toalety, biorąc z sobą torebkę, którą ojciec kupił jej dwa dni temu. Ochlapała twarz zimną wodą i spróbowała się uczesać. Skrzywiła się, widząc swe odbicie w lustrze. Miała podkrążone oczy i wydawało jej się, że po wspaniałej opaleniznie nie zostało ani śladu. Dziewczyna, która spoglądała na nią z lustra, była blada, jak gdyby przebyła

długą chorobę. Mocując się chwilę z zatraskiem skórzanej torby, sięgnęła do środka po szminkę. Obmyła jeszcze raz twarz, pomalowała delikatnie wargi i spojrzała ponownie w lustro.

Opuchlizna pod oczami zniknęła i nie wyglądała już tak źle jak parę minut temu. Doszedłszy do wniosku, że zrobiła, co mogła, wróciła na miejsce i wypila z wdziękiem mały łyżeczek soku pomarańczowego, zamówionego podczas jej nieobecności przez ojca. Następnie uniosła zasłonkę na ilutmi-natorze i wyjrzała na zewnątrz.

Samolot dość szybko obniżał wysokość lotu i kiedy wykonał ostatni nawrót, przygotowując się do lądowania, przed oczami Teri roztoczył się zapierający dech w piersiach widok wybrzeża Maine, z pasmami urwistych skał, poprzecinanych tu i ówdzie wcinającymi się w ląd zatoczkami i rozszanymi S rzadka pasemkami plaży. Grzebała w pamięci, usiłując przypomnieć sobie swój pobyt w tym miejscu.

Bezskutecznie. Wszystko było dla niej zupełnie obce.

— Ciągle wydaje mi się, że powinnam coś pamiętać — powiedziała, zwracając się do ojca.

Charles uśmiechnął się do niej. — Raczej niemożliwe, żebyś cokolwiek pamiętała — zauważył. — Kiedy stąd wyjeżdżałaś, nie miałaś nawet trzech lat, a poza tym jechałaś samochodem.

Teri potrząsnęła głową. — Ale jednak coś pamiętam. Niewiele, to prawda.

Pamiętam ogromny trawnik i plażę.

Charles zaśmiał się. — To fakt, w Secret Cove jest mnóstwo ogromnych trawników, no i mamy plażę. — Kiedy zaś spostrzegł, że Teri wyjmując nerwowo lusterko z kosmetyczki, by jeszcze raz przyjrzeć się swojej twarzy, wiedział już, co ją dręczy. — Nie martw się, nikt nie wygląda zachwycająco po całej nocy spędzonej w samolocie.

— Ale co będzie, jak nie spodobam się Melissie i Phyllis? Charles ujął jej dłoń w swoje ręce i uścisnął. — Ile razy

mam ci powtarzać, że wszystko będzie dobrze? Rozmawiałem wczoraj z Phyllis i już przygotowują dla ciebie pokój. Nawet nie jeden, a kilka, żebyś mogła sobie wybrać. A Melissa od dwóch dni nie mówi o niczym innym tylko o tobie.

Teri słyszała wszystko, co mówił ojciec, lecz nie wiedziała, czy wierzyć w to, czy nie. Od dwóch dni starała się przekonać samą siebie, że wszystko będzie w

porządku, że ojciec naprawdę chce, żeby była z nimi i że nigdzie jej nie odeśle.

Bo przecież już raz, dawno temu, kiedy była tak mała, że nawet tego nie pamięta, pozwolił jej odejść. Co będzie, jeżeli postanowi, że nie chce jej mieć przy sobie? Co wtedy zrobi?

Melissa przyglądała się, jak samolot ląduje i kołuje w stronę terminalu. Dotknęła bezwiednie palcami rękawów białego swetra i zaczęła skubać nerwowo materiał.

- Na miłość boską, Melisso, uspokój się — ofuknęła córkę Phyllis. — Czy nie możesz zostawić w spokoju tego swetra? Kiedy wyjeżdżałyśmy dziś rano, był idealnie czysty, a zobacz, jak teraz wygląda!

Ręce Melissy natychmiast oderwały się od rękawów. Wepchnęła je do kieszeni szortów i zaczęła nagle myśleć o czymś innym.

— A co będzie, jeśli się jej nie spodobam?

Phyllis zacisnęła usta i spojrzała na córkę. — Nie sędzę, czy jest jakikolwiek powód, dla którego nie miałyby cię polubić. Gdybyś tylko postarała się trochę, każdy by cię polubił. Ale jeżeli tego nie zrobisz, nie spodziewaj się, że będziesz miała wielu przyjaciół.

Melissa przygryzła usta, żałując, że w ogóle o to zapytała. Sięgnęła nerwowo ręką, żeby przeczesać palcami włosy, lecz powstrzymała się, przypominając sobie tak często powtarzane przez matkę słowa: „Jak możesz mieć ładne włosy, skoro obchodzisz się z nimi w ten sposób?”

Wreszcie samolot zatrzymał się i dziewczyna spostrzegła ojca idącego ku nim, z przewieszoną przez ramię dużą torbą. Rzuciła się w jego stronę i kiedy schylił się, żeby postawić torbę na ziemi, zarzuciła mu ramiona na szyję i poczuła na policzkach pocałunek.

— Tęskniłaś za mną? — usłyszała.

Przytaknęła radośnie. Ojciec uwolnił się delikatnie z jej objęć i zwrócił się w stronę dziewczyny, która stała obok niego. — To twoja siostra, kochanie.

Melissa, widząc Teri po raz pierwszy na własne oczy, wstrzymała oddech.

Wydawało jej się, że dziewczyna była jeszcze piękniejsza niż na fotografii. Jej oczy miały ciemnoniebieski odcień, a włosy, zaczesane do tyłu, wyglądały tak, jakby je przed chwilą umyła. Miała na sobie białą bluzkę i szorty w kolorze khaki, bardzo podobne do tych, które miała Melissa. Ale na Teri wyglądały tak jak na modelkach w kolorowych czasopismach.

-_Cz...część — wyjąkała niepewnie Melissa, czując się przy swojej przyrodniej siostrze jeszcze bardziej nieswojo niż zwykle.

— Mogłabyś przynajmniej pocałować swą siostrę — powiedziała Phyllis, pchając córkę lekko do przodu.

Melissa, czując, że się rumieni, zrobiła krok w stronę Teri, a wtedy ta, widząc jej zażenowanie, uśmiechnęła się do niej. — Może lepiej nie — powiedziała. — Czuję się strasznie nieświeża.

— Nawet jeżeli to prawda, wcale na taką nie wyglądasz — I oświadczyła Phyllis, stając obok Melissy i obejmując Teri. —

Czy ty mnie jeszcze pamiętasz? Opiekowałam się tobą, kiedy byłaś niemowlakiem. Przytuliła mocno dziewczynę i głos jej uwiązł w gardle. — Tak nam przykro z powodu tego, co się stało — ciągnęła dalej. — To wszystko musi być dla ciebie straszne.

Teri uściśnęła swoją przybraną matkę, nie odzywając się jednak ani słowem.

Nastąpiła niezręczna cisza, którą przerwał w końcu Charles.

— Może byśmy już stąd poszli? — zapytał, podnosząc z ziemi torbę. — Gdzie jest samochód?

— Na parkingu — odrzekła Phyllis i dodała: — Może ty z Melissa pójdziecie po niego, a ja pomogę Teri odszukać jej bagaż.

— Ja nic z sobą nie mam — powiedziała łagodnym głosem Teri. — Tylko te parę rzeczy, które mi kupił tata. Cała reszta... — Jej głos załamał się, a Phyllis ogarnęła ją natychmiast czule ramieniem.

— No, o nic się nie martw. Mamy w Secret Cove mnóstwo wspaniałych sklepów i jutro zaczniemy kompletować z powrotem twoją garderobę.

Melissa podbiegła do ojca, wsunęła rękę w jego dłoń i ruszyła z nim, lecz co chwila obracała się do tyłu, przyglądając się Teri. Wreszcie ojciec mrugnął do niej porozumiewawczo okiem. — I jak? — zapytał.

Melissa pokręciła głową. — Ona jest taka piękna — wyszeptała.

Charles uściśnął jej dłoń. — Nie tak piękna jak ty, kochanie — rzekł i przytulił ją mocno do siebie. Melissa, schowana w bezpiecznych ramionach ojca, poczuła, jak napięcie kilku ostatnich dni, spowodowane traktowaniem jej przez matkę, znika. Teraz, kiedy wrócił ojciec, była przez jakiś czas bezpieczna. I być może, dzięki Teri, matka nie będzie już dla niej tak surowa. Może jej obecność, podobnie jak obecność ojca, zapewni jej bezpieczeństwo.

Kiedy mercedes skręcił z głównej drogi i skierował się w stronę Secret Cove, Teri przyglądała się przez tylną szybę okolicy, szukając czegoś, co byłoby chociażby odrobinę zna-

jome. Gdy jechali wijącą się przez miasteczko drogą, mijając schludne sklepy — niektóre zbudowane w ubiegłym stuleciu, inne będące imitacją tamtego okresu — nie zauważyła tego, co budziłoby jej wspomnienia. Jednakże cała okolica fascynowała ją.

W przeciwieństwie do ulic w San Francisco Valley, które ciągnęły się kilometrami, otoczone po obu stronach barami szybkiej obsługi i otwartymi całą dobę sklepikami, główna droga prowadząca do Secret Cove biegła początkowo przez las, a potem wiała się przez tereny przypominające park. Przed każdym ze sklepów rozciągał się niewielki trawnik, a w witrynach stały skrzynki z kwiatami. Wiele z nich musiało być w przeszłości zwykłymi domami, o czym świadczyły starannie utrzymane ogródki widoczne zza metalowych ogrodzeń.

— Akt tu pięknie — westchnęła Teri, zwracając w końcu wzrok ku Melissie. — Czy tu zawsze tak było?

Melissa przytaknęła. — Nikt tu już na stałe nie mieszka. Domy są po zachodniej stronie. Wszystko, co można tutaj robić, jest ujęte w ścisłe reguły. Istnieje nawet specjalne to-warzystwo historyczne, które dba o to, żeby tutaj niczego nie zmieniać. — Roześmiała się. — Cora, nasza gospodyni, mówi, że pewnie chcieliby zamienić całe to miasteczko w muzeum, ale Tag twierdzi, że to niepotrzebne, bo większość mieszkańców to chodzące mumie.

Teri uniosła z zaciekawieniem głowę. — Kto to jest Tag?

— Wnuk Cory. Mieszka razem z nią. Jego rodzice ot tak zniknęli i zostawili go razem z babcią. Wyobrażasz to sobie?

Teri pokiwała głową. — Jaki on jest? — spytała. — Fajny? Phyllis, siedząca z przodu, wtrąciła się do rozmowy.

— To bardzo przeciętny chłopak — powiedziała. — Pomaga nam trochę w

utrzymaniu domu i myślę, że jak dorośnie, to poślubi którąś z miejscowych dziewczyn.

— Wcale nie jest taki przeciętny — zaprzeczyła gorąco Melissa. — Chce pójść do college'u i zostać architektem!

Phyllis odwróciła się i zmierzyła ją powątpiewającym spojrzeniem. — Czyżby? — zapytała. — A jak wyobraża sobie opłacenie swoich studiów?

Melissa wzruszyła ramionami. — Będzie pracować albo dostanie stypendium.

Przecież nie każdy musi iść do Harvar-du, Yale lub innej podobnej uczelni.

— Ci, którzy coś znaczą w społeczeństwie, studiują właśnie tam — odparowała

Phyllis. — A ty, Teri? Myślałaś już

o college'u?

Teri potrząsnęła głową. — Chciałam iść do college'u stanowego w Kalifornii, ale teraz... — Głos uwiązł jej w gardle

i wszyscy zdali sobie sprawę, że wszystkie plany, jakie być może snuła, obróciły się w popiół parę dni temu...

— Jest jeszcze dość czasu, żeby o tym pomyśleć — odezwała się szybko Phyllis. — Poszukiwanie szkoły dla ciebie sprawi nam dużą przyjemność. Eleanor Stevens jedzie z Ellen na weekend do Vasser, żeby się rozejrzeć. Może powinniśmy zabrać się z nimi.

Charles spojrział z ukosa na żonę. — Ależ, Phyllis, daj jej odpocząć. Ma jeszcze przed sobą dwa lata w liceum.

— Nigdy nie jest za wcześnie — odrzekła Phyllis. — Do renomowanych szkół tak trudno się dostać, że nie zaszkodzi już teraz szukać jakichś dojsć.

- A ty gdzie chodzisz do szkoły? — zapytała Teri Melissę.

— Do sztywnej pani Preston — odpowiedziała Melissa i uśmiechnęła się widząc zdumienie na twarzy siostry. -Tak naprawdę szkoła nazywa się Akademią dla Młodych

Dam Priscylli Preston — wyjaśniła. — Nie cierpię tej szko-ły, ale mama mówi, że muszę tam chodzić, bo tam chodzą wszyscy. To stara szkoła, trochę nieprzyjemna i rzeczywiście traktują nas tam dość surowo, więc dlatego nazywamy ją „sztywna pani Preston", bo wszyscy nauczyciele to wapniaki.

— To znakomita szkoła, Melisso, i powinnaś cieszyć się, że tam chodzisz — wtrąciła Phyllis.

Melissa uniosła znacząco oczy w górę, a Teri uśmiechnęła się do niej. I nagle Melissa doszła do wniosku, że wszystko będzie dobrze. Gdy o tym pomyślała, mercedes przejechał właśnie przez bramę Maplecrest i krętą drogą posuwał się w stronę domu. Roztaczający się z okien samochodu widok przykuł wzrok Teri. Wyjechali właśnie z lasu i dziewczynie zaparło dech w piersiach. Nagle jak gdyby obudziło się w niej jakieś wspomnienie. Nie była pewna, czy to bryła budynku, czy też może tylko ogrom rozpościerającego się przed tana trawnika. Tym niemniej jednak, jakaś część z tego, co teraz widziała, była obecna w jej pamięci. I wtedy przed oczyma siedzących w samochodzie osób wyłonił się w całej okazałości olbrzymi dom, kryty gontem, z ogromną werandą Z przodu. Z większości pokoi na parterze prowadziły na werandę ogromne dwuskrzydłowe drzwi.

Przyglądając się masywnym drzwiom frontowym, Teri przypomniała sobie, co się za nimi kryło. Ogromny hol (takim przynajmniej się jej wydawał, kiedy była jeszcze mała), na końcu którego znajdowały się schody wiodące do tylnej części domu. Na wysokości pierwszego piętra rozchodziły się w przeciwnych kierunkach i kończyły galerię. A dalej...

A dalej była pustka, gdyż schody były jedyną rzeczą, którą pamiętała.

Charles zatrzymał mercedesa na wysypanej żwirem alejce, tworzącej okrąg, a Teri wysiadła z wahaniem i stała nieruchomo, wpatrując się w Maplecrest.

— Jest olbrzymi — wyrzekła ledwie słyszalnym głosem. — Nigdy nie zdawałam sobie sprawy... To przecież nie dom, to pałac!

— No cóż, jest wygodny — powiedziała Phyllis niedbałym głosem, tak jak robiła to zawsze, kiedy prezentowała go po raz pierwszy gościom. — Ale trudno byłoby nazwać go pałacem. W dzisiejszych czasach absolutnie nikt nie może pozwolić sobie na coś takiego. Wszystkie pałace już pozamieniano na siedziby jakichś kompanii lub świątynie.

Frontowe drzwi otworzyły się i ukazała się w nich Cora, ubrana w czysty fartuch. Obdarzając gospodynię niedbałym skinieniem głowy, Phyllis wmaszerowała rażno do środka, podczas gdy Tag, który pojawił się tuż za babcią, czekał na werandzie. Gospodyni zeszła pospiesznie po schodach. — Teri, czy to naprawdę ty? Mój Boże, niech ci się przyjrze! — Objęła dziewczynę, przytuliła mocno do siebie, a następnie cofnęła o krok i spoglądała na nią uważnie. — Niech no tylko spojrzę. Aleś ty wyrosła! Kropka w kropkę twoja mama! — Uśmiech znikł z jej twarzy, kiedy wypowiedziała te słowa. — Boże drogi — wymamrotała pod nosem — taka tragedia się wydarzyła, a ja zachowuję się, jakbyś przyjechała do nas w odwiedziny. — Wytarła ręką fartucha łzy, które napłynęły jej do oczu. — Nie wiem, nie wiem po prostu, co powiedzieć. Pewno myślisz, że jestem starą głupią babą. Chyba nawet mnie nie pamiętasz.

Teri potrząsnęła głową. — Tak naprawdę pamiętam bardzo mało. Minęło już tyle lat, ale wszystko wydaje mi się jakby odrobinę znajome.

— Ale przecież mama musiała ci pokazywać fotografie Maplecrest — odezwał się Charles.

- Tak — przytaknęła Teri — ale to wszystko wygląda inaczej niż na zdjęciu. Prawie tak, jak w moich snach.

— No jasne, że tak — powiedziała Cora. — Przecież tu się w końcu urodziłaś. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

A teraz przedstawię ci mojego wnuka. — Odwróciła się. — Tag, chodź tutaj i przywitaj się z Teri.

Tag zszedł wolno po schodach i wyciągnął rękę do dziewczyny. — Cześć — powiedział.

— Cześć — odpowiedziała Teri, uśmiechając się do niego i ściskając jego dłoń. W tym momencie do jej uszu dotarło głośne ujadanie. Kiedy się odwróciła, spostrzegła, że przez trawnik sunął ku niej olbrzymi labrador, machając energicznie ogonem.

— Chodź tu, Blackie — usłyszała głos Melissy. — Chodź tutaj, piesku. —

Olbrzymie psisko podbiegło w kilku susach do dziewczyny, wspięło się na rybie łapy i oparłszy się jej na piersiach, zaczęło lizać jej twarz. Melissa ze śmiechem podrapała psa za uszami i zepchnęła go na ziemię. — To jest Teri — powiedziała, wskazując na swoją przyrodną siostrę. — Daj jej łapę.

Ale pies, zamiast unieść łapę i wysunąć ją w stronę dziewczyny, cofnął się i przywarował u stóp Melissy. Z gardła wydobył mu się cichy pomruk. — Blackie? — krzyknęła na psa Melissa. — To tak się wita nowego przyjaciela? — Uśmiechnęła się zachęcająco do Teri. — Daj ma rękę, niech ją powącha. Pewnie się ciebie boi.

Teri z wahaniem zrobiła krok przed siebie i ostrożnie wysunęła rękę, dając ją do obwachania psu. Lecz gdy to zrobiła, Blackie rzucił się do ucieczki i popędzi przez trawnik, znikając za niewielkim pagórkiem, wznoszącym się między domem a plażą. — Blackie! — zawołała na psa Melissa. — Blackie! Wracaj tutaj natychmiast!

— Nic się nie stało — odezwała się Teri. — Niech sobie idzie.

Melissa spojrzała raz jeszcze w stronę plaży i wzruszyła ramionami z niedowierzaniem. — Chodź — odezwała się do Teri. — Pokażę ci twój pokój. Wprowadziła Teri do środka, a ta, kiedy tylko znalazła się w holu, zatrzymała się. Był dokładnie taki, jak sobie wyobrażała. Wyłożony pomalowaną na biało boazerią, z dwuskrzydłowymi drzwiami po obu stronach schodów, wychodzącymi na znajdujący się z tyłu taras.

— Pamiętam to — wyszeptała. — Pamiętam z dzieciństwa te schody. Były olbrzymie. — Zaśmiała się. — One naprawdę są ogromne, prawda?

Melissa skinęła głową. — Zawsze lubiłam zjeżdżać tu po poręczy. Cora bez przerwy mówiła, że kiedyś się zabiję, a mama powtarzała, że dziewczynki z dobrego domu nie zachowują się w ten sposób. A ja i tak zjeżdżałam. Chcesz spróbować?

Teri spojrzała na biegnącą szerokim łukiem w dół błyszczącą balustradę z orzecha i potrząsnęła przecząco głową.

— Myślę, że Cora ma rację. Chybabym spadła i skręciła sobie kark.

— Wcale nie! — zaprotestowała Melissa. — To świetna zabawa, zobaczysz, zrobimy to jutro.

Ruszyły na górę i skierowały się na prawo, tam gdzie schody rozchodziły się w dwóch kierunkach, aż dotarły na piętro. Tutaj w obie strony wybiegały szerokie korytarze prowadzące do skrzydeł domu.

— Masz do wyboru dwa pokoje — powiedziała Melissa do Teri. Jeden z nich to pokój dla gości, ale mama powiedziała, że jak chcesz, to możesz tu mieszkać. Jest tam.

Zaprowadziła Teri do wschodniego skrzydła i pokazała jej ogromny i przestronny pokój z trzema oknami. Dwa z nich wychodziły na zatokę i rozciągający się za nią ocean, a trzecie na taras, położony między dwoma skrzydłami budynku.

— Mój pokój znajduje się dokładnie po drugiej stronie tarasu — powiedziała Melissa. — Jest mniejszy niż ten, a poza tym tutaj masz własną łazienkę.

— A gdzie jest ten drugi? — spytała Teri. Z twarzy Melissy znikł uśmiech.

— Nie jest tak duży jak ten. I widok z okna też jest gorszy.

— A możemy go zobaczyć?

Melissa poprowadziła ją do przeciwległego skrzydła budynku i zatrzymała się przed drzwiami pokoju, który na samym początku jej matka wybrała dla Teri.

— Trudno to nazwać pokojem — powiedziała niepewnie Melissa, otwierając drzwi i puszczając przyrodnią siostrę przed sobą do środka.

Niewielkie pomieszczenie było starannie wysprzątane; Melissa sama pomagała Corze wyszorować i wyczyścić w nim wszystko aż do połysku. Udało się nawet znaleźć lepsze meble, a niewielką komodę zastąpiła bogato rzeźbiona szyfo-nierka, znaleziona przez Taga w zakurzonej kącie na stry-chu. Przyniesiono też stare łóżko, które pamiętało jeszcze czasy młodości Cory. Bujak stał dalej na swoim miejscu, lecz jego tapicerowane oparcie przykryto perkelem w jasne, kwieciste wzory.

— Jeśli zdecydujesz się na ten pokój, moglibyśmy położyć w nim nową tapetę — powiedziała Melissa. Niepewny ton jej głosu zwrócił uwagę Teri. Odwróciła się i spojrzała uważnie na swoją przyrodnią siostrę.

— Co w nim jest takiego szczególnego? — spytała. - Nie jest ani taki duży, ani taki ładny jak ten drugi.

— Wiem — westchnęła Melissa — i gdybym ja była na twoim miejscu, wzięłabym tamten bez wahania. Ale do niewielkiej łazienki, oddzielającej go od sąsiedniego pomieszczenia. — Jeżeli przejdiesz przez te drzwi — powiedziała - możesz dostać się do mojego pokoju, nie wychodząc wcale na korytarz. Więc jak weźmiesz ten mały pokój, będziemy się mogły odwiedzać, kiedy chcemy, a mama z tatą wcale nie będą o tym wiedzieć.

Teri rozejrzała się po łazience. Chociaż w porównaniu z pokojami w Maplecrest nie była duża, tym niemniej była większa niż ta, którą dzieliła razem z rodzicami w Kalifornii. A J pokój, za którego ciasnotę przeproszała ją Melisa, był większy niż pokój w jej dawnym domu.

Nie — poprawiła siebie w myślach — tutaj jest teraz mój nowy dom.

Podeszła do drugich drzwi łazienki, prowadzących do pokoju Melissy, i nagle uświadomiła sobie, że znowu coś sobie przypomina.

— Wejść — usłyszała głos swojej przyrodniej siostry. Powoli otworzyła drzwi.

Ledwie przekroczyła próg, od razu wiedziała, gdzie się znajduje.

Ten pokój należał kiedyś do niej! Wszystko wydawało się jej tutaj znajome, mimo że nie była w nim już od trzynastu lat.

Nawet sam zapach pomieszczenia budził w niej wspomnienia z dzieciństwa, poczucie ciepła i bezpieczeństwa, kołyszące ją ramiona i uśmiechające się do niej twarze.

Tak, to był jej pokój. Tutaj mieszkała, kiedy była mała. Zawahała się, w jej sercu kotłowały się sprzeczne uczucia. Pokój w drugim skrzydle domu był znacznie większy i jaśniejszy niż ciasny pokoik, sąsiadujący z łazienką Melissy.

Lecz przecież tamto skrzydło domu było przeznaczone
Dla tych, którzy przyjeżdżali na parę dni lub parę tygodni, a potem opuszczali
dom.

A ona wszak nie miała zamiaru opuścić Maplecrest. Należał znowu do niej i nie
chciała czuć się w nim jak gość. No i rzecz jasna, była też tutaj Melissa.
Jej przyrodnia siostra, o której nic nie wiedziała przez tak wiele lat. obserwowała
ją teraz niespokojnie, czekając co zrobi.

Uśmiechnęła się. — Sądzę, że masz rację — powiedziała. — Chyba wezmę ten
mały pokój. Ten pierwszy jest za duży, a poza tym zawsze patrzyłabym na twoje
okno, zastanawiała się, co teraz robisz, i żałowała, że nie możemy sobie pogadać.
Będzie fajnej, jak będziemy razem.

Melissa wpatrywała się przez chwile, w swoją śliczną przyrodną siostrę,
uśmiechając się do niej, i nagle zarzuciła jej ramiona na szyję.

— Wiem, że to, co się stało, było straszne — wyszeptała. — Ale z drugiej strony
tak się cieszę, że tu jesteś. Było mi tu tak smutno samej, a teraz mam ciebie. —

Teri położyła z wahaniem ręce na ramionach Melissy. Uśmiechnęła się ciepło, lecz
w jej oczach

była obojętność i chłód.

Rozdział 6

Brett Van Arsdale obserwował, jak piłka wspięła się ostrym łukiem w górę, i
wyczekawszy na najbardziej dogodną chwilę, wyskoczył, unosząc nad głowę
prawą rękę, zwiniętą w pięść. W odpowiednim momencie zamachnął się i liderzy i
piłkę, posyłając ją nad siatką.

Piłka upadła na piasek dokładnie między Kenta Fieldinga i Cyndi Miller, którzy
spoglądali na siebie nawzajem z gniewem w oczach i równocześnie warknęli do
siebie:

— Dlaczego jej nie odebrałeś? Szła prosto na ciebie.

— Zwycięstwo! — wrzasną radośnie stojący obok Bret-ta Jeff Barnstable. —
Gramy chłopcy na dziewczyny?

— Przerwa — jęknęła Ellen Stevens. — Dwa lata temu, kiedy byliśmy wyższe od
was, nigdy nie chcieliście grać w siatkówkę.

— No i co z tego — odparował Jeff, uśmiechając się bezczelnie. — Świat się
zmienia, Ellen, i musisz dotrzymać mu kroku.

Ellen zesza z boiska i rozłożyła się na ręczniku. — Wiecie co — rzuciła
rozmarzonym tonem, rozsmarowując na ramionach kolejną warstwę ochronnego

olejku i czując na sobie pełen uznania wzrok Jeffa. — Po lunchu idziemy na kort i razem z Cindi zagram przeciwko tobie i Kentowi w debla.

Jeff położył się obok niej. - Myślisz że zgłupiałem? Nie chcę, żeby wszyscy w klubie widzieli, jak dajesz mi łupnia — mruknął niezadowolony.

Ellen uniosła brwi. — Ale jak wszyscy widzą, jak przegrywamy z wami w siatkę, to to jest w porządku, co?

Odwróciła się od niego ze śmiechem, a Jeff wziął garść piasku i przesypywał go powoli między palcami. — Ale, ale — rzucił od niechcenia. — Czy ktoś widział już Teri?

Cyndi Miller potrząsnęła głową. — To dziwne. Jest tutaj już od dwóch dni. Czy nic wydaje się wam, że powinna przyjść na plażę?

— Może jest tak samo stuknięta jak Melissa — wtrąciła Marshall Bradford z pogardą w oczach. — Jest kilka lat starsza, to pewnie muszą ją trzymać zamkniętą na strychu.

Ellen parsknęła śmiechem. — Mama wciąż mówi, że powinnam do niej zadzwonić, ale co mam jej powiedzieć? Zaprosić ją samą, bez Melissy?

— A czemu nie — rzuciła Cindi. — Nie wygląda na to, żeby Melissa za nami przepadała. Wyprosiła nas przecież nawet ze swoich urodzin.

— Wielkie mi urodziny — zaśmiał się Brett. — Mecz piłki wodnej i parę krakersów z masłem orzechowym, które zrobiła Cora. Też mi coś. Przecież mogliśmy...

W tym momencie przerwał i mrużąc oczy wpatrywał się w coś w oddali. Jeff spojrzął w tym samym kierunku i trącił ramieniem Ellen, która leżała na plecach i osłaniała ramieniem twarz przed słońcem.

— Zgadnijcie, kto idzie po plaży! Melissa i jakaś dziewczyna, którą na pewno jest Teri MacIver.

Ellen wydała z siebie przesadny jęk. — O rany, czy oni nie mogą czegoś zrobić z tymi zanieczyszczeniami na plaży?

Jeff parsknął śmiechem, lecz obie dziewczyny i towarzyszący im Blackie, który biegał dookoła i obskakiwał nogi Melissy, zbliżyły się powoli do nich, więc Jeff jeszcze raz

szturchnął Ellen.

— Jeśli chodzi o mnie, to ta Teri wcale nie wygląda na stukniętą.

- Nie interesuje mnie twoje zdanie — odpowiedziała Ellen, ale usiadła i zmrużyła oczy, chroniąc je przed blaskiem słońca. Po chwili, kiedy jej wzrok przywykł już do ostrego światła, zobaczyła pulchną sylwetkę Melissy z kasztanowymi włosami, spływającymi zwyczajnie na ramiona, idącą brzegiem plaży.

Lecz obok niej kroczył ktoś jeszcze i oczy Ellen rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy dostrzegła kontrast między obiema dziewczynami. Teri, o nienagannej figurze, ubrana w lekko obcisły kostium kąpielowy, który w dużej części odsłaniał jej opalone ciało, była zupełnym przeciwieństwem Melissy. Jej jasne, zaczesane do tyłu włosy, miały ów naturalny połysk, który Ellen starała się nadać bezskutecznie

swojej fryzurze za pomocą kupionego w aptece preparatu. Jej opalenizna, wpadająca w ciemny, błyszczący brąz, kontrastowała doskonale z czernią kostiumu i pokrywała równomiernie całe ciało. Ellen bezwiednie rzuciła wzrokiem na jaśniejsze placki skóry po wewnętrznej stronie swoich ud.

— Eee tam, zwykła dziewczyna z Kalifornii — skomentowała z udawaną pogardą. Spojrzała wokół po twarzach przyjaciół. Wszyscy, łącznie z Cyndi, wpatrywali się w Teri. — Dajcie spokój, ona nie jest znowu aż tak zabójcza — dodała.

— Niestety jest — odezwał się Brett. — Musisz sama przyznać, że jesteś przy niej zupełne zero — dodał, nie odrywając wzroku od Teri.

— A ty jesteś świnia — odcięła się Ellen. — Gapisz się na nią jak pies na kość. Język wywaliłeś i ślina ci cieknie z gęby. A wszystko z tego powodu, że ma na sobie za mały o dwa numery strój kąpielowy. Kiedy ty wreszcie wydoroslejesz?!

— Chyba właśnie zaczynam dorastać — westchnął Brett. — Ciekawe, jak mógłbym do niej zagadać?...

— No cóż, możesz podejść do niej i powiedzieć cześć — powiedziała Ellen zjadliwym głosem.

— Mógłbym to zrobić, gdybyś nie zachowała się tak chamsko w stosunku do Melissy na jej urodzinach.

- Co, ja? — zaśmiała się Ellen. — A co ja takiego zrobiłam?!

Brett spojrzał na nią znacząco.

— Nie udawaj niewiniątka. Słyszałem, co ty i Cindi mówiłyście o niej, i ona też to słyszała.

— No, jeżeli tak nagle zwariowałeś na punkcie Melissy, to dlaczego teraz nie pójdziesz i nie poprosisz jej, żeby przedstawiła cię swojej siostrze? — odparowała Ellen.

— Może tak właśnie zrobię — odpowiedział Brett, nie ruszając się jednak z koca, na którym leżał razem z Kentem.

— No, dalej — zachęcał go Kent, trącając go lekko w bok. — Idź, pogadaj z Melissa. Powiedz jej najpierw, jak nam szalenie przykro z powodu jej urodzin, a na koniec dodaj, że zabuję się w jej siostrze.

— Odwal się — warknął Brett. — Daj sobie spokój z taką gadką.

— No to jak masz zamiar do niej zagadać? — spytał Jeff.

Brett wzruszył ramionami. — Na pewno nie zrobię tego przy was. Poza tym ona musi tak czy owak pojawić się w klubie.

Cindi Miller parsknęła śmiechem. — Razem z panią Holloway i Melissa. Daj spokój, Brett. Nie dasz rady pogadać z nią, nie natknąwszy się przy okazji na Melisse. — Przekręciła się na drugi bok i obróciła plecami do obu dziewcząt, które zatrzymały się teraz około dwudziestu metrów od nich i szeptały coś do siebie. — A poza tym, co nas to obchodzi. Ona jest pewnie tak samo stuknięta jak Melissa!

— No tak, ale przecież znasz ich — spytała Teri, skinąwszy głową w stronę grupy nastolatków leżących na piasku koło boiska do siatkówki. Melissa przygryzła dolną wargę. Wiedziała, że Teri chce ich poznać, lecz bolesne wspomnienie urodzin było

wciąż świeże w jej pamięci.

— Tak, znam — przyznała w końcu. — Ale to nie znaczy, że ich lubię. To zwykłe snoby z Cove Club.

Ten, zdumiona, uniosła brwi. — Przecież my też należymy do tego klubu.

— Tak, ale...

— Jakie „ale”? — naciskała Teri. — Przecież przyjeżdżasz tu co roku, każdego lata. Czy oni nie są twoimi przyjaciółmi?

Melissa zrobiła głęboki wdech i potrząsnęła głową.

— Nie, nie są — odparła. — Oni mnie nie lubią. — Wypowiadając te słowa, wbiła wzrok w ziemię, nie chcąc patrzeć Teri prosto w oczy.

— Co to znaczy „nie lubią mnie”? — zapytała Teri. — A dlaczego niby miałby cię nie lubić?

Melissa wzruszyła ramionami i żałowała w duchu, że przyszła dzisiaj z Teri na plażę. Ale było to nieuniknione, bo przez ostatnie dwa dni opalały się przy basenie obok domu i dzisiejszego ranka, kiedy Teri zaproponowała spacer brzegiem morza, Melissa nie była w stanie odmówić i przyznać się do tego, że boi się natknąć tam na dzieci z klubu. Kiedy jednak zdobyła się na to, żeby spojrzeć w oczy Teri, spostrzegła, że ta patrzy na nią z tą samą okropną wyższością, z jaką traktowały ją inne dzieci. — Nie lubią mnie po prostu i już.

Teri spojrzała jeszcze raz na grupkę rozłożonych na kocach dzieci i zrozumiała w czym rzecz. Nawet z tej odległości zauważyła, że wszystkie są do siebie podobne. Wszystkie miały jasne włosy, dziewczyny były szczupłe, a chłopcy mieli szerokie ramiona, wyraźnie zarysowane klatki piersiowe i ładnie rozwinięte mięśnie.

Były podobne do dzieci, które widywała czasami, kiedy jeszcze mieszkała w Kalifornii. Wybierała się niekiedy autobusem z przyjaciółkami do Beverly Hills, bez żadnego określonego celu, ot tak, żeby się powłóczyć po okolicy. Zawsze umiała rozpoznać mieszkające tam dzieci. Wszystkie były do siebie podobne, wszystkie chodziły na zakupy do Rodeo Drive i wszystkie spędzały całe lato, pływając we własnych basenach i grając w tenisa na własnych kortach.

I kiedy spoglądały na Teri i jej przyjaciółki (co się prawie wcale nie zdarzało), Teri była przekonana, że wie, co myślała w tym momencie: „Nie należysz do nas — idź sobie stąd!”

Jednakże teraz, kiedy spojrzała jeszcze raz ukradkiem na leżące na płazy dziewczyny i chłopców, była pewna, że przynajmniej jeden z nich przyglądał się jej w znajomy dla niej sposób. Jego wzrok mówił, że chciałby ją poznać. Chyba, że wpatrywał się po prostu w jej kuso wycięty kostium, który znalazła wczoraj w domu. Był najwyższy z nich wszystkich. Mógł mieć chyba trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i kiedy uśmiechnął się, dostrzegła dołki w jego policzkach.

— Kto to jest? — zapytała Melissy.

Melissa nie musiała nawet patrzeć na chłopców, żeby wiedzieć, kogo Teri miała na myśli. To na pewno był chłopak, w którym kochała się potajemnie od dwóch lat.

— Jeff Barnstable — odpowiedziała głośno. — Czy on nie jest cudowny? Strasznie mi się podobają jego kręcone włosy, a oczy to ma po prostu zabójcze.

Teri spojrzała uważnie na swą przyrodnią siostrę. — Podoba ci się, prawda? Chociaż Melissa pokręciła przecząco głową, zdradził ją rumieniec, który pojawił się na jej twarzy. — To prawda, może się w nimkocham — przyznała wreszcie.

Potem westchnęła ciężko. — Ale on nawet nie wie, że ja istnieję...

Teri uściśnęła mocno dłoń siostry. — Nie martw się — powiedziała. — Założę się, że jak tylko uda się nam zwrócić na nas jego uwagę, na pewno cię zauważy. Poza tym nie

o nim mówiłam. Chodziło mi o tego najwyższego z nich.

Melissa spojrzała ukradkiem na grupę chłopców i dziewcząt i zrozumiała wreszcie, o kim mówiła Teri. - Brett Van Arsdale — powiedziała.

— Jaki on jest?

Melissa, czując wyraźną ulgę z tego powodu, że to nie Jeff interesował Teri, wzruszyła obojętnie ramionami. - Nie wiem, chyba w porządku.— Ruszyła przed siebie. - Chodź

i nie zwracaj na nich uwagi, to może zostawią nas w spokoju.

Szły obok siebie wzdłuż brzegu, a delikatne, morskie fale obmywały im stopy. Teri czuła na sobie wzrok dzieci, obserwujących je, gdy ich mijały, ale nie podnosiła oczu. Kiedy uszły spory kawałek, spojrzała na Melissę. — Chodźmy popływać — zaproponowała — strasznie mi gorąco i lepię się cała.

Nie czekając na jej odpowiedź, odwróciła się i pobiegła w stronę morza. Gdy woda sięgała jej już do kolan, zanurkowała pod nadpływającą falą. Jej ciało, po zetknięciu z lodowatą wodą, przebiegł dreszcz, płynęła jednak kilka metrów pod falami, aż w końcu wynurzyła się na powierzchnię i przewróciła na plecy. — Wskakuj do wody! — zawołała do Melissy.

Melissa zawahała się, a następnie zaczęła wchodzić powoli do wody. Zatrzymała się, kiedy fale sięgały już jej kolan. — Jest strasznie zimna! — odrzyknęła.

Teri zaśmiała się i zaczęła płynąć w stronę swojej przyrodniej siostry. — Gdzie tam zimna. Lodowata! Ale chodź! Jeśli ja weszłam, to i ty możesz. Nawet jak ci nogi zdrętwieją, to nic takiego!

Śmiech Teri dotknął boleśnie Melissę. Ale kiedy usłyszała jej słowa, zrozumiała, że Teri nie śmieje się z niej — ona śmieje się z nią. Zaczerpnąwszy powietrza zatkała nos i zanurzyła się w wodzie, ale natychmiast wyskoczyła z piskiem.

— Tylko tak umiem to zrobić — powiedziała w chwilę później do Teri, zanurzony się wreszcie na dobre i dopłynąwszy do niej pieskiem. Towarzyszył jej Blackie, który szczęśliwy wskoczył do wody w chwilę po wejściu Melissy. Ona także położyła się na plecach i obie dziewczyny unosiły się przez chwilę obok siebie na wodzie, czując na twarzach ciepłe powietrze, łagodzące w niewielkim stopniu chłód oceanu. Przez kilka chwil pozwoliły się nieść wznoszącym się i opadającym falom, aż wreszcie Melissa spróbowała wymacać nogami dno. Chociaż płynęły nie dłużej niż pięć minut, znajdowały się już około trzydziestu metrów od brzegu.

— Lepiej wracajmy — powiedziała. — Odpływ znosi nas na morze.

Teri obróciła się z pleców na brzuch i rozejrzała się dokoła. — Nic nam nie grozi, ale jak chcesz, to wracaj. Ja jeszcze chwilę popływam.

Melissa zawahała się. Czy Teri myślała, że ją strach obleciał? Lecz w tym momencie jej przyrodnia siostra znowu odezwała się do niej:

— Mówię poważnie, płyn do brzegu. O mnie się nie martw.

Jednakże Melissa wciąż nie wiedziała, co robić. — W porządku — powiedziała. — Ale podpłyn trochę do brzegu, dobra? Gdyby odpływ zniósł cię z zatoki na pełne morze...

— To wtedy utonę — dokończyła za nią Teri. Kiedy dopłynęły już do płycizny, Teri zatrzymała się. — W porządku? — zapytała.

Melissa przytaknęła i popłynęła w stronę brzegu. Po wyjściu z wody rzuciła się na piasek, drżąc cała z zimna. W chwilę później z wody wyszedł i począpał ku niej Blackie. Otrząsnął się i na Melissę spadł deszcz drobnych, lodowatych kropelek. Tymczasem Teri płynęła znów na plecach, unoszona falami. Melissa obserwowała ją przez kilka minut, a potem jej uwagę przykuło stadko drepzczących nie opodal po plaży brodziec. Kiedy Blackie podbiegł do nich płosząc je, przestała myśleć o siostrze i obserwowała hasającego ulubieńca. Pies podbiegał do ptaków ciężkim truchtem, a brodziec-ce pozwalały mu się zbliżyć do siebie po to, by w ostatniej chwili rozwinąć skrzydła i wzbić się w powietrze, rozlatując się na wszystkie strony. Lecz zaraz potem siadały kilka metrów dalej na piasku. Dziewczyna przyglądała się tej zabawie kilka minut, gdy nagle do jej uszu dobiegł przeraźliwy krzyk:

— Ratunku! Ratunku!

Melissa zerwała się na równe nogi i zaczęła szukać wzrokiem siostry. W chwilę później zobaczyła, jak Teri, oddalona o około pięćdziesiąt metrów od brzegu, wymachuje chaotycznie ramionami. Rzuciła się instynktownie ku morzu, dostrzegając równocześnie nadbiegającego Brett Van Arsdale. Chłopiec rzucił się do wody i płynąc szybki kraulem, w ciągu niespełna minuty znalazł się przy Teri. W tym czasie Melissa, zapominając o swojej nieśmiałości, podbiegła do stojących na brzegu pozostałych dzieci.

Do morza skoczył też Jeff Barnstable. Chociaż płynął bardzo szybko, Bret jednak dotarł do Teri przed nim.

Wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Brett, objawszy ramieniem dziewczynę, płynął na plecach, pomagając sobie drugą, wolną ręką. Jednak po chwili Teri powiedziała coś do niego i chłopiec puścił ją. Na ostatnich dwudziestu metrach towarzyszył im Jeff i wszyscy razem, płynąc obok siebie, dotarli po chwili do brzegu. Teri, drżąc cała z zimna, rzuciła się na piasek. Natychmiast otoczyła ją gromadka nastolatków.

— Wszystko w porządku? — zapytała Ellen Stevens. Teri wypłuła z ust resztki morskiej wody i dysząc ciężko przytaknęła z wysiłkiem głową. — Głupia jestem — wysapała w końcu. — Zachowałam się idiotycznie.

Kent uklęknął obok niej. — Co się stało? — spytał.

Teri wzruszyła ramionami. — Po prostu za daleko wypłynęłam. Melissa ostrzegała mnie, co się może zdarzyć, ale jej nie posłuchałam. Odpływ zaczął mnie znosić i

wtedy wpadłam w panikę. Wydawało mi się, że zniesie mnie na otwarte morze. — Spojrzała na stojącego nie opodal Bretta. — Dzięki — powiedziała. — Byłam tak przerażona, że nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty.

Brett uśmiechnął się do niej. — Nie ma sprawy — powiedział, wyciągając do niej dłoń. — Mam na imię Brett.

Teri podniosła się z piasku. — Jestem Teri, przyrodnia siostra Melissy.

Reszta chłopców i dziewcząt przedstawiła się Teri i po chwili dziewczyna znajdowała się już w środku grupki i opowiadała wszystkim dokładnie, co się stało:

— Płynęłam na plecach, miałam oczy zamknięte i chyba nawet zasypiałam. I kiedy je otworzyłam i zobaczyłam, że wypłynęłam tak daleko, wpadłam w panikę. Zrobiłam z siebie wariatkę, wrzeszcząc tak głośno. Tak naprawdę nie topiłam się.

- Możliwe, że nic ci wtedy nie groziło — powiedział do niej Brett. — Ale gdyby prąd wyniósł cię poza zatokę, byłabyś w poważnym niebezpieczeństwie. Tam są dość duże fale i gdyby zniosło cię bardziej na południe, wpadłabyś na skały.

Zeszłego lata pewien facet pływał tam na desce i fale zniosły go na te skały.

Rozciął sobie do krwi skórę na piersiach i brzuchu i miał szczęście, że w ogóle przeżył.

- Nie przesadzaj — zaproponowała Teri — nie było ze mną aż tak źle.

Przestraszyłam się i tyle. Tylko teraz mi strawnie głupio, że musieliście płynąć po mnie aż tak daleko.

Brett zarumienił się.

- To naprawdę nic wielkiego.

- Mówi szczerze — odezwał się z kpina Kent. — Sądząc po sposobie, w jaki mówił o tobie, wszyscy myśleliśmy, że jest gotów tam się utopić, byle cię wyratować. Brett nie wytrzymał. — Przymknij się, co — powiedział, rumieniąc się jeszcze bardziej. — Jeszcze pomyśli, że jakiś napaleniak jestem.

- No co, a może nie jesteś — powiedziała zgryźliwie Cindi, robiąc równocześnie unik przed fontanną piasku, która posypała się w jej stronę po kopniaku Bretta. Melissa obserwowała całą tę scenę przez kilka minut i zauważyła, że Teri czuła się dobrze wśród dzieci, które dopiero co poznała, rozmawiając z każdym z nich i włączając się od razu w ich niewinne żarty. Kiedy wszyscy zbili się jeszcze ciasniej wokół niej, dziewczyna odeszła, a za nią powłókł się Blackie.

Po dziesięciu minutach Teri, która siedziała teraz na ręczniku obok Ellen i Bretta, rozejrzała się dokoła. — A gdzie jest Melisse? — spytała. — Była tu jeszcze przed chwilą.

- A co nas to obchodzi? — powiedział ktoś z grupy. Teri zmarszczyła brwi i spojrzała na Bretta.

- Co jest z Melissą? — spytała. — Dlaczego nikt jej nie lubi? Brett zarumienił się i spuścił wzrok. Na jej pytanie, głosem pełnym pogardy odpowiedziała Ellen:

- Jeszcze się pytasz? Spójrz tylko na nią. Ma pewnie z dziesięć kilo nadwagi i wygląda okropnie. Na przykład jej

włosy: zawsze takie tłuste. Czy ona w ogóle myje je kiedykolwiek? A poza tym straszna z niej oferma. Pływa kiepsko i prawie wcale nie potrafi grać w tenisa. Do nikogo się nie odzywa i wszyscy myślą, że jest lekko stuknięta.

— No, a poza tym jej matka — parsknęła szyderczo Cindi.

Coś tknęło Teri. — Jej matka? — spytała. — Co jest takiego w Phyllis?

— No cóż, chyba nic takiego — odpowiedziała dziewczyna, naśladowując ton, jakim zawsze mówiła jej matka. — To znaczy nic, jeśli lubi się takie osoby. Rzecz w tym, że ona nie jest jedną z nas i nigdy nie będzie.

— Chodzi ci o to, że nie wychowywała się tutaj? — spytała Teri, pewna, że rozumie już dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi.

— Ona się nigdzie nie wychowywała — wtrąciła Ellen. — Moja mama mówi, że nikt nie wie, skąd pochodzi i czym zajmuje się jej rodzina. — Zniżyła głos tak samo, jak to robiła jej matka, kiedy chciała powiedzieć coś uszczypliwego, i ciągnęła dalej. — Zawsze próbuje się wepchnąć między nas, tak jakby była kimś z naszej sfery.

Teri podniosła się z piasku. Jej umysł pracował gorączkowo, próbując poskładać w logiczną całość wszystkie usłyszane przed chwilą informacje. — Chyba już pójdę — powiedziała. Ruszyła w stronę domu, ale kiedy usłyszała głos wołającego do niej Bretta, przystanąła i odwróciła się.

— Może przyjdiesz do klubu dzisiaj po południu, moglibyśmy zagrać w tenisa! Teri stała niepewnie i w końcu wzruszyła ramionami.

— Zobacz! — odrzyknęła, po czym odwróciła się i ruszyła pospiesznie przed siebie.

Po chwili spotkała Melissę, siedzącą na piasku i wpatrującą się w morze. U jej stóp siedział Blackie. Gdy Teri zbliżyła się, pies zawarczał cicho i Melissa uniosła głowę. Zobaczywszy Teri, odwróciła wzrok i zaczęła znów wpatrywać się w wodę, nie odzywając się do niej ani słowem.

— Jesteś na mnie wściekła? Melissa potrząsnęła głową.

— Jesteś — powiedziała z przekonaniem Teri. — Wściekasz się, bo rozmawiałam z nimi, prawda?

Melissa wzruszyła ramionami, ale nie zaprzeczyła. Teri usiadła na piasku obok swojej przyrodniej siostry.

— Nie są wcale tacy źli — zaczęła. — Trochę szpanują, ale zobacz, jak żyją.

Wszyscy mają masę forsy.

Melissa, słysząc odcień zazdrości w głosie Teri, spojrzała na siostrę.

— Pewnie cię polubią — powiedziała z goryczą. — Jesteś ładna i podobna do nich. Będziesz do nich idealnie pasować.

Teraz z kolei Teri wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem — westchnęła. — Wydaje mi się, że dla nich najważniejsze jest, skąd pochodzisz i kim są twoi rodzice. A ja jestem z Kalifornii.

Melissa zdobyła się w końcu na uśmiech.

— Nieprawda — powiedziała. — Urodziłaś się tutaj, tak samo jak i twoi rodzice. A więc jesteś jedną z nich.

Teri zdziwiła się.

— Ale ty przecież też do nich należysz!

Melissa potrząsnęła głową, a następnie odetchnęła głęboko, jak gdyby próbując

zdecydować się powiedzieć coś, o czym wolałaby nie mówić.

— O co chodzi? — naciskała na nią Teri.

— Chodzi o mamę — odrzekła Melissa. — Nikt jej nie lubi. Ona wciąż wychodzi ze skóry, żeby ją polubili, ale nikt tego nie chce zrobić. Rozmawiają o niej i śmieją się z niej za jej plecami. Tak samo jak śmieją się ze mnie.

Teri obruszyła się. — Założę się, że przestaliby to robić, gdybyś tylko pokazała, że cię to nic nie obchodzi. Udawaj, że nic nie słyszysz, tak samo jak ja zrobiłam z tym utonięciem dzisiaj rano.

Melissa spojrzała zdumiona na swoją siostrę. — To znaczy, że ty się naprawdę nie topiłaś?!

W kącikach ust Teri pojawił się chytry uśmieszek. — Jasne, że nie — powiedziała.

— Pływam jak ryba. Ale jak chcesz

poznać chłopaka na plaży, to najlepiej pozwól mu się wyratować. No i pozwoliłam Brettowi wyholować mnie z głębokiej wody.

Melissa wpatrywała się w Teri z rozdziawionymi ustami.

— Ale przecież to oszustwo!

— No i co z tego? — odpowiedziała Teri. — Chciałam go poznać i poznałam. Jeżeli ten sposób działa, to trzeba go stosować.

Melissa nic na to nie odpowiedziała i leżąc na piasku i czując na twarzy żar słońca, zastanawiała się nad tym, co powiedziała Teri: "Jeśli ten sposób działa, to trzeba go stosować".

To brzmiało strasznie prosto i chyba takie było dla Teri. W końcu poznanie wszystkich dzieci i zaprzyjaźnienie się z nimi nie zajęło jej więcej niż kilka minut.

Melissa zaś, chociaż wychowywała się z nimi, nigdy do nich nie pasowała.

Jeśli to było możliwe dla Teri, to dlaczego by nie i dla niej?

Znała już jednak odpowiedź na swoje pytanie i nawet gdyby wiedziała, co trzeba robić, i tak nie byłaby w stanie tego dokonać.

Chociażby starała się ze wszystkich sił, pewnie zepsułaby wszystko i ludzie znowu by się z niej śmiali. Nie razem z nią, tak jak to robiła Teri, lecz z niej. Tak jak robili to do tej pory.

Lepiej więc wcale nie próbować.

Wieczorem tego samego dnia, gdy za oknem zapadał zmrok, Teri siedziała razem z resztą rodziny w bibliotece. Phyllis oglądała telewizję, a ona przeglądała stary numer miesięcznika „Wieś i miasto”. Melissa grała z ojcem w szachy. Teri obserwowała ich przez długą chwilę. Zapatrzeni w szachownicę, wydawali się nie pamiętać o bożym świecie.

Rozejrzała się po wyłożonym boazerią z drewna orzechowego pokoju i nagle ogarnęło ją takie uczucie, jak gdyby otaczające ją ściany zaczęły się zamykać wokół niej. Była tu już dwa dni i prawie wcale nie opuszczała domu, nie licząc tych paru chwil, które spędziła dzisiaj na plaży. I wtedy przypomniała sobie słowa Brett, zapraszającego ją do klubu. Nie poszła, rzecz jasna. Chociaż Melissa powiedziała jej, że może iść sama, jeśli chce, to Phyllis stwierdziła, że nie powinna tego robić. Co pomyślą ludzie, którzy wiedzą, że wciąż nosi żałobę po rodzicach?

A co mają myśleć i jak długo niby ma czekać, zanim zaczną na nowo żyć? Czy chcą, żeby spędziła całe życie, myśląc o przeszłości?

Była pewna, że gdyby tak Melissa chciała pójść do klubu, Phyllis na pewno by się zgodziła. Poczuli, że jeśli nie wydadzą się z tego domu chociaż na chwilę, to zwariuje.

— Chyba pójde się trochę przespacerować po plaży — powiedziała wstając i odkładając miesięcznik.

Phyllis oderwała na chwilę wzrok od telewizora. — Tylko nie pływaj, bo to mogłoby być niebezpieczne w nocy.

— Chcesz, żebym poszła z tobą? — spytała Melissa, spoglądając znad szachownicy. Teri potrząsnęła przecząco głową. — Chciałabym być przez chwilę sama — powiedziała. — Wrócę szybko.

Kilka minut później spacerowała po plaży, słuchając delikatnego szumu fal. W dali ujrzała jarzące się światła klubu. Do jej uszu dobiegały przytłumione odgłosy muzyki — rytm hardrocka, który słyszała po raz pierwszy, odkąd opuściła Kalifornię. Przyspieszyła kroku i ruszyła w tamtą stronę.

Gdy znalazła się już na terenie klubu, zawahała się. Między budynkiem a plażą stały natryski, a na jednym z nich była tabliczka z napisem: „Wyłącznie dla członków i gości klubu”.

Od tego miejsca do klubu, usadowionego na samym szczycie wzgórza, wiodło kilkanaście stopni. Chociaż od samego budynku dzielił ją pewien dystans, widziała wyraźnie sylwetki tańczących w rytm rocka osób.

Ruszyła ścieżką w górę, ignorując ustawioną dyskretnie, lecz jednoznacznie w swojej wymowie tabliczkę „Wstęp wzbroniony”. W końcu jej ojciec był jednym z członków klubu,

a nawet gdyby nie był, została przecież zaproszona przez Brett. Kiedy jednak dotarła w pobliże otaczającego basen tarasu, zauważyła tam jakichś ludzi. Na leżakach rozłożone

były trzy osoby i rozmawiały cicho między sobą.

Teri poczuła się nagle jak intruz. Zeszła ze ścieżki i ukryła się w cieniu rosnących nie opodal sosen. Gdy już miała wycofać się z powrotem w stronę plaży, do jej uszu dotarły

strzępy rozmowy:

— A ja myślę, że nie przyjdzie — powiedział ktoś. Teri zatrzymała się, rozpoznawszy głos Jeffa.

— A dlaczego nie? — odpowiedział mu Brett.

— Z powodu pani Holloway — dało się słyszeć głos Ellen. — Jeśli zaprosisz Teri na ognisko, mogę się założyć, że pani Holloway każe jej wziąć ze sobą Melissę.

Teri zawahała się. Czyżby mówiono o niej? Na pewno! Zaczęła ostrożnie czołgać się w stronę rozmawiającej grupki.

— No i co z tego, jeśli przyjdzie z Melissą? — spytał Brett. — Przecież ona i tak nic nie robi.

— W tym rzecz — odrzekła Ellen. — Siedzi i gapi się na ciebie. Poza tym z niej jest straszny żarłok. Zje wszystko, zanim ktokolwiek z nas dopcha się do jedzenia.

— Daj spokój — sprzeciwił się Jeff. — Nie jest ideałem. No i co z tego?
— Nie obchodzi mnie, czy jest ideałem, czy nie — powiedziała z drwiną Ellen. — Nie jest po prostu jedną z nas; zupełnie inna niż Teri.
Rozmowa ciągnęła się dalej, lecz Teri dowiedziała się już wystarczająco dużo. Ruszyła w stronę domu, rozpamiętując bez końca to, co usłyszała.
A więc nie zaproszą jej na ognisko tylko dlatego, że żadne z dzieci nie lubiło Melissy!
To nie było fair. Dlaczego ma zostać odtrącona tylko z tego powodu, że Melissa nie jest taka jak inni? W końcu jej siostra miała już wszystko, co można było mieć. A przecież większość z tych rzeczy należała kiedyś do niej. Do Melissy należał jej dom. Mieszkała nawet w jej starym pokoju. Zagarnęła dla siebie jej ojca. W umyśle dziewczyny pojawił się obraz Melissy i ojca, pochylonych nad szachownicą i zajętych tylko sobą i grą.
Teri nie była jej częścią. A teraz jeszcze Melissa przeszkodzi jej w tym, żeby zaprzyjaźnić się z tymi chłopcami i dziewczynami, z którymi mogła przecież razem się wychowywać.
— Nie — powiedziała raz jeszcze do siebie, zbliżając się do ogromnego domu, górującego nad plażą. — To nie było fair. Nie tak to wszystko miało być.
Nie tak to wszystko sobie zaplanowała.

Rozdział 7

Duży zegar w bibliotece zaczął wybijać kolejną godzinę i Phyllis rzuciła okiem na szachownicę, na której od ponad dwóch godzin toczyła się zażarta walka. Zacisnęła z dezaprobatą wargi. Jak jej mąż i córka mogli po prostu siedzieć przez dwie bite godziny i wpatrywać się w kilkanaście figurek rozmieszczonych na białych i czarnych polach?! Bez słowa i bez ruchu? Wstała z fotela i podeszła do stolika. Zasłoniła światło padające ze stojącej nie opodal lampy i jej cień padł na szachownicę.
— Już dziesiąta — powiedziała. — Czas, żebyście poszli spać.
Melissa uniosła wzrok znad szachownicy i spojrzała w pierw na ojca, potem na matkę. — Jeszcze tylko kilka minut... Już go prawie pokonałam.
Phyllis potrząsnęła przecząco głową. — Dobrze znasz reguły, jakie panują w tym domu, kochanie. Teraz jest czas na to, żebyś wypoczęła.
— Jeszcze tylko trzy ruchy — błagała Melissa. — Popatrz, jedyne, co muszę zrobić, to zapędzić króla taty do tego boku.

Przerwała, widząc, jak ojciec kładzie swojego króla na szachownicy.

— W porządku, córeczko, poddaję się. Po co przeciągać tę walkę, skoro nie ma szans na zwycięstwo. — Wyprostował się w fotelu, przeciągnął, a następnie uśmiechnął szelmowsko do córki. — Zastanawiam się, czy w ogóle dobrze zrobiłem, ucząc cię gry w szachy. Chyba już wieki upłynęły, odkąd cię ostatni raz pokonałem.

Melissa zaczęła ustawiać figury na swoich miejscach na szachownicy, umieszczając każdą z nich starannie na środku pola.

— O mały figiel, a mogłeś wygrać — powiedziała. — Mogłeś złapać w pułapkę mojego hetmana już godzinę temu.

— W jaki sposób? — zapytał Charles.

Melissa zaczęła przesuwac figury po szachownicy, odtwarzając z pamięci stan po szesnastu ruchach. Lecz w tym momencie usłyszała głos matki.

— Dość już tego na dzisiaj — zarządziła Phyllis. — Przecież nie będziesz rozgrywała z ojcem jeszcze raz tego samego. Siedzielibyście tutaj całą noc.

Dłoń Melissy, trzymająca hetmana ojca, zawisła w powietrzu. Dziewczyna wpatrywała się w niego przez chwilę z nadzieją, ale Charles pokiwał przecząco głową i Melissa z westchnieniem odłożyła figurę z powrotem na szachownicę. Dziesięć minut później była już w łóżku i siedziała, oparta o wezgłowie, z książką na kolanach. Przez otwarte okno do pokoju wpływała chłodna nocna bryza, a powietrze wypełniało cykanie świerszczy, koncertujących na tle delikatnego poszumu fal obmywających zatokę. Melissa wtuliła się wygodnie w poduszki i znalazła miejsce, w którym przerwała lekturę. Kiedy jednak kilka minut później drzwi do jej pokoju otworzyły się, szybko schowała książkę pod kołdrę.

Odetchnęła z ulgą, ujrawszy ojca.

Charles usiadł na skraju łóżka i spojrzał na książkę Zielonego Wzgórza? — zapytał. — Który raz to już czytasz?

— Nie wiem. — Melissa wzruszyła ramionami. - Chyba dziesiąty. Uwielbiam ją. Jestem teraz w tym miejscu, kiedy Ania farbuje sobie włosy na zielono.

Charles uśmiechnął się, przypominając sobie, z jakim napięciem jego córka słuchała tej historii, kiedy czytał jej tę książkę po raz pierwszy cztery lata temu.

— Czy czuje się nieszczęśliwa, tak jak zawsze? Melissa skinęła skwapliwie głową.

— Jest pewna, że już nigdy nie wyjdzie ze swego pokoju. — Zaśmiała się, ale nagle śmiech zamarł jej na ustach, — Dokładnie to samo przytrafia się mnie — powiedziała smutno, spuszczać wzrok. — Za każdym razem, kiedy nie z jej winy przytrafiają się jej jakieś kłopoty, mam wrażenie, jakbym czytała o sobie samej.

Może dlatego tak ją lubię,

Charles pochylił się nad córką i pocałował ją. — Wydaje mi się — zauważył — że jest pewna różnica między tobą a Anią. Po pierwsze: nie jesteś sierotą, a po drugie: nigdy nie musiałaś się opiekować bliźniakami.

Melissa roześmiała się. — Ale i tak czuję się podobna do niej — odrzekła. — Wiesz przecież, jak zawsze starała się postąpić najszlachetniej, jak można było, i jak jej nigdy nie wychodziło. Tak samo i ze mną. — Westchnęła kolejny raz. — Szkoda, że nie jestem podobna bardziej do Teri — powiedziała z żalem w głosie. — jest taka

ładna i potrafi się z każdym zaprzyjaźnić... Na przykład dzisiaj. Nikogo z nich nie znała, a rozmawiała ze wszystkim, jakby byli całe życie przyjaciółmi. A ja znam ich całe życie, że się ze mnie śmieją.

— Tak samo jak Ania, która była pewna, że naśmiewa się z niej Gilbert — zażartował z niej tata.

Melissa potrząsnęła przecząco głową.

— Nie znam żadnego Gilberta. A poza tym, Ania miała przynajmniej serdeczną przyjaciółkę. A ja...

Lecz zanim wypowiedziała ostatnie słowa, ojciec położył jej delikatnie palec na ustach. — Masz teraz Teri — przypomniał jej — i będzie chyba dla ciebie najlepszą przyjaciółką, jaką mogłaś sobie wymarzyć.

Melissa poczuła się nagle strasznie głupio, — Przepraszam — wybąkała — chyba zbyt rozczuliłam - się nad sobą,

— No, już dobrze — powiedział do niej ojciec. — Jesteś bardzo, ale to bardzo szczęśliwą dziewczyną i powinnaś raczej spojrzeć na dobre strony twojego żyda. A kiedy to urobisz — dodał, mrugając do niej okiem — może ci to pomoże wygrać jutro ze mną w tenisa. — Pocałował ją raz jeszcze, po czym wstał i ruszył ku drzwiom. — Zostawić ci światło?

Melissa potrząsnęła przecząco głową i odłożyła książkę, na nocny stolik, a Charles zgasił światło. Zamknął drzwi i pokój pogrążył się w ciemnościach. Po chwili jej oczy przystosowały się do srebrzystej poświaty wschodzącego za oknem księżyca. Wtuliła się głębiej w poduszki i obserwowała, jak na suficie tańczą cienie konarów rozłożystego, rosnącego przed domem klonu. Kiedy była jeszcze mała, czasami się ich bała, lecz teraz lubiła im się przyglądać i wyobrażała je sobie jako niewielkie stworzonka, płasające w jej pokoju, gdy śpi. Wreszcie zamknęła oczy i już miała zasnąć, gdy usłyszała na korytarzu czyjeś kroki.

Były to kroki matki. Wstrzymała oddech, modląc się, żarliwie, by minęły jej pokój, by dzisiaj w nocy mama nie weszła do jej sypialni. Ale kiedy drzwi się otworzyły, wiedziała, że jej prośby nie zostały wysłuchane.

Leżała nieruchomo, oddychając spokojnie i miarowo lecz po chwili na ramieniu poczuła dłoń matki,

— Melisso, wiem, że nie śpisz.

Melissa przewróciła się na drugi bok i otworzyła oczy. Ujrzała górującą nad nią sylwetkę matki, odcinającą się od jasnego prostokąta okna.

— Byłaś dzisiaj bardzo niedobra — odezwała się do niej Phyllis.

Myśli galopowały Melissie po głowie i starała się sobie przypomnieć, czym rozgniewała matkę. Zaczęła pytać w myślach D'Arcy: Co zrobiłam? Dlaczego jest na mnie zła?

— Znowu byłaś niegrzeczna dla twoich przyjaciół — powiedziała Phyllis, jak gdyby słyszała bezgłośnie pytania córki. — Uratowali Teri, a ty po prostu odeszłaś. Melissa czuła, jak żołądek kurczy się jej ze strachu. Nie tak było! Wcale nie tak! Nikt z nią nie rozmawiał! Wszyscy rozmawiali tylko z Teri! Znowu powtarzała się sytuacja z jej urodzin. Nieważne było, co odpowie mamie — ona już miała swoje

zdanie na temat tego, co się stało. Nic nie mówiąc, wpatrywała się w matkę i czekała na to, co nastąpi, cokolwiek by to miało być. Wtedy właśnie zauważyła w dłoniach matki opaski.

— Nie — wyjąkała — nie, mam, proszę, nie każ mi ich zakładać!

Matka spoglądała na nią z góry. Mówiła do niej cierpliwym głosem, jak do dziecka.

— Przecież musisz je założyć. Byłaś dzisiaj niegrzeczną dziewczynką, a kiedy jesteś niegruczna, to chodzisz we śnie. Podaj mi rękę.

Melissa, tłumiąc narastający jej w gardle krzyk protestu, próbowała unieść dłoń, by spełnić żądanie matki, lecz dłoń odmówiła jej posłuszeństwa.

— Ręka — powtórzyła stanowczym głosem Phyllis, chwytając ramię córki i szarpiąc je tak mocno, że dziewczyna poczuła przejmujący ból.

Melissa, czując dotkliwe rwanie mięśni, krzyknęła raz jeszcze o pomoc i usłyszała tym razem cichą odpowiedź D'Arcy, która dopłynęła ku niej szeptem, wypowiedziana skądś w otchłani nocy:

— Śpij, Melisso, jestem tutaj, możesz teraz już zasnąć. Słyszac te słowa, Melissa oddała się urnie otaczającej ją coraz ciaśniej ciemności i zostawiła D'Arcy, by ta wzięła na swoje barki karę. przygotowaną przez matkę.

Phyllis, pochyliwszy się nad łóżkiem, uniosła dłoń, gotowa uderzyć raz jeszcze krnąbrną córkę, lecz nagle spostrzegła.

że ciało Melissy zwiotczało i dziewczyna posłusznie wyciągnęła dłonie, gotowa dać się związać grubymi, skózanymi opaskami.

Phyllis owinęła jeden raz nadgarstki Melissy, a potem związała jej kostki. Końce opasek przypięła do łóżka, a następnie przykryła córkę cienką kołdrą.

— Dzisiaj w nocy jest ciepło — powiedziała już teraz łagodnym tonem do przywiązanej do łóżka dziewczyny. — Nie potrzebujesz koca. Śpij dobrze. — Pochyliła się nad nią i jej wargi musnęły czoło córki. Następnie cicho wyśliznęła się z pokoju i zaniknęła za sobą drzwi.

Melissa leżała w łóżku i spała, lecz oczy miała otwarte, gdyż D'Arcy czuwała i obserwowała igrające na ścianie cie-

Teri, wracając do Maplecrest, nie szła plażą, lecz ścieżką wijącą się wśród niewielkich zagajników, oddzielających od siebie położone nad zatoką posiadłości. Zbliżając się do poszczególnych domów, przystawała i wpatrywała się w sylwetki ludzi, które w świetle księżycy wydawały się większe niż były w rzeczywistości. W większości okien paliły się światła, a Teri, przemykając chyłkiem przez ogromne, starannie utrzymywane trawniki, przypatrywała się z ciekawością wyłożonym boazerią ścianom i zapalonym żyrandolom, których światło wypełniało wszystkie pokoje.

Nigdzie nie widziała niczego, co przypominałoby jej San Fernando i niewielki, drewniany dom, gdzie się wychowywała jako dziecko. Jednak wszystko, co widziała, było dla niej dawno znajome, jak gdyby wróciła tutaj z powrotem po podróży do jakiegoś dalekiego kraju. Wiedziała, że to było jej miejsce. Dotarła do Maplecrest, przemknęła przez kort i skierowała się w stronę dużego basenu, gdy nagle z ciemności dobiegł ją cichy warkot.

Znieruchomiła i zaczęła rozglądać się uważnie dokoła. Wreszcie przed oczami zamajaczył jej jakiś cień.

Gdy wpatrywała się weń, warczenie rozległo się powtórnie, a weń poruszył się lekko i podszedł w jej kierunku.

— Blackie... — wyszeptała zła na samą siebie z powodu strachu, któremu się poddała jeszcze przed chwilą. Gdy pies podszedł bliżej, kopnęła go z całej siły i poczuła dziką satysfakcję, gdy zwierzę zaskowytało z bólu i odskoczyło od niej. Jednakże w chwilę później usłyszała dobiegający z niewielkiej odległości głos:

— Blackie! Blackie!

Pies przyczał się ostrożnie na ziemi, w odległości na tyle bezpiecznej, by uniknąć kolejnego kopniaka, odwrócił łeb i zaszczekał krótko. Po chwili zza domku gospodarczego wyłonił się Tag i ruszył ścieżką w stronę psa. Kiedy rozpoznał Teri, stanął jak wryty.

Blackie, zjeżywszy sierść na grzbiecie, przytulił się do stóp Taga, a z jego pyska jeszcze raz wydobył się warkot. Tag wyciągnął rękę, by uspokoić psa, a Blackie zaskowytał cicho, gdy palce jego pana dotknęły miejsca, w które kopnęła go Teri.

— Co tu się, do cholery, dzieje? — zapytał zdecydowanym głosem chłopiec. — Kopnęłaś go?

— A czemu niby miałabym to zrobić? — odparła Teri.

— Przecież coś mu się stało, przecież tu ma jakieś bolące miejsce! Czuję, jak mu puchnie!

Teri wzruszyła nerwowo ramionami. — A nawet jeśli to zrobiłam, to co z tego? Warczał na mnie.

— Chryste, po to właśnie on tu jest — zaprotestował Tag. — Pilnuje domu.

— No ale mógł mnie ugryźć — skarżyła się Teri. — Tak czy owak, powinienś zamykać go na noc. Mogą nas podać do sądu, jeśli kogoś pogoni.

Żrenice Taga zamieniły się w cienkie szparki.

— Ten pies nikogo nie będzie gonił! On jedynie szczeka. Nigdy w życiu jeszcze nikogo nie ugryzł!

— Może, ale zachowywał się właśnie tak, jak gdyby chciał mnie ugryźć. Jeśli czegoś z nim nie zrobisz, porozmawiam z Phyllis.

Tag, nic na to nie odpowiedział, chwycił psa za obrozę i odprowadził go w stronę domku, gdzie mieszkał razem z Cora. Jednakże w środku w nim wrzało.

Blackie, od pierwszej chwili, kiedy zobaczył Teri, nie zaakceptował jej. Już pierwszego dnia uciekł przed nią. Dla Taga miało to znaczenie. Od dawna wiedział, że jeżeli pies kogoś nie lubi, to muszą być ku temu jakieś powody.

Przystanął, odwrócił się i spojrzał w stronę miejsca, w którym stała Tari, ale jej już tam nie było. — Dobra, piesku, idź i rób dalej, co do deble należy, ale trzymaj się z dala od Teri. Nie chcemy przecież, żeby naskarżyła na ciebie pani Holloway.

Psisko ruszyło w podskokach w stronę drzew, a Tag rzucił jeszcze jedno spojrzenie na dom państwa Holloway. Teri właśnie zniknęła w kuchennych drzwiach budynku.

Zadowolony, że psu nic już nie grozi tej nocy, i on skierował się w stronę domu.

Teri przypatrywała się zapasowym schodom, wiodącym wprost z kuchni na piętro i dalej na strych, lecz w końcu zdecydowała, że pójdzie inną drogą, i przez niewielki pokój, gdzie trzymano zastawę, i jadalnię przeszła do dużego holu, a stamtąd głównymi schodami na piętro, Korytarze na płatne były pogrążone w mroku i rozświetlało je jedynie nikiłe światło stojącej na niewielkiej szalce lampy. Dziewczyna stała nieruchomo, nasłuchując przez chwilę, ale w całym domu panowała cisza. Wezbrał w niej gniew. Czy ojciec nie mógł na nią poczekać? Widocznie nie. Gdyby to Melissa wyszła na spacer wieczorem po plaży...

Odsunęła od siebie tę myśl i zgasiła pozostawioną dla niej lampę, a następnie weszła do swojego pokoju, nie zapalając jednak światła, dopóki nie zamknęła ta sama drzwi. Kiedy zaczęła się rozbierać, usłyszała jakiś dźwięk.

Cichy szloch, zdający się dobiegać ze strychu.

Przez chwilę stała nieruchomo, po czym rozbierała się dalej.

Stłumiony, a przecież wyraźny dźwięk powtórzył się znowu.

Zaintrygowana, naciągnęła otrzymany od Phyllis szlafrok

i wysliznęła się z pokoju. Przez chwilę nic nie widziała w ciemności, lecz po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do księżycowej poświaty, wpadającej do domu przez ogromne, znajdujące się na wysokości schodów okno, i ruszyła w stronę drzwi wiodących na strych.

Kiedy dotarła do nich, przystanęła, po czym zdecydowała się i nacisnąwszy klamkę, otworzyła drzwi. Przed nią rozciągała się bezdenne, czarna otchłań. Nawet nie uświadamiając sobie tego, wstrzymała oddech i zaczęła wspinać się po schodach, aż dotarła na samą górę. Szukała po omacku ręką, starając się odnaleźć wyłącznik, pewna, że gdzieś tam się znajduje. Kiedy go wreszcie namacała, przekreśliła go, a kilka metrów przed nią zapaliła się samotna, zwisająca z krokwi żarówka.

Zdławiła krzyk, ujrawszy białą, przypominającą ducha postać, majaczącą w ciemnościach na drugim końcu strychu. Lecz po chwili odetchnęła z ulgą, uświadomiwszy sobie, co to było. Przeraził ją stary manekin krawiecki, na którym spoczywała, równie stara jak on, biała suknia. Zastanawiała się przez chwilę, chcąc ustalić, nad którym z pokoi w tej chwili się znajduje, po czym ruszyła do miejsca, poniżej którego, jak sądziła, była jej sypialnia. Znalazła tam niewielką izdebkę z tapczanem i komodą, wydzieloną z reszty strychu.

Oświetlało ją jedynie blade światło księżycy i kiedy rozejrzała się wokół, ogarnęło ją dziwne uczucie, że chociaż nikt nie mieszkał, nie była ona całkowicie opuszczona. Zmarszczyła brwi, podeszła do komody i zaczęła wysuwać poszczególne szuflady. Był tam stary przyborek krawiecki, w którym znajdowały się igły, nici, nożyczki i napaśtek. Poza tym komoda była pusta. Wtedy po raz kolejny usłyszała cichy szloch.

Ale tym razem zdawało jej się, że dobiega z pierwszego piętra.

Czekała chwilę nieruchomo i po chwili znowu usłyszała to samo.

Wyszła z izdebki i ruszyła z powrotem ku schodom, licząc dokładnie kroki.

Wreszcie, rzuciwszy raz jeszcze okiem na stary manekin z suknią, zgasiła światło i zeszła na pię-

Idąc długim korytarzem, zaczęła ponownie liczyć kroki. Zanim dotarła do miejsca, w którym znajdował się mały pokoik na strychu, na jej drodze stanęły drzwi.

Drzwi do pokoju Melissy.

Wpatrywała się w nie przez chwilę, a potem ostrożnie dotknęła klamki, ujęła ją i nacisnęła. Drzwi były zamknięte.

Wróciła do swojego pokoju i weszła do łazienki, oddzielającej jej niewielki pokoik od znacznie większego pokoju Melissy.

Przycisnęła ucho do drzwi sypialni przyrodniej siostry i w chwilę później zdawało jej się, że usłyszała ten sam dźwięk.

Cichy szloch, jak gdyby płacz dziecka, które chciało pozostać nie słyszane.

Spróbowała otworzyć drzwi i odkryła, że nie są zamknięte na klucz. Uchyliła je odrobinę i wyszeptała przez szparę:

— Melissa?

Nie było żadnej odpowiedzi.

Otworzyła drzwi szerzej i weszła do środka.

Wpływające przez otwarte okno światło księżyca rzucało srebrzysty blask na łóżko jej przyrodniej siostry. Z miejsca, w którym stała, dostrzegła, że Melissa leży na wznak i ma otwarte oczy.

— Melisso, nic ci nie jest?

Znów nie uzyskała odpowiedzi. Zmarszczyła lekko brwi i na palcach podeszła do łóżka. Stała obok i spoglądała na twarz dziewczyny.

Światło księżyca nadawało jej skórze trupioblady kolor, rysy zatraciły wszelki wyraz, a oczy wpatrywały się nieruchomo w sufit. Zimny dreszcz przebiegł Teri. Przez chwilę miała wrażenie, że Melissa nie żyje, lecz po chwili spostrzegła,

że jej klatka piersiowa miarowo unosi się i opada, i że jej przyrodnia siostra oddycha.

Teri wyciągnęła rękę i trąciła Melissę w ramię.

— Melissa! Obudź się! — wyszeptała.

Dziewczyna nie poruszyła się.

Teri cofnęła się o krok, zastanawiając się, czy nie powinna pójść obudzić tatę. Lecz kiedy przyjrzała się dokładnie łóżku, dostrzegła coś dziwnego.

Wyglądało to jak pas wystający spod kołdry, którą była przykryta Melissa, a jeden z jego końców był mocno przypięty do ramy łóżka.

Teri przypatrywała się mu przez moment, po czym drżącymi rękoma odsunęła kołdrę. Westchnęła zdumiona, ujrawszy, jak nadgarstki i kostki dziewczyny związane są pasami.

W pierwszym odruchu chciała rozpiąć je i uwolnić siostrę od przykuwających ją do łóżka więzów, lecz wtedy przypomniała sobie, co dziś po południu mówiły na plaży dzieci, i zmieniła zdanie. Mówiły: „Wszyscy twierdzą, że ona jest stuknięta.” Czyżby to była prawda? Czy dlatego Melissa leżała przywiązana do łóżka? Czy ona rzeczywiście była nienormalna?

Przykrywając siostrę starannie po szyję, Teri odwróciła się od łóżka i poszła z

pośpiechem do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Kiedy wróciła do swego pokoju, upewniła się, że zamknęła drzwi od łazienki na klucz. Długo nie potrafiła zasnąć tej nocy, leżała w łóżku i myślała o tym, co zobaczyła. I kiedy tak rozmyślała, w jej głowie zaczął się formować pewien plan...

Sen Teri był wyrazisty i klarowny jak jesienne popołudnie. Śniło jej się, że obudziła się na krótko przed świtem daleko od Maplecrest, z powrotem w małym domku w San Fernando, gdzie spędziła prawie całe swoje życie.

Delikatny dźwięk nigdy przedtem jeszcze nie używanego budzika przerwał nocną ciszę, ale wyłączyła go szybko i przez chwilę nasłuchiwała.

W domu panowała cisza, przerywana jedynie cichym chrapaniem jej ojczyma.

Wstała z łóżka, ubrała szlafrok

i rozejrzała się po swoim niewielkim pokoiku. Wsunąwszy rękę do kieszeni i upewniwszy się, że spoczywa tam naszyjnik z pereł, który na Boże Narodzenie w zeszłym roku przysłał jej ojciec, wyszła na korytarz i zaczęła cicho schodzić na dół. Bardzo ostrożnie stanęła na czwartym od dołu stopniu schodów, na tym, który chociażby nie wiem jak uważać, zawsze skrzypiał.

Kiedy zeszła na dół, przystanęła znowu na chwilę nasłuchując, ale w domu panowała niczym nie zmacona cisza. Nawet stąd słyszała chrapanie Toma MacIvera. Skierowała się przez salon i kuchnię do małej sieni, w której stały pralka i suszarka. Tam znajdowały się schody do piwnicy. Mimo ciemności, poruszała się szybko i zeszła na dół do warsztatu ojczyma. Było tam pełno różnorodnych kawałków drewna. Niektóre czekały gotowe, by poskładać je razem i zrobić biblioteczkę, nad którą pracował, inne, zwykłe odpadki, leżały rozrzucone tu i ówdzie pod betonowymi ścianami pomieszczenia.

Dotarła w końcu do pieca i macając rękami w ciemnościach znalazła to, czego szukała. Była to kupa szmat, które sama, wczorajszego popołudnia, nasączyła pokostem. Położyła je na podłodze, obok stosu drewna. Następnie sięgnęła po zapałkę z pudełka, leżącego zawsze na warsztacie Toma, i zapaliła ją.

Przyłożyła zapałkę do szmat. Nasączona olejem tkanina zajęła się i po chwili buchnął z niej tak gwałtowny płomień, że dziewczyna odchyliła się, raptownie do tyłu. Wpatrywała się zafascynowana w ogień, po czym zgasła i wyrzuciła zapałkę.

Gdy żółte języki urosły i objęły drewno, Teri podeszła do schodów, spojrzawszy raz jeszcze na rozszerzające się płomienie, pobiegła szybko z powrotem na górę do sieni. Lecz zamiast wyjść tylnymi drzwiami na podwórko, ruszyła przez kuchnię do salonu. Zatrzymała się przy schodach prowadzących na piętro i czekała.

Czekała, aż ogień rozpali się mocniej, czekała, aż płomień zacznie ogarniać cały dom.

Zdawało jej się, że upływają całe wieki, lecz wreszcie usłyszała dobiegające z piwnicy delikatne trzaski i poczuła w nozdrzach słaby swąd dymu, wypełzającego przez podłogę pod jej stopami. Jednakże wciąż czekała.

Wreszcie sama podłoga rozgrzała się i po chwili buchnął spod niej płomień, który zaczął się rozszerzać błyskawicznie po pokoju.

Po chwili trzaski przerodziły się w huczenie, a kiedy coraz więcej złotych języków zaczęło trawić podłogę, Teri rzuciła się do frontowych drzwi. W chwilę później stała już na podwórku, szczelnie owinięta szlafrokiem. Obróciła się i ujrzała, jak ogień z wściekłością zaatakował piętro i zaczął wspinać się coraz wyżej i wyżej. W sąsiednich domach zaczęły zapalać się światła, lecz Teri zdawała się tego nie dostrzegać, pochłonięta obserwacją płomieni ogarniających cały dom. Wreszcie usłyszała krzyk matki, który utonął natychmiast w huku pożaru. Przeszła przez trawnik w stronę podjazdu i spojrzała w górę, w stronę sypialni rodziców.

Zobaczyła ją siedzącą na parapecie, z nogami na zewnątrz.

Skoczyła, lecz narzuta na łóżko, w którą się owinęła, musiała o coś zahaczyć.

Upadła, uderzając głową o chodnik.

Teri podbiegła do niej z krzykiem, uklękła i wzięła w ramiona jej krwawiącą głowę.

Tylko że teraz, we śnie, matka wcale nie umarła.

Wpatrywała się w nią pełnym wyrzutu spojrzeniem, a z jej ust wydobywały się słowa: „Dlaczego to zrobiłaś?”

Wściekłość ogarnęła Teri. Nie tak to miało być! Jej matka nie powinna była tego przeżyć!

Powinna była umrzeć!

Dziewczyna, czując ogarniającą ją furję, uniosła w górę zaciśniętą w pięść dłoń i uderzyła ją w twarz. I w tym samym momencie obudziła się ze snu.

Kułakiem waliła w poduszkę w to miejsce, gdzie jeszcze przed ułamkiem sekundy widziała twarz matki.

Leżała nieruchomo przez długą chwilę, pragnąc, by sen wypuścił ją ze swych objęć. Serce, walące jak oszalałe, zaczęło bić wolniej. Powracała powoli do rzeczywistości.

Nie była na podjeździe w San Fernando; leżała w swoim łóżku w Maplecrest. Na zewnątrz świeciło słońce, a do jej uszu dobiegał plusk obmywających plażę fal. Matka nie żyła i nikt nie wiedział, co zrobiła.

Była bezpieczna.

Godzinę później obudziła się raz jeszcze, tym razem nie z powodu snu, lecz krzyku, który dobiegł ją gdzieś spoza domu. Wstała z łóżka, podeszła do okna i zauważyła, że na korcie tenisowym koło basenu jej ojciec gra w tenisa.

Z Melissą.

Ogarnął ją przez chwilę gniew podobny do tego ze snu.

Ojciec powinien grać w tenisa z nią, a nie z Melissą! Tak to miało być, tak to sobie zaplanowała!

Przez tyle lat marzyła o powrocie do domu, o ogromnej posiadłości nad brzegiem morza, o swoim dużym pokoju i wszystkich innych rzeczach porzuconych przez jej matkę.

Z całą pewnością nie miała zamiaru dzielić się czymkolwiek ze swoją przyrodnią siostrą, zwłaszcza taką, która zabrała jej dom, ojca i wszystko inne, co powinno było należeć do niej.

Wróciła pamięcią do dziwnego odkrycia, którego dokonała w pokoju Melissy, i do planu, który zaczął wykluwać się w jej głowie krótko przed snem.

Odeszła od okna, otworzyła drzwi do łazienki i przeszła do pokoju Melissy.

Rozejrzała się wokół, nie będąc pewna, czego naprawdę szuka, wiedząc jednak, że musi tu być coś, co mogłaby wykorzystać.

Podeszła do małej toaletki stojącej pod ścianą między oknami i zaczęła otwierać szuflady.

Gdy wysunęła środkową, znalazła w niej niewielką, czarną szkatułkę i jeszcze zanim ją otworzyła, wiedziała już, co jest w środku. Jednakże uchyliła wieczko i wpatrywała się przez chwilę w sznur spoczywających na aksamicie pereł.

Naszyjnik, taki sam, jaki miała i ona.

I znowu ogarnęła ją furia. Melissa dostała też perły, cho-ciaż była o dwa lata młodsza od niej. Zamknęła szkatułkę i położyła ją w tym samym miejscu, z którego ją wzięła, i przeszukała do końca toaletkę.

Niczego nie znalazła.

W końcu podeszła do dużej komody stojącej w drugiej części pokoju i zaczęła w niej szperać. W drugiej szufladzie pod stertą skarpetek znalazła to, czego szukała.

Niewielki pamiętnik oprawiony w czarną skórę z inicjałami Melissy wytłoczonymi złotymi literami na okładce. Dziewczyna otworzyła go i i zaczęła szybkim wzrokiem przebiegać stronic.

Wszystko, co zapisano w pamiętniku, wyglądało jak listy, kierowane do kogoś o imieniu D'Arcy. Ale jeśli były to listy pisane przez Melisę do jednej ze swoich przyjaciółek, dlaczego znajdowały się w jej pamiętniku? Czy jej siostra tak nazwała pamiętnik? D'Arcy?

Kiedy jednak wczytała się w nie, zaczęła powoli rozumieć, o co chodzi.

D'Arcy — była tego prawie pewna — w rzeczywistości nie istniała. Nie była to też nazwa pamiętnika. Teri miała wrażenie, że D'Arcy była osobą wymyśloną przez Melisę, jej wyimaginowaną przyjaciółką. Teri przebiegała szybko wzrokiem strony, przewracając po kilka kartek naraz. Większa część tekstu była prawie nieczytelna, nabazgrano ją niezgrabnym pismem, przypominającym pismo pięciolatka. Ale z tego, co zdołała rozszyfrować, wynikało jednoznacznie, że dla Melissy jej przyjaciółka stała się żywą osobą.

Chciałam ci podziękować za to, że przysłaś pomoc mi zeszłej nocy. Mama była naprawdę wściekła na mnie i nie wiem, co bym zrobiła bez Ciebie...

...Mam nadzieję, że mama nie zrobiła ci krzywdy zeszłej nocy. Nie wiem, dlaczego wpadła w taką furję, ale myślę, że wiesz, jaka ona jest. Biła cię? Nie znoszę, gdy to robi. Gdyby kiedyś tak mi zrobiła, to bym chyba umarła.

Teri czytała dalej, próbując wyobrazić sobie, co to wszystko miało znaczyć, kiedy usłyszała, jak nagle otworzyły się drzwi. Wrzuciła zeszyt z powrotem do szuflady i już miała ją zamknąć, gdy usłyszała zakłopotany głos Cory:

— O przepraszam, myślałam... — Lecz ton głosu gospodyni uległ zmianie, gdy

zobaczyła, że w pokoju nie ma Me-lissy. — Teri? A co ty tutaj robisz?
Teri myślała gorączkowo, kiedy nagle jej palce dotknęły pary skarpetek Melissy. Odwróciła się z uśmiechem w stronę gospodyni.
— Skończyły mi się czyste skarpetki — wyjaśniła pochylając się i zamykając szufladę. — Wpadłam tu, żeby pożyczyć jedną parę od Melissy. — Przybrała zatroskany wyraz twarzy. — Nie będzie chyba miała nic przeciwko temu, prawda? Twarz Cory, spoglądającej dotychczas podejrzliwie na Teri, rozjaśniła się. — Oczywiście, że nie — odpowiedziała, po czym dodała: — Porozmawiam z twoim tatą. Wydaje mi się, że powinnaś zrobić jakieś większe zakupy. Nie możesz nosić wciąż tych samych ubrań.
Teri, tłumiąc westchnienie ulgi, uśmiechnęła się z wdziękiem do gospodyni. — Naprawdę? — zapytała. — Tak bardzo nie lubię o cokolwiek prosić. Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy...
Cora uciszyła ją delikatnie. — Nie wolno ci tak myśleć — upomniała ją. — Jesteś członkiem tej rodziny tak samo jak wszyscy inni i powinnaś mieć wszystko, czego ci potrzeba.
Zacząła ścielić łóżko Melissy, trajkocząc dalej.
Ale Teri już jej nie słuchała, zastanawiając się nad tym, co gospodyni powiedziała przed chwilą. „Powinnaś mieć wszystko, czego ci potrzeba”.
I będę to miała — powiedziała Teri do siebie w kilka minut po wyjściu z pokoju. Będę miała wszystko, co potrzebuję, i wszystko, co zechcę.

Rozdział 8

- Popatrz tylko na tę, czy to nie najbardziej szalowa spódniczka, jaką kiedykolwiek widziałas?

Melissa spoglądała przez witrynę sklepu na białą, bawełnianą spódniczkę ozdobioną błękitnymi kwiatami, doskonale harmonizującymi z kolorem oczu Teri. Była to już co najmniej szósta spódniczka, którą widziały do tej pory i która leżałaby wspaniale na jej przyrodniej siostrze, lecz na razie nie weszły jeszcze do żadnego sklepu.

Były w miasteczku już prawie godzinę, wędrując od witryny do witryny i rozkoszując się przyjemnym cieniem ogromnych klonów, których korony tworzyły szeroki baldachim nad ulicą i chodnikami. Prawie wszędzie widziały coś interesującego — spódniczkę, taką jak ta, na którą patrzyły w tej chwili, bluzkę lub sweter, a czasami tylko parę butów. Wszystkie te rzeczy zdawały się wołać do Teri, by je przymierzyła. Ale Teri jak na razie nie chciała wejść do żadnego sklepu.

— Nie mogę znieść myśli o tym, ile to może kosztować — wyjaśniła. — Jeszcze w Kalifornii chodziłam całym dniami po sklepach i udawałam przed samą sobą, że mogę sobie kupić wszystko, co tylko zobaczę.

— No ale teraz już możesz — odpowiedziała Melissa, chwytając rękę swojej przyrodniej siostry i ciągnąc ją w stronę drzwi. — Nie pamiętasz, co powiedziała mama? Masz kupić ubrania, a me tylko marzyć o nich. No, chodź!

Otworzyła drzwi butiku. Właścicielka, elegancka kobieta około trzydziestki, podniosła się ze stojącego w głębi sklepu krzesła i podeszła ku nim. — Melisso — powiedziała. — Zastanawiałam się już, kiedy przyjdiesz. Twoja mama dzwoniła i powiedziała, że możesz dzisiaj kupić, co tylko chcesz. — Mrugnęła do niej porozumiewawczo. — To jeszcze z okazji urodzin?

Melissa zarmieniała się i potrząsnęła przecząco głową.

- To nie dla mnie — wyjaśniła. — To dla mojej siostry. Tak naprawdę to nie moja rodzona, a przyrodnia siostra. Teri MacIver — zwróciła się w stronę Teri — Polly Corcoran, ale wszyscy nazywają ją Corky.

Teri uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. — Bardzo mi miło.

Oczy Corky rozbliły, kiedy ujęła wyciągniętą dłoń dziewczyny. — Jestem pewna, że nie może być żadnej wątpliwości co do tego, czyją jesteś córką, prawda? — zapytała. W tej chwili uśmiech znikł z jej twarzy i czoło przecięła głęboka bruzda. — Zawsze bardzo lubiłam twoją mamę. Udawałam nawet, że nazwano mnie Polly właśnie po niej, chociaż to nieprawda. Tak mi przykro z powodu tego, co się stało...

Teri także przestała się uśmiechać, spuściła wzrok i zdobyła się na lekkie skinienie głową. — Rozumiem — wymamrotała — mi samej wciąż trudno w to uwierzyć. Bez tatusia... — Głos jej się załamał i przez chwilę trwało niezręczne milczenie, przerwane nagle przez Corky, która klasnęła w dłonie i znowu uśmiechnęła się serdecznie. — Ale, ale, nie jesteśmy tutaj po to, żeby rozwodzić się nad naszymi smutkami, prawda? — spytała. I chociaż wiedziała, że radość w jej głosie była nieszczerą, zdecydowała jednak, że nie będzie stawiać dziewczyny w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji, i ciągnęła dalej: — Czy widziałas na wystawie coś, co ci się spodobało?

Teri przytaknęła głową.

Biała spódniczka? Ta w niebieskie kwiaty?

Twarz Corky rozjaśniła się. — Doskonale — powiedziała — ja też myślałam o tej właśnie spódniczce dla ciebie. — Zlustrowała fachowo Teri. — Czwórka?

Teri przytaknęła, a Corky zniknęła na zapleczu. W czasie jej nieobecności dziewczyna rozejrzała się po sklepie. Wnętrze przypominało bardziej gustownie urządzonej salonik niż sklep. Widać tu było tylko kilka sztuk odzieży, rozłożonych niedbale na oparciach krzeseł lub zawieszonych na stojących dyskretnie w rogu manekinach.

Dokładnie takie same sklepy Teri widziała już przedtem, z ta jednak różnica, że zawsze oglądała je z zewnątrz. Czuła przyjemne podniecenie, spowodowane oczekiwaniem na powrót Corky ze spódniczką.

Pięć minut później właścicielka wróciła z zaplecza obwieszona odzieżą.

— Pomyślałam sobie, że może chciałabyś dobrać do tej spódniczki bluzką lub dwie, a może i sweter — powiedziała, rozkładając towar na dużym mahoniowym stole po to, by Teri mogła przyjrzeć się mu bliżej. Wzrok dziewczyny powędrował od razu ku jedwabnej bluzce, której kolor pasował idealnie do błękitnych kwiatów na spódniczce i gdy sięgnęła po nią, Corky przytaknęła głową z uznaniem.

— Tak przypuszczałam, że może ci się spodobać. — Skinęła w stronę przebieralni, ukrytej za trzyczęściowym parawanem w orientalne wzory, a gdy Teri zniknęła już tam razem ze spódnicą i bluzką, zwróciła się do Melissy. — A co dla ciebie? — spytała. — Mam tu parę ślicznych rzeczy na jesień w twoim guście.

Melissa zawahała się, przypominając sobie, co powiedziała matka, zanim wyruszyły na zakupy:

— Pamiętaj, Melisso, nie robisz zakupów dla siebie. Masz wszystko, czego ci potrzeba. Jeden Pan Bóg wie, ile rzeczy ojciec ci nakupował, więcej niż jesteś w stanie wynosić. Dzisiaj robicie zakupy dla Teri. I na miłość boską — dodała — nie próbuj jej namawiać na kupno czegoś w tych burych kolorach, które tak lubisz. Ona ze swoją cerą może śmiało nosić to wszystko, w czym ty wyglądasz, jakbyś miała gripę.

Te słowa ubodły Melissę najbardziej, chociaż próbowała sobie wmówić, że matka nie chciała być taka okrutna. Potrząsnęła tylko głową i wymamrotała. — Wcale nie...

Corky nie musiała przynaglać Teri, gdyż ta szybko wyszła z przymierzalni. — No i jak? — spytała Melissę. — Co o tym sądzisz?

Melissa spoglądała na swą przyrodną siostrę, tłumiąc ze wszystkich sił uczucie zazdrości, które wezbrało gwałtownie gdzieś w zakamarkach jej serca. Lecz ujrawszy promienny

wyraz twarzy Teri, poczuła, jak zazdrość znika. To przecież nie była wina Teri, że wszystko leżało na niej jak ulał. Bluzka w stonowanym błękicie o długich rękawach zakończonych obcisłymi mankietami nadawała włosom dziewczyny kolor lnu. Skrojona była tak, że przód przylegał do piersi uwydatniając figurę, a równocześnie nie ujawniając jej zbyt. Spódnica spływała łagodnie od talii aż za kolana. Obie części garderoby stanowiły doskonałą całość.

— Piękna — powiedziała półgłosem Melissa.

— Ile kosztuje? — spytała Teri.

Corky uśmiechnęła się. — Spódnica tylko sto sześćdziesiąt dolarów, za to bluzka jest trochę droższa.

Oczy Teri rozszerzyły się i spojrzała nerwowo na siostrę. — O ile droższa? — zapytała niepewnym głosem.

— Kosztuje dwieście pięćdziesiąt dolarów — odrzekł Corky. — Jakby nie było, to przecież jedwab.

Teri spojrzała zrezygnowanym wzrokiem na Melissę.

— Drogo, prawda? — powiedziała, a Melissa była pewna, że w jej głosie słychać było błaganie. Zwróciła się do Corky:

— Czy mogę zatelefonować do mamy, żeby zapytać, czy możemy ją kupić?

— Telefon jest na biurku — odpowiedziała właścicielka — ale nie musisz tego

robić. Rozmawiałam już z twoją mamą i powiedziała mi, że możecie kupić, cokolwiek się wam podoba. A poza tym jeśli jest w ogóle ktoś, kto naprawdę wie, ile dzisiaj kosztują ubrania — dodała, marszcząc brwi i zniżając głos, jak gdyby zdradzała dziewczynom jakiś sekret — to jest to na pewno twoja mama.

— No to bierzemy ją — oświadczyła Teri i z rozradowaną twarzą podeszła do stołu i zaczęła oglądać kolejną bluzkę.

Po półgodzinie opuszczają sklep Corky, niosąc z sobą dwie spódnice, pięć bluzek i sweter, wszystko starannie zapakowane w tekturowe pudełka. Na każdym pudełku widniał znak firmowy sklepu Corky — butelka szampana na złotym tle.

— Wróćmy jeszcze raz do tego sklepu z odzieżą sportową — zaproponowała Teri, gdy wyszły na ulicę. — Te ciuchy są śliczne, ale potrzebuje przecież jeszcze stroju do tenisa i czegoś, co mogę nosić w ciągu dnia w klubie.

— Chodzi ci o ten sklep Play Things?

Teri przytaknęła. — Mieli tam świetne stroje kąpielowe na wystawie.

Minęły kilka sklepów i już po chwili Teri znów była w przy-mierzalni i wybierała stroje kąpielowe, szorty, koszulki i bawełniane spodnie. Kiedy wreszcie skończyła, na ładzie znalazł się znowu okazały stos odzieży. Wszystkie ubrania leżały na Teri jak ulał i były to takie same ubrania, jakie nosiły dzieci z Secret Cove.

Ekspedientka kończyła wypisywać rachunek i spojrzawszy na Teri spytała. — To już wszystko?

Teri już miała przytaknąć, gdy spostrzegła, że Melissa tęsknym okiem spogląda na obcisły strój do joggingu, z czarnymi ukośnymi pasami na piersi.

— Może byś to przymierzyła? — spytała siostrę. Melissa zaczerwieniła się i potrząsnęła przecząco głową. — Nie będzie na mnie dobrze wyglądał.

— Skąd wiesz? — spytała Teri. — Nie możesz nic powiedzieć, dopóki go nie włożysz. — Nie czekając na odpowiedź Melissy, zwróciła się do ekspedientki. — Czy ma pani jej rozmiar?

Kobieta przyjrzała się MeUssie z powątpiewaniem.

— Trudno mi powiedzieć. Ona ma nietypową sylwetkę. Ale proszę chwilę poczekać. Po kilku minutach wróciła z zaplecza i wręczyła Melissie wieszak z kostiumem. — Może przymierzysz ten — powiedziała do dziewczyny.

Po dwóch minutach Melissa wyszła z przymierzalni i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej zdaniem spodnie były zbyt obcisłe, a góra o numer za duża. No i ten kolor, prezentujący się tak wspaniale dopóki nie założyła kostiumu, nadawał teraz jej skórze dziwny, żółtawy odcień.

— Beznadziejnie — jęknęła, odwracając się od lustra i spoglądając na Teri — po co ja to w ogóle przymierzam?

— Przecież to jest bomba — odrzekła jej siostra. — Jak tylko weźmiemy górę o numer mniejszą, będzie leżało jak ulał.

— Co ty! — zaprotestowała Melissa. — Wyglądam w tym, jakbym miała żółtaczkę.

— Nieprawda — oświadczyła Teri. — Poza tym przypomnij sobie, co powiedziała mama. Masz nie kupować niczego w burym kolorze.

— Powiedziała, że nie mam niczego kupować — przypomniała jej Melissa. —

Mam już dość ubrań.

— Może i masz, ale nie wyglądasz w nich dobrze. Oczy Melissy zachmurzyły się, bo słowa Teri dotknęły ją do żywego, lecz ta zreflektowała się natychmiast i przeprosiła swą przyrodną siostrę.

— To nie znaczy, że wyglądasz w nich źle — dodała. — One po prostu nie są zbyt modne. Popatrz tylko, jak ubierają się inne dzieci. Zawsze noszą białe szorty, koszulki polo i inne takie rzeczy. — Podeszła do stołu, na którym piętrzyły się różnokolorowe koszulki i zaczęła w nich grzebać, wyjmując w końcu jedną jaskrawo zieloną i drugą w kolorze musztardy. — Mogłabyś nosić coś takiego — powiedziała, przykładając zieloną koszulkę do piersi Melissy.

Melissa spoglądała smutnym wzrokiem na koszulki i porównywała je w duchu z brązami i zgniłą zielenią, które zawsze wybierała dla siebie. Chociaż bardzo chciała, nie umiała wyobrazić sobie siebie samej w jakimkolwiek jaskrawym kolorze.

— Przymierz to — powiedziała Teri, wpychając jej do ręki koszulkę razem z parą białych szortów. — W tym czasie ja zobaczę, czy mają mniejsze góry tych strojów do joggingu.

Po kilku minutach Melissa wyszła z przymierzami i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Koszulka wisiała na niej jak worek, a szorty ciasno opinały uda, tak że wyglądała na bardziej pulchną, niż była w rzeczywistości. Teri, czytając w jej myślach, zwróciła się do ekspedientki;

— Czy nie ma pani czegoś z zakładkami? Dwadzieścia minut później, mimo gorących sprzeciwów

Melissy, Teri dołożyła do leżącego już na ladzie stosu ubrań parę białych szortów, dwie koszulki polo, jaskrawo czerwony kostium kąpielowy i strój do joggingu.

— Czy mogę to wziąć na kredyt? — spytała. — Nazywam się Teri MacIver. Charles Holloway to mój tata.

Ekspedientka uśmiechnęła się. — Oczywiście! Pani Hol-loway dzwoniła dzisiaj rano i powiedziała, że możecie kupić wszystko, co chcecie. Teri spojrzała na stertę odzieży, a potem jej wzrok powędrował w stronę stroju do tenisa, który zauważyła już wcześniej. W końcu jednak widząc przerażony wzrok Melissy, kiedy ta odczytała sumę na kasie, potrząsnęła przecząco głową.

— Myślę, że to wszystko — powiedziała. Ekspedientka wypisała czek i razem z piórem wręczyła

go dziewczynie. Teri wpatrywała się w wypisaną na czeku sumę. Razem z tym, co kupiły u Corky, łączna wartość zakupów przekroczyła trzy tysiące dolarów. Przez ułamek sekundy pomyślała o dwustu dolarach, które mogła wydać na ubrania do szkoły w zeszłym roku.

Przecież to było dawno temu — powiedziała w duchu i przestała o tym myśleć. Z ogromną przyjemnością wzięła pióro z rąk ekspedientki i złożyła swój podpis na czeku.

Phyllis Holloway spoglądała na męża, a w jej oczach płonął gniew. — Przecież od tego mamy prawników — powiedziała.

Charles zdjął okulary, które zakładał do czytania, i kciukiem oraz wskazującym palcem prawej ręki dotknął nasady nosa, częściowo, by złagodzić ból głowy narastający w nim w czasie trwającej z żoną burzliwej wymiany zdań, a częściowo po to, by zyskać chwilę wytchnienia w sprzeczce. Wreszcie westchnął, założył okulary z powrotem na nos i wziął do ręki plik leżących na biurku dokumentów.

- Już ci mówiłem, to prosta sprawa i mogę załatwić to sam. Jasne, że mógłbym zadzwonić do jakiegoś biura w Los

Angeles, żeby się tym zajęli, ale po co. W końcu ja też jestem prawnikiem.

— Dałbyś spokój — parsknęła pogardliwie Phyllis — ani przez jeden dzień nie prowadziłeś własnej praktyki i dobrze o tym wiesz.

Charles zacisnął tylko w milczeniu zęby i zastanowił się, nie po raz pierwszy zresztą, dlaczego w ogóle żył z Phyllis. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio powiedziała do niego jakieś czułe słowo, przynajmniej kiedy byli we dwoje, sam na sam. Rzecz jasna, w towarzystwie była wzorem troskliwej i kochającej żony. Nigdy nie zapomniała o tym, by stać blisko niego, a kiedy wychodzili razem, nigdy nie było sytuacji, by nie wspomniała rozmówcy czegoś o swym cudownym mężu.

Ale to wszystko było jedynie grą, gdyż kiedy byli sami, rzadko odzywała się do niego, jeżeli nie liczyć sytuacji, w których utyskiwała na to lub owo. Były to wady Cory lub Melissy, a najczęściej jego własne słabe lub złe strony.

Czy zawsze taka była?

Tego nie wiedział, gdyż kiedy ją poznawał, jego związek z Polly chylił się już ku upadkowi, a Phyllis wydawała mu się doskonała.

Żywa i pełna energii, nie była podobna do żadnej z dziewcząt, z którymi razem dorastał, a jut bynajmniej nie do Polly.

Podczas gdy jego była żoną cechowało naturalne poczucie dystansu, w Phyllis wydawała się drzemać nieposkromiona energia. Kochała do szaleństwa jego córkę, a równocześnie zawsze miała czas na to, by z nim porozmawiać. I kiedy Polly opuściła go, ich wspólne bycie razem wydawało się czymś najbardziej naturalnym w świecie, gdyż oboje boleli nad stratą Teri.

Kiedy Phyllis zaszła w ciążę, poślubił ją z prawdziwą radością. Przez pierwsze sześć miesięcy, aż da narodzin Melissy, ich pożycie układało się dobrze, a potem nagle wszystko się zmieniło. Tak naprawdę stało się to wtedy, kiedy Phyllis ujrzała po raz pierwszy swoją córkę. Spojrzała na maleńką twarzyczkę Melissy, obramowaną kosmykami brązowych włosów, i do oczu napłynęły jej łzy.

— Miała być blondynką — powiedziała spoglądając na Charlesa. — Tak chciałam, żeby była taka jak Teri...

On wziął niemowlę do ręki, przytulił do piersi i pocałował w czoło. — Przecież ona nie może być taka jak Teri — odrzekł. — Teri była córką Polly, a Melissa jest naszą córeczką.

Phyllis nie odezwała się na to ani słowem, a przynajmniej nie powiedziała tego, co

czuła naprawdę. Ale po latach Charles zrozumiał, że dla niej Melissa nigdy nie dorastała do standardów ustalonych przez Teri.

Podobnie jak i on nie zaspokoił jej oczekiwań jako mąż.

Z drugiej jednak strony, Phyllis zmieniła się niemalże w tej samej chwili, w której ją poślubił. Jej wigor znikł i czasami Charles zastanawiał się, czy w ogóle coś takiego w niej było, czy też może po prostu wyobraził to sobie i była to jedynie projekcja zrodzona z jego pragnień i marzeń.

W przeciągu roku Phyllis przeobraziła się z ładnej, a można i powiedzieć pięknej młodej niani z Filadelfii w swój własny model jednej z kobiet z wyższych sfer. W kogoś z Secret Cove.

Kupowała wyłącznie we właściwych sklepach i nosiła wyłącznie odpowiedniej marki odzież. W Nowym Jorku, gdzie spędzali większą część roku, chodziła wyłącznie do odpowiednich restauracji i udzielała się we wszystkich jedynie odpowiednich komitetach.

Przyjęto ją tam jako członka, gdyż (o czym jej nigdy nie powiedział i nie powie) wcześniej zamienił parę słów z mężami kobiet, które o tym decydowały, w zaciszu jednego z klubów.

Ale chociaż odwiedzała jedynie słuszne miejsca i nosiła wyłącznie odpowiednie stroje, nigdy tak naprawdę nie dopasowała się do znajomych i przyjaciół jej męża. Charles oczywiście rozumiał doskonale w czym rzecz. Do sfery Secret Cove nie można się było dopasować.

W niej można się było jedynie urodzić.

A Phyllis urodziła się gdzie indziej.

Nigdy nie przestała próbować znaleźć sobie swojego miejsca między tymi ludźmi, nigdy nie ustawała w próbach, by stać się taką samą kobietą jak jego pierwsza żona.

Nigdy też nie zrozumiała, że jednym z powodów, dla których ją poślubił, było to, że była inna niż Polly.

Jednakże ich małżeństwo przetrwało to wszystko, gdyż Charles już dawno temu postanowił, że jest w stanie znieść wszystko tak długo, jak będzie miał przy sobie Melisse.

Dla niego ich córka była doskonała. Jeśli miała jakieś wady, nie dostrzegał ich wcale, lub przynajmniej udawał, że ich nie dostrzega. Ogromna nieśmiałość Melissy ujmowała go za serce i nawet odpowiadało mu to, że dziewczyna nie potrafi się zgrać z innymi dziećmi z Secret Cove.

Wbrew temu, co sądziła jego żona, Charles był w głębi duszy przekonany, że Melissa nie traciła na tym zbyt wiele. Był pewien, że znacznie więcej nauczą ją książki, które wręcz pochłaniała, niż czcza paplanina dzieci nie mających nic do roboty poza zadzieraniem nosa z powodu pozycji i bogactwa swoich rodziców.

Wolał zatem znosić udręki tego małżeństwa, niż ryzykować utratę Melissy, tak jak utracił Teri. Lecz czasami, zwłaszcza w chwilach takich jak ta, nie było to łatwe.

— Przecież zachowujesz się bezmyślnie — odezwała się Phyllis rozżalonym głosem. — Zostaliśmy zaproszeni na pojutrze na obiad do Stevensów, a ty chcesz, żebyśmy odwołała wszystko w ostatniej chwili tylko po to, żebyś mógł lecieć do

Kalifornii.

— Wcale nie musisz wszystkiego odwoływać — zauważył Charles. — To nie jest żadne oficjalne przyjęcia i wiesz równie dobrze jak ja, że u Eleanor zawsze jest paru wolnych mężczyzn. Nie wiem, skąd ich bierze, ale faktem jest, że zawsze tam są.

Oczy Phyllis zapłonęły gniewem. — A więc jest ci zupełnie obojętne, z kim pójdę na przyjęcie?!

W tym momencie uwagę Charlesa przykuł jakiś ruch za oknem i spostrzegł Teri i Melissę, idące podjazdem i objuczone pakunkami.

— Słuchaj — odrzekł. — Nie moglibyśmy się zająć tym innym razem?

Dziewczynki właśnie wchodzą i...

— Nie, nie możemy! — krzyknęła Phyllis. — Jak śmiesz w ogóle tak mówić? Czy zdajesz sobie sprawę, jak ciężko musiałam się nagimnastykować, żeby zdobyć od Eleanor to zaproszenie? Czy wiesz, kto tam będzie? Sam gubernator! I nie mam wcale zamiaru iść tam sama lub uwiesić się na ramieniu jednego ze sztywniaków Eleanor. Gdybym wcześniej wiedziała, ile z tego będzie problemów, to...

W tym momencie Charles także miał już dość. Uderzył pięścią w stół i spojrzał złowrogo na żonę. — No właśnie! — wykrzyknął. — Zrozum wreszcie, że to wszystko nie jest przecież moją winą! Ja tak samo jak i ty nie wiedziałem o przyjeździe Teri. Ale dziewczyna jest już tutaj i możemy razem znaleźć przynajmniej jakieś wyjście z sytuacji. A jeśli zapomniłaś, to chcę ci przypomnieć, że jestem nie tylko ojcem Teri, ale także powiernikiem jej majątku.

— Majątku! — parsknęła pogardliwie Phyllis. — Chryste, każdy przecież wie, że Polly wszystko, co miała, rozdała do ostatniego grosza. Nie ma tam już żadnego majątku.

— Jest więcej, niż mogłabyś przypuszczać. Tom miał polisę na życie, a sam dom wart był ćwierć miliona.

Phyllis przybrała pogardliwy wyraz twarzy. — W Kaliforni można kupić za to tylko jakąś starą rudę.

Charles, wyraźnie zmęczony sprzeczką z żoną, pokręcił zrezygnowany głową. — Dobrze, rób, co chcesz — powie-dział — idź na to przyjęcie sama, idź z kimś innym albo nie idź wcale. Ja jednak mam pewne zobowiązania wobec Teri i mam zamiar ich dotrzymać. Daj sobie więc spokój z argumentami. Nie obchodzi mnie, co myślisz, i tak lecę jutro do

Phyllis otworzyła usta, gotowa dalej ciągnąć spór, ale widząc wyraz twarzy męża, zmieniła zdanie. Wiedziała, że była granica, poza którą nie wolno jej było go drażnić. Lecz z drugiej strony konieczność pójścia do Ellen samotnie, bez Charlesa, i ten wzrok obserwujących ją gości i ich dociekania: Czy Charles rzeczywiście wyjechał w interesach, czy po prostu nie chciał przyjść...? Mogłoby nawet pomyśleć, że znalazł sobie kogoś innego i chce ją porzucić...

Nie, lepiej nie pójść wcale i nie wystawiać się na ryzyko plotek.

Odwróciła się w milczeniu plecami do męża i skierowała się ku drzwiom, nie zauważywszy ulgi, która pojawiła się na twarzy jej męża, gdy wychodziła z pokoju.

Teri stała u podnóża schodów i kiedy usłyszała końcowy fragment sprzeczki między jej ojcem a przybraną matką, w jej sercu zapłonął gniew.

Obowiązek?!

Czy jedynie tym była dla swojego ojca? Kimś, kim musiał się zajmować, ponieważ była jego córką?

Poczuła na sobie wzrok Melissy, która odezwała się do niej ciepłym i pełnym współczucia głosem:

— On wcale tak nie myślał. To tylko tak z powodu kłótni z mamą... To się zdarza... cały czas.

Teri opanowała się i zwróciła ku siostrze. Podbródek lekko jej drżał, a w oczach szklily się łzy.

— Już dobrze — westchnęła — ja... ja po prostu mam nadzieję, że pewnego dnia pokocha mnie tak mocno, jak kocha ciebie.

Melissa, poruszona tym wyznaniem, upuściła trzymane w ręku pudełko i zarzuciła Teri ramiona na szyję. — Pokocha cię — obiecała. — Wiem, że to zrobi. Będzie kochał cię tak mocno, jak ja ciebie kocham.

Teri w milczeniu pozwoliła objąć się siostrze.

— Nie rozumiem, dlaczego w takie dni jak ten nie chodzimy do klubu? — odezwała się Phyllis. Było słoneczne popołudnie i siedziała w cieniu parasola koło basenu. Charles leżał nie opodal rozciągnięty na leżaku, czytając wczorajszy numer „Wall Street Journal”. Teri wygrzewała się w słońcu, a Melissa przepływała basen tam i z powrotem, starając się na próżno zrzucić kilka kilogramów po to, by dobrze wyglądać w nowym stroju kąpielowym.

Na początku nie chciała go wcale założyć, lecz Teri twierdziła, że wygląda w nim świetnie, i kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę i wyszła z szatni, matka podzieliła opinię Teri.

— Miło ujrzeć cię na odmianę w czymś kolorowym. Gdybyś jeszcze mogła zrzucić parę kilogramów...

— Przecież nie ma wcale złej sylwetki — przerwał jej Charles, ale jego uwaga przeszła nie zauważona.

Melissa więc już od dłuższej chwili przebywała w wodzie, starając się dzielnie przepłynąć przynajmniej pięćdziesiąt długości basenu.

- Słyszałeś, co powiedziałam, Charles? — zapytała Phyllis.

Charles przytaknął machinalnie głową. — O co ci chodzi? Nasz basen jest prawie tej samej wielkości co basen w klubie, a w dodatku o wiele mniej zatłoczony.

- Ale tam są wszyscy nasi przyjaciele — ciągnęła dalej Phyllis. — To tak wygląda, jakbyśmy z nikim nie utrzymywali kontaktów.

Charles odłożył gazetę. — Jeśli chcesz iść, to proszę bardzo. Ja nie wyobrażam sobie przesiadywania w takim tłumie.

Dobiegł ich dźwięk telefonu. Charles wstał, lecz Phyllis powstrzymała go ruchem ręki. — Niech Cora go odbierze. Bóg jeden wie, czy ona robi cokolwiek w tym domu. Sądzę, Charles, że czas najwyższy pomyśleć o przyjęciu innej gospodyni.

Wiem, jak...

Tym razem to jej przerwano. W drzwiach kuchennych pojawiła nią Cora i krzyknęła w stronę basenu:

- To do pani, pani Holloway. Dzwoni pani Van Arsdale!

Phyllis natychmiast podniosła się z krzesła i rzuciła się do telefonu.

— Słucham, Lenore.

— Cześć, Phyllis. — W głosie Lenore Van Arsdale, dobiegającym z drugiej strony słuchawki, pobrzmiwała owa chłodna pewność siebie, której zawsze brakowało Phyllis.—Zdarzyło się coś okropnego i mam nadzieję, że mi to wybaczysz.

Phyllis wstrzymała oddech, spodziewając się, że Lenore oznajmi jej za chwilę, że ktoś inny zastąpi ją w komitecie przygotowującym bal.

— Wiesz pewnie, że Brett zaprasza jutro wieczorem kilku przyjaciół na ognisko na plażę...

Phyllis rozdziawiła usta w zdumieniu. Nic o tym nie wiedziała!

— Tak, wiem — odpowiedziała najbardziej niedbale, jak tylko umiała. — Któraś z moich dziewczyn wspominała mi o tym.

— No cóż, nie wiem, jak to powiedzieć... W jakiś trudny dla mnie do wytłumaczenia sposób Melissa nie znalazła się na liście gości. Zdaję sobie sprawę, że jest bardzo mało czasu, ale czy nie za późno, żeby ją zaprosić? No i oczywiście Brett byłby bardzo ucieszony, gdyby przyszła także Teri...

I wtedy Phyllis zrozumiała, w czym rzecz. Wcale nie zapraszano Melissy. Chodziło o Teri.

Ledwie się poznała z dziećmi z Secret Cove, a te już ją przyjęły do swego grona, uznając za jedno z nich.

Odwróciła się i spojrzała bezwiednie za okno. Teri siedziała przy krawędzi basenu i przysłuchiwała się Melissie, kucającej u jej stóp, jak trochę wyrosnięty piesek z ociekającymi wodą i spływającymi na plecy włosami. Na miłość boską — pomyślała Phyllis — czy ona nigdy nie nauczy się siedzieć jak normalny człowiek? Musi tak kucać jak jakiś wieśniak? Nie ma co się dziwić, że dzieci z klubu nie chcą, żeby z nimi przebywała.

— Jestem pewna, że obie przyjdą jutro z największą radością — powiedziała do słuchawki. — Jakże to miło z twojej strony, że pamiętałaś o Teri.

— Z chęcią ją jutro zobaczę — odpowiedziała Lenore. — Ona jest taka podobna do Polly...

Gawędziły jeszcze przez chwilę, aż wreszcie Lenore poprosiła, żeby kończyć, bo musi jeszcze przedzwonić do kilku osób, iodłożyła słuchawkę. Phyllis, zanim wróciła do basenu, spojrzała jeszcze raz przez okno.

Obie dziewczyny siedziały razem, obok siebie. Córka taka, jakiej zawsze pragnęła, i ta, którą miała w rzeczywistości.

Lecz oto teraz, jakimś cudownym zrzędzeniem losu Teri pojawiła się w jej domu i być może od tej chwili wszystkie jej usilne pragnienia spełnią się.

O ile Melissa nie zrukuje życia siostrze, podobnie jak uczyniła to mnie — pomyślała Phyllis.

Wyszła na zalany słońcem taras, a obie dziewczyny spojrzały na nią. Phyllis uśmiechnęła się. — Moje panny — obwieściła — właśnie zostałyście zaproszone

na imprezę na jutrzejszy wieczór.

Charles powtórnie odłożył gazetę. — A co to za impreza?

— Brett robi jutro wieczorem ognisko na plaży i Lenore zaprosiła obie dziewczyny.

Twarz Teri rozjaśniła się, lecz gdy po chwili usłyszała słowa ojca, uśmiech znikł z jej ust.

— Czy to nie za wcześnie jak dla niej, żeby chodzić na prywatki? — zapytał zatroskanym głosem.

Teri myślała gorączkowo, co by tu powiedzieć, i szukała jakiegoś argumentu, gdy nagle z pomocą przyszła jej przybrana matka.

- Widocznie Lenore jest innego zdania — odrzekła.

I ja także. Siedzenie cały czas z nami na pewno nie pomoże Teri. Musi zacząć poznawać nowych przyjaciół.

Teri spojrzała z napięciem na ojca, który przez długą chwilę wydawał się rozważać w myślach całą sprawę, wreszcie skinął głową. — To chyba nikomu nie zaszkodzi.

— Po czym zwrócił się do Melissy: — A ty jak sądzisz, Melisiu? Czy tam będzie dobra zabawa?

Melissa przygryzła dolną wargę, przypominając sobie swoje urodziny. Te same dzieci, które były u niej, będą jutro na ognisku.

Te same, które wczoraj na plaży zachowywały się tak, jak gdyby jej nie znały.

— Ja... nie wiem — powiedziała wreszcie, nie chcąc zdradzić rodzicom, o czym naprawdę myśli. — Wydaje mi się...

Charles wyczuwając zdenerwowanie córki, uśmiechnął się do niej, chcąc dodać jej otuchy. — Jeśli nie chcesz iść, to po prostu powiedz. To, że ktoś cię zaprasza, wcale nie znaczy, że musisz pójść.

— Ja... ja wolałabym zostać w domu — wybąkała.

— Zrobisz, jak uważasz — oświadczył Charles i wziął z powrotem do ręki gazetę, nie zauważając wcale irytacji, która pojawiła się w oczach jego żony.

— Może jeszcze zmieni zdanie — powiedziała Phyllis, wbijając wzrok w córkę.

Charles, pogrążony w lekturze, nie zauważył przestrachu w oczach Melissy, wywołanego słowami matki. Nie uszło to jednak uwagi Teri.

Rozdział 9

Melissa siedziała w milczeniu przy stole i wpatrywała się w talerz, chcąc bardzo zmusić się do jedzenia. Wciąż czuła na sobie wzrok matki i chociaż ta nie odezwała się do niej ani słowem, jej gniew wisiał nad nią jak chmura gradowa i nie

potrafiła przełknąć ani kęsa. Wiedziała jednak, że musi zjeść kolację do końca. Gdyby tego nie zrobiła, matka kazałaby jej zostać przy stole jeszcze co najmniej godzinę i musiałyby wysłuchać jej wykładu o tym, jak złe są jej maniery i jak bardzo rani Corę nie jedząc posiłku, który gospodyni z takim trudem przygotowała.

Zatopiła widelec w steku, który wydawał się rosnąć z samego leżenia na talerzu, odkroiła ostrożnie niewielki kawałeczek i włożyła go do ust.

Gdy przeżuwała mięso, czuła, że ma ściśnięte gardło i przez chwilę nawet bała się, że nie będzie w stanie połknąć tego, co miała w ustach. W końcu udało jej się i zabrała się do następnego kęsa. Rozejrzała się ukradkiem wokół stołu; wszyscy skończyli, a ojciec kładł właśnie nóż i widelec na środku talerza i wycierał usta serwetką. Odsunął się z krzesłem i uśmiechnął do córki.

— Czy rodzinka chciałaby pójść do kina? — zapytał. Melissa instynktownie spojrzała na matkę i przez chwilę wydawało jej się, że być może dzisiejszego wieczora wszystko się jeszcze jakoś ułoży. Ale kiedy napotkała wzrok Phyllis, zrozumiała, że nie zostało jej jeszcze wybaczone to, co powiedziała po południu: że nie chce pójść jutro na ognisko. Pomyślała: — No i co z tego? Przecież tak naprawdę nikt nie chciał, żeby przyszła, potrzebowali tylko Teri. To dlaczego Teri nie mogłaby pójść sama?

Z zamyślenia wyrwał ją głos matki. Kiedy usłyszała jej słowa, poczuła, jak zaczyna ją ścisnąć w żołądku ze strachu.

— A może poszedłbyś z Teri? — powiedziała Phyllis do Charlesa. — Oboje nie mieliście zbyt wiele okazji, by spędzić trochę czasu z sobą. A jeśli chodzi o Melisę i o ranie, spędzimy sobie razem miły wieczór tylko we dwie.

Melissa spojrzała szybko na ojca. — Czy nie mogłabym pójść z wami? — zapytała błagalnym tonem. — Proszę cię...

Zanim Charles zdołał cokolwiek powiedzieć, Phyllis odezwała się po raz drugi, zwracając się tym razem do córki.

— Jesteś bardzo wielką egoistką, Melisso. Zachowujesz się tak, jakby ojciec należał wyłącznie do ciebie. Nie wolno ci przecież zapominać, że jest także tatą Teri. A poza tym — dodała z zimnym spojrzeniem, które zadawało kłam zarówno jej słowom, jak i uśmiechowi na twarzy — razem spędzimy naprawdę miły wieczór. Melissa chciała kłócić się z matką i błagać ojca, ale wiedziała, że to tylko pogorszy całą sprawę. Bo gdy tato z Teri już pójda...

Odpędziła od siebie tę myśl i zmusiła się znowu do tego, by zjeść do końca to, co miała na talerzu.

— Poza tym — ciągnęła dalej matka, powtarzając słowa, które Melissa słyszała już wielokrotnie przedtem — nie skończyłaś jeszcze kolacji i znasz zasady panujące w tym domu. Jemy wszystko co na talerzu, nieważne, czy nam smakuje, czy nie. Nie spodziewaj się, że cię gdziekolwiek zaproszą, jeśli nie będziesz grzeczna dla gospodyni.

Melissa, starając się ze wszystkich sił nie słuchać tego, co mówiła matka, po raz kolejny zabrała się do steku. Odcinając nożem jak najmniejsze kawałki, połykała je

na siłę, jeden po drugim. Kiedy ojciec pochylił się nad nią, by ją pocałować na do widzenia przed wyjściem do kina, gotowa była się rozplakać, ale powstrzymała łzy słysząc słowa, które szeptał jej ojciec:

— Mama ma rację, kochanie. Wiem, że trudno ci jeść, kiedy nie jesteś głodna, ale to niegrzecznie nie skończyć tego, co na talerzu. — Objął ją zachęcająco, a ona chciała rzucić się mu na szyję i błagać, by zabrał ją z sobą, ale wiedziała, że to nic nie da.

Mama zdecydowała, że zostanie w domu, i nie miało sensu się sprzeczać.

Kłótnia pogorszyłaby tylko całą sprawę.

Dwadzieścia minut później, pod czujnym okiem matki, dokończyła wreszcie kolację. Na stole wokół niej leżały wciąż jeszcze puste talerze. Jej obowiązkiem było je sprzątnąć, a następnie pomóc Corze przy zmywaniu. Bojąc się, że jakiegokolwiek słowo wypowiedziane przez nią mogłoby jeszcze bardziej rozżłościć matkę, wstała w milczeniu od stołu.

Co mówimy na koniec? — odezwała się natychmiast Phyllis natarczywym głosem. Melissa zdrętwiała, a potem przypomniała sobie formułkę: -Czy mogę już odejść od stołu?

Phyllis przytaknęła grzecznie głową i dziewczyna zaczęła zbierać naczynia.

Chwilę później weszła do kuchni, przechodząc przez pokój, gdzie przechowywano zastawę. Cora, która zmyła już wszystko z wyjątkiem tych naczyń, które pozostały na stole i które miała sprzątnąć Melissa, wzięła stos talerzy z rąk dziewczyny.

— Kolacja nie była chyba dzisiaj zbyt dobra — powiedziała.

— Była znakomita, Coro. Tylko ja po prostu nie byłam zbyt głodna.

— Dobrze wiem, jak to jest — westchnęła gospodyni, wkładając naczynia do zlewu. — Czasami są takie dni, że na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Ja uważam, że nie należy zmuszać się do jedzenia, nasz organizm tego nie chce.

Melissa wzięła do ręki ścierkę i zaczęła wycierać do sucha srebrną zastawę, którą Cora kładła na suszarce obok zlewu. Kierowała tęskne spojrzenia na zmywarkę do naczyń, stojącą nie opodal, ale wiedziała, że lepiej nie proponować jej użycia. W takie wieczory jak ten, kiedy pracowała za karę w kuchni, korzystanie ze zmywarki było surowo zabronione, nawet dla Cory.

— Musi nauczyć się pracować — powtarzała Phyllis niejednokrotnie. — Nie chcę, żeby moje dziecko było rozpuszczone.

Melissa wzięła właśnie z suszarki ostatni talerz, kiedy drzwi z kuchni nagle otworzyły się i uderzyły z łoskotem o ścianę.

Podskoczyła przestraszona, a w chwilę później zdrętwiała, czując jak talerz wyślizguje się jej z rąk i spada na podłogę, rozbijając się w drobny mak.

Cora westchnęła wylękniona i jej wzrok powędrował natychmiast ku drzwiom, w których stała Phyllis, wpatrując się zimno w córkę.

— Nic się nie stało, kochanie — powiedziała gospodyni, schylając się, żeby pozbiierać skorupy. — To się każdemu zdarza.

— Zostaw to, Coro. — Słowa Phyllis, chociaż wypowiedziane cicho, brzmiały jak rozkaz, który sprawił, że gospodyni wyprostowała się, nie dotknąwszy nawet potłuczonego talerza.

— Jedyńm sposobem, żeby odczyć Melissę bycia taką niezdara, jest kazać jej ponosić odpowiedzialność za wszystko, co robi.

Cora zawahała się, nie wiedząc, co ma robić dalej, lecz Phyllis dodała: — Dzisiaj już jesteś wolna, Coro. Melissa zrobi resztę. Możesz odejść.

Wiedząc, że lepiej nie spierać się ze swoją chlebodawczy-nią, gospodyni w milczeniu zdjęła fartuch i powiesiła go na wieszaku obok drzwi wiodących na podwórze. Po chwili Melissa, z sercem walącym ze strachu, została sam na sam z matką.

Phyllis w dalszym ciągu kierowała oschłe słowa do córki:

— Obawiam się, że będziemy musiały dzisiaj porozmawiać, Melisso — powiedziała po chwili milczenia, która dla dziewczyny trwała wieki. — Posprzątaj ten bałagan, a potem idź i zaczekaj na mnie w pokoju.

Melissa ze łzami w oczach zaczęła zbierać z podłogi kawałki potłuczonego talerza. Pracowała najwolniej jak tylko mogła, lecz w końcu podłoga, zlew i szafka były czyste. Nie mogła odwlekać już tego dłużej.

Poszła do swojego pokoju i czekała na matkę.

Gdy drzwi jej sypialni otworzyły się i do środka weszła Phyllis, Melissa spojrzała wpierv na jej ręce. Były puste.

Ale potem uświadomiła sobie, że to o niczym nie świadczy. Jeśli mama chciała przywiązać ją do łóżka, nie zrobiłaby tego teraz. Zaczekałaby aż do chwili, kiedy ojciec pójdzie spać.

Phyllis zamknęła drzwi i oparła się o nie na chwilę, taksując wzrokiem córkę skuloną na łóżku. Nienawidziła tego słowa, nawet kiedy używała go tylko w myślach.

A przecież zdawała sobie doskonale sprawę, że to właśnie robiła w tej chwili Melissa.

Kuliła się ze strachu.

„Gdybyż to dziecko miało w sobie chociaż trochę odwagi i godności!”

Wiedziała, że nadaremno tego pragnie. Melissa nigdy nie miała i nigdy nie będzie miała w sobie ani krzty odwagi i pewności siebie. Jedyne, co mogła zrobić, to nauczyć ją, jak należy się właściwie zachowywać i nie stawiać w niezręcznej sytuacji matki.

— Wstań, Melisso! — rozkazała Phyllis.

Melissa posłusznie zgramoliła się z łóżka i stanęła wyprostowana.

Phyllis zlustrowała z niesmakiem jej ubranie. Teri pojawiła się dziś na kolacji w zupełnie nowym stroju, który sobie kupiła rano, podczas gdy Melissa miała na sobie wciąż tę samą wytartą parę dzinsów, włożonych po popołudniowej kąpieli, i trykotową koszulkę, po której już od dawna nie można było poznać, jakiego była na początku koloru.

— Gdzie są te nowe rzeczy, które wybrała dla ciebie Teri? — zapytała Phyllis głosem, z którego przebijał z trudem skrywany gniew, jaki kipiał w niej zawsze, kiedy spoglądała na córkę.

— W szafce na ubrania — wyszeptała Melissa.

— Gdzie? — zapytała Phyllis. — Mów tak, żeby cię można było usłyszeć, Melisso!

— Powiedziałam, że są w szafce na ubrania — powtórzyła Melissa czując, jak gardło zaciska się jej przy każdym słowie.

— Dlaczego ich dzisiaj nie włożyłaś?

Melissa oblizwała nerwowo wargi i przebiegła wzrokiem pokój, jak gdyby szukając schronienia.

— Ja... one mi nie pasują — wydusiła z siebie wreszcie. — Nie leżą na mnie zbyt dobrze.

Nozdrza Phyllis rozszerzyły się i matka zacisnęła wargi.

— Nic ci nie pasuje, Melisso. Jak sądzisz, dlaczego tak jest?

Melissa wzdrygała się przed wypowiedzeniem tych słów, ale wiedziała, że musi odpowiedzieć na to pytanie.

— Bo... bo jestem za gruba — odrzekła ze łzami w oczach.

— No i... — naciskała Phyllis. — I co jeszcze? Melissa przełknęła ślinę. — I nie chodzę tak prosto jak

powinam — powiedziała, zmuszając się do wyrecytowania tego okropnego katechizmu, który matka wbijała jej w głowę, odkąd dziewczyna umiała sięgnąć pamięcią.

Phyllis wbiła wzrok w drżącą ze strachu córkę. — I czyja to wina?

Melissa wpatrywała się w podłogę, nie odzywając się ani słowem.

Phyllis zrobiła krok w jej stronę, a dziewczyna przyłgnęła mocniej do łóżka.

— Czyja? — zapytała Phyllis stanowczym głosem.

— Moja... — To słowo wydobyło się z ust Melissy jak ostatnie tchnienie umierającego ptaszka i dziewczyna spojrzała wreszcie w twarz matce.

— To moja wina, mamusiu — ciągnęła dalej, a słowa, potykając się o siebie nawzajem, zaczęły płynąć potokiem z jej ust.

— Jem za dużo i nie to, co powinam... mam częściej bawić się z innymi dziećmi i spędzać więcej czasu w klubie.

— I dlaczego tego nie robisz? — zapytała oskarżycielsko Phyllis. — Dlaczego nie robisz tego wszystkiego co inne dzieci? Dlaczego chcesz, żebym wstydziła się za ciebie?

— Nie wiem — zaszlochała Melissa. Czuła, że zaraz się rozpłacze i jedyne, czego pragnęła, to rzucić się na łóżko, zwinąć w kłębek i uciec od tego wszystkiego. Ale nie mogła tego zrobić.

Nie teraz. Jeszcze nie.

Musiała stać tam, gdzie stała, patrzeć matce prosto w twarz i starać się, by jej słowa jej nie raniły.

Pomóż mi! — krzyczała bezgłośnie. — Pomóż mi, D'Arcy. Nie zostawiaj mnie samej. Proszę cię...

— Wyjmij z szafy swoje nowe ubrania, Melisso — odezwała się do niej Phyllis.

Melissa, przywołując jeszcze raz w swojej wyobraźni D'Arcy, podeszła do szafy i wyjęła z niej stos nowych ubrań, wybranych dla niej przez Teri. Położyła je na łóżku, tak jak kazała jej matka.

— Białe szorty — powiedziała po długiej chwili milczenia Phyllis. — Włóż białe szorty i zieloną bluzkę.

Melissa z kołatającym sercem zdjęła dzinsy oraz koszulkę i wciągnęła szorty i bluzkę, mocując się z nią przez chwilę.

— Teraz spójrz na siebie w lustrze.

Dziewczyna zawahała się. Wiedziała dobrze, jak leżały na niej te ubrania. Mierzyła je już dwa razy, raz w sklepie, a potem w domu. Bez względu na to, co by jej nie powiedziano, wiedziała, że jej nie pasują.

W jasnych kolorach wyglądała śmiesznie, a ich krój jeszcze bardziej ją pogrubiał.

— Spójrz tylko! — powiedziała stanowczym tonem Phyllis. Podeszła do córki, kładąc jej ręce na ramionach. Obróciła ją nagłym szarpnięciem i pchnęła w stronę lustra. — Popatrz na siebie! — rozkazała.

Melissa skrzywiła się z bólu, czując, jak palce matki wpijają się w jej ciało, lecz w tym momencie usłyszała nagle, jak D'Arcy mówi szeptem do niej:

— Już dobrze, Melisso. Jestem tutaj. Już możesz zasnąć.

Popychana przez matkę podeszła i spojrzała w lustro. Ale zamiast własnego odbicia ujrzała w nim D'Arcy, spoglądającą na nią łagodnie i uśmiechającą się do niej. Postać z lustra podeszła do niej i wyciągnęła ku niej ręce. Zamknęła oczy czując, jak delikatne i chłodne palce jej przyjaciółki dotykają jej policzka i ocierają łzy.

Wokół niej zaczęła się zamykać znajoma ciemność, a o-statnie słowa, jakie dotarły do niej, gdy odpływała w mrok, pochodziły z ust D'Arcy: — Jestem przy tobie i możesz już zasnąć. Zaopiekuję się tobą i zatroszczę o wszystko.

Phyllis czuła, jak ciało córki więdnie jej w dłoniach, i zwolniła uścisk.

— No i? — zapytała natarczywie. — Powiedz mi, co widzisz.

Melissa nic nie odpowiedziała i matkę znowu ogarnął gniew.

— Spójrz na siebie! — wrzasnęła. Zaciśnęła znowu palce na ramionach dziewczyny i zaczęła nią gwałtownie potrząsać. Głowa Melissy opadała tam i z powrotem, ale mimo gwałtownych ruchów matki dziewczyna nie odezwała się ani słowem.

— Wyglądasz okropnie — zasyczała Phyllis. — Jesteś gruba, jesteś brzydka i co gorsza nic cię to nie obchodzi! Na miłość boską, jak to możliwe, że ty jesteś moją córką?

Odciągnęła ją gwałtownie od lustra i pchnęła na stojące obok toaletki krzesło. — Mogłabyś być tak ładna jak Teri, gdybyś tylko chciała! Popatrz na siebie! Spójrz na swoje włosy! Przecież to wstyd!

Otworzyła górną szufladę toaletki i chwyciła leżące tam nożyczki. W chwilę później, tnąc nimi niezdarnie, obcinała włosy córki.

Melissa spoglądała tępym wzrokiem w lustro, a jej włosy wolno spadały na podłogę, tak że został po nich w korku tylko nierówny i poszarpany kucyk.

— Proszę! — warknęła Phyllis, kończąc strzyżenie. — Popatrz! Czy tak nie jest lepiej?!

Melissa nic na to nie odpowiedziała i Phyllis, drżąc cała z wściekłości i rozpacz, pochyliła się gwałtownie ku niej. — Odpowiedz mi! — wrzasnęła. — Dlaczego mi nie odpowiadasz!

Melissa milczała, siedząc cicho na krześle przed toaletką z oczami utkwionymi w

lustrze.

— Dobrze — odezwała się Phyllis, kładąc znów dłonie na ramionach córki. — Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, nie musisz. Ale radzę ci posłuchać mnie teraz uważnie, moja panno! Jeśli chcesz spędzić całe życie sama jak palec, nic mnie to nie obchodzi. Ale nie pozwolę dłużej na to, żebyś była niegrzeczna wobec moich przyjaciółek lub ich dzieci. Rozumiesz, co mówię do ciebie?

Melissa siedziała bez słowa i nawet skinieniem głowy nie potwierdziła, że dotarły do niej słowa matki.

Palce Phyllis wpiły się mocniej w ramiona córki. — Wiem, że mnie słyszysz, Melisso! Nie jesteś przecież głucha! Więc słuchaj uważnie. Nie pozwolę na to, żebyś zepsuła życie Teri, tak jak zepsułaś swoje i jak próbujesz zepsuć teraz moje. A więc jutro wieczorem, czy ci się to podoba, czy nie, idziesz na ognisko. To bardzo miło ze strony pani Van Ar-sdale, że cię zaprosiła, i nie będziesz jej obrażać swoją odmową! Będziesz miła i grzeczna dla wszystkich i nie zrobisz niczego, za co będę się musiała potem wstydzić. A teraz odpowiedz mi, czy słyszałaś, co do ciebie powiedziałam.

Melissa obojętnie i w milczeniu wpatrywała się w lustro.

— W porządku! — zasyczała Phyllis. — Chcesz mieć kłopoty, to będziesz je miała. Gwałtownym szarpnięciem postawiła raz jeszcze córkę na nogi i popchnęła przez pokój w stronę szafy. Otworzyła drzwi, wepchnęła ją do środka i zamknęła szafę na klucz. — Radzę ci dobrze to przemyśleć — rzuciła na koniec. — Przyjdę za godzinę. Może do tej pory zdecydujesz zachowywać się tak, jak cię wychowałam. Zanim wyszła szybkim krokiem z pokoju, jej wzrok padł na parę starych dżinsów i trykotową koszulkę, wciąż leżące na podłodze, tam gdzie je położyła Melissa. Biorąc do ręki raz jeszcze nożyczki pocięła na kawałki części garderoby, które przyprawiły ją o taką furję, i cisnęła je na łóżko. Wyrzuciwszy wreszcie z siebie całą złość, opuściła sypialnię córki.

Była już prawie dziesiąta, kiedy Teri i Charles wrócili z kina. Na dole w holu paliło się tylko jedno światło. Kiedy weszli na górę, zastali Phyllis leżącą w łóżku i pogrążoną w lekturze. Gdy ich ujrzeli, odłożyła książkę i uśmiechnęła się do Teri.

— I jak było w kinie?

— Świetnie — odpowiedziała dziewczyna. — Dawali horror! Nigdy w życiu jeszcze się tak nic bałam! Ale przynajmniej wysiedziałam do końca. Za to tatuś wyszedł z sali.

Charles uśmiechnął się krzywo. — Siekanie ludzi na kawałki maczetami to nie w moim guście. Ale Teri się podobało.

— Dobrze w takim razie, że nie pozwoliłam zobaczyć tego filmu Melissie — zauważyła Phyllis. — Miałyby koszmary przez cały miesiąc.

— Czy ona jest już w łóżku? — zapytał Charles, spoglądając na zegarek.

Phyllis przytaknęła. — Trochę sobie porozmawialiśmy i potem zdecydowałyśmy, że obie dzisiaj pójdziemy wcześniej do łóżek — powiedziała. — Chyba zasnęła z godzinę temu.

Gawędzili jeszcze przez chwilę i w końcu Teri pocałowała ojca i swoją nową mamę na dobranoc i poszła do pokoju. Stała przez chwilę przed lustrem wiszącym na drzwiach od szafy, podziwiając swoje nowe ubrania, następnie zdjęła je i powiesiła starannie na wieszaku. Nałożyła szlafrok i poszła do łazienki umyć zęby. Kiedy już miała odkręcić wodę, usłyszała nagle głos Melissy:

— Co ja teraz zrobię, D'Arcy? Co na to powie mama? Znowu będzie na mnie wściekła.

Teri podeszła bliżej i przyłożyła ucho do drzwi. Nadal słyszała głos siostry, ale nie mogła już rozróżnić słów i zdawało jej się, że Melissa płacze. Teri zawahała się przez chwilę i zaczęła zastanawiać. Może powinna po prostu udać, że nic nie słyszy, i pójść do łóżka?

Ale przecież słyszała wyraźnie imię: D'Arcy. To samo, które dzisiejszego ranka widziała w jej pamiętniku.

Czy to możliwe, żeby Melissa naprawdę wierzyła w to, że z kimś rozmawia? Zdecydowawszy się wreszcie, chwyciła za klamkę i weszła do pokoju siostry. Melissa siedziała w półmroku przy toalecie i wpatrywała się w lustro. Kiedy oświetlił ją strumień światła, płynący z łazienki, obróciła się i ujrzała Teri, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- Co robisz jeszcze w domu? — spytała. — Nie poszłaś do kina?

Teri, zdziwiona, uniosła brwi. — Już po dziesiątej. Film dawno się skończył. Melissa, zaskoczona, spoglądała na siostrę. — A wydaje się, jakbyś dopiero co wyszła z domu. Jakby minęła co najwyżej godzina, nie więcej.

Teri podeszła bliżej i coś ją zaintrygowało w wyglądzie siostry, więc zapaliła stojącą na toalecie lampkę.

Westchnęła zdumiona, widząc to, co pozostało z włosów Melissy.

— Co się stało? — wyszeptwała. — Co zrobiłaś z włosami?

Melissa popatrywała na Teri ze łzami w oczach.

— Nie wiem. To chyba D'Arcy... Ona je obcięła.

— D'Arcy? — spytała Teri. — A kto to jest?

Na twarzy Melissy pojawiło się napięcie. Dziewczyna z przestraszeniem spojrzała na drzwi. Gdy upewniła się, że są zamknięte, odprężyła się trochę.

— Obiecasz mi, że nikomu nie powiesz? — spytała. Teri przytaknęła, drżąc cała w środku z niecierpliwości.

— Ona..., ona jest moją przyjaciółką — powiedziała Melissa. — Kimś, kto przychodzi mi z pomocą.

Teri zmarszczyła brwi. „O czym ona u licha mówi?”

— Jaka przyjaciółka? Skąd ona jest? Mieszka tu gdzieś w pobliżu?

Melissa pokręciła głową. — N... nie, niezupełnie — wyjąkała. — Ona jest jakby wymyśloną przyjaciółką. No wiesz, taką jak miała Ania z Zielonego Wzgórza, taką która mieszkała w lustrze.

Teri uśmiechnęła się. — Wiem, co masz na myśli. Ja też miałam taką przyjaciółkę, kiedy byłam mała. Miała na imię Karolin a. a ja udawałam, że jest moją pokojówką. Robiła wszystko, czego od niej zażądałam. Sprzątała za mnie pokój, zbierała zabawki z podłogi... Robiła wszystko to, czego ja nie znosiłam robić.

Udawałam, że byłam nią i że ona robi to wszystko.

Melissa przytaknęła głową. — Kimś takim jest właśnie D'Arcy. Kiedy zaczynam się czegoś bać, D'Arcy przychodzi mi z pomocą. — Jej wzrok powędrował z powrotem w stronę lustra. — No ale popatrz, co ona mi dzisiaj zrobiła — powiedziała drżącym głosem. — Obcięła mi włosy. Mama będzie wściekła. Umysł Teri pracował gorączkowo, a z jej pamięci zaczęły wyłaniać się obrazy z dzisiejszego dnia.

Popołudniowa rozmowa przy basenie, kiedy Phyllis powiedziała, że porozmawia z Melissa o ognisku „później”.

Melissa, przez ułamek sekundy, wyglądała na ogromnie przestraszoną.

Później kolacja, kiedy Phyllis zaproponowała, że spędzi ten wieczór razem z nią w domu.

Znowu w oczach jej siostry czaił się strach.

To właśnie matki bała się tak bardzo wieczorem.

O rany — zastanawiała się Teri. — Czy ona to właśnie robi? Kiedy matka krzyczy na nią, to po prostu udaje, że jest kimś innym?

Ale wtedy przypomniała sobie jeszcze coś innego.

Tę noc, kiedy znalazła Melissę przywiązaną do łóżka i leżącą z otwartymi szeroko oczami. Była pewna, że nie śpi, ale kiedy mówiła do niej, to nie odpowiadała.

A dzisiaj wieczorem Melissa myślała, że Teri wcale nie poszła do kina.

Ona nic nie pamięta! — pomyślała Teri. — Nie pamięta wcale, co się stało!

Spojrawszy na odbicie siostry w lustrze, uśmiechnęła się łagodnie. — Wiesz co — powiedziała — wezmę grzebień i nożyczki i zobaczę, czy da się coś uratować. A jutro, jeżeli mama się rozzłości, powiemy jej, że to ja cię obciąłam. Powiemy jej po prostu, że to był mój pomysł. I wtedy nie będzie się już mogła na ciebie gniewać, prawda?

Melissa spojrzała w lustro i napotkała wzrok Teri. — Naprawdę zrobiłabyś to? Zrobiłabyś to dla mnie?

Teri oplotła ramionami dziewczynę. — Oczywiście, że tak — odrzekła. —

Przecież jestem twoją siostrą, czyż nie? Czy nie od tego są siostry?

Wzięła wyjęte przez Melissę z górnej szuflady nożyczki i grzebień i zaczęła ciąć ostrożnie włosy swojej przyrodniej siostry, wyrównując, najlepiej jak umiała, wszystkie krzywe cięcia Phyllis.

Gdy tak pracowała, widziała w lustrze spoglądające na nią z uwielbieniem i podziwem oczy Melissy. Kiedy jednak skończyła, uśmiech znikł z twarzy dziewczyny.

— Co jutro powiedzą oni? — spytała. — Jak pokażę się z takimi włosami, to wszyscy będą się ze mnie śmiali.

Teri uniosła ze zdziwieniem głowę. — Myślałam, że nie idziesz na ognisko — powiedziała.

Melissa milczała przez długą chwilę, wreszcie potrząsnęła przecząco głową.

— Zmieniłam zdanie — odrzekła. — Musiałam to zrobić. D'Arcy boi się ciemności i mama nie chciała jej wypuścić z szafy, dopóki nie przyrzekłam, że pójde.

Kiedy Teri leżała dwadzieścia minut później w swoim łóżku, była pewna, że wie dokładnie, kim jest D'Arcy.

To, czego jeszcze nie wiedziała, to to, jak mogłaby ją wykorzystać.

Była jednak pewna, że znajdzie, jakiś sposób.

Przecież kiedy dzisiaj wyszli wcześniej z kina, pierwszą rzeczą, jaką powiedział ojciec było: „Szkoda, że nie wzięliśmy z sobą Melissy — ona uwielbia takie filmy. Boi się śmiertelnie, ale uwielbia je”.

Melissa.

Nawet kiedy był tylko z nią, ciągle myślał o Melissie.

Gdy zasypiała, czuła, że zaczyna nienawidzić Melissę, prawie tak samo jak nienawidziła matkę i ojczyma.

Nie było trudno się ich pozbyć.

Pozbyć się Melissy będzie jeszcze łatwiej.

Przecież D'Arcy mogłaby jej w tym pomóc, zwłaszcza teraz, gdy wiedziała, kim jest i skąd pochodzi.

Nie pochodziła z widzialnego świata i nigdzie nie można było znaleźć dowodów na jej istnienie.

Nigdzie, z wyjątkiem umysłu Melissy. Ale to wystarczy. Dopóki Melissa będzie wierzyła, że D'Arcy istnieje naprawdę, to zupełnie wystarczy.

Rozdział 10

- Tatusiu?

Było popołudnie następnego dnia i Charles Holłoway wychodził z domu, udając się na lotnisko w Portland. Uniósł wzrok i zobaczył Melissę stojącą na schodach i spoglądającą na niego niepewnie.

— Czy naprawdę musisz jechać? — spytała drżącym głosem.

Charles uśmiechnął się i wyciągnął ramiona, a dziewczyna zbiegła ze schodów i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Nie chcę, żebyś jechał — wyszeptała mu do ucha. — Czy nie możesz poprosić kogoś innego, żeby zrobił to zamiast ciebie?

Charles delikatnie wyzwolił się z objęć swojej młodszej córki. — Też bym chciał — odrzekł. — Ale muszę załatwić to sam. Naprawdę. To wszystko dotyczy Teri.

Jest tam całe mnóstwo dokumentów, które trzeba podpisać. Jak nie pojedę, wszystko będzie się ciągnęło wiecznie i w końcu i tak będę musiał jechać. A przecież nie chciałybyś tego, prawda?

Melissa westchnęła, potrząsając głową, a ojciec wyciągnął rękę i pogładził jej

krótko ścięte włosy. Dziewczyna cofnęła się.

— Hola — odezwał się ojciec. — Dokąd uciekasz?

— Śmiejesz się pewnie z moich włosów — powiedziała z wyrzutem.

— Nieprawda — odpowiedział Charles, przytulając ją znowu do siebie. — Wiesz co? Nawet mi się podobasz w krótkich włosach. Wyglądasz w nich jeszcze ładniej. Melissa spojrzała na ojca, zastanawiając się, czy aby na pewno mówi prawdę. Spoglądała mu badawczo w oczy, ale nie dostrzegła nic poza ciepłym blaskiem, który był w nich zawsze, ilekroć na nią patrzył.

— Naprawdę podobają ci się? — powiedziała pełnym nadziei głosem. — Nie mówisz tak tylko dlatego, żeby mnie pocieszyć, prawda?

— Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił — odpowiedział jej Charles. — Gdybyś miała włosy jak strzecha, powiedziałbym ci o tym na pewno. — Uniósł głowę i taksował ją przez chwilę figlarnym spojrzeniem. — Chociaż muszę ci powiedzieć — dodał po chwili, lekko przekornym tonem — że gdybyś je rozjaśniła, to może wyglądałyby jak strzecha.

Uchylił się, bo dziewczyna zamachnęła się, żeby go uderzyć, po czym raz jeszcze przytulił ją do siebie. — Wiesz co? — powiedział na koniec. — Przywiozę ci jakąś niespodziankę. Co ty na to?

— Co za niespodziankę? — zapytała.

— Jakbym ci powiedział, to nie byłaby to już niespodzianka.

Nagle z półpiętra dobiegł do nich czyjś głos.

— A co ze mną? — spytała Teri. — Czy mi też coś przywieziesz?

Charles, obejmując nadal ramieniem Melissę, uśmiechnął się do niej: — No pewnie! — odrzekł i dodał: — Nie zejdziesz na dół uściskać taty?

Teri zeszła nieśmiało ze schodów. — Nie chciałabym wam przeszkadzać... — zaczęła niepewnym głosem.

Charles objął ją drugim, wolnym ramieniem. — Ależ skąd — odparł. — Dwa ramiona, dwie córki. Wszystko pasuje. — Jego głos przybrał poważniejszy ton. — Opiekuj się Melissą podczas mojej nieobecności, dobrze?

Teri uśmiechnęła się do ojca. — Jasne! — powiedziała. — Będziemy się tak wspaniale bawić, że nawet nie zauważysz, że wyjechałeś.

- Świetnie — odrzekł Charles, tuląc do siebie Teri,

a potem wypuszczając ją ze swoich ramion, by raz jeszcze objąć Melissę. —

Wszystko będzie dobrze — zapewnił ją znowu. — A poza tym, nie będzie mnie tylko parę dni, okay?

Melissa nie odezwała się ani słowem, skinęła tylko głową. Może tata ma rację — pomyślała w parę minut później, gdy jego samochód zniknął za zakrętem długiego podjazdu.

— Może jak Teri będzie ze mną, wszystko będzie dobrze.

* * *

Zapadł już zmrok, a Melissa, siedząc na szybko stygnącym piasku, oparta plecami o jeden z kłoców drewna otaczających ognisko rozpalone na plaży koło klubu, doszła do wniosku, że dobrze się stało, że zdecydowała się tu przyjść. Nie było wcale tak tragicznie, jak sobie to wyobrażała i naprawdę nieźle się bawiła. Oczywiście pierwsze minuty były straszne. Kiedy razem z Teri zbliżały się do siedzących już przy ognisku dzieci, zrodziła się w niej nagle trudna do odparcia myśl, by zrobić po prostu w tył zwrot i wrócić do Ma-plecrest. Ale Teri, wyczuwając widocznie jej strach, chwyciła ją za rękę.

— Daj spokój — powiedziała. — Będzie dobrze. Tylko przestań się przejmować. Okazało się, że Teri miała rację. Jeśli ktoś nawet zauważył, że ubranie nie leżało na niej dobrze, nikt jej o tym nie powiedział. Jeff Bamstable powiedział nawet, że ma ładną fryzurę.

— Powinnaś to była zrobić już dawno temu. Zawsze wyglądałaś, jak gdybyś chciała coś ukryć.

W czasie ogniska Melissa powoli odprężyła się i nawet zagrała ze wszystkimi w siatkówkę. Gdy kompletowano drużyny, była pewna, że ją wybiorą na końcu, ale wtedy Teri zaproponowała, żeby podzielić się jak kto chce, pod tym jednak warunkiem, że w czasie meczu ta osoba z drużyny, która zdobędzie punkt, odpada. Melissa uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak to wszystko się skończyło, gdyż po godzinie, w trakcie której najlepsi gracze robili, co tylko w ich mocy, by nie zdobyć punktu, na boisku pozostała jedynie ona i Jerry Chalmers. Reszta dzieci otoczyła boisko i każde kibicowało swojemu ostatniemu zawodnikowi. Przez całe dziesięć minut ona i Jerry zmagali się z tym, żeby tylko poprawnie zaserwować. W końcu, kiedy Melissie udało się przebić piłkę ponad siatką, a Jerry, który okazał się jeszcze większym niezdara niż ona, w ogóle w nią nie trafił, wszyscy wybuchnęli takim śmiechem, że nieważne było zupełnie, kto wygrał.

Kiedy zapytała potem Teri, kto nauczył ją takich reguł gry, ta mrugnęła do niej okiem. — Sama je wymyśliłam. To była świetna zabawa patrzeć, jak wszyscy starają się źle grać, co?

Mrok wokół nich zgęstniał i gdy Jeff dorzucił do ognia jeszcze jedno polano, obok niej na piasku usiadła Teri.

— Czy tu nie jest bombowo? — spytała. — Cała plaża należy do nas. W Kalifornii byłby już tłok nie do wytrzymania.

Brett van Arsdale siedzący po drugiej stronie ogniska uśmiechnął się do niej.

— Dlaczego tak sądzisz? — zapytał.

Teri spojrzała na niego zdziwiona. — Przecież tak jest — odparła. — Nie ma tu nikogo prócz nas.

Oczy Bretta zaświeciły się tajemniczo w migotliwym blasku ogniska.

— Czyżby? — zapytał, zniżając głos. — Może ktoś tu jest — dodał cicho. — Może ktoś tam stoi i obserwuje nas.

Ciało Teri przebiegł dreszcz. Rozejrzała się bezwiednie dookoła.

— Eee, tam — powiedziała — próbujesz mnie przestraszyć, to wszystko. Jak

chcesz mi opowiedzieć bajeczkę o człowieku, który miał hak zamiast prawej ręki, to sobie podaruj. Słyszałam ją już z tysiąc razy.

— Całkiem możliwe — odparł Brett. — Ale załóżę się, że nie słyszałaś o duchu z Secret Cove.

Teri spojrzała podejrzliwie. — Daj spokój... — zaczęła.

— Opowiedz jej — zachęciła Bretta Ellen i zwróciła się do Teri. — To naprawdę niesamowita historia i nikt nie opowiada jej lepiej niż Brett. No, Brett, opowiedz. Wśród dzieci zapanowało milczenie, a Brett, bardzo cicho, tak że Teri musiała wyteńczyć słuch, żeby go usłyszeć, zaczął mówić.

— To było w noc Bału Sierpniowej Pełni Księżyca. Krótco przedtem zbudowano klub i przybyli wszyscy mieszkańcy Secret Cove. Wszyscy, rzecz jasna z wyjątkiem służących. Ale i jedna z pokojówek też miała zamiar się tam wybrać... Wszyscy stłoczyli się ciasniej wokół Bretta, a ten mrocznym głosem zaczął snuć opowieść...

Dochodziła już prawie ósma, a ona wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze w migotliwym świetle lampy naftowej, stojącej na stoliku koło łóżka. Wyglądała ślicznie tego wieczoru — biała suknia, nad którą pracowała od dwóch miesięcy, leżała na niej jak ulał, a jej długie rękawy, zakończone koronkowymi mankietami, i przód, także ozdobiony piętnastoma rzędami delikatnych koronek, sprawiały, że wyglądała prawie jak suknia ślubna... Być może rzeczywiście mogłaby to być jej ślubna suknia, lecz dziewczyna była pewna, że byłby to zły omen, gdyby na ślub włożyła tę samą suknię, którą miała na swoim pierwszym prawdziwym przyjęciu. Z drugiej strony jednak pomyślała, że nigdy w życiu nie będzie mogła sobie pozwolić na kupno jeszcze jednej takiej sukni. Zreflektowała się. Jak poślubi Joshuę, będzie mogła sobie pozwolić na wszystko, co zechce. On na pewno kupi jej materiał, taki że uszyje sobie suknię jeszcze piękniejszą niż ta, którą ma teraz na sobie.

Jej wzrok powędrował ku lewej dłoni i spoczął na złotym, ozdobionym brylantem pierścionku, który miała na środkowym palcu, a który on podarował jej potajemnie trzy miesiące temu.

— Nie powiem o tym nikomu — powiedział jej. — Zachowamy to w tajemnicy aż do dnia balu. Do tego czasu

powiem o naszym zamiarze moim rodzicom i wszystko będzie w porządku.

I właśnie dzisiaj, w noc balu, powiedzą wszystkim o swoim ślubie. Będzie stała przy jego boku, a on będzie mówił swoim przyjacielom, że zakochał się w niej i że ma zamiar ją poślubić.

Wszyscy będą zaskoczeni — wiedziała o tym. Ale kiedy zobaczą, że Joshua jest z nią bardzo szczęśliwy, otoczą ją i nagle stanie się jedną z nich.

Sprawdziła po raz ostatni suknię, a następnie zdmuchnęła lampę i opuszczając swój niewielki pokój na strychu, zeszła szybko na dół schodami dla służby. Już miała się wysliznąć przez kuchenne drzwi, kiedy nagle zatrzymał ją ostry głos kucharki:

— A gdzie to się wybierasz?

Dziewczyna stanęła w pół kroku, po czym obróciła się i spojrzała prosto w twarz

kobiecie, dla której pracowała od czternastu lat:

— Na bal — odrzekła.

Ta spojrzała na nią z kpiną.

— A dlaczegoż to niby uważasz, że wpuszczą kogoś takiego jak ty do tak znakomitego miejsca?

Dziewczyna uśmiechnęła się marzycielsko. — Wpuszczą mnie — odrzekła. — Zostałam zaproszona.

— Czyżby? — spytała kucharka z wyraźnym powątpiewaniem w głosie. — No cóż, ja na twoim miejscu nie zwracałabym uwagi na to, co mówią kawalerowie. Oni są gotowi powiedzieć wszystko, byleby się tylko dobrać do dziewczyny.

— Ale nie Joshua! — krzyknęła dziewczyna rumieniąc się na twarzy. — On nie jest taki!

Wybiegła kuchennymi drzwiami, nie czekając na to, co powie kucharka, i przemierzywszy szybkim krokiem trawnik ruszyła w kierunku plaży, niosąc w ręku swoje balowe pantofelki. Wydała na nie prawie cały tygodniowy zarobek. Podkasała kraj sukni, nie chcąc jej zabrudzić i ruszyła brzegiem morza w stronę jaskrawo żółtego światła lamp gazowych, rozświetlających okna nowo zbudowanego klubu, który usadowił się na południowym krańcu zatoki. Kiedy dotarła do ścieżki łączącej plażę z klubem, zatrzymała się, żeby założyć pantofelki. Czekala parę minut, gdyż Joshua obiecał jej, że spotkają się w tym właśnie miejscu. Razem pójdą ścieżką i razem wejdą do klubu, a wszyscy domyśla się, o co chodzi, jeszcze zanim Joshua powie im

o wszystkim. Ćwiczyła tę scenę w pamięci bez końca. Joshua, wysoki i przystojny, odziany we frak, otacza ją opiekuńczym ramieniem, a na jego twarzy maluje się zdecydowanie, gdy obwieszcza przyjaciołom, że postanowił ją poślubić. Wyobrażała sobie nawet dezaprobatę, którą ujrzy przez chwilę w ich oczach, zanim uświadomią sobie, jak bardzo Joshua

i ona są w sobie zakochani. Gdy to zrozumieją, ich niechęć zniknie i przyjmą ją z otwartymi ramionami.

Od morza nadciągnęła lekka bryza, dziewczynę przebiegł dreszcz i rozejrzała się wokół siebie jeszcze raz, szukając swego narzeczonego. Spojrzała na zegarek, wciśnięty do małej, obszytej perełkami torebki, i zobaczyła, że jest już prawie wpół do dziewiątej.

Spóźniła się.

Musiał już tu być, a teraz pewnie czekał na nią na górze, przed wejściem do klubu. Ruszyła w górę, trzymając ostrożnie suknię w dłoniach, by nie wycierać nią pokrytej kurzem ścieżki. Dotarła wreszcie na szczyt wzniesienia i zatrzymała się na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. Przez okna widziała tańczące pary. Każda z kobiet miała na sobie piękną suknię, ich szyje zdobiły kolie, a z uszu zwisały kolczyki, ozdobione klejnotami, błyszczącymi nieziemskim blaskiem w świetle gazowych lamp.

I wtedy ujrzała Joshuę. Wirował w tańcu, tuląc w ramionach piękną dziewczynę o twarzy białej jak alabaster, ubraną w suknię koloru szmaragdu.

Uśmiechał się do niej, a ona zdawała się rozbawiona czymś, co powiedział jej przed

chwilą. Wtedy uniósł wzrok i zobaczył ją.

Gdy tylko zauważyła, że rozpoznał ją i przestał tańczyć, podbiegła do drzwi, wiedząc, że będzie czekał na nią wewnątrz. Pchnęła je i weszła do środka. Przeszła przez foyer i zatrzymała się przed ogromnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami wiodącymi do sali, w której odbywał się bal.

Joshua, wciąż w towarzystwie dziewczyny o alabastrowej twarzy, stał i wpatrywał się w nią w milczeniu.

Po chwili i inne pary przestawały z wolna tańczyć i spoglądały w jej stronę.

Przystanąła zdziwiona. Dlaczego Joshua nie wychodzi po nią? Dlaczego po prostu stoi tam, patrzy na nią, a w jego oczach...

I wtedy zrozumiała.

W jego oczach czaił się strach.

Nie spodziewał się, że ją zobaczy.

Wcale nie powiedział rodzicom.

Słyszała, jak ludzie zaczynają szeptać między sobą, a tu i ówdzie rozlega się lekki chichot. Wpatrzona ciągle w swego narzeczonego, ruszyła bezwiednie w jego stronę.

I w tej samej chwili także i on w cudowny sposób ożył i ruszył ku niej. W chwilę później był już przy niej i trzymał swą dłoń na jej ramieniu.

Przemówił do niej.

— Muszę z tobą porozmawiać — zaczął ściszym głosem. — W kuchni — dodał.

Wpływając palce w jej ramię, poprowadził ją przez salę, manewrując między gośćmi, którzy cofali się, robiąc im przejście. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w kuchni.

Uwijający się koło swoich zajęć kelnerzy i kucharki, przyglądali się im zaintrygowani.

— O co chodzi? — wyszeptała dziewczyna. — Co się stało?

Joshua oblizał nerwowo wargi, uparcie unikając jej wzroku. — Nie mogę się z tobą ożenić — powiedział wreszcie. — Rozmawiałem z moim ojcem i powiedział mi, że jeśli to zrobię, to mnie wydziedziczy.

Dziewczynie zaparło dech w piersiach. To niemożliwe — pomyślała — coś takiego nie może się zdarzyć!

— Muszę mieć go z powrotem — powiedział do niej Joshua. Ujął jej dłoń i jego palce zacisnęły się na pierścionku.

Ale ten nie chciał zejść.

Dziewczyna wyszarpnęła mu rękę i mocowawszy się z pierścionkiem próbowała go zdjąć z palca. — To tylko o to chodzi? — zapytała niecierpliwie. — Po prostu o pieniądze? Powiedziałeś mi, że mnie kochasz, przecież mówiłeś mi to... — Dławiła się słowami, a w jej oczach pojawiły się łzy. Szarpała jeszcze mocniej za pierścionek, ale wydawało się, że ten przyrósł jej do palca.

Joshua, którego wzrok nagle stał się chłodny, zabierał się już do odejścia. — No dobrze już — powiedział tak, jakby rozmawiał z dzieckiem. — Zostaw już to, wezmę go jutro.

I poszedł sobie, znikając za drzwiami prowadzącymi do sali balowej, nawet na nią nie spojrzawszy.

Stała jak wryta, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął jej ukochany. A więc dla niego to było takie proste?! Nigdy mu na niej nie zależało, nigdy go nie obchodziła, nigdy!

Zaczęła się znów mocować z pierścionkiem, ale ten jak zaczarowany wciąż nie chciał zejść jej z palca. A przecież musiała się go pozbyć! Czuła, jak ją palił. Musiała go zdjąć.

Nerwowo błędziła wzrokiem po kuchni, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Na stojącym nie opodal kłocu do rąbania mięsa leżał olbrzymi rzeźniczy topór. Tłumiąc wydobywający się z jej gardła krzyk, chwyciła go w prawą rękę, a lewą położyła na kłocu.

Topór wznosił się w górę nad jej głową, zawisł na chwilę w powietrzu, wreszcie runął w dół.

Ostre jak brzytwa ostrze przeszło przez jej lewy nadgarstek, a dziewczyna zmartwiała, widząc, jak lewa dłoń leży oddzielona od reszty ciała na kłocu, a z kikuta tryska krew.

Jedna z pracujących w kuchni dziewcząt wydała przeraźliwy krzyk, a ona upuściła topór na ziemię i podniosła odrąbaną dłoń.

W sekundę później otworzyła drzwi wiodące do sali balowej.

Wszyscy znowu tańczyli i przepychała się między wirującymi parami, rozglądając się uważnie, aż wreszcie odnalazła Joshuę.

Zatrzymała się i czekała, by spojrzał w jej stronę. Wreszcie ją zauważył.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, kiedy zobaczył jej mokrą od krwi suknię.

Cisnęła w niego swą lewą dłoń ze zniechęconym pierścionkiem na środkowym palcu, a on cofnął się o krok.

Dłoń uderzyła go w pierś i spadła na podłogę, zostawiając na jego koszuli purpurowe plamy.

Salę zaczęły wypełniać przeraźliwe krzyki, a dziewczyna uciekła, pogrążając się w ciemności nocy.

Dla niej bal już się skończył.

Brett przerwał opowiadanie i przez chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie pierwsza odezwała się Teri.

— Ale co się dalej stało z tą dziewczyną? — spytała. Brett wzruszył ramionami. — Tego nikt nie wie. Nikt już

jej więcej nie widział. Ani jej, ani jej ręki. Kiedy wszystko się już uspokoiło, ręka zniknęła, a razem z nią i dziewczyna. Po prostu przepadła jak kamień w wodę. Ale podobno jest tu cały czas w pobliżu. Ludzie mówią, że czasami chodzi po plaży lub lesie i szuka swojej dłoni. A w tym roku to na pewno ma wrócić.

Teri uśmiechnęła się chytrze. — Ma wrócić? A przecież mówiłeś, że nigdy nie opuściła tego miejsca.

— Ale ten rok jest inny niż wszystkie pozostałe — odpowiedział jej nie zbity z tropu Brett. — Równo sto lat temu otwarto Cove Club i w tym roku odbędzie się już setny Bal Sierpniowej Pełni Księżyca.

— No i? — spytała z wymuszonym uśmiechem na twarzy

Teri. — Co się ma zdarzyć?

Brett pochylił się ku niej i jeszcze raz zniżył głos. — Ma wrócić — powiedział. — Wrócić i zemścić się.

Teri rozejrzała się po reszcie dzieci, chcąc zobaczyć, czy któreś z nich w to wierzy.

— A co zrobi? — spytała. — I kim ona w ogóle była? Jak się nazywała?

— D'Arcy — odpowiedział jej Brett. — D'Arcy Malloy. Była pokojówką w twoim domu.

— D'Arcy? — powtórzyła Teri. Zwróciła się do Melissy, która siedziała nieruchomo, wpatrując się w ogień. — To przecież unie twojej przyjaciółki, prawda? — spytała.

Melissa uniosła głowę, a jej szeroko otwarte oczy, w których dostrzec można było nieme pytanie i ból, spojrzały na Teri.

— Miałaś tego nie mówić — powiedziała drżącym głosem. I natychmiast, zanim Teri zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zerwała się i pobiegła przed siebie, znikając w ciemnościach.

Kiedy już jej nie było, Ellen spojrzała na Teri.

— Co to znaczy „twoja przyjaciółka”? — spytała.

Teri milczała przez chwilę, aż w końcu na jej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech.

— Melissa ma taką wymyśloną przyjaciółkę — odrzekła. — Powiedziała rai o niej wczoraj. Ma na imię D'Arey.

Rozdział 11

Melissa szła wzdłuż plaży, potykając się co chwila i starając się za wszelką cenę opanować szloch, rodzący się w jej piersi. W końcu, kiedy z blasku ogniska pozostało już tylko nikłe, pomarańczowe światło migocące w oddali, zatrzymała się, usiadła na piasku i zaczęła wpatrywać się w morze.

W końcu nic takiego się nie stało — mówiła do siebie. — No i co z tego, że Teri powiedziała im o jej przyjaciółce? To ona sama zachowała się idiotycznie. Gdyby wtedy zastanowiła się chociaż przez chwilę, mogłaby obrócić w żart to, co powiedziała Teri, mogłaby nawet ulepszyć historię Bretta i powiedzieć, że jej przyjaciółka jest tym właśnie duchem. Przecież pod pewnym względem była to prawda. Kiedy, w wieku sześciu lub siedmiu lat, usłyszała po raz pierwszy historię D'Arcy Malloy, często myślała o tej dziewczynie i odwiedzała nawet mały pokoik na strychu, pewna, że tam mieszkała.

A potem, kiedy była starsza i coraz trudniej jej było zaprzyjaźnić się z innymi

dziećmi, zaczęła mówić do niej i wyobrażała sobie, że D'Arcy jej odpowiada. Jej przyjaciółką oczywiście nie była D'Arcy Malloy, lecz ktoś, kogo sobie sama wymyśliła, dziewczynka w jej wieku.

Ktoś, z kim mogła rozmawiać o wszystkich sprawach, o których nie mogła rozmawiać z nikim innym.

Ale teraz, kiedy zbłądziła się swoją ucieczką, wszyscy pomyślą, że jest stuknięta. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego nie obróciła wszystkiego w żart? W końcu kiedy została ostatnia na boisku do siatkówki i grała tylko z Jerrym Chalmersem, była pewna, że wszyscy, łącznie z nią, świetnie się bawią. Nikt nie śmiał się z niej. Wszyscy śmiali się z nią i przynajmniej raz bawiła się z innymi.

A teraz zepsuła to wszystko przez swoje idiotyczne zachowanie.

To, co powinna była zrobić, to trzymać się tego, co powiedziała Teri. Było przecież mnóstwo rzeczy, które mogła wymyślić.

Mogła im powiedzieć, że wie, po kogo D'Arcy przyjdzie w noc Balu Sierpniowej Pełni Księżycy.

Po chwili wymyśliła jeszcze coś lepszego. Może powinna była powiedzieć im, że D'Arcy znalazła swą rękę i że położy ją na łóżku swej ofiary w noc poprzedzającą bal.

Zamiast płakać, roześmiała się, a potem westchnęła.

Jeśli teraz dzieci będą się z niej naigrywać, to będzie to tylko jej wina, a nie Teri. I już nic nie mogła na to poradzić.

Wstała i ruszyła w stronę domu prawie żałując, że D'Arcy nie istnieje naprawdę. Bo gdyby tak było...

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, ale dochodząc do domu znowu musiała się roześmiać. Co zrobiłyby dzieci z klubu, gdyby zobaczyły D'Arcy?

To oczywiście nie mogło się stać, bo D'Arcy nie istniała, jeśli nie wspominać D'Arcy — jej przyjaciółki, żyjącej wyłącznie w jej wyobraźni.

Gdy dotarła do domu, przystanęła na chwilę. W bibliotece paliły się wszystkie światła i widziała przez okna mamę, siedzącą przed telewizorem. Gdyby weszła frontowymi drzwiami z pewnością usłyszałaby ją i znowu zaczęłyby się pytania: Dlaczego jesteś w domu tak wcześnie?

Czemu Teri aie wróciła razem z tobą?

Czy ognisko już się skończyło?

Obejrzała się za siebie. Blask płonącego w oddali ogniska był teraz jaśniejszy, co znaczyło, że ktoś musiał dorzucić dREW do ognia. Nawet stąd widziała sylwetki siedzących wokół niego dzieci. Niektóre siedziały, a część stała i pewno smażyła grzyby.

Mama też mogłaby je zobaczyć i pytania stałyby się jeszcze gorsze.

Co zrobiłaś?

Czy znowu byłaś niegrzeczna dla swoich przyjaciół? Czy zrobiłaś jakieś głupstwo? Zrobiłaś czy nie?

Wycofała się spod frontowych drzwi i obeszła dom, chowając się w ciemnościach. Tył domu był nieoświetlony i kiedy zbliżyła się do drzwi kuchennych, poczuła ulgę. Gdyby tylko udało się jej wśliznąć do środka tak, żeby mama jej nie słyszała.

W tej samej chwili wyskoczył ku niej z ciemności ogromny cień i po chwili Blackie, machając zajadłe ogonem oparł się łapami na jej piersi i zaczął ją lizać.

- Blackie! — powiedziała Melissa najciszej, jak tylko mogła. — Odejdź!

Pies posłusznie zeskoczył na ziemię, a Melissa przez chwilę klęczała przy nim, drapiąc go za uszami i gładząc po grzbiecie. Pies merdając ogonem, przytulił się do dziewczyny i polizał ją czule po ramieniu.

— No, już dobrze — wyszeptała, podnosząc się i spoglądając niespokojnie w stronę domu, żeby upewnić się, czy gdzieś nie zapaliły się światła. — A teraz do domu! Słyszysz? Marsz do domu!

Weszła na schodki, prowadzące do drzwi kuchennych. Pies, po chwili wahania, podreptał za nią.

— Nie! — zasyczała. — Nie możesz tu wejść!

Macała rękami w ciemnościach, szukając klucza, który Cora chowała zawsze w glinianej donicy, stojącej na prawo od drzwi. Kiedy znalazła klucz, wsunęła go ostrożnie do zamka. Gdy go przekręciła, rozległ się głośny trzask przesuwanego rygla. Melissa znieruchomiła. Lecz nie słysząc żadnych odgłosów z domu, odłożyła klucz na swoje miejsce i wśliznęła się do środka.

Ledwie weszła, Blackie począł skrobać niecierpliwie w drzwi, a z pyska wydobyło mu się pełne zawodu skomlenie.

Hałasy powodowane przez psa stawały się coraz głośniejsze i Melissa zaczęła modlić się w duchu, błagając, żeby tylko nie zaczął szczekać.

Wstrzymała oddech w piersiach i w tym właśnie momencie Blackie zaszczekał krótko.

Uchyliła natychmiast drzwi i chwyciła wpychającego się natarczywie ulubieńca za obrozę.

— Niech ci będzie — wyszeptała. — Możesz wejść, ale musisz być okno i nie możesz zostać na całą noc.

Olbrzymie psisko uniosło łeb i spojrzało na nią, jak gdyby rozumiało dokładnie każde wypowiedziane przez nią słowo.

Trzymając psa za skórzaną obrozę, Melissa przemknęła przez kuchnię i skierowała się Im rzadko używanym schodami dla służby. Otwierając drzwi modliła się, żeby tylko nie zaskrzypiały, po czym poprowadziła psa przed sobą.

Po minucie była już zupełnie bezpieczna w swoim pokoju. Zanim weszła, przystanąła na chwilę na szczycie schodów i zerknęła ostrożnie na hol, prawie pewna, że natknie się na oskarżycielski wzrok matki, ale hol był pusty i słyszała tylko przytłumione dźwięki telewizora, dobiegające z biblioteki. Zamknęła drzwi sypialni i puściła psa, który wskoczył natychmiast na łóżko i zwinął się w kłębek na jej poduszce. Spojrzała na niego z wyrzutem:

— Nie wystarczy ci, że tu się dostałeś? Jak mi zrobisz bałagan na łóżku, mama zabije nas oboje!

Blackie uderzał tylko radośnie ogonem o wezgłowie i ani mu się śniło, żeby zejść z łóżka. Zamiast tego położył się na grzbiecie, wyciągnął w górę nogi, a w jego

dużych, brązowych oczach widać było prośbę o to, żeby go drapać po brzuchu. Udając zmęczenie większe niż w rzeczywistości, Melissa sama rzuciła się na łóżko i zaczęła drapać brzuch ulubieńca. Gdy tak leżała, przez otwarte okno dobiegł do niej głos Taga:

— Blackie! Blackie! Chodź tutaj, piesku!

Pies natychmiast przewrócił się na brzuch, zląkł z łóżka i podreptał do okna.

Gdy Tag zawołał nań po raz drugi, oparł się przednimi łapami na parapecie i zaczął głośno szczekać.

Melissa zeskoczyła szybko z łóżka i podbiegła do psa.

— Cisza! — powiedziała ostro, próbując zatkać mu mordę. Blackie wywinął się z jej rąk i usłyszawszy kolejne wołanie chłopca znów szczeknął donośnie.

— Tag! — zawołała Melissa z okna głosem na tyle donośnym, by nie usłyszała jej mama. — On jest tutaj! Nie wołaj go!

W tej chwili w sypialni zapaliło się światło i Melissa usłyszała za sobą głos matki.

— Melisso! Na miłość boską?! — Phyllis umilkła, spostrzegłszy psa, który przywarował u stóp dziewczyny i zawarczał ostrzegawczo.

Cofnęła się instynktownie o krok, z gniewem w oczach.

— Co ten pies tutaj robi? — zapytała stanowczym głosem.

— Przepraszam, mamusiu — wyjąkała Melissa. — Ja... on... kiedy otworzyłam drzwi, on wszedł...

Oczy Phyllis zwęziły się niebezpiecznie. — Wszedł? Psy nie wchodzą tak po prostu do domu. Wpuszcza się je.

Melissa skinęła głową. — Wyprowadzę go — odrzekła skwapliwie. —

Natychmiast.

Chwyciwszy psa za obrozę, chciała prześliznąć się obok matki, ale ta otoczyła ją ramieniem.

— Dlaczego w ogóle jesteś teraz w domu? — spytała. — Dlaczego nie jesteś ze wszystkimi na ognisku?

— Ja... ja... źle się czułam — skłamała szybko Melissa.

— Jednak na tyle dobrze, by przyprowadzić na górę tego psa, żeby się z nim bawić, prawda?

Melissa widząc, że nie ma wyjścia, przytaknęła zrezygnowana. — Tak...

Phyllis z gniewnym wzrokiem sprowadziła córkę na dół schodami dla służby i obserwowała w milczeniu, jak otwiera drzwi do kuchni i wygania psa. Gdy dziewczyna pobiegła z powrotem ku schodom, matka zatrzymała ją.

— Spójrz tutaj — powiedziała rozkazującym tonem. Melissa wpatrywała się w podłogę, tam gdzie palcem

wskazywała matka, i serce zamarło jej z przerażenia. Na linoleum, od kuchni aż do schodów dla służby, widoczne były ślady z błota, pozostawione przez psie łapy.

Melissa westchnęła wylękniona i spojrzała na swoją koszulkę. Na niej także widniały brązowe plamy. Jeszcze raz, ze strachem popatrzyła na matkę.

— Wyszorujesz teraz podłogę — powiedziała Phyllis tonem nie znośnym sprzeciwu. — Jak będziesz to robiła, pomyśl o tym, dlaczego tak wcześniej wróciłaś z ogniska. Tylko mi nie mów, że się źle poczułaś. Widzę doskonale, że nic ci nie

jest. Masz mi powiedzieć prawdę, a wtedy zdecyduję, co dalej zrobimy. Matka obróciła się i wyszła z kuchni, a Melissa napełniła wiadro wodą z mydlinami i wyjęła z komórki szczotkę. Tym razem nie tłumila już rodzącego się w piersiach szlochu. Kiedy szorowała podłogę, ścierając ślady łap, wiedziała, że to najprzyjemniejsza część tego, co jeszcze miało się zdarzyć dzisiejszego wieczora. Najgorsze miało nastąpić dopiero na górze, w jej pokoju. Tam, gdzie czekała na nią matka.

Znad morza nadciągnęła chłodna bryza i ożywiła na chwilę żółte płomyki dogasającego ogniska, które niby rozczapierzone palce sięgały w ciemność, szukając czegoś, czym mogłyby się pożywić. Teri siedziała teraz obok Brett'a, otoczona jego ramieniem i wpatrywała się w ogień. I oto przed jej oczami wyrosło wspomnienie innych płomieni i przez kilka sekund zdawało jej się, że słyszy znowu huk pożaru i krzyki matki.

Jej ciało przebiegł dreszcz i odsuwając od siebie koszmarny obraz, przytuliła się mocniej do chłopca. Za horyzontem znikał księżyc. Spojrzała na zegarek. Była prawie północ.

— Chyba już pójde do domu — powiedziała, wstając z ociąganiem.

— Chcesz, żebym cię odprowadził? — spytał Brett, podnosząc się z piasku.

Teri wzruszyła ramionami. — Nie musisz.

— Nie byłbym tego taki pewien. Chyba nie chcesz, żeby D'Arcy złapała cię jak będziesz sama wracała do domu, co?

Teri nic na to nie odpowiedziała i dopiero kiedy ruszyli razem skrajem plaży, wsunęła swą rękę w jego dłoń i spytała:

— Nikt tak naprawdę nie wierzy w tę historię, co? — Zależy, w którą jej część — odparł Brett. Teri spojrzała na niego z ukosa. — We wszystko...

— Chyba nikt nie wierzy w to, że D'Arcy wciąż tu jest — odparł chłopiec, a potem parsknął cichym śmiechem. — Chyba, że Melissa. — Ale po chwili jego głos przybrał po-

ważny ton. — Większa część tej opowieści to prawda. Moi prapradziadkowie byli na balu wtedy, kiedy się to zdarzyło. Ponad połowa z dawnych mieszkańców Secret Cove prowadziła pamiętniki. I wszyscy pisali o tym samym. Co najmniej pięćdziesiąt osób musiało widzieć to, co się stało.

— Może to sobie tylko wymyślili — odezwała się nieśmiało Teri.

Chociaż było ciemno, można się było domyśleć, że Brett spojrzał na nią zdziwiony.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Może po prostu zebrali się razem i zdecydowali, że nieźle będzie wymyśleć dla wnuków jakąś historię o duchach.

Brett zaśmiał się z cicha. — Musisz kiedyś przyjść do mnie i pooglądać sobie portrety moich przodków. Spojrzysz

tylko na mojego prapradziadka i będziesz wiedziała, że nigdy w życiu nie zmyślił żadnej historii. To był prawnik i jakaś wielka figura w Kościele, do którego należymy w Nowym Jorku. A babcia mówiła, że nie pamięta, żeby jej rodzice kiedykolwiek się śmiali. Poza tym, założę się, że jeżeli zapytasz taty, opowie ci to

samo.

Teri wzruszyła ramionami. — Nawet jeśli to prawda, to nie sądzę, że jest ktoś, kto wierzy w to, że ona jeszcze tu jest. To po prostu stara historia, a w takich sytuacjach to zawsze jest tak. że to nie ta osoba, która ci opowiada, ale ktoś inny widział ducha. — Odwróciła się do Brett. — Powiedz sam. czy ty widziałeś kiedyś D'Arcy? Albo czy widział ją ktoś, kogo znasz?

Chłopiec wzruszył ramionami. — Nie. Ale co z tego? W okolicy jest mnóstwo ludzi, którzy ją widzieli.

— Podaj mi chociaż jedno nazwisko — zareplikowała Teri.

Brett przypatrywał się jej przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

— To zabawne — powiedział. — Czy będziemy się kłócić o ducha? Przecież to tylko taka stara historia.

Zbliżyli się do Maplecrest. Wszędzie, z wyjątkiem okna sypialni rodziców, było ciemno.

— Wejdiesz na chwilę napić się czegoś?

Brett przytaknął głową i uśmiechnął się. — Pewnie! Jak się napijemy, to odprowadzisz mnie do domu, żeby nie złapała mnie D'Arcy, a potem ja cię odprowadzę i tak będziemy sobie spacerować tam i z powrotem całą noc.

— Nic z tego — odpowiedziała Teri. — Dostaniesz colę i pójdziesz do domu sam. Jak D'Arcy cię złapie, to trudno.

Ruszyli przez trawnik, lecz po chwili zatrzymało ich dobiegające z ciemności głucho warczenie.

— A co to jest, do cholery? — zdziwił się Brett.

— To tylko Blackie — odpowiedziała mu Teri. — Strasznie głupi pies... Blackie! Marsz do domu!

Schyliła się, podniosła patyk i rzuciła go w stronę, skąd dochodziło warczenie.

Rozległ się krótki skowyt i po chwili pies zaczął głośno ujadać, przerywając nocną ciszę. Z piętra dobiegł ich głos Phyllis Holloway:

— Tag! Zabierz natychmiast do środka tego psa! Nie życzę sobie, żeby mi w nocy budził sąsiadów!

Brett spojrzał niespokojnie na Teri. — Myślę, że podarujemy sobie tę colę — powiedział. — Mama Melissy jest chyba nieźle wkurzona.

— Wszystko jest w porządku — odpowiedziała Teri. — Ona cię lubi.

Brett potrząsnął przeczącą głową. — Chyba sobie to jednak odpuścę. Jest już dosyć późno.

Phyllis jeszcze raz krzyknęła na psa, a w chwilę później to samo zrobił Tag.

Szczeknąwszy po raz ostatni na Teri i Brett, Blackie pobiegł i zniknął za rogiem domu.

Chwilę później Brett pocałował Teri i ruszył ku ścieżce, prowadzącej do jego domu.

Teri weszła do budynku frontowymi drzwiami i przez salon przeszła do kuchni, żeby napić się coli. Kiedy otworzyła drzwi, w nozdrza uderzył ją ostry zapach lizolu, a gdy zapaliła światło, spostrzegła, że podłoga jest mokra, jak gdyby ktoś ją przed chwilą wytarł. Czyżby Cora?

To niemożliwe. Gospodyni wychodziła do siebie zawsze zaraz po kolacji.

Poza tym Cora nie zostawiłaby mokrej podłogi.

Wyjęła z lodówki colę, otworzyła ją i wróciwszy tą samą drogą, którą przysłała do holu, zaczęła wchodzić powoli głównymi schodami na piętro. Kiedy była w połowie schodów, usłyszała głos Phyllis:

— Teri, kochanie, czy to ty?

Dziewczyna podeszła do sypialni rodziców i chociaż drzwi były uchylone, zastukała w nie delikatnie.

— Wejdz — odrzekła Phyllis. Teri otworzyła szerzej drzwi i zobaczyła, że jej przybrana matka siedzi w łóżku, oparta plecami o wezglowie z kolorowym czasopiśmem na kolanach. Wskazała jej dłonią miejsce obok siebie. — Chodź, usiądź i opowiedz mi o wszystkim.

Po kwadransie, kiedy Teri skończyła zdawać relację z tego, co wydarzyło się na ognisku, na twarzy Phyllis pojawił się promienny uśmiech. — Tak się cieszę, że dobrze się bawiłaś — powiedziała, wyciągając dłoń ku dziewczynie. — Chociaż, jak sądzę, to niezbyt grzecznie z mojej strony tak mówić, zważywszy, co się stało, chcę, żebyś wiedziała, że jestem bardzo szczęśliwa, że mam ciebie tutaj z powrotem. Zawsze uważałam, że tutaj jest twoje miejsce. Czasem wydaje mi się nawet, że powinnaś być moją córką... Czy to bardzo nieładnie z mojej strony, że tak myślę?

Teri uśmiechnęła się łagodnie do swej przybranej matki. — Wcale tak nie sądzę — powiedziała. — Ale masz przecież Melisę.

Z twarzy Phyllis znikł uśmiech. — Tak... — powiedziała. — Mam Melisę, to prawda. Ale ona jest inna niż ty... Och, to wcale nie znaczy, że kocham ją mniej tylko z tego powodu, że nie umie sobie radzić w życiu tak jak ty. Robię oczywiście co w mojej mocy, lecz czasami wydaje mi się, jak gdyby nic obchodziło jej to, co się naprawdę liczy w życiu. Weźmy na przykład dzisiejszy wieczór. — W jej głosie pojawiła się irytacja. — Co też musiały sobie pomyśleć inne dzieci, gdy opuściła ognisko tylko z tego powodu, że „źle się poczuła”. Każdy z nas ma przecież chwile, kiedy nie czuje się najlepiej, ale nikt nie opuszcza przyjęcia tylko z tego powodu, że... — Przerwała, widząc niepewny wyraz twarzy swej przybranej córki. — To dlatego wróciła wcześniej z ogniska, prawda?

Teri drżała cała z niecierpliwości, wietrząc w tej sytuacji dobrą okazję dla siebie. Oblizwała nerwowo dolną wargę, jak gdyby powstrzymywała się przed tym, by sypnąć siostrę, wreszcie potrząsnęła przecząco głową i wydusiła z siebie:

— To z powodu tej historii o duchach. Brett opowiadał nam o D'Arcy i to przstraszyło Melisę.

Phyllis wydała z siebie głośny lament. — Chcesz mi powiedzieć, że uciekła z powodu jakiejś głupiej historii o duchach?

Teri wzruszyła bezradnie ramionami. — No cóż, ta historia była rzeczywiście dość przerażająca. Ale nikt się nie bał. — Spuściła pokornie oczy. — Teraz myślę, że powinnam była pójść z nią, żeby upewnić się, że nic się jej nie stało.

— Daj spokój! — zachnęła się Phyllis, czując w sercu gniew na Melisę z powodu jej idiotycznego zachowania. — Jedyne sposob, w jaki Melissa może się

czegokolwiek nauczyć, to brać przykład z innych. — Uśmiechnęła się czule do Teri. — Trudno byłoby znaleźć dla niej lepszy przykład niż ty. A poza tym to nie powód, żeby psuć sobie wieczór przez jej dziecinne zachowanie...

— To znaczy, że nie jesteś na mnie zła? — spytała Teri, spoglądając raz jeszcze nieśmiało na Phyllis.

— Zła na ciebie?! Nie bądź śmieszna! Wątpię, czy kiedykolwiek mogłabym być na ciebie zła. — Uścisnęła jej dłoń, a potem nadstawiła policzek. — No a teraz pocałuj mnie i pędź do łóżka.

Po paru minutach Teri stała e łazience oddzielającej jej pokój od pokoju siostry i przyciskała ucho do drzwi. Po drugiej stronie panowała cisza, więc wśliznęła się do środka.

Tak jak za pierwszym razem, Melissa leżała nieruchomo na wznak i wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi oczyma. Teri przez kilka minut stała przy łóżku, przypatrując się jej w milczeniu. Wreszcie odezwała się cichym głosem:

— Melissa?

Dziewczyna nie zareagowała.

— Melisso, śpisz? I znowu cisza.

Teri odsunęła kołdrę. Wokół nadgarstków i kostek siostry owinięte były i zaciągnięte opaski, wiążące ją z łóżkiem.

Teri wahała się przez chwilę i nagle coś jej przyszło do głowy.

— D'Arcy?

Wzrok Melissy opuścił sufit i spoczął na Teri.

— D'Arcy, słyszysz mnie?

Nastąpiło milczenie, a po chwili wargi Melissy poruszyły się.

- Słyszę.

Gdy Teri usłyszała słowa siostry, przebiegł ją zimny dreszcz. Chociaż zostały wypowiedziane wyraźnie, Melissa miała zupełnie inny głos. Był monotony i pozbawiony intonacji. Wydawało jej się, że przemówił nieboszczyk.

— Czy wiesz, kim jestem?

Głowa Melissy poruszyła się i znów dał się słyszeć głos D'Arcy.

— Jesteś Teri. Melissa opowiadała mi o tobie.

— Naprawdę? — spytała Teri napiętym głosem. — Co ci powiedziała?

Melissa uśmiechnęła się. — Że bardzo cię kocha. Teri poczuła ulgę. — Czy powiesz mi, kim jesteś? Chwila milczenia, a po niej słowa: — Jestem przyjaciółką Melissy.

— Gdzie mieszkasz?

— Na strychu.

Teri spojrzała w górę i serce zaczęło jej bić szybciej.

— To w takim razie, co robisz tutaj?

— Melissa mnie potrzebowała.

— Do czego?

— Żeby obronić ją przed matką. Kiedy jest zła na Melissę, to przychodzę i opiekuję się nią.

Teri myślała chwilę nad tym, co usłyszała, wreszcie odezwała się znowu:
— Ale co się wtedy dzieje z Melissą? Dokąd ona idzie?
— Ona zasypia — odrzekła D'Arcy.
— A ty? — spytała Teri. — Czy ty nie chcesz zasnąć? D'Arcy milczała przez chwilę, wreszcie potrząsnęła przecząco głową.
— Nie mogę zasnąć — powiedziała. — Kiedy Melissa jest związana, muszę jej strzec.
Teri zastanawiała się chwilę. Następnie zaczęła powoli rozpinać opaski na kostkach Melissy.
Po chwili uwolniła z więzów także jej nadgarstki.
— Gotowe — powiedziała. — Teraz możesz wracać na górę.
Lecz Melissa zamknęła już oczy i oddychała równo i spokojnie, pogrążona we śnie. Teri, wykrzywiając w złowieszczym uśmiechu wargi, przykryła z powrotem siostrę i wysliznęła się cicho z pokoju, zostawiając ją samą w ciemnościach. Samą i wolną od więzów...

Rozdział 12

Ognisko wypaliło się do końca, tak że pozostało po nim tylko kilka żarzących się głowni. Od morza nadciągnął chłodny i wilgotny wiatr, a nad plażą unosiły się pasma mgły. Ellen rozejrzała się niespokojnie dookoła i przebiegł ją dreszcz.
- Chodźmy już do domu — powiedziała do Cyndi. Siedzący po drugiej stronie ogniska Kent, którego twarz majaczyła w czerwonym świetle żarzących się głowni, uśmiechnął się złośliwie.
— Strach cię obleciał, co? — spytał.
Cyndi potrząsnęła głową. Jednakże kiedy wiatr ustał, a mgła gęstniała, robiło się jej coraz bardziej nieswojo.
Wiedziała przecież, że to idiotyczne uczucie. Przyjeżdżała tu wszak od dziecka i nigdy nie bała się, będąc na plaży. Odkąd umiała sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze biegła tam i z powrotem między swoim domem a domami przyjaciół, przechodziła przez zagajniki i nigdy przez myśl jej nie przeszło, żeby się bać. Lecz dzisiaj było jakoś inaczej.
Wszystko z powodu tej historii o duchach.
To także było idiotyczne, bo — rzecz jasna — nie słyszała jej po raz pierwszy. Co więcej, nie dalej jak wczoraj rozmawiała o tym z Ellen.
Tylko że kiedy rozmawiały wczoraj o duchu D'Arcy, na niebie świeciło słońce, leżały koło basenu i byli z nimi chłopcy.

Teraz wszędzie zaległa noc, mgła zamykała się wokół nich coraz szczelniej i cały świat wyglądał inaczej.

Tłumacząc samej sobie, że zachowuje się jak idiotka, wstała energicznie i zapięła cienką wiatrówkę, którą miała na sobie już od godziny.

— A niby czego mam się bać? — powiedziała bardziej, by usłyszeć dźwięk własnego głosu, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

— D'Arcy — odpowiedział jej Kent, szczerząc w uśmiechu zęby. — Rozejrzyj się tylko. Dzisiaj jest taka noc, jaką lubi. Może przemykać się we mgle niepostrzeżenie, szukając skrwawionej dłoni... — jego głos przybrał złowieszczy ton — ...może podkraść się do ciebie z tyłu, wyciągnąć rękę i...

Cyndi czuła, jak ciarki chodzą jej po plecach. Wydawało jej się, że ktoś stoi za nią i wyciąga ku niej dłonie, lecz nie chciała zrobić Kentowi tej przyjemności i spojrzeć za siebie.

- ...chwycić cię za szyję... — ciągnął dalej Kent.

W tym momencie dziewczyna poczuła, jak na jej szyi zaciskają się czyjeś palce.

Wyrwała się z przeraźliwym krzykiem i obróciwszy się za siebie ujrzała wybuchającego śmiechem Jeffa.

— Ha! — krzyknął chłopiec. Czerwona z gniewu zwróciła się do Ellen.

— Przecież wiedziałas, co chce zrobić! — powiedziała. Ellen, z trudem powstrzymując śmiech, przytaknęła głową.

— Przepraszam — odrzekła w końcu. — To była po prostu zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić. Widziałam cię, jak stoisz i wpatrujesz się w Kenta... On mówi bez przerwy, a wtedy Jeff podkrađa się do ciebie z tyłu...

W końcu Cyndi też się roześmiała. — Jeżeli D'Arcy jest tu gdzieś w pobliżu, to przecież nie po nas przyjdzie — powiedziała, spoglądając na Kenta i Jeffa. —

Przecież jej chodzi o chłopców, prawda? — Zwróciła się do Ellen. — Gotowa? Ellen przytaknęła, wpychając do torby swoje rzeczy.

— Na pewno nie chcecie, żebyśmy was odprowadzili? — spytał Kent.

Cyndi spojrzała filuternie na niego. — Wolałabym już, żeby goniła mnie D'Arcy niż żeby potem starać się was pozbyć — odpałiła.

Ruszyły obie brzegiem plaży, zostawiając Kenta i Jeffa, żeby zasypali piaskiem ognisko. Kiedy Cyndi kilka sekund później obejrzała się za siebie, zarówno chłopcy jak i ognisko zniknęli w gęstniejącej coraz szybciej mgle. Ponownie przebiegł ją dreszcz i przybliżyła się do przyjaciółki.

— Niezbyt tu przyjemnie — powiedziała na tyle cicho, by nie słyszeli jej Kent i Jeff.

— Daj spokój — odparła Ellen. — To przecież tylko zwykła historia o duchach. Duchów nie ma.

Ale ona także, kiedy starała się wypatrzyć coś w gęstej, szarej mgle, spowijającej plażę, poczuła, jak rodzą się w niej wątpliwości. — Przecież to idiotyczne — powiedziała do samej siebie. — Nie ma żadnych duchów.

A może we mgle czyhało na nie coś innego?

— Lepiej zejdźmy z plaży — powiedziała, ścisząc głos do poziomu głosu Cyndi. W lesie mgła nigdy nie jest tak gęsta.

Skręcili w lewo, przeszli kilka kroków i nagle Cyndi poczuła pod stopami wodę.
— Co jest... — zaczęła, lecz po chwili uświadomiła sobie, co się stało, i pokiwała ze zrozumieniem głową.

— Zrobiłyśmy kółko — powiedziała i chwyciwszy Ellen za rękę dodała: — Chodź za mną.

Dziewczyny odwróciły się i jeszcze raz ruszyły przez plażę.

Gęsta, biała jak mleko mgła, otaczająca szczelnie wszystko wokół nich tłumiła także delikatny plusk fal. Mimo iż Cyndi wytężyła wzrok, starając się przebić białe kłęby, nic nie widziała. Natrafiła na coś nogą i potknęła się, o mały włos nie lądując na ziemi.

— Nic ci się nie stało? — wyszeptała Ellen. Cyndi pokręciła przecząco głową.

— To są chyba schody między domem Kenta i Chalmer-sów — powiedziała. — Tak w ogóle to dlaczego nie wzięłaś z sobą latarki?

— A skąd mogłam wiedzieć, że będzie nam potrzebna? — odrzekła Ellen. — Przecież wczoraj w nocy nie było żadnej mgły.

Zaczęły się wspinać po drewnianych schodach ku ścieżce będącej jedyną granicą między posiadłością Fieldingów a dziesięcioma akrami należącymi do Chalmersów. Weszły w sosnowy zagajnik i po przejściu kilku metrów mgła, jak przypuszczała Cyndi, zaczęła się przersedzać. Dziewczyny widziały teraz wokół siebie pnie drzew, jednak kiedy spojrzały w górę, zdawało im się, że ich korony giną w nicości.

— Jakoś dziwnie tutaj, prawda? — wyszeptała Ellen. — Wygląda tak, jak gdyby tuż przed nami i za nami wszystko się kończyło.

Ruszyły szybko ścieżką i po chwili ujrzały, jak z prawej strony wyłania się powoli z białej ściany mgieł dom Chalmersów. Gdy mu się przyglądały, mgła zaczęła znów gęstnieć i budynek powoli znikał, pochłaniany przez mleczne kłęby.

Z piersi Cyndi wyrwało się krótkie westchnienie.

— Chodź już — wyszeptała nagle tonem do Ellen. —

Idziemy do ciebie.

Uszły jeszcze kilka metrów, lecz mimo że były już w pewnej odległości od morza, mgła znów zaczęła gęstnieć. Na dodatek, jak zimny oddech nieboszczyka, dołączyła do niej nadciągająca od morza bryza.

Wokół nich zalegały teraz egipskie ciemności. Coś smagnęło policzek Ellen.

Krzyknęła, bardziej ze strachu niż z bólu, i stanęła raptownie w pół kroku.

— Co się stało? Dlaczego stanęłaś?

— Coś... coś uderzyło mnie w twarz — odparła. Wyciągnęła rękę przed siebie i zaczęła ostrożnie macać palcami w wilgotnym powietrzu. Po chwili poczuła znajome, delikatne ukłucia sosnowej gałązki. — To tylko gałąź — westchnęła z ulgą. — Ruszyła znowu, lecz po chwili stanęła jak wryta.

Przed sobą we mgle dostrzegła jakiś cień. Był niewyraźny, prawie bezkształtny i ledwie widoczny. Lecz była pewna, że przed nią rzeczywiście coś się znajduje.

— Popatrz tylko! — wyszeptała chwytając Cyndi za rękę i ciągnąc ją ku sobie.

Po chwili Cyndi stała tuż obok niej: — Co? — odparła także szeptem. — Co tam zobaczyłaś?

Ellen wytężyła wzrok, wbijając oczy w gęstą mgłę.

Tam, gdzie przed chwilą jeszcze coś majaczyło, teraz już niczego nie widziała.

Serce, walące w jej piersi jak młot, uspokoiło się nieco. — Nie wiem... — zaczęła.

— Wydawało mi się, że...

Ściana mgły przed nimi zaczęła się przersedzać i Ellen poczuła, jak na jej ramieniu zaciskają się kurczowo palce Cyndi.

Przed nimi, kilkanaście centymetrów nad ścieżką, zdawała się unosić jakaś zjawa.

Biała, bezkształtna postać.

— Boże! — wyszeptła Cyndi. — Co to jest?

— N-n-nie wiem — wyjąkała Ełert drżącym głosem, czując, jak w piersiach rośnie jej strach.

Po sekundzie ściana mgły zamknęła się znowu i zjawa znikła.

Cyndi, trzymając się kurczowo Ellen, wpiła się boleśnie palcami w jej dłoń, drżąc cała ze strachu. — Co my teraz zrobimy? Wrócimy na plażę?

Ellen już miała przytaknąć, lecz przypomniała sobie spowijające całą plażę gęste mleko, w którym zgubiły drogę.

— Nie — wyszeptła. — Chodźmy dalej. Może to nic takiego.

Chociaż sama nie wierzyła własnym słowom, zanurzyła się w wilgotny chłód nocy i ruszyła ścieżką.

Gdy obie szły przed siebie, nagle wydało im się, że niewidoczny, otaczający je zewsząd las ożył i począł czyhać na nie.

Wszędzie wokół siebie słyszały trzaski gałęzi i ciężkie oddechy niewidzialnych istot. Szły naprzód bez przerwy, nie wiedząc dokładnie, gdzie się znajdują, a równocześnie bojąc się zatrzymać. I wtedy do ich uszu dobiegł jakiś dźwięk, głębszy i inny niż pozostałe.

Coś jakby niski, bolesny jęk, który sprawił, że stanęły jak wryte i krew zastygła im w żyłach.

— Co to jest? — wyjąkała z przestraszeniem Ellen.

— Nie wiem — odpowiedziała Cyndi, bliska płaczu ze strachu.

Ellen obróciła się wolno do tyłu, zmuszając się do tego, by raz jeszcze spojrzeć w ciemność.

Zerwał się wiatr i ściana mgły rozsunała się na chwilę.

Na ścieżce za nimi widać teraz było wyraźnie sylwetkę dziewczyny w białej, balowej sukni, z twarzą zakrytą welonem.

Dziewczyna stała nieruchomo i wpatrywała się w Cyndi i Ellen.

Po czym uniosła i wycelowała w nie prawe ramię.

Ellen przypatrywała się przez chwilę zjawie. Ogarnęła ją panika, a z gardła wydobył się przeraźliwy krzyk. Odwróciła się i popędziła ścieżką, nie zważając na gałązki sosen chłosz-czące twarz i pędy bluszczu oplatające jej stopy.

Tuż za nią biegła Cyndi, starając się nie zostać z tyłu i uciekając co sił w nogach przed przerażającą zjawą, która wyłoniła się z mgły.

Jeff i Kent przemierzali właśnie szeroki trawnik rozciągający się przed domem Fieldingów, kiedy usłyszeli krzyk Ellen.

Przez chwilę żaden z nich nie mógł zorientować się, skąd dochodzi, aż wreszcie Kent rzucił się w stronę zagajnika.

— To zza domu! — krzyknął do Jeff'a. — Po chwili obaj chłopcy biegli we mgle. Kent znajdował się na przedzie, gdyż znając doskonale okolicę wokół swego domu, mógł dotrzeć wszędzie nawet po ciemku. Na tarasie z tyłu domu zapalono lampy jarzeniowe, a rozświetlone przez nie kłęby mgły przybrały jasnoszary kolor. Z salonu na taras wyszedł ojciec Kenta ubrany we flanelowy szlafrok.

— Kent? — zawołał Owen Fielding. — Czy to ty?

— Tutaj jestem, tato! — odkrzyknął chłopiec. — Tam ktoś krzyczał!

W tej samej chwili po schodkach na taras wpadły z krzykiem Ellen i Cindi i podbiegły do Owena Fieldinga.

— Cyndi? Ellen? — zawołał do obu dziewcząt, które chwyciły się go kurczowo. — Co się stało? Czy to wy tak krzyçałyście?

Ellen odzyskawszy na tyle tchu, by odpowiedzieć na pytanie, przytaknęła głową.

— My... my widziałyśmy coś. Tam w lasku — wysapała. Jeff i Kent przybliżyli się do nich, spoglądając na nie podejrzliwie.

— Co takiego? — zapytał Kent, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Jeffem, a w kącikach jego ust można było dostrzec pogardliwy uśmieszek.

Cyndi przyjrzała się mu uważnie. Kiedy zauważyła, że chłopiec ma na sobie biały dres, zaczęły się w niej pojawiać wątpliwości. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Kenta, zadała mu własne: — Czy to wy byliście w lasku?

Z twarzy Kenta znikł uśmiech. — Właśnie przyszliśmy płazy — odrzekł. — Przecież musieliśmy zgasić ognisko, sama wiesz.

Ellen odzyskała wreszcie oddech i zwróciła się do Owena Fieldinga: — My, my widziałyśmy coś straszego. W lasku. Spojrzała na Cyndi, szukając u niej pomocy.

— To wyglądało jak duch — ciągnęła dalej. Jej głos brzmiał teraz spokojnie i donośnie, bo wiedziała, że stoi bezpieczna na tarasie domu Kenta Fieldinga, a zapalone światła rozpraszają ciemność i mgłę, które jeszcze przed chwilą napełniały ją przerażeniem. — To wyglądało jak...

— To wyglądało jak D'Arcy! — wtrąciła Cyndi zdecydowanym głosem, zauważając ironiczne spojrzenie Kenta.

— Jasne, że ona — powiedział z drwiną chłopiec. — Przez cały wieczór gadaliśmy o duchach i kiedy nadciągnęła mgła i księżyc zaszedł, byliście tak wystraszone, że wzięłyście za ducha jakiś krzak.

— Nieprawda! — odparła Cyndi i zwróciła się do Ellen: — Powiedz im, co widziałyśmy!

— Ta zjawa wyglądała jak dziewczyna — powiedziała Ellen. — Kiedy zobaczyłyśmy ją pierwszy raz, stała przed nami i nie byliśmy zupełnie pewne, co to jest, bo wciąż znikwała we mgle. Więc szłyśmy dalej i wtedy usłyszałyśmy za sobą jakiś głos.

— To był jęk lub coś takiego — wtrąciła Cyndi. — Naprawdę straszne. Wzrok Ellen powędrował w stronę Owena Fieldinga.

— I kiedy się odwróciłyśmy, ona tam stała. Dziewczyna w białej sukni, z welonem na twarzy.

— Patrzyła na nas — dodała Cyndi i na samo wspomnienie tego przebiegł ją dreszcz. — A potem... a potem wskazała nas palcem. — Zignorowała sztuczny uśmiezek Kenta i także spojrzała na jego ojca. — To wszystko prawda, panie Fielding - powiedziała. Widziałyśmy to. Pan nam wierzy, prawda?

Owen Fielding, obejmujący do tej pory ramieniem Ellen, przytulił także i Cyndi. — No cóż — powiedział. — Na pewno wierzę w to, że wierzycie w to, że coś takiego widziałyście, Ale tanim napędzimy sobie wszyscy śmiertelnego stracha, może byśmy tak weszli do środka i napili się trochę kakao. A potem odwiozę was do domu.

Chwilę odczekał i tak jak się spodziewał, żadna z dziewcząt nie sprzeciwiła się, by ją odwieźć samochodem do domu, chociaż obie mieszkały zaledwie kilkaset metrów od niego.

— A wy też wejdziecie do środka? — zapytał Kenta i Jeffa, prowadząc do drzwi obie dziewczyny.

Kent zawahał się, spojrzał na Jeffa, po czym potrząsnął przecząco głową.

— Rozejrzemy się trochę po okolicy — odparł.

Owen Fielding uśmiechnął się z aprobatą. — No to powodzenia - powiedział. — Tylko nie siedźcie poza domem całą noc. Może dziewczyny mają rację. Może D'Arcy jest gdzieś w lesie i czyha na was.

Chłopcy wrócili po pół godziny. Mgła była tak gęsta, że prawie nie widzieli końców swoich wyciągniętych rąk. Nic nie zauważyli.

Nic nie słyszeli.

A przecież kiedy biegli z powrotem w stronę rozświetlonego lampami jarzeniowymi domu, obaj mieli dziwne wrażenie, że ktoś, kogo ani nie widzieli, ani nie słyszeli, cały czas ich bacznie obserwuje.

Phyllis obudziła się następnego ranka o wpół do siódmej i przewróciła od razu na drugi bok, bo raziły ją ostre promienie słońca wpadające przez okno. Miała cudowny sen.

Śniło jej się, że była na Balu Sierpniowej Pełni Księ

życa i przyglądała się z dumą, jak jej córka — najpiękniej-sza ze wszystkich dziewcząt na sali — tańczy z Brettem Van Asdale.

A wszystkie kobiety z Secret Cove, te same, które znała od tylu lat i które zamieniały jej życie w udrękę świadomie ją lekceważąc i robiąc jej różne afronty, tym boleśniesz, że czynione w subtelny sposób — wszystkie one stłoczyły się teraz wokół niej, prawiąc jej komplementy na temat urody dziewczyny i słuchając z uwagą każdego jej słowa. We śnie córką Phyllis była Teri MacIver. Leżała przez chwilę w pościeli, zanurzona w ciepłej i przyjemnej otoczce snu i analizowała raz jeszcze w myślach rozmowę, którą wczoraj odbyła z Teri, gdy jej przybrana córka przyszła ją odwiedzić wieczorem w sypialni. Była to rozmowa, o której marzy

każda matka. Takiej rozmowy nie dane mi było doświadczyć z Melis-są - skonstatowała z goryczą.

Westchnęła, odrzuciła jedwabną kołdrę i wstała z łóżka. Następnie włożyła szlafrok i poszła do pokoju Melissy.

Przystanęła na chwilę przed drzwiami Teri i zastukała delikatnie w nadziei, że dziewczyna zaprosi ją do środka i że dzięki temu będzie mogła chociaż o parę minut odwlec wizytę u swojej córki. Kiedy jednak nie usłyszała żadnej odpowiedzi, podeszła do sąsiedniego pokoju i zapukawszy od niechcenia w mahoniowe drzwi, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Jeszcze w progu przystanęła zdumiona.

Melissa spała głębokim snem, leżąc na prawym boku, z dłonią wsuniętą pod poduszkę.

Phyllis, nie wiedząc, jak to wytłumaczyć, podeszła do łóżka i zdjęła z córki kołdrę. Skórzane opaski i nylonowe pasy, którymi przywiązała ją wczoraj do łóżka, leżały rozrzucone na materacu.

— Melissa! - powiedziała głośno Phyllis. — Melissa!

Ta poruszyła się, przewróciła na drugi bok i zakryła poduszką głowę.

Phyllis wyciągnęła rękę i gwałtownym szarpnięciem zerwała poduszkę z głowy córki, po czym chwyciła ją za ramię i potrząsnęła nią z całej siły.

Melissa zerwała się, usiadła na łóżku i otworzyła oczy. Gdy spostrzegła matkę, cofnęła się odruchowo.

— Popatrz tutaj! — powiedziała Phyllis, wskazując palcem na pozwijane i leżące na łóżku pasy.

Oczy Melissy rozszerzyły się w zdumieniu i dziewczyna spojrzała niespokojnie na matkę.

— Ja ich nie zdjęłam, mamó — zaczęła. — Ja... ja nie potrafię...

— No to kto to zrobił? — przerwała jej Phyllis, niebezpiecznie podniesionym głosem.

Melissa skuliła się i podciągnęła nogi ku sobie, tak że dotykała kolanami piersi.

— Melisso! Zadałam ci pytanie! Żądam odpowiedzi!

Dziewczyna rozglądała się nerwowo po pokoju, jak gdyby szukając gdzieś pomocy, lecz ta nie nadeszła. — D'Arcy — wyjąkała i w następnej sekundzie pożałowała, że w ogóle wypowiedziała to imię. Lecz było już za późno.

— D'Arcy? — powtórzyła matka, kierując to słowo w stronę Melissy jak pocisk. — Myślałam, że już skończyliśmy z tymi bzdurami.

Melissa przełykała nerwowo gromadzącą się jej w gardle ślinę. — Tak, mamusiu — wyszeptwała.

— No więc kto to zrobił?! — zapytała po raz kolejny stanowczym głosem Phyllis.

— Kto odpiął ci opaski?

Melissa, drżąc cała ze strachu, potrząsała bezradnie głową.

Phyllis zbliżyła się do łóżka, pochyliła się i zawisała nad nią. Uniosła dłoń, gotując się do tego, by uderzyć córkę, gdy nagle powstrzymał ją dobiegający od drzwi głos Cory:

— Och, bardzo przepraszam, proszę pani — wymamrotała gospodyni. — Nie

wiedziałam, że pani już wstała.

Phyllis obróciła się błyskawicznie na pięcie. — Czyżby? — spytała. — Czy tym się zajmujesz, Coro? Odpinasz

Melisse, a potem wślizgujesz się tutaj rano i zapinasz jej opaski z powrotem?

Cora cofnęła się o pół kroku. Oskarżenie dotknęło ją do żywego. — Och nie, proszę pani. Nigdy bym tego nie zrobiła. Ja...

— Nie zrobiłabyś tego? — przerwała jej Phyllis sarkastycznym tonem. — No cóż, jeżeli rzeczywiście nie zrobiłabyś tego, byłby to pierwszy raz, kiedy byłabyś posłuszna moim poleceniom. Bóg mi świadkiem, Coro, nie wiem, czemu Charles upiera się przy tym, żeby cię trzymać. — Skierowała się do wyjścia, i stara kobieta usunęła jej się pospiesznie z drogi.

— Porozmawiamy o tym później — powiedziała, mijając gospodynię.

Po minucie była już na dole i nalewała sobie kawę, kiedy z zamyślenia wyrwał ją głos Teri.

— Czy coś się stało, Phyllis? — zapytała.

Odwróciła się i uśmiechnęła, ujrawszy swą przybraną córkę w spodniach koloru khaki i białej bluzce, spoglądającą na nią troskliwym wzrokiem.

Już sam widok dziewczyny złagodził częściowo jej gniew.

— Och, to tylko Cora — odparła. — Weszła wczoraj wieczorem do pokoju Melissy i... — Ugryzła się w język, uświadomiwszy sobie, że za dużo powiedziała.

Teri spojrzała z przestraszonym w oczach i uniósłszy prawą dłoń, zakryła usta.

— O rany! — wyszeptała. — Pewnie chodzi o te opaski, co? Phyllis, zbita z tropu, przypatrywała się jej przez chwilę.

— W zasadzie... tak — wydusiła wreszcie.

— To nie Cora je odpięta — powiedziała Teri. — Ja to zrobiłam.

Phyllis usiadła zdumiona na wyplatany wikliną krześle, jednym z sześciu, które otaczały stół. — Ty? — spytała. — Naprawdę nie rozumiem.

Teri, z rumieńcem na twarzy, wbiła wzrok w ziemię.

— Melissa leżała tak z opaskami na rękach i nogach, więc zrobiło mi się jej żal i je odpięłam.

Phyllis, usłyszawszy to, zdumiała się jeszcze bardziej, lecz po chwili twarz jej się rozjaśniła i zaniechała ostrych słów, które już miała na końcu języka. — Ach tak...

— westchnęła tylko.

— Przepraszam, jeśli zrobiłam coś złego — powiedziała potulnym głosem Teri, wciąż patrząc w podłogę. — Nie miałam zamiaru... Ona wyglądała po prostu na taką nieszczęśliwą...

Na widok naprawdę zmartwionej twarzy Teri resztki gniewu Phyllis zniknęły i wyciągnęła ramiona do dziewczyny.

— Ależ nie zrobiłaś nic złego — powiedziała. — Nie wiedziałaś, do czego one służą, i chciałaś jej po prostu pomóc.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się. — A więc nie gniewasz się na mnie?

— Oczywiście, że nie — zapewniła ją Phyllis, po czym westchnęła, podniosła do ust filiżankę i wypła łyk kawy. Potem mówiła dalej: — Widzisz, rzecz w rym, że Melissa ma od pewnego czasu problemy. Niekiedy, gdy jest zdenerwowana lub coś

ją w ciągu dnia wytrąci z równowagi, chodzi we śnie, a obawiam się, że w takim stanie była właśnie wczoraj. Tak więc czasem, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, zapinam jej te opaski.

Teri spojrzała z przejęciem na Phyllis. — Ale przecież ja w ten sposób mogłam ją wystawić na niebezpieczeństwo! — wykrzyknęła. — Gdybym wiedziała, nigdy bym tego me zrobiła!

Phyllis poklepała dziewczynę czule po dłoni. — No już dobrze, nie przejmuj się rym. Przespała w łóżku całą noc, a więc widocznie nic się nie stało. — Z jej twarzy znikł uśmiech i wstała z krzesła. — Chyba pójdę teraz porozmawiać z Corą. Posądziłam ją o to, że ona to zrobiła, i jeśli w jakiś sposób nie udam, że ją przeproszam, gotowa sknocić obiad.

Ruszyła w stronę kuchni, biorąc z sobą kawę.

Teri, zostawszy sama, nalała sobie filiżankę gorącego płynu i uradowana spojrzała przez okno, za którym wstawał właśnie śliczny poranek.

Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, a po mgle, która zasnuła okolicę późną nocą, nie zostało ani śladu.

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie i zastanawiała się przez chwilę, czy to nie za wcześnie na to, by zadzwonić do Cyndi i Ellen. Nie mogła się już doczekać, żeby opowiedziały jej, co też wydarzyło się wczoraj po tym, jak opuściła ognisko.

Rozdział 13

Brzdęk!

Rakieta Melissy dotknęła piłki i po raz pierwszy tego ranka dziewczyna usłyszała ów miły dla ucha, sprężysty dźwięk, oznaczający, że jej odbicie było takie jak trzeba. Piłka wspięła się łukiem ponad siatką, a dziewczyna wstrzymała oddech, widząc, jak ojciec cofa się w głąb kortu, robi zamach i... chybia!

Piłka poszybowała nad jego głową, a wtedy Melissa przestraszyła się, że polecą za daleko. Jednak w tejże chwili zaczęła opadać i tuż przed linią końcową dotknęła kortu.

— Dobre odbicie! — krzyknął do niej Charles.

Melissa pokraśniała z dumy i pobiegła na swoją linię serwisową. Rzuciła okiem na połowę kortu, na której stał ojciec, i wyrzuciła w powietrze piłkę. Spóźniła się jednak z uderzeniem o ułamek sekundy i piłka wylądowała w siatce. Kątem oka spostrzegła, jak ojciec podszedł do przodu, przygotowując się do łatwego loba, którego zawsze grał przy drugim serwisie. Poczekała, aż się ustawi, wiedząc już dobrze w myślach, co ma zamiar zrobić.

Prowadziła w tej chwili 40:15 i, chociaż była pewna, że tata umyślnie przepuszczał sporo jej łatwych odbić, robił to tak dobrze, że dzisiaj nie była jeszcze w stanie go na tym przyłapać. Lecz tym razem, jeśli szczęście jej dopisze, zdo- będzie punkt wyłącznie dzięki sobie. Rzuciła w powietrze drugą piłkę. Lecz zamiast posłać ją wolnym lobem nad siatką, tak by wylądowała w środku kortu, zamachnęła się z całej siły...

Po raz drugi udało jej się uderzyć dokładnie środkiem rakiety, a piłka poleciała nisko nad siatką, śmignęła obok ojca i uderzyła w kort tuż przed linią pola odbioru serwu.

Ojciec spoglądał na nią zdumiony, po czym twarz rozjaśnił mu uśmiech.

— Tak myślałem, że prędzej czy później zaryzykujesz! — zawołał do niej. — Tylko nie spodziewałem się, że zrobisz to właśnie teraz.

Mellisa, przepełniona dumą po zwycięstwie, cofnęła się w głąb kortu, stanęła w rozkroku i czekała na pierwszy serw ojca. Po chwili jego piłka przeleciała nad siatką i wtedy — niestety ponieważ — uświadomiła sobie, że ojciec użył tej samej sztuczki co i ona przed chwilą. Zamiast, jak to miał w zwyczaju, szybkiego i niskiego pierwszego serwu, uderzył piłkę tak, że poszybowała w górę wysokim łukiem. Melissa rzuciła się do przodu, jednak źle obliczyła dystans, bo kiedy dotarła do niej i zamachnęła się, zupełnie chybiła.

— Melisso, bój się Boga! Jak mogłaś zepsuć tak prosty serw?! — zawołała do niej z sąsiedniego kortu matka.

Melissa znieruchomiła i zarumieniła się z zakłopotania. Dlaczego nie zostali w domu — pomyślała — i nie grali na swoim korcie? Tam przynajmniej nikt by nie słyszał, jak matka ją krytykuje.

A przecież dobrze wiedziała, czemu tak było. Matka chciała dzisiaj zagrać i uparła się, żeby cała rodzina poszła do klubu.

— Ale przecież w niedzielę korty są zawsze zajęte! — zaproponowała Melissa.

Phyllis potrząsnęła przecząco głową. — Zadzwońłam do nich na początku tygodnia i zarezerwowałam dwa na przedpołudnie. Ty możesz grać z ojcem, a ja z Teri. Potem się zmienimy. Będzie świetnie.

Jak na razie, ku zaskoczeniu dziewczyny, nie było aż tak źle, jak przypuszczała. Na początku była niemal pewna, że wszyscy patrzą na nią. Ale kiedy zepsuła cztery pierwsze serwy i nie usłyszała, by ktokolwiek się śmiał, rozejrzała się w końcu dookoła.

Nikt nawet na nią nie patrzył.

Te kilka osób obserwujących grę wpatrzona było w Teri. Kiedy Melissa spojrzała ukradkiem na sąsiedni kort, wiedziała już dlaczego.

Teri prezentowała się ślicznie w swoim białym stroju i widać było, że nie po raz pierwszy gra w tenisa.

Melissa miała też dziwne przeświadczenie, że Teri dawała wygrać jej matce mniej więcej tyle samo piłek, ile jej podarował ojciec.

Teraz jednak, kiedy matka skończyła grać z Teri, obserwowała Melisę.

Dziewczyna wróciła na linię i czekała na następny serw ojca, a cała jej niepewność wróciła ze wzmożoną siłą.

Znowu nie odebrała piłki.

Sześć kolejnych serwów i przegrała gem, a równocześnie set. Chociaż przyjęła dwa serwy taty, natrętny wzrok matki do tego stopnia wytrącił ją z równowagi, że zepsuła oba returny, posyłając jedną piłkę w siatkę, a drugą aż za ogrodzenie, gdzie potoczyła się między stoliki ustawione na tarasie oddzielającym korty od basenu.

— Co się stało? — zapytał ojciec, podchodząc do siatki. — Tak dobrze ci szło.

Melissa wzruszyła ramionami. — Po prostu zdekoncentrowałam się — odrzekła, nie chcąc przyznać się, że to krytyczny wzrok matki sprawił, iż nie potrafiła wykorzystać nawet tych lichych umiejętności, które posiadała.

Ojciec uśmiechnął się porozumiewawczo. — To normalne, że gra się trudniej, kiedy cię obserwują — powiedział, zniżając głos. — Ale nie martw się. Nikt nie gra w tenisa koncertowo cały czas.

Melissa uśmiechnęła się. — A mi się wydaje, że Teri jednak coś takiego potrafi. Założę się nawet, że nie dałaby ci wygrać ani jednego gema!

Charles spojrział na córkę z udanym gniewem w oczach.

— Założyłabyś się przeciw własnemu ojcu? Ale zdrajca z ciebie!

Melissa zachichotała. — No to proszę — przynagliła go. — Spróbuj z nią wygrać!

— A ty — wtrąciła tubalnym głosem Phyllis — może spróbujesz tak sił ze mną?

Dziewczynie zapało dech w piersiach. W pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że jest zmęczona, ale natychmiast zmieniła zdanie. Od ostatniego tygodnia — a w zasadzie od ogniska — sprawy układały się znacznie lepiej. Matka wyżywała się na niej mniej niż zwykle i Melissa dobrze wiedziała dlaczego.

Chroniła ją Teri.

Dzień nazajutrz po ognisku był najgorszy, bo z samego rana do Teri zadzwoniła Cyndi, żeby jej powiedzieć, że w nocy widziały ducha, i kiedy Teri jej o tym powiedziała, Melissa strasznie się przeraziła, gdyż była pewna, że znowu chodziła we śnie.

Ale Teri wytłumaczyła jej, że nie ma się o co martwić.

— Nawet jeżeli to byłaś ty, nikt przecież nie uwierzy, że Cyndi i Ellen coś naprawdę widziały. A jeżeli chodzi o twoją mamę, to powiemy jej, że cała ta historia z duchem wydarzyła się, zanim wróciłam do domu, wtedy kiedy byłaś jeszcze przywiązana do łóżka.

Melissa rzuciła się siostrze na szyję. — Zrobiłabyś to dla mnie?! Naprawdę?

— Oczywiście — odparła Teri. — Przecież jestem twoją siostrą. To samo zrobiłabyś dla mnie i ty, mam rację?

Melissa przytaknęła głową, nie była jednak pewna, czy wszystko się powiedzie.

Lecz kiedy matka usłyszała historię o duchu, Teri dotrzymała słowa.

- To w żadnym razie nie mogła być Melissa — twierdziła. - Cyndi i Ellen wyszły z ogniska razem ze mną, więc

to musiało się stać wtedy, kiedy rozmawiałam z tobą w sypialni. Poza tym, kiedy się położyłam do łóżka, czytałam jeszcze z pół godziny i gdyby wyszła z pokoju, to bym ją usłyszała. Musiałaby przejść koło moich drzwi, a tam skrzypi parkiet.

Melissa z ulgą stwierdziła, że matka uwierzyła w wersję Teri, Od tamtej pory była

przekonana, że już nie chodzi nocą we śnie i pozwoliła jej spać bez opasek. Ale gdyby zdenerwowała się teraz na nią, to dziś wieczorem, jak ojciec pojedzie do Nowego Jorku...

Wyrwała się z zamyślenia i przywołała na twarz uśmiech.

— Dobra — odparła. — Chcesz serwować?

— Chyba nie mówisz poważnie — odparła Phyllis. — Zagramy o serw.

Matka posłała w jej stronę loba i Melissie udało się odbić piłkę. Wróciła i upadła na kort tuż przed nią, a dziewczyna posłała ją nad siatką jeszcze raz. Ale gdy odbiła piłkę po raz trzeci, matka podbiegła do siatki, uderzyła z całej siły wolejem, a piłka przeleciała obok niej tak szybko, że nawet nie zauważyła, jak leci.

— Mój serw — zakomunikowała Phyllis.

Po dwudziestu minutach przegrywała 3:0 w drugim secie i czuła, jak z rozpaczycisną się jej do oczu łzy. Jak na razie, nie udało jej się wygrać ani jednej piłki i im bardziej przeciągały się te tortury, tym były dla niej gorsze.

Tymczasem na drugim korcie trwała zacięta walka między Charlesem a Teri.

Ojciec był całkowicie zaprzątnięty tym, by nie przegrać z córką, i nie zauważył, co się dzieje z Melissą.

Matka przygotowała się do kolejnego serwu, a Melissa spojrzała obok. Teri grała przy siatce, odbijając błyskawicznie piłki ojca, który biegał tam i z powrotem, starając się ze wszystkich sił odebrać ostre woleje swej starszej córki. W tej właśnie chwili Melissa usłyszała ostry świst rakiety, uderzającej piłkę i oderwała wzrok od Teri i ojca. Ale było już za późno, gdyż piłka zaserwowana przez Phyllis odbiła się od

kortu kilkanaście centymetrów przed nią i uderzyła ją w pierś tak mocno, że omal nie krzyknęła z bólu.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała ostry i gderliwy głos matki:

— Naprawdę, Melisso! Jeśli nie masz ochoty skoncentrować się na grze, nie rozumiem, dlaczego w ogóle chcesz grać. To wcale nie jest przyjemne dla kogoś, kto stoi po drugiej stronie siatki, uwierz mi!

Długo tłumione emocje dziewczyny nagle wykipiwały.

— Wiedziałaś, że nie jestem przygotowana! — Po policzkach zaczęły jej spływać łzy, wywołane bardziej wściekłością niż bólem. — Dla mnie też nie jest przyjemne tak latać za twoimi piłkami!

Charles, na dźwięk głosu młodszej córki, obejrzał się pozwalając piłce Teri przelecieć obok. Zobaczył, jak Melissa ciska raketę na stojącą nie opodal ławkę i wybiega z kortu z głową schowaną w ramionach.

— Melissa! — zawołał, ruszając za nią.

— Charles, na miłość boską! — warknęła do niego ostro Phyllis, przerywając ciszę poranka. — Niech sobie idzie! Jedyny sposób, żeby lubili ją inni, to nauczyć ją, jak przyjmować z wdziękiem porażki. Nie nauczy się tego tak długo, jak długo ty będziesz przerywał z jej powodu każdą grę i dostosowywał się do niej za każdym razem, kiedy się tylko rozplacze.

Charles, zacisnąwszy usta, ruszył przed siebie, ignorując zupełnie słowa żony, lecz wtedy usłyszał głos Teri:

— Tatusiu? Nie skończymy gry?

Zawahał się i odwrócił, spoglądając na Teri stojącą po drugiej stronie siatki i patrzącą na niego pełnym rozczarowania wzrokiem. Stał przez chwilę niezdecydowany, po czym westchnął, wiedząc, że gdyby teraz przerwał mecz z Teri i pobiegł za Melisą, czekałaby go później niechybnie przeprawa z Phyllis. Melissa, chociaż raz, będzie musiała się sama o siebie zatroszczyć. Zaciskając raketę w dłoni, wrócił na kort, a Phyllis usiadła na jednej z ławek, by ich obserwować.

Tag chwycił w obie ręce maczetę, uniósł ją nad głowę jak kij do baseballa i zamachnął się. Ostrze błysnęło w słońcu, wbiło się w gruby pęd porastającego wschodnią ścianę domu dzikiego wina i przeciąwszy go prawie do końca zaklinowało się, straciwszy impet. Chłopiec stęknął, poruszył rękojeścią i wydobył maczetę, po czym upuścił ją na ziemię, by zaczerpnąć tchu.

Pracował już bez przerwy prawie dwie godziny, a wyglądało, jak gdyby dzikiego wina, porastającego ścianę, w ogóle nie ubyło. Jednakże, spojrzawszy na stos pędów leżący na trawniku, przekonał się, że praca postępuje mimo wszystko naprzód. Lecz z drugiej strony, czy to możliwe, że ilość pędów zwiększała się w miarę tego, jak odrywał je od ściany? Starł prawą ręką pot z czoła i przyklepione doń cząsteczki kurzu i podniósł maczetę. Kolejny zamach i olbrzymie ostrze przecięło gruby pęd. Teraz zaczynała się najprzyjemniejsza część całej roboty. Chwytając pęd obiema rękami, Tag zaczął go odciągać od ściany, czując, jak wąsy dzikiego wina odrywają się niechętnie od kamieni, z których zbudowana była wschodnia ściana domu. Zabawa, w którą bawił się sam z sobą, była bardzo prosta. Cała rzecz polegała na tym, żeby oderwać jak największą część rośliny, zanim główny pęd załamie się i wszystko spadnie mu na głowę.

Pół godziny temu udało mu się ostrożnie oderwać prawie wszystko z wyjątkiem kilku wici, które uparcie trzymały się szczelin wokół okienka na wysokości strychu, i kiedy poplątana masa gałęzi i liści runęła wreszcie na niego, zakryła go całego. Blackie, zaskoczony nagłym zniknięciem swego pana, zaczął ujadać jak szalony, a potem przegrzebywał splecione liście i pędy, jak gdyby chciał mu przyjść z pomocą. W ostateczności chłopcu więcej czasu zajęło uwolnienie psa z tej plątaniny niż wydostanie się z niej samemu.

Poruszył jeszcze raz grubym pędem, chcąc zobaczyć, co się stanie. Na wysokości piętra pęd rozszczepiał się, a jego grubsza odnoga wijąc się, biegła na prawo. Gdyby udało mu się ją oderwać, pociągnęłaby za sobą resztę pnączy i dzikie wino spadłoby na ziemię pod swym własnym ciężarem. Już miał się do tego zabrać, kiedy nagle Blackie zaczął szczekać, a potem popędził susami przez trawnik, merdając radośnie ogonem. Chłopiec przerwał na chwilę pracę i zaczął obserwować psa.

Po chwili na początku ścieżki wijącej się między zagajnikami i biegnącej do klubu ujrzał Melisę, idącą z pochyloną głową i rękami wepchniętymi w kieszenie szortów. Blackie skoczył ku niej, lecz dziewczyna wyjęła ręce z kieszeni i odtrąciła psa. — Zostaw! — krzyknęła drżącym głosem.

— Melissa! — zawołał Tag. — Hej, Melissa!

Spojrzała na niego, po czym odwróciła się. Chłopiec zdumiony przemierzył pospiesznie trawnik i zrównał się z nią, gdy miała zniknąć za zakrętem.

— Hola! Co się stało?

Melissa stała przez chwilę nieruchomo, po czym odwróciła się twarzą do niego. Tag spostrzegł, że płakała. Miała spuchnięte oczy, a na policzkach wyschnięte ślady łez.

— Nic ci nie jest?

Melissa pociągnęła nosem i pogłaskała psa, tulącego się jej do nóg. — Chyba nie...

— westchnęła.

Chłopiec skłonił lekko głowę i objął ją w pól. Melissa była dla niego jak siostra, znali się prawie od dnia jej urodzin i wiedział, że nigdy nie potrafiła zbyt dobrze kryć swoich uczuć.

— Jak ci nic nie jest, to dlaczego płaczesz?

— Ja nie płaczę — zaprzeczyła Melissa.

— Też mi odpowiedź — wzruszył ramionami Tag. — Płakałaś przed chwilą. Co się stało?

Dziewczyna wciąż się wahała.

— Przecież możesz mi powiedzieć. Jak nie, to będę dręczył cię tak długo, aż mi powiesz.

W kącikach ust dziewczyny pojawił się nieśmiały uśmiech, którego nie umiała ukryć.

— Nie możesz tego zrobić — powiedziała. — Masz zrywać ze ściany dzikie wino, a jak tego nie zrobisz, to mogę poskarżyć na ciebie mamie.

— Pewnie — zgodził się Tag. — A ja mogę polecieć na księżyc.

Dziewczyna zaśmiała się. Stanęła obok Taga i razem ruszyli w stronę domu.

Zanim dotarli do splątanych gałęzi, leżących na trawniku pod ścianą, Melissa opowiedziała mu o wszystkim, co wydarzyło się w klubie.

— Wiem, że nie mogę z nią wygrać — powiedziała, wzdychając ciężko. — Ale czemu zaraz robi ze mnie pośmiewisko?

Bo jest wredna — pomyślał Tag, ale zdecydował, że lepiej zachować dla siebie te słowa. Następnie spojrzał na maczetę i przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Chcesz jej dołożyć? — zapytał.

— O co ci chodzi?

— Może powinnaś zrobić to co ja — powiedział. — Czasami, kiedy naprawdę się wkurzę, to biorę i walę maczetą w cokolwiek i udaję, że to ta osoba,

Wręczył Melissie maczetę i skinął głową ku leżącym na kupie gałęziom dzikiego wina. — I tak, zanim to sprzątnę, muszę to posiekać. Spróbuj.

Dziewczyna przypatrywała się mu przez chwilę, nie będąc pewna, czy mówi poważnie. W końcu sięgnęła po maczetę. Ujęła ją w prawą rękę, ale kiedy Tag ją puścił, maczeta o mało co nie wyleciała jej z dłoni.

— Ostrożnie — ostrzegł ją. — Jak to sobie spuścisz na nogę, to możesz pożegnać

się z palcami.

Dziewczyna ujęła rękę w obie dłonie i przyjrzała się jeszcze raz stercie gałęzi.

— Co mam robić? — spytała. — Jakoś tak głupio...

— Na kogo jesteś wściekła? — odrzekł Tag. — Na... na mamę.

Tag skinął jeszcze raz głową w stronę dzikiego wina.

— No to udawaj, że to ona.

Melissa przypatrywała się chwilę gałęziom i starała się wyobrazić sobie, w jaki sposób mogłyby stać się jej matką. I wtedy w jej głowie wykluła się pewna myśl.

Wyobraziła sobie pędy wina jako włosy.

Ludzkie włosy.

Włosy matki.

I wtedy wściekłość, która zrodziła się w niej przed paroma minutami, wściekłość, którą starannie tłumiała w drodze do domu, zagotowała się w niej.

— Nienawidzę cię! — wybuchnęła i uniosła nad głowę maczetę. Ostrze zakreśliło w powietrzu łuk i przecięło splątane pędy jak masło, a Melissa wyobraziła sobie, że oto bije własną matkę.

Zamachnęła się i rozcięła kolejne pędy, czując, że tama, którą zbudowała w swym sercu, by powstrzymać gniew, zaczyna pękać. Tłumiona długo furia ruszyła jak rwąca rzeka, popłynęła przez ramiona i znalazła ujście w sieczącym i rozcinającym wszystko ostrzu ciężkiej maczety. Wywijała nią młynka, posuwając się po każdym zamachu o krok do przodu, a stos liści i pędów rozpadał się pod jej ciosami.

Machała zajadle, szatkując na kawałki dzikie wino, a wznosząc i opuszczając ręce wciąż miała przed oczyma matkę.

Matkę, która wyśmiewała jej stroje, krytykowała figurę, poprawiała zachowanie.

Matkę, stojącą nad jej łóżkiem, z budzącymi lęk opaskami w dłoniach.

Ostrze wywijało młynka, wznosząc się i opadając na przemian, a Melissa siekała na drobne kawałki znenawidzone sceny ze swej pamięci.

Po chwili gniew, równie nagle jak się pojawił, zniknął.

Rzuciła ostre narzędzie na ziemię i dysząc ze zmęczenia przypatrywała się dokonaniem przez siebie zniszczeniu. Usłyszała głos Taga:

— Czujesz się lepiej?

Zamrugła oczami i obróciła się do chłopca. Była spocona i ręce bolały ją od machania maczetą.

Ale czuła się już lepiej.

Kipiąca furia, która zdawała się przybierać i ogarniać ją całą jeszcze parę minut temu, zniknęła. Na jej twarzy pojawił się krzywy uśmiech. — To dziwne — westchnęła i milczała przez chwilę. — To mi dobrze zrobiło. Naprawdę dobrze.

Godzinę później, po meczu z Teri, gdy jego córka przystąpiła do kolejnego pojedynku, tym razem z Brettem Van Arsdale, Charles rozsiadł się wygodnie przy stoliku na tarasie i sączył drinka, którego zamówiła dla niego Phyllis.

— Chyba się już zestarzałem — powiedział, gdy wyrównał mu się oddech. — Ten, kto ją nauczył grać w tenisa, zrobił dobrą robotę.

Phyllis, z twarzą rozpromienioną szczęściem, przyglądała się wolejom dziewczyny.

— Ona jest cudowna, prawda? I czy to nie piękne, że wreszcie możemy spędzać niedzielne poranki w klubie, kiedy nasza córka gra tu w tenisa z przyjaciółmi? Żrenice Charlesa zwięzły się niebezpiecznie. Ostrem, a równocześnie zniżonym głosem, tak żeby mogła go usłyszeć tylko żona, odezwał się:

— Jeśli zapomniałaś, to chcę ci przypomnieć, że nasza córka poszła z płaczem do domu właśnie przez ciebie. Przynajmniej raz na jakiś czas mogłabyś ją oszczędzić. Uśmiech znieruchomiał na twarzy Phyllis. — Staram się po prostu robić to, co służy jej dobru — odparowała. — Niewiele jej pomożesz, dając jej zawsze wygrywać. — Przerwała na chwilę, skinąwszy głową ku Kay Fielding, która także się jej od kłoniła, i zwróciła się znowu do męża:

— Nie jest głupia, dobrze o tym wiesz, i doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robisz. To tylko jeszcze bardziej podważa jej wiarę we własne siły.

Charles wysączył kolejny łyk i zastanowił się nad słowami żony. Czy ona naprawdę ma rację? Czy istotnie źle wychowywał Melissę? Być może. W końcu latem przyjeżdżał

i widział się z nią jedynie w weekendy, a kiedy mieszkali w mieście, często był tak zajęty, że mógł jej poświęcić dziennie tylko około godziny.

Wciąż pamiętał, co powiedział mu dwa lata temu Burt Andrews, kiedy po raz pierwszy ujawniło się, że Melissa chodzi w nocy. Tego ranka, kiedy Cora znalazła ją w małym pokoiku na strychu, pograżoną w głębokim śnie i nie pamiętającą, jak się tam dostała, ani on, ani Phyllis nie mieli pojęcia, co robić. Lecz w końcu zatelefonowali do swojego lekarza w Nowym Jorku, który natychmiast polecił im pewnego psychiatrę w Portland.

Doktor Andrews, jeśli nawet temu nie zaradził, to przynajmniej uspokoił ich.

„Chodzenie we śnie — powiedział im — nie jest samo w sobie poważnym problemem”. Sugerował jakiś prosty pasek lub opaskę, coś na tyle mocnego, co obudziłoby Melissę, gdyby wstała w nocy z łóżka.

Ale główna rada psychiatry była skierowana właśnie do Charlesa.

— Musi pan być bardzo ostrożny, panie Holloway. Wszyscy ojcowie z reguły rozpieszczają swoje córki, a u pana, skoro zostawił pan Teri swojej żonie, będzie się przejawiała silna tendencja do tego, by zbyt folgować Melissie. To wynika po prostu z pewnego poczucia winy.

— Ale ja nie czuję się winny — odparł wtedy Charles. — Zrezygnowałem z praw rodzicielskich do Teri, bo uważałem, że to będzie dla niej najlepsze. Można było zrobić albo to, albo ciągać ją po sądach Bóg jeden wie jak długo.

— Nie przeczę — przerwał mu lekarz. — Jestem pewien, że zrobił pan to, co należało. Lecz niestety poczucie winy jest stanem irracjonalnym i chociażby nawet pana poprzednie działania były podyktowane logiką, musi pan strzec się przed rozpieszczaniem Melissy po to, by kompensować sobie podświadome poczucie winy spowodowane oddaniem Teri. Stawia to w trudnej sytuacji zarówno Melissę, jak i pańską żonę. Phyllis automatycznie staje się osobą, której należy się posłuch, dziecko otrzymuje od rodziców sprzeczne sygnały, rodzi się w nim rozdwojenie, a z tego rozdwojenia... — Przerwał, pozostawiając konkluzję nie dopowiedzianą, lecz

Charles zrozumiał go doskonale.

Klucz do rozwiązania problemów Melissy, jakiegokolwiek by one były, znajdował się w nim samym.

Jak teraz przypuszczał, doktor Andrews miał chyba ra-

Jednakże wciąż dręczyły go wątpliwości.

— Nie rozumiem jednak, w jaki sposób upokarzanie jej przy wszystkich może jej pomóc — zaczął. Jednakże nim rozwinął tę myśl, Phyllis przerwała mu:

— A ja nie rozumiem, jak czemukolwiek może zaradzić pranie naszych brudów w klubie — powiedziała drżącym głosem.

Charles spojrział chłodno na żonę, a z jego głosu można było wywnioskować, że posunęła się za daleko.

— Jak tak, to sama tego nie rób — odrzekł. — Jeśli nie potrafisz się zmusić do tego, żeby sprawić jej odrobinę radości przy teriisie, mimo że kiepsko gra, to nie graj z nią wcale.

Phyllis zacisnęła tylko ze złością zęby i nie odezwała się ani słowem. Przez następne pół godziny siedzieli oboje w milczeniu, pozdrawiając skinieniem głowy mijających ich znajomych i zamienili jedynie parę słów z Martinem i Paulą Barnstable, którzy zatrzymali się przy ich stoliku w drodze na połączony ze śniadaniem lunch.

Do siebie jednak nie odzywali się ani słowem.

— Gotowa, żeby wracać do domu? — spytał Charles Teri, kiedy dziewczyna przysiadła się do nich po przegranym meczu z Brettem.

Teri, zdziwiona, uniosła brwi. — Myślałam, że zostaniemy na lunchu — powiedziała.

Charles uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. — Rozumiem cię, ale czy nie sądzisz, że powinniśmy pójść do domu i zobaczyć, co porabia Melissa?

Phyllis poruszyła się na krześle i skłoniła niewyraźnie głowę w stronę męża.

— Może sam pójdziesz? Ja mogłabym zostać z Teri, a może Melissa będzie miała ochotę wrócić tutaj z tobą.

— Nie — powiedział Charles, a z tonu jego głosu wynikało, że nie będzie tolerował żadnego sprzeciwu. — Nie wyobrażam sobie, że chciałaby tu jeszcze dzisiaj wrócić i wcale jej się nie dziwię. A więc jeśli skończyłaś już drinka... — Nie dokończył zdania, wypisał czek i wstał z krzesła.

Phyllis, już przygotowana na to, by zacząć sprzeczkę, nagle zmieniła zdanie i uśmiechnęła się wymuszenie do Teri.

— Kiedy twój tato coś postanowi — powiedziała, nie mogąc całkowicie powstrzymać się od tego, by nie wdawać się w kłótnię — nie warto się z nim spierać.

Charles, ignorując zupełnie słowa żony, ruszył przez taras, a Teri pospiesznie podążyła za ojcem. Phyllis, kipiąc w środku ze złości, ruszyła za nimi.

Dziesięć minut później szli łagodnym wzniesieniem, oddzielającym plażę od trawnika ich posiadłości, kiedy Phyllis nagle zatrzymała się. Na murawie przed domem, pełni radości, mocowali się z sobą Tag i Melissa, a Blackie obskakiwał ich,

jak gdyby też chciał się przyłączyć do zabawy.

— Melissa! — krzyknęła Phyllis, a ostry głos matki postawił dziewczynę na nogi.

— Ile razy ci powtarzałam, że jesteś za duża na takie zabawy? Masz trzynaście lat i chcę, żebyś nie zachowywała się jak dziecko! — Ruszyła przez trawnik, lecz drogę do córki zagroził jej Blackie, który przywarował na ziemi, groźnie warcząc.

Zatrzymała się natychmiast, spoglądając na psa, wreszcie skierowała swój gniew na Taga.

— Tag, mówię ci po raz ostatni! Jeśli nie potrafisz zapanować nad tym psem, to wiedz, że się go pozbędę. A jeśli chodzi o ciebie, moja droga — ciągnęła dalej, spoglądając znów na Melissę i taksując wzrokiem plamy z trawy na jej białych szortach i bluzce — chcę, żebyś natychmiast poszła na górę i doprowadziła się do porządku. Masz na sobie zupełnie nowe ubrania i nie zdziwię się, jak się okaże, że już się nie da ich uratować.

Radość, która wypełniała Melissę podczas zabawy z chłopcem, wyparowała jak rosa w porannym słońcu. Dziewczyna odwróciła się i pobiegła do domu.

— Brawo, Phyllis — powiedział przez zaciśnięte zęby Charles. — Jak będziesz działać w tym tempie, to przed końcem wakacji będzie z powrotem u doktora Andrewsa.

Następnie ruszył pospiesznie za córką.

Rozdział 14

Teri leżała niespokojnie w łóżku, z książką na kolanach, nie mogąc zmusić się do lektury. W pamięci wciąż odtwarzała scenę z popołudnia, kiedy tata wyjeżdżał do Nowego Jorku. Gdy obejmował Melissę, szepcząc jej coś do ucha i robiąc plany na następny weekend, znów stała z boku. Kiedy w końcu spojrział na zegarek, obrócił się ku Teri i uściśnął ją krótko.

— Zaopiekujesz się dla mnie Melissą? — spytał. Zaopiekować się Melissą! Kim ona była? Niańką? Czy nie

wystarczy, że jej siostrzyczka pokazała swoje fochy w klubie, psując wszystkim lunch? Obdarowała jednak ojca jednym ze swoich najśłodszych uśmiechów, obiecując mu, że zaopiekuje się swoją przyrodnią siostrą. — Będziemy się dobrze bawiły, zobaczysz. Może nawet dam jej parę lekcji tenisa.

To by był dopiero horror — pomyślała sobie w tej chwili. Już sobie wyobrażała, jak stoi na środku ich kortu obok ba-senu i podaje Melissie wysokie piłki, jedną po drugiej, za-chęcając swą siostrę bez przerwy, mimo jej niezdarności.

— Dobrze, Mclisso! Znacznie lepiej! Dobre odbicie! Tuż obok mnie!

Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze, lecz wiedziała przecież, że mogłaby to zrobić, że zrobiłaby to, gdyby musiała.

Robiłaby to tak długo, jak długo Melissa będzie uważała ją za swoją przyjaciółkę.

A kiedy w końcu zorientuje się w czym rzecz (jeśli to w ogóle kiedykolwiek nastąpi), będzie już za późno.

O wiele za późno.

Przesunęła się na wąskiej przestrzeni, czując lekki ból w biodrach z powodu twardego materaca i przed oczami pojawił jej się obraz Melissy leżącej w swoim olbrzymim łóżku w pokoju obok.

W moim pokoju — przemknęło przez myśl Teri. — W moim pokoju, w moim domu, z moim ojcem.

Ale już niedługo.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i dręczona dziwnym niepokojem podeszła do okna. Nad ład od strony morza nadciągnęła cienka warstwa mgły, delikatne mleko, wirujące wokół wierzchołków drzew, rozmazujące ich kształty i nadające im nieziemski i upiorny widok.

Pogoda w sam raz dla D'Arcy — pomyślała Teri. — W taką noc duchy spacerują po plaży.

Z zamyślenia wyrwało ją delikatne skomlenie, a po nim ledwie słyszalny chrobot. Blackie.

To z pewnością był on. Obwąchiwał tylne drzwi i starał się wśliznąć do środka. Może powinna otworzyć mu drzwi. Zaprowadziłaby go na górę i wpuściła do pokoju Melissy.

A następnego ranka...

Do głowy jednak przyszedł jej inny pomysł i jej umysł zaczął pracować szybciej. Rozważała go przez kilka chwil, bawiąc się nim w myślach.

Podeszła do stojącej obok szafy szyfonierki, wysunęła najwyższą szufladę i macała wewnątrz dłońmi tak długo, aż natrafiła na sznur pereł przysłany jej w zeszłym roku na gwiazdkę przez ojca, taki sam, jaki miała w swej szufladzie Melissa. Wsunęła je do kieszeni szlafroka, weszła do łazienki i nasłuchiwała chwilę pod zamkniętymi drzwiami sypialni siostry.

Uchyliła je odrobinę i zerknęła do środka.

Tak.

Wszystko pójdzie jak z płatka.

Phyllis znowu zostawiła córkę na noc bez opasek i dziewczyna leżała zwinięta w kłębek, z głową wtuloną w poduszkę. Teri słyszała jej równy oddech. Zadowolona, przymknęła drzwi i wycofała się cicho do swego pokoju, zamykając łazienkę na klucz. Zgasila lampę na nocnym stoliku, uchyliła drzwi na korytarz i znowu przystanąła, nasłuchując.

W domu panowała cisza.

Otworzyła drzwi szerzej, wysliznęła się na korytarz i zamknęła je za sobą. Włożyła

ostrożnie do zamka staroświecki klucz i przygryzła wargi, gdy przekręcona zapadka trzasnęła cicho.

Korytarz rozświetlała jedynie mała lampka u szczytu schodów, którą zapalano na noc, lecz Teri poruszała się sprawnie po pogrążonym w mroku domu i po paru sekundach już była na dole. Przez hol, jadalnię i pokój z zastawą dotarła do kuchni.

Tutaj już było słychać wyraźnie, sapanie i skomlenie psa, a chrobot łap, skrobiących drzwi brzmiał niespokojnie.

Teri podeszła do drzwi, a pies, słysząc zbliżające się kroki, począł skomleć głośniej. Lecz kiedy otworzyła je, Blackie zawarczał głucho.

— To ja, Blackie — wyszeptała Teri, otwierając szeroko drzwi. — Nie chcesz wejść do środka?

Pies podkulił ogon pod siebie, cofnął się i znowu zawarczał.

Teri wyszła na ganek i pochyliła się, wyciągając do niego rękę. Blackie stał niepewnie, zdezorientowany tym gestem, lecz wreszcie uniósł łeb i zaczął podejrzliwie obwąchiwać palce dziewczyny.

— Dobry piesek — szepnęła. — Widzisz? To tylko ja. Nie musisz się bać. — Wprostowała się i podeszła do psa, ale Blackie cofnął się ostrożnie.

Przez chwilę Teri zastanawiała się, czy nie chwycić go za obrozę, lecz poniechała tego. Jeśli się przestraszy i ucieknie jej do lasu lub na plażę, już go nie znajdzie.

Przyszedł jej do głowy inny pomysł. — Zostań! — wyszeptała. — Zostań tam!

Blackie wahał się przez chwilę, spoglądając ostrożnie na dziewczynę, aż wreszcie usiadł. Teri, zostawiwszy drzwi uchylone, wróciła do kuchni i zaczęła przetrząsać szafki i kredens, aż wreszcie znalazła pudełko z herbatnikami. Wyjmując jeden wróciła do psa.

Blackie siedział nadal w tym samym miejscu.

— Masz — szepnęła Teri. — Chcesz jednego?

Pies wyciągnął łeb i zaskomlał błagalnie, ale gdy Teri wyciągnęła ku niemu rękę, odskoczył, zbiegł po schodkach i zatrzymał się na trawniku. Kiedy dziewczyna zawołała na niego ponownie, odwrócił się w jej stronę.

— No chodź! Nie chcesz ciasteczka? Zobacz, co Teri ma dla ciebie!

Z pyska ponownie wydobyło się ciche skomlenie, lecz tym razem, kiedy podeszła, pies nie ruszył się z miejsca, tylko wyciągnął łeb i sięgnął po smakołyk.

Teri podała mu lewą ręką herbatnik, a pałce prawej wsunęła pod obrozę.

— Taak — powiedziała. — Dobry piesek.

Blackie chrupnął ciasteczko i merdał z zadowolenia ogonem.

W tym czasie Teri odwiązała i zdjęła pasek od szlafroka. Kiedy Blackie zlizywał już ostatnie okruchy z krótko przystrzyżonego trawnika, owinęła mu go wokół szyi.

— Tak, właśnie tak — powiedziała delikatnie. — Dobry piesek.

Pasek szlafroka oplatał już całkowicie szyję psa i Teri puściła obrozę i chwyciła oba jego końce.

Blackie spojrział na nią wyczekująco, spodziewając się jeszcze jednego ciasteczka.

Jednak w tym momencie Teri raptownym szarpnięciem zacisnęła mu pasek wokół

szyi.

Pozbawiony nagle powietrza ogromny pies, wybałuszył oczy. Próbował wywinąć się ze śmiertelnej pętli, lecz dziewczyna stała pewnie na nogach i trzymała go w powietrzu tak, że zwisał bezradnie połową ciała. Przebierał na oślep przednimi łapami, próbując znaleźć jakiś punkt oparcia i wyszczerzył kły. Pazury tylnych łap drapały rozpaczliwie murawę i psisko starało się uwolnić od swego oprawcy, lecz na próżno, bo Teri zaczęła szarpać paskiem i huścić nim najpierw w jedną potem w drugą stronę, pozbawiając go resztek sił.

Przeraźliwie cicha, rozgrywająca się w ciemnościach mglistej nocy walka trwała i dziewczynie wydawało się, że już dłużej nie utrzyma zwierzęcia.

Ale w tym momencie rozległ się suchy trzask i wszystko się skończyło.

Złamane kręgi szyjne uszkodziły rdzeń kręgowy psa i jego trzydziestokilogramowe, miotające się jeszcze przed chwilą cielsko nagle sflaczało. Teri zaciskała jeszcze przez kilka sekund pasek, chcąc być zupełnie pewną, że pies jest martwy, po czym na wpół niosąc, na wpół ciągnąc go za sobą, weszła z powrotem do domu i zaczęła się wspinać na górę schodami dla służby.

Na początku Melissa nie wiedziała w ogóle, co to były za dźwięki, nawet nie miała pojęcia, w którym momencie uświadomiła sobie ich istnienie. Siedziała sama w pozbawionym jakichkolwiek wyraźnych cech, białym pokoju, tak ogromnym, że ledwie dostrzec mogła otaczające ją ściany. Lecz już po chwili te same ściany zdawały się napierać na nią i otaczać ją tak szczelnie, że wydawało jej się, że się dusi.

Nie wiedziała, dlaczego ani jak długo się tu znajduje.

Wiedziała tylko, że był to rodzaj kary, pokuta, jaką musiała odcierpieć za przestępstwo, o którym już prawie nie pamiętała, że je popełniła.

W pokoju zaległa cisza tak ogromna, że jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był jej własny, cichy oddech oraz bicie serca.

Wydawało jej się, że przebywa w tej ciszy już od wieków, lecz nagle do jej uszu poczęły dochodzić jakieś dźwięki. Już wiedziała, co to było. Odgłosy czyichś kroków.

Brzmiały złowieszczo i Melissa była pewna, że ktokolwiek to jest, przychodzi właśnie po nią.

Kroki nie minęły jej i ich odgłos nie rozpląnął się. Przycichły tylko na chwilę, a to znaczyło, że pozostaje jej czekać.

Czekać na to, aż otworzą się drzwi.

Zewsząd narastał głuchy stukot, otaczające ją ściany zaczęły się zamykać i napierać na nią, jak gdyby chcąc ją zmiażdżyć. Rozejrzała się gorączkowo wokół siebie w poszukiwaniu drzwi lub okna, lecz nic nie dostrzegła.

Nawet jeśli istniał jakiś sposób ucieczki, wciąż pozostawała jeszcze ta przerażająca istota, której kroki słychać było coraz bliżej. Ściany otoczyły ją jeszcze szczelniej i Melissa zaczęła walczyć w nie pięściami i zapierać się plecami ze wszystkich sił.

Zerwała się gwałtownie ze snu i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Resztki koszmaru zaczęły pierzchać z jej pamięci i pokój powoli przybierał realne kształty.

Jej pokój.

Była w domu, we własnym łóżku... Związana.

Serce zatrzepotało jej w piersiach ze strachu. Czy kiedy już zasnęła, mama przyszła w nocy i przypięła ją do łóżka?

Ogarnął ją tak dobrze jej znany lęk, który odczuwała zawsze na widok budzących grozę opasek, i zaczęła przyzywać w myślach D'Arcy. Wołając przyjaciółkę napinała mięśnie, chcąc zerwać krępujące ją więzy.

I nagle poruszyła nogami. Wcale nie była przypięta.

Zaplątała się po prostu w kołdrę, którą sama przyciskała ramieniem. Przekręciła się na drugi bok i już była wolna. Wydobyła ręce, wygrzebała się z pozwijanej kołdry i odkopała ją na bok nogą. Usiadła na łóżku i zabrała się do jej naciągania.

I wtedy znowu usłyszała kroki.

Rozbrzmiewały donośnym i wyraźnym echem w nocnej ciszy.

Znieruchomiała, nasłuchując uważnie.

Kroki rozległy się ponownie i przez moment Melissa była pewna, że to jednak jej matka. Musiała z pewnością krzyczeć przez sen i to ją zbudziło.

Dał się słyszeć głuchy stuk, a potem jeszcze raz kroki.

Ale tym razem było pewne, że nie dochodziły z korytarza.

Ktoś przechadzał się na górze. Na strychu.

Melissa wstrzymała dech, czekając, aż usłyszy je znowu. Rozległy się po chwili.

Raz, dwa razy, trzy razy, potem cisza.

I znowu stukot. Trzy wyraźne kroki, a po nich cisza. D'Arcy.

Melissa odetchnęła głęboko, wypowiadając w myślach jej imię. Ale przecież to nie mogła być D'Arcy. D'Arcy nie istniała. Ona sama ją sobie wymyśliła.

Czy naprawdę tak było?

Ze strychu znowu dobiegło ją echo kroków i dziewczyna wstała z łóżka, włożyła szlafrok i poszukała w drugiej szufladzie biurka latarki. Przewiązała się paskiem i wysliznęła na korytarz, zostawiając drzwi ze swojego pokoju otwarte. Posuwała się wolno ku końcu korytarza i dotarła wreszcie do drzwi, za którymi znajdowały się schody wiodące na strych. Zawahała się.

A jeżeli matka obudziła się i także słyszała to samo?

Co będzie, jeżeli znajdzie ją na strychu, w środku nocy?

Lecz tym razem było przecież inaczej. Tym razem nie spała i wiedziała dokładnie, co robi.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Znajome schody, po których stąpała setki razy tam i z powrotem, wydawały się teraz bardziej strome.

Bardziej strome i bardziej mroczne, pięły się w górę ku ciemnej otchłani.

Włączyła latarkę, ale snop światła tylko w niewielkim stopniu rozświetlał ciemność.

Złowieszcze cienie nad głową zdawały się wyciągać ku niej ręce i przyzywać ją ku sobie. Zacerpnąwszy tchu, Melissa ruszyła schodami w górę. Dotarła do końca i przez drugie drzwi weszła na strych. Przystanęła nasłuchując. Sekundy mijały powoli, lecz do jej uszu nie dochodził żaden dźwięk. Sięgnęła ręką do wyłącznika i zapaliła pojedynczą żarówkę, jedyną, która oświetlała całe pomieszczenie.

Znalazła się nagle w potoku światła, a ciemność kryjąca się w zakamarkach strychu stała się jeszcze głębsza. Po chwili z oddali dobiegł do niej słaby dźwięk, jak gdyby czyjś delikatny chichot. W tym momencie ogarnął ją strach. Czy to możliwe, że ktoś tu był?

I nagle zrozumiała.

Teri.

To musiała być Teri i chciała ją nastraszyć. Roześmiała się głośno, lecz przerwała nagle, słysząc, jak jej śmiech odbija się głośnym echem od ścian strychu.

— Teri? — wyszeptała głośno. — Daj spokój, wiem, że

Przez chwilę trwała cisza, a po niej znowu zabrzmiał dziwny chichot. Melissa słuchała uważnie, starając się określić, z jakiego dochodzi kierunku.

— Teri, gdzie jesteś?

Zaczęła świecić latarką dookoła, pewna, że za chwilę w snopie światła pojawi się jej przyrodnia siostra.

Gdy skierowała ją w daleki kąt strychu, znajdujący się nad jej pokojem, zamajaczyła przed nią jakaś postać. Ubrana na biało, z twarzą zakrytą welonem. A obok niej, na białym sznurze zaczepionym o krokiew wisiało cielsko psa.

Mimo że stała w oddali, widziała doskonale jego groteskowo przekrzywiony łeb, wybałuszone Ślepia i opuchnięty, wywalony jęzor zwisający z otwartego pyska. A na szyi psa ujrzała coś jeszcze, coś, co sprawiło, że

krew zastygła jej w żyłach. Sznur pereł.

Tych samych, które ojciec podarował jej na Boże Narodzenie w zeszłym roku.

Stała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w delikatnie błyszczące paciorki i starając się przekonać samą siebie do tego, co widziała.

Zaczęła iść w stronę psa i gdy już tam dotarła, nie widziała nic poza sznurem pereł.

Wyciągnęła rękę, dotknęła palcami paciorków, ujęła je mocno i zdjęła z szyi zwierzęcia.

W ułamek sekundy później z jej gardła wydobył się przeraźliwy krzyk, który przerwał zalegającą na strychu ciszę. Strach ogarnął ją i zawładnął nią całkowicie i zostawiając zapalone światło, Melissa rzuciła się w stronę drzwi i pognąła schodami w dół. Dotarła na korytarz na piętrze, minęła róg i wpadła do sypialni rodziców. Na nocnym stoliku zapaliła się lampa, a matka usiadła na łóżku i wpatrywała się w nią zdumiona.

— Melisso? Co ty tu na miłość boską robisz?

— Biackie — powiedziała z jękiem w głosie Melissa. — Widziałam go, mam, ja go widziałam!

Phyllis otrząsnęła się z resztek snu i sięgnęła po szlafrok.

— O czym ty mówisz, dziewczyno? Jeśli odważyłaś się przyprowadzić do domu tego psa...

— Ale ja tego nie zrobiłam! — krzyknęła z płaczem Melissa i podbiegła instynktownie do matki, a po policzkach spływały jej łzy. Lecz Phyllis, zamiast objąć i przytulić córkę, chwyciła ją

mocno za ramię i posadziła na krawędzi łóżka.

— Melisso, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz!

Przestań płakać i powiedz mi, co się stało!

Dziewczyna całym wysiłkiem woli powstrzymała szloch.

— Na... na górze — wyjąkała. — Blackie jest na górze, martwy.

Phyllis, poirytowana, spoglądała na córkę.

— Melisso, naprawdę nie wiem, co ty wygadujesz!

— Blackie! — zaszlochała Melissa. — Przecież ci mówię, mammo, Blackie jest na strychu, martwy!

Zacinając się co chwila, starała się mamie opowiedzieć, co się wydarzyło, ale gdy relacjonowała, co widziała, była pewna, że mama jej nie wierzy. Wreszcie kiedy skończyła opowiadać, Phyllis potrząsnęła głową.

— Melisso, wiesz, co sądzę o tych historiach, które zmyślasz...

— Wcale nie zmyślam, mammo! — powiedziała błagalnym tonem dziewczyna, wręczając Phyllis sznur pereł. — Znalazłam je tam, na strychu!

Phyllis wpatrywała się w perły.

— Czy to twoje perły, Melisso? Jak one się znalazły na strychu?

— Miał je na szyi — wyjąkała Melissa drżącym głosem, dusząc się od łez. — Jeśli mi nie wierzysz, chodź sama i zobacz!

Phyllis wstała raptownie z łóżka. — Pójdę — powiedziała, chwytając córkę za rękę. — Obie pójdziemy. I mam nadzieję — dodała, a w jej głosie pobrzmiwał złowieszczy ton — że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłaś.

Poprowadziła córkę korytarzem przed sobą. Skręciły i dotarły do głównych schodów, kiedy nagle Melissa zatrzymała się ujrawszy Teri, ubraną w pizamę i szlafrok, stojącą przed drzwiami swojego pokoju.

- Melissa? — zapytała Teri, unosząc z niepokojem brwi. — Czy coś się stało?

Słyszałam, jak ktoś przed chwilą krzyczał.

Dziewczyna otarła wciąż płynące jej z oczu łzy i przytaknęła głową. — Chodzi o psa — zaczęła, ale matka me pozwoliła jej skończyć.

- Wydaje jej się, że widziała to głupie zwierzę na strychu, a razem z nim jakiegoś ducha. To oczywiście bzdura, ale upiera się, żeby pójść z nią i zobaczyć.

Teri spojrzała zdziwiona. — Mogę pójść z wami? — spytała.

Phyllis zawahała się, a w końcu uśmiechnęła kwaśno.

— Czemu nie? — odrzekła.

Po chwili Phyllis, z Teri u boku, zaczęły się wspinać schodami na strych. Melissa, zbyt przerażona tym, co ujrzała w niewielkim pokoiku pod dachem, pozostała na korytarzu. Jednakże po niespełna minucie usłyszała głos matki, zwracającej się do Teri:

— No i proszę! Mamy tego ducha!

Zawołała głośniejszym głosem: — Melisso, pozwól tu na górę! — Dziewczyna wahała się i Phyllis powtórzyła polecenie, tym razem ostrzejszym tonem. — Słyszysz, co do ciebie mówię? Kazałam ci przyjść na górę!

Melissa wspinała się wolno po schodach i już wiedziała, że coś się wydarzyło, że jej matka i Teri nie zobaczyły tego co ona.

— Spójrz tutaj — odezwała się do niej Phyllis, gdy dotarła na górę. — Czy to właśnie widziałas?

Wzrok Melissy powędrował za palcem matki i gdy zobaczyła stary, krawiecki manekin, przebiegł ją zimny dreszcz.

Był to ten sam manekin, który zauważyła, kiedy była tu razem z Teri zaledwie parę dni temu.

Na manekinie wisiała biała staroświecka suknia balowa.

To on właśnie, jeszcze parę minut temu musiał wyglądać jak wyłaniający się z ciemności duch. Dziewczyna, z zapartym tchem rozglądała się po strychu, szukając jakiegoś śladu psa.

_Rozejrzyj się dokładnie dookoła — usłyszała pouczający głos matki. - Gdzie dokładnie widziałas tego psa?

Melissa próbowała przełknąć ślinę gromadzącą się jej w gardle.

— Tam — powiedziała bezgłośnie. — Zaraz przy manekinie.

Phyllis, chwytając córkę za rękę, torowała sobie drogę przez zagracony strych, aż dotarły obie w poblize mane-

— No? — zapytała. — Widzisz go tutaj? Melissa potrząsnęła przecząco głową.

— Ale mówiłaś, że widziałas go właśnie w tym miejscu? Melissa przytaknęła.

— A teraz go nie ma. — Kiedy Melissa nic nie odpowiedziała, Phyllis szarpnęła ją mocno za ramię. — Nie ma go tutaj, prawda?

— Nie, mamo.

— Nie ma także żadnego ducha w welonie, mam rację? — spytała stanowczo Phyllis.

— Tak, mamo.

— No więc co się stało? — powiedziała Phyllis, a jej głos przybrał protekcyjny ton, jak gdyby mówiła do pięciolatka.

— Nie wiem — wyszeptła Melissa, rozglądając się nerwowo po strychu i szukając jakiegoś śladu, który potwierdziłby prawdziwość jej historii.

— No cóż... — ciągnęła dalej Phyllis, spoglądając w kierunku schodów. — Skoro nie wiesz, co się naprawdę wydarzyło, to ja ci powiem. Miałaś po prostu zły sen, to wszyst-

— Ale to nie był sen — upierała się Melissa, spoglądając instynktownie na Teri, jakby szukając u niej wsparcia. — Usłyszałam na górze kroki i przyszłam sprawdzić, skąd pochodzą. Myślałam... myślałam, że to ty. Sądziłam, że chcesz mnie nastraszyć.

Teri wzruszyła ramionami i pokręciła przecząco głową. - To nie byłam ja — powiedziała. — Spałam cały czas. Obudziłam się dopiero, kiedy krzyknęłaś.

_ ALe.

— Żadnych „ale” — ucięła krótko Phyllis. — Widzisz, że nic tu nie ma. Jeśli byłaś na górze i widziałas to, co mówisz, to znaczy, że znowu chodziłaś we śnie.

Słowa Phyllis odbiły się złowróżbnym echem w umyśle Melissy. Czy to możliwe, że mama miała rację? Czyżby znowu chodziła we śnie, a dźwięki, które słyszała, i

to, co widziała, były jedynie wytworem jej wyobraźni?

To wydawało się niemożliwe.

Przyjrzała się raz jeszcze naszyjnikowi z pereł, który ścisnęła w dłoni. — Ale przecież znalazłam to — zaczęła.

Matka ucięła jej krótko. — Przyniosłeś to mając nadzieję, że mnie przekonasz do twojej historii. Ale to ci się nie uda. Pójdiesz do łóżka i tym razem już w nim pozostaniesz.

Gdy Melissa usłyszała te słowa, przebiegł ją zimny dreszcz, bo wiedziała, co ma na myśli matka. Kiedy powróciły na piętro, dalsze słowa Phyllis potwierdziły jej obawy.

— Może zejdziesz do kuchni, Teri — powiedziała. — Nastaw mleko na kakao, a ja tam zaraz będę. — Przerwała i spojrzała na swoją córkę. — Jak tylko położę Melisę do łóżka — dokończyła. Ale zamiast pójść z nią do jej pokoju, wysłała dziewczynę przodem.

Melissa wzdygnęła się na widok matki wchodzącej do jej sypialni minutę później i trzymającej w dłoni skórzane opaski.

— Nie lubię ich tak samo jak i ty — powiedziała Phyllis, opasując nimi ręce i nogi córki. — Ale nie wiem, co innego mogłabym jeszcze zrobić. Przecież nie możesz chodzić po całym domu w nocy, prawda?

Melissa nic nie odpowiedziała i spoglądając przez długą chwilę na budzące lęk kawałki skóry w dłoniach matki, przyzywała na pomoc D'Arcy.

Przyjaciółka nie zawiodła jej. Ukołysała dziewczynę do snu, a sama czuwała przy jej boku i znosiła cierpliwie więzy.

Pół godziny później Teri wróciła razem z Phyllis na górę, pocałowała ją na dobranoc i poszła do swojego pokoju. Poczekała, aż zamkną się drzwi sypialni rodziców, następnie podeszła do drzwi łazienki, przekręciła klucz i przez łazienkę przemknęła się pod drzwi do pokoju Melissy. Przystanęła przy nich nasłuchując, ale za drzwiami zalegała cisza. Wreszcie otworzyła je i wśliznęła się do pogrążonego w ciemnościach pokoju siostry. Stąpając cicho podeszła do łóżka i spojrzała jej uważnie w twarz.

Melissa leżała na plecach i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w sufit.

— Melissa, śpisz? — zapytała Teri. Cisza.

Usta Teri wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu.

— Będą myśleli, że zwariowałaś — wyszeptała. — Pomyślą, że ci odbiło, i zamkną cię u czubków.

Śmiejąc się w duchu, wróciła do swojego pokoju i zasnęła głębokim, pozbawionym koszmarów snem.

Rozdział 15

Teri obudziła się na dwie sekundy przed godziną, na którą był nastawiony stojący na jej nocnym stoliku budzik, tak że zdążyła go przykryć ręką, zanim delikatny dźwięk buczka osiągnął najwyższe natężenie. Spojrzała na niewyraźnie majaczące wskazówki: była czwarta trzydzieści i niebo za oknem było jeszcze ciemne. Leżała przez kilka minut w łóżku, przysłuchując się odgłosom nocy, lecz do jej uszu nie dobiegł żaden szczególny dźwięk. Słyszała jedynie cykanie świerszczy i kumkanie żab na tle delikatnego plusku fał, obmywających plażę.

W całym domu także panowała cisza. Wyśliznęła się z łóżka, nałożyła szlafrok i podeszła do

okna. Dom Cory Peterson, stojący za basenem, był teraz jedynie cieniem odcinającym się niewyraźnie od ciemnej ściany lasu, z którym sąsiadował. Przeszła na palcach do łazienki i przystanąła pod drzwiami siostry, nasłuchując przez chwilę. Sama Melissa nie była problemem, bo Teri wiedziała dobrze, że ma jeszcze parę godzin, zanim Phyllis przyjdzie i odwiąże ją od łóżka. A potrzebowała zaledwie kilku minut. Wróciła do swojego pokoju i ubrała się sprawnie mimo ciemności. Na samym końcu odnalazła adidas. Leżały dokładnie tam, gdzie je położyła wieczorem, tuż obok nocnego stolika. Wsunęła w nie bosc stopy, a następnie naciągnęła mocno i zawiązała sznurówki. Podeszła cicho do drzwi i zanim nacisnęła klamkę, nasłuchiwała przez chwilę, lecz w domu było cicho jak makiem zasiał. Lekki uśmiezek zadowolenia wykrzywił jej twarz. Otworzyła drzwi, wyszła na palcach i zamknęła je cicho za sobą.

Przeszła przez szeroki podest, na który wychodziły główne schody, przemknęła obok sypialni Phyllis i skręciła w prawo, w skrzydło dla gości.

Doszła do końca korytarza i stanęła przy zamkniętych drzwiach, za którymi znajdowały się schody dla służby.

Otworzyła je, weszła do pozbawionej zupełnie światła klatki schodowej i zamknęła je za sobą. Nic teraz nie widziała i była w stanie poruszać się w ciemnościach tylko dlatego, że pamiętała, jak wspinała się tędy wcześniej, wlokąc za sobą na strych martwego psa. Wtedy świecił jeszcze księżyc i przez świetlik wpadało dość światła, by zobaczyć, jak biegną schody. Teraz jednak musiała posuwać się po omacku, licząc kolejne stopnie.

Gdyby, nie daj Boże, się potknęła... Odsunęła od siebie tę myśl. Jak na razie prawie wszystko szło znakomicie.

Jedyną rzeczą, która nie poszła po jej myśli, było to, że Melissa, zamiast zbiec od razu na dół z krzykiem, zdjęła wpięte perły z szyi psa. Nie przewidziała tego.

Wydawało jej się, że sam widok martwego zwierzęcia wystarczy, by wprawić jej przyrodnią siostrę w histerię. Lecz zamiast tego Melissa przeszła przez cały strych, jak gdyby nie wierzyła w to, co ujrzała.

I wtedy właśnie wzięła perły.

Teri, ukryta nie opodal za kufrem, o mało co nie wpadłaby w tym momencie w panikę. Ale kiedy jej siostra zbiegała z krzykiem ze schodów, wiedziała już, co robić dalej. Odwiązała psa, wepchnęła go do jednej ze skrzyń, a następnie zeszła szybko na piętro schodami dla służby. Wtedy Melissa była już w sypialni rodziców i opowiadała zapłakana całą historię, a ona mogła przemknąć nie zauważona pogrążonym w ciemności korytarzem.

Otworzyła swój pokój i przez łazienkę weszła do pokoju Melissy. Jej perły były dokładnie w tym samym miejscu, gdzie znalazła je kilka dni wcześniej. Po chwili była już z powrotem w swoim pokoju i schowała perły we własnej komodzie na długo przedtem, zanim Phyllis razem z córką poszły na strych.

Wszystko poszło jak z płatka.

Dotarła na górę i otworzyła drzwi. Dawno nie oliwione zawiasy zaskrzypiały w proteście; dziewczyna znieruchomiła, ale po chwili uświadomiła sobie, że przecież znajduje się w drugim skrzydle domu. Niemożliwe, aby ktokolwiek usłyszał skrzypienie.

Szła po omacku przez strych, macając rękoma w ciemnościach, aż dotarła do skrzyni, w której schowała ciało psa. Otworzyła ją, wydostała je na podłogę i zamknęła wieko.

Pięć minut później, z ciężącym jej na ramionach cielskiem, zjawiła się w kuchni. Wyszła tylnymi drzwiami i przez trawnik skierowała się do szopy stojącej obok szatni koło basenu. Na wschodzie pojawiło się już blade światło świtu, a niebo nad jej głową wyzbywało się swej atramentowej czerni.

W ramionach zaczynała czuć dokuczliwy ból, spowodowany ciągłym trzymaniem ciężkiego psa. Odetchnąwszy głęboko ruszyła przez taras okalający basen. Nagle zastygła w bezruchu.

Gdzieś z ciemności obserwował ją czyjś przenikliwy wzrok.

To przecież niemożliwe! Cały dom był pogrążony w mroku i wszyscy spali głębokim snem.

Odwróciła się i przyjrzała badawczo budynkowi. W żadnym z okien nie paliło się światło. Wszędzie zalegała cisza. Ale kiedy odwróciła się raz jeszcze, jej wzrok przykuł jakiś niepozorny, ledwie zauważalny ruch.

Strych.

Czy to możliwe, że ktoś obserwował ją z małego, mansardowego okienka na strychu?

Przystanęła na chwilę i zaczęła się zastanawiać, wpatrując się w niewielkie okienko. Lecz niebo rozjaśniało się coraz szybciej i doszła do wniosku, że musiała się pomylić. Nic tam nie było, nikt jej nie obserwował.

Była bezpieczna.

Przemknęła obok szatni i przystanęła znowu, obserwując uważnie domek Cory. Wreszcie ruszyła przez trawnik w stronę szopy za garażem.

— Do czepy ona w ogóle służy? — zapytała Melissę przed paroma dniami, gdy siostra oprowadzała ją po posiadłości i doszły do rozwalającej się przybudówki.

— Dawniej ogrodnicy prowadzili w niej rozsady kwiatów, tak że kiedy wysadzono je na ogród, to już kwitły. Ale akt jej nie używa od wielu lat.

— Dlaczego jej nie rozbierzecie? — zapytała Teri, spoglądając na chylące się ku ziemi ściany. — Wygląda, jakby się miała zaraz zawalić. Melissa zachichotała. — To prawda. Ale za każdym razem kiedy tata mówi, że ją rozbierze, mama twierdzi, że ją na coś wykorzysta. Raz mało to być atelier, innym razem chciała tu zajmować się ceramiką. Ale mama nigdy nie robi nic z tych rzeczy, o których mówi. Nawet się do tego nie przymierza. I dlatego właśnie Teri pomyślała zeszłego wieczoru o szopie. Zrzuciła na ziemię ciało psa i otworzyła drzwi. Zaglądała już do szopy przedtem i zauważyła, że w podłodze są luźne deski. Zajął jej niewiele czasu, by podnieść trzy z nich. Wyszła na zewnątrz, po raz ostatni już podniosła martwego psa i zaniósła go po schodkach do wnętrza. Po niecałej minucie było już po wszystkim. Deski znalazły się z powrotem na swoim miejscu i nic nie wskazywało na to, że ktoś wchodził do walącej się szopy. Ale teraz pod podłogą leżało schowane ciało Blackie'ego.

— Już dobrze, Melisso — szeptała cichym głosem D'Arcy. — Teraz odchodzę i możesz się śmiało obudzić.

Melissa budziła się ze snu powoli, mrużąc oczy. Kiedy Phyllis odpięła ostatnią klamrę, która łączyła ją z łóżkiem, otworzyła je całkowicie i natychmiast ogarnął ją strach, gdy zobaczyła skórzane opaski w dłoniach matki. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że to nie wieczór, lecz nowy dzień. Był już poranek i przez okno wpadały do pokoju promienie słońca.

— Która godzina? — spytała.

Phyllis uniosła lekko brwi. — Proszę, zdecydowałaś się wreszcie przemówić do mnie? — Dziewczyna wpatrywała się bezmyślnie w matkę. — Melisso, dlaczego mi to zawsze robisz?

— Co takiego, mamó? — spytała Melissa ostrożnym głosem. Czy to możliwe, że zrobiła już coś złego dzisiaj rano? Przecież dopiero przed chwilą się obudziła!

I wtedy przypomniała sobie to, co wydarzyło się w nocy na strychu. Czy mama gniewała się na nią z tego powodu? Ale to przecież niesprawiedliwe.

Naprawdę widziała tam psa i...

Ostry głos Phyllis wyrwał ją z zamyślenia. — Czy myślisz, że tego nie widzę? — zapytała matka. — Nie oszukuj

ranie, młoda damo. Dobrze wiem, że kiedy wchodzę do pokoju nigdy nie śpisz. Nigdy nie śpię? O czym ona mówi?

— Ale to nieprawda... — przerwała, widząc gniewny wzrok matki. — Nie kłam, Melisso. Wiem, że nienawidzisz tych opasek, ale zapinam je dla twojego dobra. Jak myślisz, jak się czuję, kiedy wchodzę do pokoju, a ty wpatrujesz się w sufit, a gdy zaczynam cię odpinać, to udajesz, że śpisz. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć „dzień dobry”, twoja sprawa. Ale nie sądz, że jestem na tyle głupia, by uwierzyć, że śpisz

naprawdę.

Nagle Melissa zrozumiała, o co chodzi matce.

To nie ona wpatrywała się w sufit, kiedy do pokoju wchodziła Phyllis.

To była D'Arcy, która czuwała nad nią i pozwalała jej przespać spokojnie całą noc.

Wzdrygnęła się na samą myśl

o tym, jak D'Arcy mogła to znieść, przypominając sobie równocześnie strach, jaki ona sama odczuwała, kiedy do jej sypialni wchodziła matka z tymi strasznymi pasami w ręku. Lecz D'Arcy było to chyba obojętne.

— Przepraszam, mam — wymamrotała Melissa. — Ja po prostu... ja chyba nie byłam jeszcze zupełnie rozbudzona...

Phyllis, udobruchana przeprosinami córki, skinęła głową. — W porządku — powiedziała. — Już prawie ósma. Teri

i ja zjadłyśmy już śniadanie i idziemy teraz do klubu.

Melissa przytaknęła machinalnie i po chwili była już sama w pokoju. Poszła do łazienki, zdjęła piżamę i wzięła prysznic. Gdy w parę minut później nakładała swoje ulubione, wypłowiałe dzinsy, usłyszała przez otwarte okno głos Taga: — Blackie! Piesku, chodź tutaj!

i Serce zabiło jej mocniej. Jednak musiała się mylić w nocy. Jeśli Tag wołał psa...

Ale w tym momencie przypomniała sobie o perłach. Jej wzrok powędrował w stronę nocnego stolika. Leżały wciąż dokładnie tam, gdzie je położyła.

Wciągnęła koszulkę i podbiegła do okna. Tag szedł skrajem sąsiadującego z laskiem trawnika, przystając co parę metrów i wołając psa. Obserwowała go przez chwilę ze ściśniętym gardłem, bo wiedziała już, co musi zrobić.

Ubrała pośpiesznie sandały i zbiegła na dół. Cora była sama w kuchni.

Uśmiechnęła się do niej i wskazała głową stojącą na kredensie szklankę z sokiem pomarańczowym.

— Mama i Teri już poszły — zwróciła się do niej. — Zostawiłam ci trochę soku.

Mam też bekon w piekarniku i jak chcesz, to ci usmażę jajka.

Melissa potrząsnęła przecząco głową i Cora spojrzała na nią z niepokojem.

— Czy coś się stało, kochanie? Wyglądasz jakoś tak...

— Blackie gdzieś zginął, prawda? — spytała Melissa. Cora wstrzymała oddech. —

No cóż, nie wiem, czy tak to

można nazwać...

— Ale nie ma go, prawda? — upierała się przy swoim dziewczyna, czytając z twarzy Cory całą prawdę.

— To prawda, nie wrócił zeszłej nocy — przyznała gospodyni. — Ale powiedziałam dzisiaj rano Tagowi, że to przecież nic niezwykłego w wypadku psa. Wystarczy przecież, że jedna suka w okolicy ma cieczkę, i można spodziewać się...

— Przerwała, bo Melissa rzuciła się do drzwi i przez trawnik pognąła w stronę chłopca, krzycząc do niego z całej siły:

— Tag! Tag!

Już miał wejść do łasku, kiedy zatrzymał go krzyk dziewczyny. Obrócił się i zobaczył, jak biegnie w jego stronę. Po chwili stała już obok niego.

— Nie ma go, prawda? — zapytała, łapiąc oddech. Tag uniósł w zdziwieniu brwi.

— A ty skąd o tym wiesz? Melissa zawahała się, przypominając sobie wyraz twarzy

matki ubiegłej nocy, gdy powiedziała jej, że widziała, jak martwy pies zwisa z krokwi na strychu. Czy Tag także popatrzy na nią w ten sam sposób?

— Ja... ja widziałam go zeszłej nocy — odezwała się. — Przynajmniej tak mi się wydaje.

Tag uniósł niespokojnie głowę. — Co to znaczy „tak mi się wydaje”?

— Nie wiem — ciągnęła dalej Melissa. — Mama powiedziała, że mi się to po prostu śniło, albo że to wszystko wymyśliłam. Ale to nieprawda. — Opowiedziała mu szczegółowo całą historię, zaczynając od momentu, w którym się obudziła i usłyszała kroki na strychu. Kiedy doszła do końca, Tag jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

— I kiedy mama wzięła cię na górę, nic tam nie było? Melissa potrząsnęła głową.

— Nic poza starym manekinem z suknią — odpowiedziała.

— No cóż, manekiny nie chodzą — odpowiedział Tag. — Może powinniśmy pójść na górę i jeszcze raz dokładnie wszystko obejrzyć.

Melissa zdziwiła się. — Sądzisz, że powinniśmy to zrobić?

— A dlaczego nie? — spytał Tag. — Przecież to twój strych, prawda? Czy mama zabroniła ci tam chodzić?

Melissa pokiwała przecząco głową i oboje ruszyli w kierunku domu.

Zakończyli poszukiwania po dwudziestu minutach. Manekin stał tam gdzie przedtem, ale po psie nie było ani śladu.

— To rzeczywiście mógł być tylko sen — stwierdził Tag, gdy schodzili na dół.

— To niemożliwe! — upierała się Melissa. — Nie chodziłam tej nocy we śnie i wcale mi się to nie śniło! Wiem, co widziałam! Poza tym, jak wytłumaczysz te perły? Miał je na szyi!

— Hola, uspokój się! — zaprotestował chłopiec. — Wcale nie twierdzę, że kłamiesz. Miałem na myśli to, że czasami po prostu zdarza ci się chodzić we śnie. Może, powtarzam, może sama zaniósłś te perły na górę.

Oczy Melissy pociemniały. — Nieprawda! Wcale nie chodziłam we śnie i wiem dokładnie, jak było!

Tag cofnął się o krok. — Dobra — powiedział, unosząc głos, bo nie podobał mu się gniewny ton dziewczyny. — No to powiedz mi, co się stało! Co zrobiłaś? Sama go zabiłaś? Melissa otworzyła zdziwiona usta.

— Ale ja...

Lecz nie była w stanie powiedzieć nic więcej, bo nagle zrozumiała, że dokładnie to samo przypuszczenie, które wyraził przed chwilą Tag, czało się już od dawna w zakamarkach jej umysłu.

Przecież to właśnie jej naszyjnik był owinięty wokół szyi psa.

Skoro ona go tam nie umieściła, to kto? Nikt poza nią nie wiedział, gdzie go trzymała.

Czyżby naprawdę chodziła we śnie?

Czy to możliwe, że zrobiła to i nic nie pamięta?

Kroki.

Jak wytłumaczyć kroki?

A może ich wcale nie słyszała. Może były także częścią jej snu?

W głowie czuła zamęt. Wszystko razem nie trzymało się kupy. Nie była już w stanie oddzielić tego, co wydarzyło się naprawdę, od tego, co było tylko wytworem jej wyobraźni.

Czuła się tak, jakby za chwilę miała zwariować. Miała opuchnięte od łez oczy i dławili ją szloch.

— Czy naprawdę myślisz, że mogłam go zabić? — zapytała drżącym głosem.

— Daj spokój — powiedział z przekąsem Tag. — Dlaczego miałbym tak sądzić?

Powiedziałem tak tylko dlatego, że zachowywałaś się tak, jakbyś była wściekła na mnie. To oczywiste, że go nie zabiłaś. Dlaczego miałabyś to zrobić?

— Ale jeśli tego nie zrobiłam, to gdzie on jest? — spytała Melissa płaczącym głosem, a po policzkach zaczęły jej spływać łzy. — Gdzie on jest, Tag? —

powtórzyła. — A jeśli go zabiłam i nawet tego nie pamiętam?

Nie czekając nawet na odpowiedź, pobiegła do swojego pokoju i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Teri z przymkniętymi oczami spoczywała na leżaku wystawiwszy twarz na poranne promienie słońca. Rozegrała jednego seta z Phyllis, pozwalając jej zwyciężyć, a następnie gładko wygrała z Ellen Stevens. Potem poszła z nią popływać i od tamtej pory leżała przy basenie i rozkoszowała się ciepłem słońca i przyjemnym szumem toczących się wokół rozmów.

Nagle jakiś cień padł na jej twarz i kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą czyjąś sylwetkę. Przymrużyła oczy starając się zorientować, kto to może być, i już miała podnieść się, gdy nagle na jej stopy chlusnęła lodowato zimna woda. Zerwała się na równe nogi, obróciła i ujrzała Brettta stojącego na skraju basenu i szczerzącego do niej w uśmiechu zęby.

— Zachodziła obawa, że możesz się zbyt przypiec, więc postanowiłem cię trochę ochłodzić — odezwał się do niej.

— Co ty powiesz! — odparowała. — A może by tak dla odmiany ochłodzić teraz ciebie? — To powiedziawszy, pchnęła go do basenu, a sama wskoczyła zaraz za nim. Chwyciła go za ramiona i wepchnęła pod wodę, wywinąwszy się przy tym zwinnie z jego objęć. Dogonił ją w połowie basenu i zdążyła tylko złapać trochę powietrza w płuca, kiedy wciągnął ją pod wodę. Szamotali się przez chwilę, wreszcie uwolniła się, ruszyła błyskawicznie do brzegu i wydostała z basenu na ułamek sekundy przedtem, zanim zdołał ją schwycić. Kiedy wreszcie Brett wygramolił się z wody, ona już wycierała się ręcznikiem przyniesionym jej przez jednego z pracowników obsługi w tym samym momencie, w którym pojawiła się na tarasie. Gdy skończyła, rzuciła go Bret-towi, a sama znowu wyciągnęła się na leżaku. Chłopiec położył się obok.

— Idziesz w przyszłym tygodniu na zabawę? — zapytał. Teri uniosła głowę. — Na jaką zabawę? — spytała.

— Na bal kostiumowy — odpowiedział Brett. — Jest w przyszłą sobotę i jeżeli z

nikim jeszcze nie idziesz...

Teri uśmiechnęła się do niego figlarnie.

— Chcesz, żebym poszła z tobą? — spytała.

Brett poczerwieniał i przytaknął głową. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

Teri już była gotowa przyjąć zaproszenie, lecz nagle zawahała się. A co będzie z Melissa? Czy ona sama będzie mogła pójść, jeśli nikt nie zaprosi jej przyrodniej siostry? Rzuciła okiem w stronę stolika, przy którym siedziała jej przybrana matka, rozmawiając z matką Brett. Po dzisiejszym poranku była już prawie pewna, że Phyllis będzie obojętne, czy Melissa pójdzie na zabawę, czy też nie.

Ale co z ojcem? Przypomniała sobie w tym momencie jego słowa: „Zaopiekuj się dla mnie Melissa, dobrze?”

I wtedy znów, po raz kolejny, zaczął się w jej głowie rodzić pewien pomysł.

— Czemu nie — powiedziała, uśmiechając się do Brett. Lecz po chwili przybrała markotną minę. — No tak, ale co z Melissa?

Uśmiech rozświetlający twarz chłopca nagle znikł.

— Melissa? — powtórzył. — A co ma z nią być?

Teri opuściła skromnie głowę. — Myślę, że to byłoby bardzo nieładnie z mojej strony, gdybym poszła bez niej, prawda? Przecież jestem tu od niedawna i prawie nikogo nie znam. Jak ona by się czuła, gdybym poszła z tobą, a jej by nikt nie zaprosił?

Brett oblizał nerwowo dolną wargę.

— To co ja mam zrobić? — zapytał. — Też mam znaleźć dla niej chłopaka?

Teri spojrzała na niego, perfekcyjnie udając zdziwienie.

— Mógłbyś to zrobić? — spytała. — Naprawdę mógłbyś?

Brett przełknął ślinę. No i w co się wpakował? Czy znał w ogóle kogoś, kto gotów był wyjść gdziekolwiek z Melissa

Holloway?

- No cóż, nic wiem — powiedział z asekuracją w głos. Z twarzy Teri znikł uśmiech.

— No to w takim razie nie wiem, czy będę mogła pójść. Sądzę, że nie byłoby w porządku z mojej strony zostawić ją samą w domu. — I w tym momencie jej twarz pojaśniała, jakby nagle coś jej przyszło do głowy.

— No a może Jeff? — spytała.

Brett wpatrywał się w nią przez chwilę.

— Jeff? Dlaczego właśnie on?

Teri zawahała się, a następnie odezwała się ściszym głosem:

— Jeśli ci powiem w tajemnicy, to obiecasz, że nikomu nie rozgadasz?

Brett skinął głową.

— Melissa się w nim kocha — powiedziała. — Jeśli uda ci się nakłonić go do tego, by ją zaprosił, to pójdę z tobą.

— A co będzie, jeśli mi się nie uda? — spytał Brett. Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Na pewno ci się

uda. Znajdziesz jakiś sposób.

W godzinę później Brett znalazł Jeffa, rozciągniętego na ręczniku na plaży przed

domem Kenta Fieldinga, ze słuchawkami w uszach i jakimś czasopismem na kolanach. Kent leżał obok na brzuchu i spał. Brett położył się obok Jeffa i nastawił pokrętko głośności jego walkmana na maksimum. Jeff podskoczył ogłuszony i spojrzał na Bretta.

— Co ty, człowieku, do cholery robisz? — Muszę z tobą pogadać. Mam problem.

— Melissa? — jęknął Jeff, kiedy Brett mu wyjaśnił w czym rzecz. — Chwila, stary. Ty myślisz, że ja zaproszę Melissę na zabawę. Czy ja wyglądam na takiego przyglupa?

— Daj spokój — odpowiedział Brett. — Co w tym trudnego? Nie pamiętasz tej twojej kuzynki, z którą ja się umówiłem w zeszłym roku?

Jeff rozszerzył w zdziwieniu oczy. — To nie to samo. Moja kuzynka przynajmniej zachowuje się jak człowiek.

— Rzadko jej się to zdarza — odparował Brett. — Poza tym, co takiego straszego widzisz w Melissie? Wcale nie była taka zła na ognisku...

— No, dobra — wycedził Jeff. — Dopóki jej nie odbiło i nie poleciała do domu do mamusi. Oczywiście — dodał chytrym głosem — zawsze możemy pójść na jakiś układ... — przerwał znacząco.

— Jaki układ? — spytał podejrzliwie Brett.

— Twoje porsche. Jak dasz mi nim pojeździć w sobotę wieczorem i przez całą niedzielę, to możemy o tym porozmawiać.

Brett zawahał się. Miał ten samochód dopiero od pół roku i jak na razie nie pozwolił jeszcze nikomu go prowadzić. I wtedy nagle przypomniał sobie twarz Teri. Uśmiechnęła się do niego, a w jej oczach...

— Zgoda — powiedział, akceptując propozycję Jeff'a, zanim ten miał szansę, aby zmienić zdanie. — Zadzwonimy do nich dzisiaj popołudniu, dobra?

Jeff, który był prawie pewien, że Brett się nie zgodzi, zawahał się. Ale zaraz ujrzał oczyma wyobraźni siebie siedzącego za kierownicą czarnego, sportowego samochodu i pędzącego po pełnej serpentyn drodze wzdłuż wybrzeża. Na pewno wytrzyma te parę godzin z Melissą. A może uda mu się jeszcze przekupić kolegów, żeby czasami uwolnili go od niej.

— Dobra — powiedział. — Zaproszę ją.

Kiedy Brett poszedł, Kent przewrócił się na drugi bok i usiadł, mrużąc oczy przed słońcem.

— Może będziesz miał szczęście — powiedział, uśmiechając się do Jeff'a. — Zawsze możesz zachorować w sobotę wieczorem, prawda?

Spoglądali na siebie przez chwilę i równocześnie wybuchnęli śmiechem wyobrażając sobie, jaką minę miałyby Melissą, gdyby Jeff wystawił ją do wiatru.

Rozdział 16

— Jest idealna — oświadczyła Teri, a w jej oczach widać było podniecenie wywołane suknią, którą znalazła przed chwilę na zapleczu sklepu z tanią odzieżą, prowadzonego przez Towarzystwo Historyczne. — Czy nie sądzisz, że jest śliczna? Melissa zmarszczyła brwi, starając się spojrzeć na suknię oczami Teri, lecz nie udało jej się to. Dla niej wyglądała całkiem zwyczajnie — ot, zwykła wizytowa sukienka, chyba z lat pięćdziesiątych, z wcięciem w talii i z bufiastymi rękawami. Dolną część, uszytą z satyny, szpeciła plama i łamów-ka była częściowo oderwana. Na satynę naszyty był tiul, który kiedyś pewnie musiał unosić się nad sukienką jak mgiełka, ale teraz zwisał sflaczały cały w strzępach. Sukienka musiała być chyba różowa, ale materiał wypłowieł i była teraz koloru brzoskwini.

Melissa przestała się jej przyglądać i spojrzała na siostrę.

— Jest okropna — powiedziała.

— Nieprawda — zaprotestowała Teri. — Daj mi ją tylko przymierzyć. — Nie czekając nawet na odpowiedzi zniknęła za zasłoną prowizorycznej przebieralni, a Melissa zaczęła z powrotem przeglądać starą, używaną odzież w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby uchodzić za kostium.

Nadal nie była pewna, czy chce pójść w sobotę na zabawę. Kiedy Jeff zadzwonił do niej w poniedziałek po południu, była pewna, że stroi sobie z niej żarty, i powiedziała, że oddzwoni do niego później. Ale kiedy spytała Teri, co o tym sądzić, ta powiedziała jej, że Jeff nie żartował.

— Idziemy w dwie pary — wyjaśniła jej. — Ty z Jeffem, a ja z Brettem.

Melissa spojrzała podejrzliwie na siostrę. - Czyj to pomysł? — spytała.

— Nie wiem — odpowiedziała ostrożnie Teri. — Rozmawialiśmy ot tak sobie w klubie dzisiaj rano i tak jakoś razem to postanowiliśmy.

Melissa wciąż się wahała, lecz w tym momencie na tarasie, na którym opalała się ze swoją przyrodnią siostrą, pojawiła się Phyllis.

— O czym postanowiłyście? — spytała i zanim Melissa

zdażyła się odezwać, Teri powiedziała jej o zaproszeniu. — Oczywiście, że pójdziesz. To najlepsza okazja na twój pierwszy wieczór z chłopakiem.

— Ale ja nie...

— Ani słowa więcej — dodała Phyllis i chociaż na jej twarzy nadal widniał uśmiech, jej głos przybrał ostry ton, będący dla Melissy ostrzeżeniem, że matka nie będzie tolerować żadnego sprzeciwu.

— W końcu to ja jestem w komitecie przygotowującym tegoroczny bal. Jakby to wyglądało, gdyby moja córka nie poszła. Teri może pomóc ci znaleźć kostium. A poza tym — dodała — jak będziesz przygotowywać się do balu, to może przestaniesz myśleć o tym psie.

Melissa nic na to nie odpowiedziała, pewna, że cokolwiek powie na temat psa,

rozłości tym tylko jeszcze bardziej matkę. A poza tym, cóż mogłaby powiedzieć? Przeszukali razem z Tagiem wszystkie miejsca, jakie przyszły im do głowy, przeczesał las i wołał go wszędzie, ale po psie nie było ani Śladu. Niepokój dziewczyny wzrósł przez to jeszcze bardziej. Jeżeli rzeczywiście widziała martwego psa na strychu, dlaczego nie mogli znaleźć nigdzie ciała?

Czy to możliwe, że to wszystko to był jedynie koszmar, że mimo wszystko chodziła we śnie? Czy to możliwe, że wszystko rozegrało się jedynie w jej wyobraźni i że obudziła się dopiero wtedy, kiedy krzyknęła?

Bała się o tym rozmawiać z kimkolwiek z wyjątkiem Teri i nawet ona nie była w stanie udzielić jej sensownej odpowiedzi. „Może po prostu uciekł”, powiedziała. A potem uśmiechnęła się szelmowsko i dodała: „A może porwała go D'Arcy”.

D'Arcy.

Od tej pory Melissa myślała wyłącznie o tym i próbowała sobie to wszystko poukładać w głowie. Czy to możliwe, że

D'Arcy zrobiła coś złego psu? Ale jak mogłaby to zrobić? Przecież D'Arcy istniała wyłącznie w jej wyobraźni.

Czy na pewno?

A może istniała naprawdę?

A może była rzeczywistą osobą?

Ciarki przebiegły jej po plecach i poderwała się, bo nagle ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Teri, ubraną w różową, wizytową sukienkę, spoglądającą na nią z zaintrygowaniem.

— Hej, co się stało?

— Nic, nic — wymamrotała Melissa.

— Nie słyszałaś, co mówiłam do ciebie przed chwilą? — powiedziała Teri, odwracając się do niej plecami. — Nie umiem zapiąć tego głupiego zamka.

Melissa zasunęła drżącymi palcami zamek, a Teri obróciła się raz jeszcze o trzysta sześćdziesiąt stopni.

— Lamówkę się przyszyje, a na górę damy całe mnóstwo cekinów. Potem możemy zrobić jeszcze różdżkę i mogę pójść jako królowa wrózek. To będzie doskonały kostium.

Melissa uniosła zdziwiona brwi.

— No a co z plamami?

— A kto się będzie nimi przejmował? — spytała Teri. — To przecież bal kostiumowy, prawda? Wszyscy będą szperać i szukać jakichś starych ubrań. — Zachichotała. — Założę się, że połowa ludzi pojawi się ubrana tak jak ich dziadkowie. No a teraz zobaczmy, co możemy znaleźć dla ciebie. Zniknęła w przebieralni i wyłoniła się po chwili z sukienką przewieszoną przez ramię. Razem zaczęły grzebać w starej odzieży szukając czegoś, co nadawałoby się na kostium dla Melissy, ale za każdym razem, kiedy Melissa coś znalazła, Teri miała jakieś obiekcje:

— To ci nie pasuje! Widzisz? Musiałybyśmy ją poszerzyć.

— A ta się cała rwie w strzępy! Nie chcesz przecież, żeby sukienka rozpadła się w połowie balu, co?

- O wiele za duża. Nie zdążyłybyśmy skrócić jej na czas.

W końcu Melissa znalazła skrojony na chłopca staromodny smoking i cylinder.

— A co sądzisz o tym? — spytała z nadzieją w głosie. — Mogłabym być w tym magikiem albo Charlie Chaplinem.

Ale Teri znów pokręciła przecząco głową.

— To po prostu nieodpowiednie. Potrzebujemy czegoś rzeczywiście ekstra. — Rozejrzała się po sklepie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pominęły jakiejs pólki. Niestety, przeszukały już wszystko. — Chodź, napijemy się czegoś — zaproponowała. — Może jak przestaniemy szukać, to przyjdzie nam do głowy jakiś pomysł.

Melissa rzuciła po raz ostatni tęskne spojrzenie na smoking. Była pewna, że byłby na nią dobry, a gdyby dorobiły jeszcze pelerynę...

— Nie — zawyrokowała Teri, czytając w jej myślach. — To po prostu nie jest dla ciebie odpowiednie. Jeśli już nie wymyślimy czegoś lepszego, to zawsze możemy tutaj po niego wrócić.

Melissa odwiesiła smoking na wieszak i podążyła za Teri w stronę wyjścia.

Przechodziła obok oszklonego regału pełnego starych ozdób do odzieży, kiedy nagle jej wzrok przykuło coś błyszczącego. Na górnej półce leżał diadem, zwieńczony ornamentem w kształcie lilii, cały inkrustowany drobnymi kryształkami.

— Popatrz tutaj! — wykrzyknęła. — To może być twoja korona.

Teri przypatrywała się przez chwilę diademowi, a potem potaknęła głową.

— Doskonały — przyznała — ale ile to będzie kosztować?

— Pani Bennett? — zawołała Melissa. Właścicielka sklepu podeszła do regału i wyjęła diadem. — Ile on kosztuje?

Kobieta rzuciła okiem na etykietkę z ceną. — Siedemdziesiąt pięć dolarów — powiedziała. — Jest bardzo stary. — Umieściła diadem na skroniach Teri, a dziewczyna odwróciła

się i spojrzała w obramowane lustro, wiszące na przeciwległej ścianie sklepu.

Zdjęła go z westchnieniem i podała z powrotem pani Bennett.

— Jest śliczny, ale nie stać mnie na niego.

— Weźmiemy go — powiedziała Melissa, gdy diadem miał już powędrować z powrotem do regału.

Teri spojrzała niepewnie na swoją przyrodną siostrę.

— Przecież nie możemy tego zrobić — sprzeciwiła się. — Nie mam tyle pieniędzy.

— Ale ja mam — odpowiedziała Melissa i sięgnęła ręką do torebki.

Teri przyglądała się ze zdziwieniem zwiłkowi banknotów w portmonetce Melissy.

— Skąd to wszystko masz? — spytała zdziwiona. Melissa wzruszyła ramionami. — To moje kieszonkowe.

Jedyne, co kupuję, to książki, a tata daje mi zazwyczaj raz w tygodniu pieniądze, których nigdy nie wydaję. Ty zapłacisz za sukienkę, a ja kupię dla ciebie ten diadem.

— Ale...

Melissa pokręciła stanowczo głową. — Chcę ci go kupić. Razem z nim twój kostium będzie wyglądał wspaniale. Zgódź się, proszę...

Teri uśmiechnęła się i kazała pani Bennett zapakować diadem.

Pół godziny później, kiedy wychodziły z apteki, natknęły się w drzwiach na Brett i Kenta. Kiedy Brett zobaczył Teri, uśmiechnął się.

— No, proszę, tu jesteś. Właśnie cię szukałem. Teri uniosła głowę. — Mnie? Brett przytaknął. — Ojciec Kenta pozwolił nam wziąć swoją łódź na popołudnie. Pomyślałem, że może chciałabyś popłynąć z nami.

Teri spojrzała ukradkiem na Melissę, która nagle przejawiała ogromne zainteresowanie wystawionymi przy drzwiach kolorowymi czasopismami. — Kto tam będzie? — spytała.

- Wszyscy — odpowiedział Brett. — Ja z Kentem, Jeff, Ellen, może Cyndi i jeszcze parę innych osób. Przyjdiesz? Teri zwróciła się do Melissy. — Co o tym myślisz? —

spytała. — Pójdziemy?

Melissa odwróciła się zarumieniona, będąc pewna, że Brett wcale nie miał zamiaru zaprosić także jej.

— Sama nie wiem — wybąkała. — Jeśli chcesz tam iść... Teri przytaknęła skwapliwie. — Jasne, że chcę! Jaka to łódź? — spytała, zwracając się do Brett. — Żaglówka?

Brett przytaknął. — Nie jest zbyt duża. Zwyczajny dziewięć-ciometrowy Admirał Nelson. Spojrzał niechętnie na Melis-sę. — Jeśli Melissa nie chce iść... — zaczął. Teri przerwała mu. — A dlaczego miałaby nie chcieć? Chce — powiedziała. — O której się spotykamy?

Brett spojrzał na Kenta i wzruszył ramionami. — Nie wiem, może o drugiej? Ustaliwszy godzinę spotkania, Teri i Melissa wyszły z apteki i ruszyły do Maplecrest. Ledwie zniknęły, Kent spojrzał na Brett. —

Aleś to załatwił, stary. Teraz będziemy mieć Melissę na karku całe popołudnie. — No to co miałem zrobić? Przecież była tutaj z nią. A poza tym jaki w tym problem? Przecież nie umówiłeś się z nią tam na randkę. — W tym momencie przystanął i parsknął śmiechem. — Jezu, będę chciał zobaczyć minę Jeffa. jak przyjdzie. Pomyśli, że zrobiliśmy to celowo.

Kent wybałuszył oczy. — Spieprzyłeś to znowu tylko dla Teri, prawda? Już dwa razy ją zapraszałeś i za każdym razem przyprowadza z sobą Melissę. Czy one są siostry syjam-skie, czy co?

— A co ona ma zrobić? — odpowiedział Brett. — Lad-wie tu przyjechała, a ma już więcej kolegów niż Melissa. Stara się po prostu być w porządku wobec siostry, to wszys-tko.

— Czy dlatego my wszyscy też musimy ją znosić? — powiedział z przekąsem Kent. — Rany, chłopie, czuję, że następnym razem poprosisz mnie, żebym ja ją gdzieś zaprosił.

Brett dał przyjacielowi sójkę w bok. — Kto wie — zażartował. — Może się w niej zakochasz? — Kent zamachnął się, ale Brett uchylił się zwinnie i rzucił ku drzwiom. Lecz kiedy Kent dogonił go, Brett zastanowił się nad tym wszystkim. Czy Teri w ogóle będzie chciała kiedyś wyjść z nim sama, bez Melissy? No cóż,

poczekaj aż do soboty i zobacz, co będzie dalej. W końcu Teri nie może bez końca wymagać, aby znajdował jej chłopców dla Melissy, jeśli nikt nie będzie chciał z nią pójść.

Lecz z drugiej strony była to jedna z cech, które mu się u niej podobały — zawsze miała na względzie to, jak się mogą czuć inni.

Nawet tacy, którymi nikt się nie przejmował — jak Me-lissa.

Zwrócił się i uśmiechnął do Kenta.

Ona jest naprawdę bardzo miłą dziewczyną, nie? Kent uniósł głowę. — Kto? —

Teri — odpowiedział Brett. — Wiesz co? To najmiłsza dziewczyna, jaką spotkałem w życiu.

Gdy obie dziewczyny zaczęły zbliżać się do niewielkiej przystani dla jachtów położonej przy południowym krańcu zatoki, Melissa zwolniła kroku.

— Może jednak zostanę na brzegu — odezwała się nieśmiało do Teri, przyglądając się z niepokojem grzywiastym falom na morzu, kontrastującym z bezpieczną tonią zatoki. — A co będzie, jak dostanę morskiej choroby? — A dlaczego miałabyś ją dostać? — spytała Teri, chociaż pamiętała doskonale rozmowę ze swą przyrodnią siostrą zeszłym tygodniu, gdy leżały na plaży i obserwowały regaty żaglówek, ścigających się na zatoce. — A dlaczego my nie mamy łodzi? — spytała wtedy. Melissa roześmiała się. — Bo ja i tata mamy chorobę morską. Na moje dziesiąte urodziny wziął mnie na ryby i prawie wywaliło nam żołądki na wierzch. To było nie do wytrzymania. Jeżeli o mnie chodzi, mogę już nigdy więcej nie pływać łodzią.

Rozszerzywszy ze zdziwienia oczy, jak gdyby dopiero co przypomniała sobie tę rozmowę, Teri spojrzała przepaszająco na siostrę:

— Boże drogi, zapomniałam. — Ale po chwili jej twarz się rozjaśniła. — To przecież było dawno temu — powiedziała. — Zobaczysz, nic ci nie będzie. Poza tym, spójrz na wodę. Morze w zatoce jest zupełnie bez fal. Dlaczego miałabyś dostać choroby morskiej?

Melissa spojrzała na nią przerażonymi oczyma. — Wystarczy, że o tym pomyślę, to robi mi się już niedobrze. Były już przy nabrzeżu i Melissa zatrzymała się nagle.

— Czy będziesz się na mnie gniewać, jak nie pójde z tobą? — spytała niespokojnym głosem.

— Jasne, że nie — zapewniła ją Teri. — Gdybym przypomniała sobie o tym wcześniej, w ogóle nie powiedziałabym im, że przyjdziemy. Ale co powiemy twojej mamie?

— Może wcale jej o tym nie powiemy — zaproponowała nieśmiało Melissa. — Mogłabym tu poczekać na ciebie, aż wrócisz, i mama wcale by się nie dowiedziała, że nie popłynęłam z wami.

Teri potrząsnęła przecząco głową. — Dowiedziałyby się. Dziś po południu idzie do klubu i wiesz, jaka ona jest. Będzie mówiła o tym, że pływałyśmy razem na jachcie Fieldin-gów, i będzie robiła z tego wielkie halo. Niech tylko ktoś się wygada, że wcale nie płynęłaś...

Melissa westchnęła, świadoma, że jej siostra ma rację. Już widziała matkę, jak robi

jej wściekłe wymówki, że najpierw przyjmuje zaproszenie, a potem nie idzie. A wieczorem, jak już będzie w łóżku...

A poza tym — pomyślała — Teri ma rację. Jeśli wezmę się w garść i będę cały czas na zewnątrz, a nie w środku, to nic mi nie będzie. A jak nie pójdę, wszyscy pomyślą, że stchórzyłam.

- Masz rację — powiedziała, nadając swojemu głosowi ton bardziej pewny, niż czuła to w rzeczywistości. — Jak inni mogą mnie lubić, kiedy nigdy nie chcę robić tego, co im sprawia przyjemność?

Teri uściśnęła ją zachęcająco. — Brawo! — powiedziała. — Wszystko będzie w porządku, zobaczysz. Będzie wspaniale.

Ruszyły brzegiem przystani i odnalazły łódź. Lakierowane drewno kokpitu błyszczało w słońcu, a na pokładzie czekali już na nich uczestnicy przejażdżki. Kiedy obie dziewczyny weszły na łódź i zeszły pod pokład, Jeff i Brett popuścili cumy, a Kent uruchomił silnik.

Teri spojrzała na niego niepewnie. — Myślałam, że będziemy żeglować — powiedziała.

— Będziemy — odpowiedział Kent. — Ale jest zły wiatr i nie wyjdziemy na nim na żaglach z przystani. Postawimy je, jak wyjdziemy z zatoki.

Jeff i Brett zrzucili cumy i skoczyli na pokład, a Kent odepchnął łódź od brzegu.

- Otwieram colę! — krzyknęła spod pokładu Ellen. — Chce ktoś?

- Zejdę tam i pomogę ci! — odkrzyknęła Teri i schyliwszy głowę zeszła wąskim przejściem do kabiny. Wyszła

stamtąd po chwili, trzymając w ręku trzy puszki z napojami, Rołała je. wręczając ostatnią Melissie, ta jednak potrząs-przecząco głową.

- Lepiej będzie, jak to wypijesz — radziła jej Teri. — Dzięki temu będziesz miała coś w żołądku.

Kent spojrzał na Melisę.

- Ty chyba nie masz choroby morskiej, co? — zapytał i niepokojem w głosie.

Melissa zrobiła się purpurowa na twarzy, a Teri powiedziała ta nią:

- Miała tylko raz, ale to było dawno temu. Nic jej nie będzie.

— Lepiej, żeby tak było — odpowiedział Kent. — Oj-ciec mnie zabije jak zapaskudzi łódź.

Melissa przygryzła wargi i do oczu napłynęły jej łzy, lecz postanowiła się nie odzywać. Wszystko, co musi zrobić, to siedzieć nieruchomo i patrzeć na brzeg. Wtedy nic jej nie będzie. Wzięła jednak colę od Teri, która uśmiechnęła się do niej, by dodać jej otuchy.

Kent wyprowadził łódź na środek zatoki, wyłączył silnik i dał znak Brettowi, żeby podniósł główny żagiel. Brett zaczął wciągać go na maszt, a unoszące się w górę płótno zatrzepotało głośno uderzone wiatrem. Po minucie Jeff zaczął wciągać kliwer, a Ellen i Cyndi zabrały się do lin. Wreszcie Kent ustawił łódź z wiatrem, żagle wybrzuszyły się, a jacht się przechylił. Melissa, zaskoczona nagłym przechyłem kadłuba, wypuściła z rąk puszkę, ale zdążyła ją złapać, zanim cola rozlała się po pokładzie.

— Cudownie — westchnęła Teri, gdy łódź zaczęła nabierać szybkości. — Czyż to

nie jest piękne?

Melissa siedziała sztywno w kokpicie i trzymała się kurczowo okrężnicy. Udało jej się odwrócić i nie patrzeć na odległą o paręset metrów plażę i poszukała wzrokiem siostry. Teri wyciągnęła się wygodnie na drugiej stronie łodzi i wystawiła twarz do słońca, a wiatr rozwiewał jej włosy.

— Rozluźnij się — powiedziała do Melissy. — Połóż się tak jak ja i zobacz, jakie to świetne.

Łódź sunęła gładko w kierunku północnym i jedynym słyszalnym teraz dźwiękiem był delikatny szum rozcinanej dziobem wody. Ellen i Cyndi wyszły z kabiny i usadowiły się na przednim pokładzie, a Brett poszedł w stronę kokpitu i położył się obok Teri.

— I jak? — zapytał. — Podoba ci się?

— Wspaniale — odpowiedziała dziewczyna, odsuwając nogi, żeby mu zrobić miejsce. — Dokąd płyniemy?

Brett wzruszył ramionami. — Nie wiem — odparł. — A dokąd chciałabyś?

Teri spojrzała na otwarte morze.

— Możemy wypłynąć tam?

- Jasne — odpowiedział Brett i krzyknął: — Hej, Kent, mogę przejąć ster?

Kent opuścił koło sterowe i Brett zajął jego miejsce. - Gotów! — zawołał, a Jeff spuścił kliwer i wręczył koniec linki Melissie. — Wiesz, co z tym zrobić? —

zapytał, lecz dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Jeff spojrzał znacząco w górę. — Trzymaj to po prostu i kiedy Brett krzyknie „wyciągać”, to puść. — Nie czekając na jej odpowiedź, przeszedł na prawą burtę i zajął się głównym żaglem.

— Wyciągać! — zawołał Brett, kręcąc kołem. Melissa puściła linkę i kliwer załopotał na wietrze. Po chwili Jeff znowu wciągnął główny żagiel i gdy ten został uwolniony pod nowym kątem, kliwer wybrzuszył się ponownie, a łódź przechyliła się w drugą stronę i skierowała na otwarte morze.

Pięć minut później, kiedy wychodzili z zatoki, kołysanie natychmiast zwiększyło się, a dziób zaczął unosić się w górę i w dół. Cyndi i Ellen, trzymając się lin, zeszły z dziobu i rozsiadły się w kokpicie.

Melissa poczuła pierwsze, niewyraźne oznaki nadciągających mdłości i sięgnęła po puszkę z colą. Wypiła ją łączywie, ale słodki napój niewiele jej pomógł.

— Nie — powiedziała sobie — nie zwymiotuję, nic mi nie będzie.

Brett wyrównał kurs i poprawił główny żagiel, a jacht nabrał szybkości. Wiatr zwiększył się i pojawiło się więcej białych, grzywiastych fal. Kołysało już nimi dość mocno i Melissa spoglądała nerwowo na Teri. Lecz jej przyrodnia siostra siedziała na okrężnicy i wcale nie zwracała uwagi na huśtanie łodzi.

Dziewczynie robiło się coraz bardziej niedobrze i wreszcie zwróciła się nieśmiało do Bretta:

— Może byśmy wrócili? Nie czuję się zbyt dobrze...

— Zejdź pod pokład — odpowiedział jej Brett. — Połóż się na parę minut, to ci przejdzie.

Melissa zawahała się. Wtedy, kiedy zrobiło się jej niedobrze na łodzi rybackiej, kapitan kazał jej zostać na po-

kładzie. „To znacznie lepsze rozwiązanie — powiedział. Nudności nie są tak dokuczliwe, jeśli wie się, dokąd się płynie”. Widząc wahanie na jej twarzy, Brett odezwał się

znowu:

— Dlaczego nie chcesz zejść? Jeśli zaczniesz wymiotować, to tam przynajmniej jest ubikacja.

Melissa wstała i złapała się jednego z prętów obok włazu, z trudem utrzymując równowagę na kołyszącym się jachcie. Zeszła po schodkach do kabiny i położyła się na lozanie. Nudności stawały się coraz bardziej dokuczliwa.

Po dwóch minutach wiedziała już, że będzie wymiotować. Podniosła się i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę toalety, ale w tym momencie łódź przechyliła tłą na lewą burtą i dziewczyna straciła równowagę. Ślaniając się, upadła na kolana i wtedy nudności zaatakowały ją z całą siłą.

Czuła, jak treść żołądka podchodzi jej do gardła. Chciała się opanować, ale było już za późno. Próbowwała zacisnąć krtań, ale usta otworzyły się wbrew jej woli i wydobył się z nich strumień żółtawej cieczy, który rozlał się po podłodze.

— O rany — usłyszała czyjś jęk. Czując resztki wymiocin, spływające jej po podbródku, uniosła wzrok i ujrzała Jeffa, spoglądającego z wyrazem ogromnego obrzydzenia na twarzy. Serce w niej zamarło. Dlaczego z tylu Otob będących na łodzi, właśnie Jeff musiał ją oglądać w tym stanie? Teraz już nigdy nie zaprosi jej na bal. Po tym co zobaczył — na pewno nie! Chyba nawet nie będzie chciał jej więcej wi-dzieć! A na dodatek, zza pieców Jeffa dobiegł do niej roze-żłony głos Kenta:

— Dlaczego, do cholery, robisz to właśnie tutaj?! — za-pytał uniesionym głosem i odwrócił się plecami. — Wraca-my! — krzyknął do Brett. — Ta idiotka nawet nie doszła do toalety, tylko wyrzygała wszystko na dole.

Nudności trochę ustąpiły i Melissa podniosła się i za-częła szukać czegoś, czyni mogłaby wytrzeć podłogę. Na szafce w kuchence znalazła rolkę papierowych ręczni-ków. Oderwała spory kawałek i uklękła. Lecz gdy zapach własnych wymiocin podrażnił jej nozdrza, znowu dosta-ła torsji. Tym razem zabrudziła sobie całą koszulkę i bia-łe spodnie, które włożyła specjalnie na wycieczkę jach-

Szlochając ze wstydu zmusiła się, by posprzątać podłogę najlepiej, jak umiała.

Po półgodzinie byli już przy brzegu.

Melissa pozostawała pod pokładem do samego końca, wreszcie jednak musiała wyjść na zewnątrz. Posuwała się na drżących nogach wąskim przejściem, wreszcie jej głowa wychynęła z włazu.

Wszyscy stali na nabrzeżu i spoglądali na nią.

Panowało długie milczenie, które wreszcie przerwał Kent:

— Dlaczego, do cholery, w ogóle z nami popłynęłaś? — zapytał. — Skoro wiedziałaś, że będziesz rzygać, dlaczego nie siedziałaś w domu? Nikt cię w ogóle nie prosił na łódź!

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy, lecz równocześnie rozpałił się w niej gniew.

Wcale nie chciała popłynąć! Nawet próbowała się z tego wykręcić. Czy oni myślą,

że specjalnie wymiotowała? Zeszła z łodzi i ruszyła szybko nabrzeżem. Lecz nagle odwróciła się.

— Nienawidzę was! — krzyknęła do spoglądających na nią w milczeniu dzieci. — Nienawidzę was wszystkich i życzę wam, żebyście zdechli!

Następnie, powstrzymując cisnące się do oczu łzy, pobiegła brzegiem przystani i brnąc po piaszczystej plaży, zaczęła iść w stronę domu. Przez chwilę, krótką chwilę chciała się odwrócić i powiedzieć Jeffowi, przynajmniej jemu, że wcale tak nie myśli, Ale nie umiała się na to zdobyć, bo w środku palił ją wstyd.

Gdyby się jednak odwróciła, zobaczyłaby uśmiech na twarzy Teri.

Uśmiech, który powiedziałby jej, że postąpiła dokładnie jak spodziewała się tego jej starsza siostra.

Rozdział 17

Phyllis Holloway spojrzała na zegar stojący na biurku jej męża. Było parę minut po trzeciej, spotkanie w klubie odbędzie się o wpół do czwartej, a to znaczyło, że miała jeszcze czas jedynie na to, by uczesać się i poprawić makijaż. Rzuciła okiem na księgę z wydatkami prowadzoną przez Corę i zacisnęła ze złości wargi, przyglądając się niewyraźnym gryz-mołom gospodyni. Jak już nic nie robiła, to mogłaby przynajmniej pisać tak, żeby ludzie mogli to odczytać! Już to, że musiała co tydzień poświęcać pół dnia na to, by przebrnąć przez księgę i przetłumaczyć każdy zapis na jakiś ludzki język, czyniło to zadanie nieznośnym.

No i oczywiście nikt jej w tym nie pomagał. Nie pamięta nawet, ile razy mówiła Charlesowi o niedbałych zapiskach Cory, ale jego odpowiedź była zawsze ta sama: „Po co w ogóle się w to bawić? Cora robiła zakupy dla naszej rodziny, jeszcze zanim przyszedłem na świat. Ojciec mówił zawsze, że ufa jej bardziej niż swojemu prawnikowi”.

— Czyżby? — odpowiedziała z przekąsem Phyllis, gdy po raz pierwszy rozmawiała z nim o tym, by w jakiś sposób rozliczać Corę. — Zawsze zdumiewali mnie ludzie pozwalający, by służba okradała ich niemalże na ich oczach. Kiedy pracowałam u... — Przerwała w pół słowa, gdyż nawet rozmawiając z Charlesem, starała się nigdy nie wracać do swojego życia przed ślubem. — To przecież pewnik — twierdziła. — Jeśli służący wiedzą, że się ich nie kontroluje, to zawsze korzystają z okazji. Strach pomyśleć, ile jedzenia kupowanego za nasze pieniądze znika co tydzień w domu Cory.

Charles wzruszył niedbale ramionami. — A czy to takie ważne? Nawet gdyby kradła wszystko, co jedzą razem z Tagiem — czego na pewno nie robi — to wcale

nie powód, żeby się tym przejmować. Ale jeśli masz być spokojniejsza, idź i poproś ją, żeby ci prowadziła książkę wydatków. Tylko nie każ mi tego sprawdzać — czułbym się tak, jak gdybym rozliczał z wydatków własną matkę.

Kiedy ponad dziesięć lat temu Phyllis wręczyła gospodyni po raz pierwszy księgę na rachunki i wyjaśniła, w jakim celu jej to daje, dostrzegła w jej oczach niechęć. Ale stara kobieta dobrze wiedziała, że lepiej nie wyrażać głośno swojej opinii na ten temat. Zaczęła ją posłusznie codziennie wypełniać i w każdą środę dawała Phyllis do kontroli.

Od tej pory Phyllis musiała poświęcać większą część dnia na ślęczenie nad księgą, porównywanie rachunków ze sklepu z gryzmołami gospodyni, a czasem nawet na wyrывkowe sprawdzanie, czy produkty przez nią kupione znajdują się rzeczywiście w domu. Rzadko kiedy znajdowała jakieś nieścistości, a i te, które znalazła, były bez większego znaczenia. W głębi duszy była jednak przekonana, że tylko jej żmudne wysiłki zapobiegają kradzieżom Cory.

Z westchnieniem ulgi zamknęła księgę i wyjrzała przez okno. Spozrzegła Taga, który wyszedł właśnie z lasu i kroczył przez rozciągający się za kortem trawnik. Phyllis przypatrzyła się dokładniej okalającemu od strony północnej trawnik żywopłotowi, który odgradzał Maplecrest od posiadłości sąsiadów, i uniosła w zdumieniu brwi. Powiedziała wyraźnie Corze, żeby Tag przystrzygł go dziś rano. Nawet stąd widziała, że głóg rośnie nierówno.

Poirytowana, chwyciła za telefon i przycisnęła klawisz pozwalający jej wezwać służbę z każdego miejsca domu.

— Coro, przyjdź do gabinetu pana Hollowaya. Natychmiast!

Rzuciła słuchawkę na widełki i bębniąc niecierpliwie palcami po biurku czekała na gospodynię, która po półminucie stanęła zdyszana w drzwiach.

— Słucham, proszę pani — zapytała, spoglądając niespokojnie na swoją chlebobawczynię. Była pewna, że rachunki są w tym tygodniu bez zarzutu — siedziała nad nimi wczoraj aż do północy.

— Co robi Tag? — zapytała z żądaniem w głosie Phyllis, spoglądając jeszcze raz za okno, gdzie znów ujrzała chłopca, jak szedł wolno wzdłuż kortu.

Cora zacisnęła nerwowo palce na rąbku fartucha.

— Szuka psa, proszę pani — wydusiła wreszcie.

Phyllis obróciła się natychmiast na te słowa i wbiła w gospodynię chłodny wzrok.

— A co z żywopłotem? — zapytała. — Czy mamy pozwolić, żeby wszystko zarosło zieleń, bo Tag szuka psa, który sobie uciekł?

Cora zacisnęła zęby i spojrzała Phyllis prosto w oczy.

— On uważa, że pies wcale nie uciekł, proszę pani. On myśli, że coś mu się stało.

— Coś mu się stało? — powtórzyła Phyllis. — A cóż to jego zdaniem mogło się stać temu psu?

Cora zawahała się. — Wolałabym nie mówić, proszę pani.

— Wolałabyś nie mówić? — powtórzyła jeszcze raz Phyllis ostrym głosem. —

Lepiej będzie, jak zdecydujesz, że jednak wolałabyś o tym powiedzieć. — Jej usta

wykrzywił pogardliwy uśmiezek. — A więc co się zdaniem Taga wydarzyło? Czy może uwierzył w opowiadanie Melissy o duchu na strychu?

— Nie, proszę pani — wymamrotała Cora. — On uważa... on uważa, że to Teri zrobiła psu coś złego.

Phyllis rozchyliła z niedowierzaniem usta. — Teri? Co ty na miłość boską...

— Tag widział, jak kiedyś wieczorem Teri kopnęła psa. Wraciała wtedy do domu i...

Phyllis przybrała surowy wyraz twarzy. — Dość tego, Coro. Nie wiem, co sprawiło, że Tag powiedział coś takiego. Teri MacIver to jedna z najmilszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek spotkałam w swoim życiu, i nie będę tolerowała tego, że Tag twierdzi...

Przerwała, bo nagle rozległ się głośny trzask frontowych drzwi i w holu zatupotały czyjeś stopy. Wyszła razem z Corą z gabinetu i zobaczyła, że po schodach na górę biegnie Melissa.

— Melissa! — warknęła krótko,

Dziewczyna znieruchomiała na dźwięk jaj głosu, lecz nie odwróciła się.

— Ile razy ci mówiłam, żebyś nie... — Przerwała, spostrzegłszy ciemną plamę na białych szortach córki.

— Melisso! Odwróć się!

Dziewczyna stała przez chwilę nieruchomo, wreszcie zrobiła niepewnie krok w górę.

— Słyszysz mnie? — zapytała surowym głosem matka. — Prosiłam cię, żebyś się odwróciła i masz to zrobić!

Melissa, starając się ze wszystkich sił powstrzymać szloch, odwróciła się i spojrzała na matkę. Phyllis wpatrywała się przez chwilę w wyschłe plamy po wymiocinach na jej bluzce i szortach.

— Na miłość boską... — zaczęła, lecz przerwała, bo córka wybuchnęła płaczem.

— Wymiotowałam na jachcie! — zaszlochała. — Wcale nie chciałam popłynąć, ale wszyscy mnie namawiali, więc się zdecydowałam. Zapaskudziłam całą łódź państwa Fieldin-gów i... — Znów ogarnął ją straszny wstyd, gdy przypomniała sobie, co się stało, i ruszyła szybko na górę.

— Biedne dziecko — wyszeptała Cora, ruszając za Melissa. — Lepiej pójde z nią na górę.

— Nic z tego — powiedziała ostro Phyllis, zatrzymując Corę w pół kroku. — Sama jestem w stanie poradzić sobie z moją córką. Twoje cackanie się z nią to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje. — Już miała mówić dalej, kiedy drzwi frontowe otworzyły się ponownie i stanęła w nich Teri.

— Czy była już tu Melissa? — zaczęła. — Próbowałam ją dogonić, ale...

— Jest na górze — powiedziała Phyllis. Kiedy jednak dziewczyna ruszyła schodami, Phyllis odezwała się znowu: — Teri, kochanie, Cora chce ci coś powiedzieć.

Teri zatrzymała się i zwróciła ku gospodyni, której rumiana twarz stała się teraz czerwona jak burak.

— Bardzo panią proszę, pani Holloway... — wybąkała,

miętosząc znowu w palcach róg fartucha. — Nie chciałam, żeby pani...

Phyllis uciszyła ją surowym spojrzeniem. — Cora właśnie mi powiedziała, że Tag uważa, że mogłaś zrobić coś złego jego psu.

Teri spojrzała gwałtownie na Corę, lecz nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy, i po chwili opanowała się.

— Uważa, że co?! — spytała takim tonem, jakby chciała zakomunikować, że się przesłyszała.

Phyllis, z gniewem na twarzy, zwróciła się do Cory.

— Powiedz jej! — zażądała. — Powiedz jej to samo, co powiedziałas mi.

Cora odetchnęła głęboko i spojrzała w twarz Teri. I wtedy przypomniała sobie, jak kilka tygodni temu, zaraz po przybyciu dziewczyny do Maplecrest, natknęła się na nią w pokoju Melissy i jak powiedziała jej, że przyszła tu pożyczyć skarpetki. Było wtedy coś dziwnego w jej spojrzeniu. Cora nie była w stanie tego dokładnie określić. Teri patrzyła ukradkowo i z ukosa, tak samo jak w tej chwili.

— Tag uważa, że być może zrobiłaś coś złego jego psu — powiedziała już teraz pewniejszym tonem. — Widział, jak kiedyś wieczorem kopnęłaś go.

— I ty mu wierzysz? — zapytała Teri pełnym niedowierzania głosem, który prawie przekonał Corę. Dziewczyna z oczami wilgotnymi od łez spojrzała na Phyllis. — Nie wierzysz w to, Phyllis, prawda? Nigdy bym nie potrafiła... ja przecież lubiłam tego psa.

Rozplakała się na dobre, a Phyllis wyciągnęła ramiona i przytuliła ją do piersi.

— Już dobrze, kochanie — pocieszała ją. — Oczywiście, że w to nie wierzę. Nikt w to nie wierzy.

Spojrzała na Corę i odezwała się do niej ostrym tonem:

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat, Coro, Najlepiej będzie, jak powiesz Tagowi, że czas najwyższy, by wracał do pracy i pogodził się z tym, że psy czasem po prostu uciekają. A jeśli nie umiesz tego zrobić — dodała — może pomyśl, czy w ogóle ty i Tag chcecie dalej tu mieszkać. Nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli cię trzymać, jeśli Tag będzie rozgłaszał jakieś plotki na temat mojej przybranej córki.

Krew odpłynęła z policzków gospodyni i przez moment myślała, że nogi się pod nią ugną. Lecz odetchnęła głęboko i skinęła pospiesznie głową.

- Tak, proszę pani — powiedziała ledwie słyszalnym głosem. — Porozmawiam z Tagiem. — Odwracając się wyszła pospiesznie przez dwuskrzydłowe drzwi, zostawiając Phyllis i Teri same.

Dziewczyna, ocierając łzy, spoglądała błagalnie na przybraną matkę.

— Nie wierzysz mu, prawda? — spytała.

Phyllis uściśnęła ją raz jeszcze. — Jakbym mogła ufać bardziej służącej niż tobie? Poza tym, wydaje mi się, że znam ciebie lepiej niż Tag, i nie potrafię sobie wyobrazić, abys komukolwiek mogła zrobić jakąś krzywdę.

Ton jej głosu uległ zmianie i spojrzała w górę, tam gdzie przed chwilą zniknęła Melissa.

— No a teraz powiedz mi, co się stało na jachcie — spytała jakby nigdy nic. Teri skłoniła smutno głowę. — Coś strasznego. To wszystko moja wina. Melissa nie chciała popłynąć, a ja... Phyllis uniosła dłoń.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony, kochanie, ale nie trzeba tłumaczyć się za Melissę. Wystarczy, że powiesz mi, co się stało.

Teri powoli i jak gdyby niechętnie opowiedziała Phyllis całą historię.

— Nie wiem, po co zeszła na dół do kabiny — zakończyła. — Gdyby została na pokładzie, nie odczuwałaby takich nudności.

Ale Phyllis, kipiąc z gniewu, już jej nie słuchała. Teraz, z powodu sensacji żołądkowych swojej córki, nie będzie mogła pójść na spotkanie komitetu przygotowującego tegoroczny bal! Już wyobrażała sobie protekcyjny wyraz twarzy Kay Fielding, gdy będzie ją przeproszała za to, że Melissa zapaskudziła całą łódź. Dość tego! To już ostatni raz, kiedy Melissa robi z siebie pośmiewisko na oczach wszystkich. Ogarnął ją jeszcze większy gniew i ruszyła schodami na górę. Teri przebiegł dreszcz podniecenia. Udała, że zaniemówiła, i w milczeniu podążyła za Phyllis.

Melissa siedziała na sedesie w niewielkiej łazience, którą dzieliła razem z siostrą, z głową schowaną między kolanami. Jej nozdrza wypełniał kwaśny odór wymiocin, a ciałem wstrząsał szloch.

Dlaczego w ogóle poszła na łódź? Wiedziała, co będzie, wiedziała od samego początku. Zdarzyło się dokładnie to, czego się spodziewała.

Na samo wspomnienie tego wszystkiego zrobiło jej się znowu niedobrze. Wstała z sedesu, kucnęła na podłodze i opierając się rękoma o muszlę, zaczęła wymiotować. Gdy woda w muszli zmieniła kolor na brązowy od resztek coli, którą wypiła na jachcie, pociągnęła za spłuczkę i poczuła na twarzy chłodny powiew, wywołany spływającą ze zbiornika świeżą wodą.

Odczuła kolejny skurcz w żołądku i zwymiotowała po raz kolejny. Tym razem po jej podbródku spłynęła jedynie cienka strużka ohydnej w smaku śliny. W tej samej chwili usłyszała, jak ktoś szarpie klamką, i do jej uszu dobiegł głos matki:

— Melisso! Melisso, otwórz drzwi i wpuść mnie! Dziewczyna zakaszłała, wypluła resztki śliny do muszli i uniosła lekko głowę.

— Zostaw mnie w spokoju! — krzyknęła płaczliwie. Phyllis zacisnęła wargi i zastukała mocno w drzwi.

— Nie słyszałaś, co do ciebie powiedziałam? — odezwała się nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Kazałam ci otworzyć drzwi! — Chwyciła jeszcze raz za klamkę i szarpnęła tak, że zatrzęsała się futryna.

- Nic mi nie jest! — odkrzyknęła Melissa. — Odejdź

i zostaw mnie w spokoju! Słowa córki sprawiły, że gniew Phyllis przerodził się w furię i matka zwróciła się do Teri: — Ty masz klucz do tych drzwi, prawda? Teri zawahała się. Dlaczego Phyllis po prostu nie wejdzie z drugiej strony? Ale już w chwili gdy stawiała sobie to pytanie, знаła odpowiedź. Wściekłość Phyllis uniemożliwiła jej racjonalne myślenie. Nie chcąc mieć do czynienia z jej gniewem, poszła pośpiesznie do swojego pokoju. Po chwili była z powrotem i bez słowa

wręczyła jej klucz.

Phyllis, drżącymi z wściekłości rękoma, męczyła się przez kilka chwil z dziurką od klucza, aż wreszcie umieściła klucz w zamku i przekręciła dwa razy. Nacisnąwszy klamkę, otworzyła na oścież drzwi i zobaczyła córkę, skuloną na podłodze, trzymającą się kurczowo za żołądek i spoglądającą na nią z przestrawieniem.

— Wstań! — powiedziała stanowczo i chwyciwszy córkę za ramię, gwałtownym szarpnięciem postawiła ją na nogi.

— Boże drogi, spójrz tylko na siebie! — wysyczała. Melissa starała się uniknąć wzroku matki, lecz Phyllis,

trzymając ją za ramię, przekręciła ją twarzą do lustra.

Dziewczyna spoglądała na siebie, na swoje czerwone, za-puchnięte oczy, na bluzkę poplamioną wymiocinami i na mokre od potu towarzyszącego nudnościom włosy, które lepiły się jej do czoła.

— Jak mogłaś zrobić coś takiego? — wydusiła przez zaciśnięte zęby Phyllis. — Skoro wiedziałaś, że będziesz wymiotować, to po co szłaś na łódź?

Melissa spojrzała z lękiem.

— Nie chciałam... — zaczęła, lecz matka ścisnęła jej ramię tak mocno, że słowa dziewczyny zginęły w nieartykułowanym jęku.

— Nie chciałaś? — powtórzyła Phyllis szyderczym tonem. — Nie chciałaś? Jeśli nie chciałaś, to dlaczego poszłaś?

— Ja... Teri powiedziała...

— Dość tego! — powiedziała chrapliwym głosem Phyllis. — Przestań obwiniać Teri! Nie pozwolę na to! Słyszysz? Nie pozwolę ci na to, żebyś winiła kogokolwiek za własne niepowodzenia!

Melissa stała dysząc, a ciężka dłoń matki znów spoczęła na jej ramieniu. Poczowała dotkliwy ból w plecach, bo Phyllis ostrym szarpnięciem obróciła ją ku sobie, po czym nagle puściła jej ramię i wskazała na bluzkę.

— Spójrz na swoje ubranie! — zasyczała. — Jest nie do uratowania! Zdejmij to natychmiast!

Chwytając obiema rękami bluzkę Melissy, Phyllis szarpnęła za nią z całej siły. Guziki oderwały się i rozsypały po podłodze. Kolejnym gwałtownym ruchem Phyllis obróciła dziewczynę o sto osiemdziesiąt stopni i zdarła jej bluzkę z pleców, ciskając ją w kąt łazienki.

— A teraz zdejmuj te spodnie — rozkazała i puszczając córkę, odkręciła prysznic.

— Słyszysz, co powiedziałam? — krzyknęła do Melissy stojącej nieruchomo jak słup soli.

Teri, która stojąc w drzwiach, obserwowała w milczeniu całą scenę, zrobiła krok w stronę Melissy, ale Phyllis powstrzymała ją ruchem głowy.

— Nie pomagaj jej — warknęła. — Musi nauczyć się odpowiedzialności za to, co zrobiła.

Dziewczyna opuściła dłonie i wycofała się na swoje miejsce.

Woda spływająca z prysznicza stawała się coraz gorętsza i łazienkę zaczęła

wypełnić para. Phyllis spojrzała z gniewem na krnąbrną córkę.
— Zdejmuj te spodnie! — powtórzyła drżącym z wściekłości głosem.
Melissa, poruszając niemrawo rękoma, mocowała się z guzikiem od spodni i wreszcie kiedy odpięła go, spodnie zsunęły się na podłogę. Wydostała się z nich i zaczęła zdejmować bieliznę.
— Wejdz pod prysznic — rozkazała matka.
Melissa wpatrywała się w kłęby pary wypełniające łazienkę.
— Woda jest za gorąca... — wybąkała.
Phyllis, ignorując jej słowa, chwyciła ją i obróciła, wykręcając jej rękę.
— Powiedziałam: wejdz pod prysznic! Przytrzymując ją jeszcze mocniej, pchnęła dziewczynę w stronę prysznica. Melissa wyciągnęła wolną rękę i chciała zaprzeć się o ścianę, lecz w tym momencie Phyllis odtrąciła ją i chwyciwszy za włosy, odciągnęła do tyłu głowę.
— Nie! — krzyknęła Melissa. — Proszę cię, mamó, nie! Lecz matka zdawała się nie słyszeć jej słów i wpychała wpatrującą się z rozszerzonymi oczyma dziewczynę w gorące opary.
Pierwsze krople wrzącej jak ukrop wody dotknęły jej skóry i Melissa westchnęła gwałtownie. A potem bezgłośnie zawołała: — D'Arcy! D'Arcy, pomóż mi!
Z kłębow pary zaczęła się wyłaniać znajoma twarz. Przyjaciółka uśmiechała się do niej i dziewczyna słyszała jej głos:
— Już dobrze, Melisso. Już wszystko w porządku, jestem tutaj, śpij, po prostu śpij! Pozwoliła się otoczyć kojącej ciemności i wsłuchiwała się tylko w delikatny głos D'Arcy:
— Już dobrze, teraz tylko zaśnij...
Kiedy Phyllis wepchnęła głowę córki pod prysznic i pierwsze krople wrzątku spadały na twarz dziewczyny, poczuła, że ciało Melissy wiotczeje jej w dłoniach.
— Stój tutaj — powiedziała.
Sięgnęła po szorstką myjkę i mydło i zaczęła gwałtownie szorować ciało Melissy. Dziewczyna stała nieruchomo, nie zwracając wcale uwagi na to, co działo się wokół niej, pogrążona w tajemniczym śnie będącym jej schronieniem.
Teri, która obserwowała ten makabryczny spektakl, stojąc w drzwiach łazienki, zauważyła przemianę, jakiej uległa siostra: jej mięśnie twarzy rozluźniły się, a w oczach pojawiła się dziwna pustka.
Zostawiając matkę z córką, odwróciła się i wyszła.
Schodząc schodami w dół, by przez resztę popołudnia opalać się na tarasie koło basenu, uśmiechnęła się do siebie. Sprawiało jej niemałą radość obserwowanie, jak Phyllis torturuje Melissę.
Równą prawie tej, której zaznałaby, robiąc to osobiście.

Rozdział 18

- Co o tym myślisz? — spytała Teri. Było sobotnie popołudnie i znajdowała się właśnie w pokoju Melissy i wpatrywała krytycznie w swoje odbicie w umieszczonym na drzwiach od szafy lustrze. Obie dziewczyny spędziły całe przedpołudnie na przyszywaniu do tiulu, który miał okrywać różową sukienkę Teri, setek maleńkich kryształków przywiezionych wczoraj wieczorem przez tatę z Nowego Jorku. Wpadające przez okno promienie słońca rozszczepiały się na nich i cała sukienka skrzyła się wszystkimi barwami tęczy.

— Jest cudowna — powiedziała z podziwem Melissa. — Teraz włóż jeszcze diadem.

Teri zdjęła diadem z toaletki i ostrożnie umieściła go na skroniach. Wreszcie sięgnęła po czarodziejską różdżkę, którą wycięto ze starego kija od szczotki, znalezionej przez Corę w komórce. Owinęto ją różową tasiemką, a na górze umieszczono błyszczący szpic od choinki, który dostarczyła Phyllis.

— No i jak? — spytała znów Teri, obracając się na pal-cech przed lustrem i dotykając różdżką ramienia Melissy.

- Doskonale — wyszeptała Melissa, uśmiechając się do swojej przyrodniej siostry. — Będiesz najpiękniejszą dziewczyną na balu.

— A któż nią będzie? — usłyszały dobiegający od drzwi głos Charlesa. Melissa odwróciła się.

— Spójrz tylko — powiedziała z dumą w głosie. — Czyż ona nie wygląda wspaniale?

Charles aż zagwizdał z podziwu. — To ci dopiero diadem — powiedział. — Skąd go macie?

— Ze sklepu z używaną odzieżą — odrzekła Teri. — Melissa mi go kupiła. Mówiłam jej żeby tego nie robiła, ale ona...

— Przecież on pasuje idealnie. Bez tego diadem to po prostu zwykła sukienka. Nikt by się nie domyślił, kim jesteś.

Charles spojrzał na swą młodszą córkę. — No to wiemy już, że Teri będzie królową wróżek. A ty?

Uśmiech znikł z twarzy Melissy. — Myślę, że chyba nie pójdę — powiedziała.

Charles zmarszczył brwi. — Co to znaczy „nie pójdę”. Dlaczego nie?

Co miała mu powiedzieć? Że była pewna, że Jeff dzisiaj po nią nie przyjdzie?

Dlaczego w ogóle miałby tutaj przyjść, po tym, co zdarzyło się w środę na jachcie?

Nawet teraz palił ją jeszcze wstyd. Wczoraj i przedwczoraj nie wychodziła w ogóle z domu, nie chcąc narażać się na spojrzenia przypadkowo spotkanych osób.

Wyobrażała sobie aa przykład, że wszyscy grają na plaży w siatkówkę. Kiedy się pojawia, wszyscy nagle zaczynają się śmiać, wkładając palce do ust, wydają z siebie chrapliwe dźwięki i udają, że wymiotują na piasek.

— Wcale tego nie zrobią — przekonywała ją Teri, gdy Melissa powiedziała jej,

dłaczego nie chce iść do klubu ani nawet na plażę. — Przecież to nie twoja wina, że zrobiło ci się niedobrze. Dlaczego mieliby się śmiać?

Melissa nie potrafiła jej odpowiedzieć na to pytanie. Jak jej to mogła wyjaśnić? Teri była bardzo ładna, wszyscy ją lubili i nikt się z niej nigdy nie śmiał. Jak mogła jej wytłumaczyć, jakie to uczucie wiedzieć, że ludzie rozmawiają o tobie za twoimi plecami i naśmiewają się z ciebie. Ktoś, komu się to nie przydarzyło, nigdy tego nie zrozumie.

— Po prostu nie chcę — wyjaśniła ojcu. — Czy nie mogłabym zostać w domu? Tak cię proszę...

Charles wzruszył niepewnie ramionami.

— Chyba lepiej będzie, jak zorientujesz się, co sądzi o tym mama — odrzekł. — Jakby nie było, powiedziałaś przecież Jeffowi, że idziesz z nim na bal.

— I bez wątpienia zrobi to — oświadczyła Phyllis, wchodząc w tym momencie do pokoju i spoglądając surowo na Melisę. — Ja nie widzę żadnego problemu, a ty? Dziewczyna poczuła się nieswojo, gdy spoczął na niej lodowaty wzrok matki.

— Ale ja nie mam się w co ubrać — powiedziała błagalnym tonem.

Phyllis puściła tę uwagę mimo uszu. — Jestem pewna, że Teri może coś dla ciebie wymyślić.

Ta przytaknęła, zdjęła diadem, a następnie sięgnęła ręką do umieszczonego z tyłu sukni zamka.

— Pomóż mi ją zdjąć — zwróciła się do swej przyrodniej siostry. — Pójdziemy na strych. Tam będzie coś, co się nada.

Powiedziała tak, chociaż w głębi serca już dawno wybrała kostium, który miała założyć na ten wieczór Melissa.

Po chwili szły już na strych, Teri pierwsza, a Melissa z ociąganiem za nią. Ciągle widziała w wyobraźni, jak wspina się tymi samymi schodami i na końcu spostrzega psa, z pętlą wokół szyi, zwisającą z krokwi.

Ale to przecież nieprawda — przecież to był tylko sen.

Powtarzała te słowa od tygodnia, próbując przekonać samą siebie, że to, co widziała, nie wydarzyło się naprawdę. Lecz wszystko to stało jej tak wyraźnie przed oczyma...

No i poza tym psa wciąż nie było. Nawet Tag zaprzestał już wczoraj poszukiwań.

— Nie wiem, co się z nim stało — powiedział jej. — Może twoja mama ma rację i Blackie po prostu uciekł.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Teri.

— Chodźże! — przynagliła ją jej przyrodnia siostra, a następnie uśmiechnęła się, jak gdyby dobrze wiedziała, co dręczy Melisę, i ujęła jej dłoń w swoje ręce.

— Już dobrze — powiedziała do niej. — Nie pamiętasz, jak byliśmy tu razem pewnego dnia? Nie ma tu nic prócz kilku starych gratów.

Melissa odetchnęła i odsunęła od siebie zdecydowanie wszelki strach. Teri miała rację — to przecież zwyczajny strych. Nie było tu nic, czego mogłaby się obawiać. Teri otworzyła drzwi i przekroczyła próg strychu, a zaraz za nią Melissa.

Rozejrzała się wokół siebie i poczuła, jak jej napięcie powoli znika. Teraz, kiedy przez małe okienka w dachu wlewało się do środka słońce, strych nie wyglądał tak strasznie jak w nocy, kiedy większa jego część pogrążona była w mroku i nie rozświetlała jej samotna żarówka. W tej chwili ciemno było jedynie w kilku kątach, ale ta ciemność nie miała w sobie nic groźnego. Melissa, rozglądając się dookoła, próbowała się roześmiać, ale śmiech nagle zamarł na jej ustach, bo spostrzegła wiszącą na manekinie sukienkę. Jednak teraz, w stonowanym świetle dnia, wyglądała na taką, jaka była w rzeczywistości — dawno porzuconą część garderoby, którą umieszczono na manekinie z myślą o pewnych poprawkach, lecz w końcu zapomniano o niej.

— Od czego zaczniemy? — zwróciła się do Teri. Dziewczyna wyglądała na zakłopotaną. — Wiesz, co jest w tych skrzyniach?

— Wszystko — odpowiedziała Melissa. — Większość z tego to ubrania na zimę, na wypadek gdybyśmy przyjechali tu na Boże Narodzenie. Pierzyny, koce i tego typu rzeczy, no wiesz. — Zaczęła przemierzać strych, obchodząc porzucone na nim meble i zatrzymując się czasami tu i ówdzie, by coś pokazać Teri. — Tata wciąż się odgraża, że kiedyś wyrzuci te wszystkie rupiecie — powiedziała, przypatrując się starej sofie przez której podarte obicie wyłaziła sprężyna. — Mówi, że jak będziemy znosić tu jeszcze więcej rzeczy, to pewnego dnia dom się zawali. To kiedyś należało do mojej babci — powiedziała, wskazując na rozlatujące się wyściełane krzesło z oparciami. — Tatuś mówi, że umieściła je na strychu, kiedy on był w naszym wieku, i za każdym razem kiedy dziadek chciał je wyrzucić, babcia mówiła, że jeszcze na coś się jej przyda. — Zaśmiała się znowu i dotknęła ostrożnie obicia, które rozkruszyło się pod jej palcami. — Tatuś opowiadał, że aż do swej śmierci babcia mówiła, że coś jeszcze z tym zrobi, a kiedy umarła, to dziadek nie chciał go wyrzucić, bo bał się, co mu powie, kiedy spotka ją tam, po drugiej stronie, po swojej śmierci.

Teri pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Ale przecież tego tu jest całe mnóstwo. Założę się, że to jest warte masę forsy. Melissa wzruszyła tylko ramionami i spojrzała w kąt strychu, tam gdzie stał manekin.

— Zobaczmy tam — powiedziała. — W tych kufrach są pewno jakieś stare ubrania.

Podeszły do pierwszej z trzech ogromnych skrzyń, stojących rzędem pod jednym z okienek. Melissa majstrowała przez chwilę przy zamku, wreszcie uniosła wieko, które zaskrzypiało przeraźliwie. Z kufra wyskoczyła mysz i zniknęła natychmiast w szparze między deskami podłogi. Dziewczyna odskoczyła, a kiedy ochłonęła trochę, zaczęła walić rękoma po skrzyni i potrząsać nią. Kiedy już była pewna, że nie ma tam żadnej myszy, zaczęła przeglądać jej zawartość.

Nie było w niej nic poza kilkoma parami butów, tak starych, że ich popękana skóra zaczęła się już łuszczyć.

Plon poszukiwań w drugiej skrzyni to kolejna mysz, a poza nią komplet lnianych obrusów pełnych dziur i poźółkłych ze starości.

Jednakże trzecia była pełna po brzegi i otwarłszy ją, obie dziewczyny wpatrywały się przez chwilę w milczeniu w jej zawartość.

- To niesamowite — powiedziała wreszcie zdumiona Teri. — To tak jakby ktoś powrócił z dalekiej wyprawy i na-wet nie chciało mu się rozpakować bagaży. Melissie zaparło ze zdumienia dech w piersiach. — Ciotka mojej mamy, Dahlia — powiedziała. — Założę się, że to należało do niej.

Teri spojrzała na nią z ukosa. — Kim ona była?

— Chyba siostrą mojej babci. Tata powiada, że ona rzeczywiście była bardzo dziwną osobą. To na pewno są jej rzeczy. — Wzrok Melissy powędrował ku Teri. — Wyruszyła kiedyś w daleki rejs i w czasie jego trwania po prostu zniknęła. Nikt nigdy się nie dowiedział, co się z nią stało.

Teri uśmiechnęła się z niedowierzaniem. — Daj spokój — powiedziała. — Nikt nie znika ot tak po prostu.

— Ale w przypadku cioci Dahlii to prawda — upierała się Melissa. — Wszyscy sądzą, że prawdopodobnie wypadła za burtę. Tak czy siak, jestem pewna, że to są jej rzeczy. Na pewno je odesłali z powrotem, ale nikt ich nie odpakował.

Dziewczyny zaczęły przeglądać stare ubrania. Było tam kilka sukienek, których krój wskazywał na lata trzydzieste, jedwabne bluzki, parę marynarek, płaszcz i kilka par spodni. W skrzyni były także komplet bielizny męskiej i damskiej, pończochy i sześć par butów.

Melissa wyjęła jedną z sukien i uniosła ją w górę. Teri zachichotała, widząc zwoje materiału wijące się na podłodze u stóp Melissy. — Nic dziwnego, że popełniła samobójstwo. Miała co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu!

Melissa westchnęła rozczarowana, wiedząc, że suknia w żaden sposób nie będzie jej pasować. I wtedy spostrzegła, że Teri wpatruje się badawczo w coś znajdującego się za jej plecami.

Odwrociwszy się, zobaczyła znowu wiszącą na manekinie starą białą suknię, całą w kokardach i koronkach. Po chwili zrozumiała, o co chodzi Teri.

— Ta? — spytała z niedowierzaniem.

Teri przytaknęła. — Czemu nie? — odrzekła z uśmiechem. — Mogłabyś pójść przebrana za D'Arcy.

Melissa przypatrywała się siostrze, nie wiedząc czy mówi poważnie, czy tylko żartuje. — Przecież nie mogłabym tego zrobić — zaoponowała.

— A dlaczego nie? — spytała Teri. Ominęła Melissę i zaczęła ostrożnie odpinać guziki z tyłu sukni, aż wreszcie zdjęła ją z manekinu.

— To doskonały pomysł. Po tym, co wydarzyło się na ognisku, możesz teraz pokazać wszystkim, że nie boisz się wcale D'Arcy. Nikomu nie powiemy, że... Zamilkła, bo zauważyła, że Melissa przygląda się w zdumieniu miejscu na podłodze, które zakrywała przed chwilą suknia. Marszcząc brwi, podążyła wzrokiem za przyrodnią siostrą.

Na podłodze, u stóp manekina, leżał wytarty, skórzany pasek. Do kółka koło sprzączki przytwierdzony był mały kawałek plastyku. A na nim, na

ciemnoniebieskim tle, wyryte było białymi literami tylko jedno słowo:

BLACKIE.

Drżącymi rękoma podniosła z podłogi obrożę i spojrzała na Teri.

— Miałam rację — wyszeptała. — Naprawdę widziałam go tutaj!

Teri wpatrywała się przez chwilę w milczeniu w obrożę, aż wreszcie spojrzała na skamieniałą z przerażenia siostrę.

— Co mu zrobiłaś? — spytała.

Melissa poczuła, jak kręci jej się w głowie. — Zrobiłam? — powtórzyła drżącym głosem.

Teri przytaknęła. — Nic nie rozumiesz? Jeśli był tutaj i jeśli rzeczywiście go widziałas, musiałas mu coś zrobić.

Melissa kręciła wolno głową. — Nie... — wyjąkała — ja nic nie...

Teri wyjęła z rąk Melissy obrożę. — Nie powiedziałam, że zrobiłaś to celowo — dodała. A potem, jak gdyby dopiero teraz przyszło jej to do głowy, zaczęła mówić znowu i zdawało się, że głośno myśli. — Może, może to wcale nie byłaś ty — stwierdziła. — Może to była D'Arcy».

- D'Arcy? — wykrzyknęła zdumiona Melissa.

- Tak to musiało być. Wiesz, że czasami przychodzi do ciebie w nocy, żeby ci pomóc, kiedy mama przywiązuje cię do łóżka.

Melissa przełknęła ślinę i skinęła z wysiłkiem głową.

— Może przyszła także tamtej nocy. Może przyszła, u-spiła cię, a potem zrobiła coś złego psu. Kiedy się obudziłaś, coś sobie z tego przypomniałaś i poszłaś na górę, żeby to zobaczyć.

— Ale przecież ja to wszystko widziałam na własne oczy— zaprotestowała Melissa.

— Może wcale tego nie widziałas — podsunęła jej Teri. — Może pamiętałaś jedynie to, co zrobiła D'Arcy?

Melissa zaczęła cała drżeć. Jej umysł pracował gorączkowo i próbowała uświadomić sobie znaczenie słów Teri. Czy to możliwe? Czy D'Arcy byłaby w stanie zrobić coś takiego? Tego nie wiedziała.

— Co... co ja mam teraz zrobić? — wyszeptała, spoglądając przerażonym wzrokiem na Teri. — Jeśli mama się o tym dowie...

Teri ujęła dłoń siostry. — O niczym się nie dowie — zapewniła. — Jeśli zrobiła to D'Arcy, to przecież to nie twoja wina, prawda? A więc będziemy zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Wyrzucimy tę obrożę i nie powiemy o tym nikomu.

Melissa powstrzymała cisnące się jej do oczu łzy.

— Zrobisz to dla mnie? — wyszeptała. — Nie powiesz nic mamie?

Teri uśmiechnęła się. — Oczywiście, że nie — powiedziała. — A czemuż miałabym to robić?

Zabierając suknię, sprowadziła Melissę ze strychu.

Charles spojrzał na zegarek. Była prawie siódma, co oznaczało, że spóźnią się co najmniej pół godziny na skromną kolację, poprzedzającą bal, do państwa

Barnstable. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Było lato i nieważne było, czy ktoś się spóźni, czy nie na tak nieformalne spotkanie. Spojrzał w lustro, poprawiając smoking, który zdecydował się włożyć po długich namowach żony.

— Nie zgadzam się na żaden kostium — odpowiedział Phyllis, kiedy ta prosiła go, by przebrał się za prezydenta

Washingtona. — Włożę smoking i mogę być kawalerem, ale o czymś więcej nawet nie myśl.

Phyllis, wiedząc dobrze, że nie ma go co naciskać w tej kwestii, postanowiła zmienić swoje wcześniejsze zamiary

i ubrać się w stylu lat dwudziestych. Nowy kostium oczywiście nie był tak wyszukany jak paradna suknia, którą pierwotnie miała zamiar włożyć, ale przynajmniej nie będzie zbyt odstawiał od smokingu Charlesa. Słyszając jego niecierpliwe westchnienie i widząc jak po raz kolejny spogląda na zegarek, sprawdziła ostatni już raz makijaż i wstała od toaletki.

- Gotowa — oznajmiła. — Nie spóźnimy się na pewno więcej niż czterdzieści minut, a więc nie jest tak źle. — Na twarzy pojawił się jej szczęśliwy uśmiech. — Zobaczymy, co słychać u dziewcząt?

Poszli razem do pokoju Melissy, ale kiedy znaleźli się przy drzwiach, na korytarz wyszła Teri i zamknęła je za sobą.

- Nie możecie zobaczyć teraz Melissy — odezwała się. — Planujemy pewną niespodziankę i nie chcemy, by ją ktokolwiek zobaczył przed przyjęciem.

Charles spojrzał zdziwiony. — To może być ciekawe — zauważył. — Ale co zrobicie, kiedy przyjadą Brett i Jeff? Przykryjesz ją kocem?

— Ależ skądże! — odpowiedziała Teri. — Oni ją oczywiście zobaczą. — Następnie zrobiła piruet, prezentując suknię, którą miała na sobie. — No i jak? — spytała.

- Wyglądasz ślicznie, kochanie — odpowiedziała Phyllis, schylając się i całując ją w policzek. — Zostaniesz królową balu.

Charles, patrząc na swą starszą córkę, uśmiechnął się a dumą.

- To był doskonały pomysł z ta królową wróżek — powiedział. — Jesteś z pewnością kimś, kogo Melissa potrzebowała. Gdyby nie ty... — przerwał zażenowany. — Wystarczy powiedzieć, że moim zdaniem, gdyby nie ty, nie poszłaby wcale na ten bal.

Rzucił niespokojnie okiem ku zamkniętym drzwiom.

— Jak się czuje? — spytał.

— Będzie dobrze — zapewniła go Teri. — A teraz idźcie już do państwa Barnstable i pozwólcie mi skończyć ją ubierać.

Pocałowali dziewczynę na do widzenia i zaczęli schodzić po schodach, kiedy nagle Charles odwrócił się:

— Zostawiłem na stoliku w holu aparat — powiedział. — Nie zapomnij jej zrobić paru zdjęć. To przecież jej pierwszy bal z chłopcem i...

— Wiem, wiem — uspokoiła go córka. — Mówiłeś mi już to trzy razy. Na pewno nie zapomnę. — Pomachała im, po czym odwróciwszy się zniknęła za drzwiami. Melissa stała w samej bieliźnie i spoglądała z powątpiewaniem na leżącą na łóżku

suknię.

— A co będzie, jak nie będzie pasować? — spytała.

— Wtedy zrobimy tak, żeby pasowała — odpowiedziała jej Teri. — Popatrz, co znalazłam w tym sklepie z używaną odzieżą — dodała i otworzyła torbę, do której zabroniła zaglądać siostrze od momentu powrotu. Sięgnęła ręką do środka i wyjęła perukę długich blond włosów. — Znalazłam też odpowiedni puder i cienie do powiek — dodała. — No a teraz wkładaj tę suknię, bo za godzinę będą tu już chłopcy.

Melissa wstała, a Teri wsunęła jej przez głowę suknię, przytrzymując rękawy.

Obciągnęła ją na dole i zaczęła zapinać z tym guziki.

Suknia była trochę za duża, lecz nie aż tak bardzo jak ta znaleziona przez Melissę w starym kufrze na strychu. Teri już chciała uklęknąć, żeby ją skrócić, lecz widząc, jak materiał jej własnej różowej sukienki zaczyna się gnieść, postanowiła zrobić to inaczej.

- Stań na taborecie — powiedziała do Melissy. — Nie mogę uklęknąć, a przecież muszę podgiąć spód.

Melissa uniosła suknię i stanęła na taborecie przed toaletką.

— A co będzie, jak spód opadnie w czasie balu? —

spytała.

— Niemożliwe — odpowiedziała Teri. — Przypnę go agrafkami. A poza tym ona ma tyle koronek, że wcale ich nie będzie widać. Ty tylko stój nieruchomo przez chwilę.

Zaczęła podginać spód sukni i podpinać go agrafkami. Po kwadransie podniosła się, cofnęła o krok i przypatrzyła uważnie swojemu dziełu.

— Obróć się — powiedziała do Melissy. Poprawiła podpięcie w kilku miejscach i w końcu pozwoliła dziewczynie zejść na podłogę.

Spód sukni, niemal idealnie równy, znajdował się teraz o kilka centymetrów nad ziemią.

— Teraz zrobimy plecy. — Zaczęła zbierać zbywający materiał i spinać go w jak najmniej widoczne fałdy. — No, tak może być — powiedziała w końcu. — Teraz zobaczmy, jak wyglądasz.

Melissa z wahaniem podeszła do lustra.

Suknia była teraz odpowiedniej długości, ale miała o wiele za obszerny stan, a lewy rękaw wyraźnie odstawał od ramienia dziewczyny.

— O Boże — westchnęła Melissa. — Wyglądam okropnie, prawda?

Teri pokręciła głową. — No cóż, to jeszcze nie jest idealne, ale poczekaj chwilę, weźmiemy parę skarpetek i włożymy je do stanika.

Melissa spojrzała na nią w zdumieniu. — Przecież nie można tego robić! — zaoponowała.

— Jasne, że można — odpowiedziała Teri. — A dlaczego nie? Co to takiego? Przecież D'Arcy musiała mieć co najmniej osiemnaście lat, a ty masz dopiero trzynaście. Podeszła do komody, wyjęła dwie pary białych skarpetek i wręczyła je Melissie. — No, włóż je!

Melissa, czując się strasznie nieswojo, wepchnęła skarpetki do stanika i spojrzała

jeszcze raz w lustro. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że stan przestał być za obszerny, a gęsta koronka zakryła całkowicie obecność skarpetek.

Stało się także coś jeszcze, coś, czego nie potrafiła do końca wyjaśnić.

Czuła się zupełnie inaczej.

Uśmiechnęła się chytrze do Teri. — Robiłaś to kiedyś? — spytała. — No wiesz, zanim...

— Jasne — odpowiedziała Teri. — Zaczęłam to robić, kiedy miałam dwanaście lat. Wszyscy chłopcy myśleli, że mam największe piersi na świecie. Tylko że tak było tylko czasami. Chłopcy są tacy naiwni. Nigdy niczego się nie domyślają. No a teraz chodź, trzeba nałożyć maki-

Melissa usiadła przy toaletce i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. — Co będziesz robić? — spytała niepewnie.

Teri uśmiechnęła się do niej. — Pomaluję cię i będziesz bardzo piękna. Tak piękna jak piękna musiała być D'Arcy.

Zabrała się do pracy. Najpierw położyła jej na twarz podkład, a potem dała róż.

Rozjaśniła skórę na kościach policzkowych, tak że wyglądały teraz na bardziej wystające. Potem pomalowała cieniem powieki i podkreśliła je na koniec kredką. Użyła też kredki do kącików oczu, tak że wydawało się, że są rozstawione szerzej, niż były w rzeczywistości.

Melissa spoglądała, jak z lustra powoli wyłania się jej nowa twarz. Była to wciąż jej twarz, lecz przecież jakaś inna. Rysy zdawały się nabierać nowego wyrazu.

Także w środku czuła się inaczej. Obserwując zmiany zachodzące na swojej twarzy, czuła, że rośnie w niej dziwna pewność siebie. I wtedy zrozumiała co się dzieje.

To już nie jestem ja — pomyślała. — Zmieniam się w inną dziewczynę. W piękną dziewczynę!

Siedziała wciąż bez ruchu, nie ośmielając się prawie drgnąć, podczas gdy Teri kończyła jej makijaż. Wreszcie

po upływie czasu, który wydawał się jej trwać wiecznie, Teri cofnęła się o krok.

- Gotowe — powiedziała. — Jak ci się podoba? Melissa, nie śmiać nawet odetchnąć, przyglądała się swojej twarzy w lustrze.

— To niesamowite — wyszeptała w końcu. — Wiesz, już nawet prawie nie czuję się sobą. Czuję się, jakbym była kimś innym.

— I tak się masz czuć — odrzekła jej Teri. — To właśnie jest wspaniałe w kostiumach i makijażu. Kiedy się je nałoży, można się stać, kim się chce. Ja...

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi i Teri spojrzała na stojący na nocnym stoliku Melissy budzik.

- O Boże! — powiedziała. — Już po ósmej. Chłopcy już są. Nałóż to, a ja im otworzę. Zaraz wrócę i uczeszę cię.

Wyszła pospiesznie z pokoju, a Melissa, wciąż spoglądając w lustro, wzięła w dłonie perukę.

To nic była ona po drugiej stronie, tym niemniej odbicie było dziwnie znajome.

Zaczęła zakładać perukę, lecz zatrzymała się na chwilę i w głowie pojawiła się jej

pewna myśl. Kiedy nałoży już perukę, kiedy zakryte zostaną jej własne włosy, dokona się ostateczna przemiana. Ostatnie ślady jej prawdziwego ja znikną i stanie się kimś innym.

Kim?

D'Arcy?

Ale przecież D'Arcy nie istniała naprawdę, powiedziała sobie raz jeszcze. D'Arcy była jedynie fikcją, przyjaciółką, którą wymyśliła sobie sama.

Odetchnąwszy głęboko, nałożyła perukę na głowę, a jasne blond włosy spłynęły kaskadą na jej ramiona.

Z lustra spoglądała na nią obca osoba.

Lecz równocześnie ta twarz wydawała się jej znajoma. Była to twarz kogoś, kogo już kiedyś spotkała.

Wzięła do ręki leżącą na toalecie szczotkę i zaczęła delikatnie rozczesywać gęste blond włosy.

I czuła, że z każdym ruchem szczotki osoba z drugiej

strony lustra, nie będąc nią, zaczyna brać górę nad jej własną osobowością.

Teri otworzyła drzwi i uśmiechnęła się widząc stojącego w nich Bretta, ubranego w czarny strój matadora, z różowymi aplikacjami prawie idealnie harmonizującego z kolorem

jej sukni.

— Skąd wiedziałeś? Czy ktoś ci powiedział, co włożę na

Brett spojrzał na nią porozumiewawczo.

— Może mam zdolności telepatyczne — odrzekł.

Teri spojrzała znacząco w sufit, po czym wyjrzała na zewnątrz w stronę czarnego porsche stojącego na podjeździe i uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Gdzie jest Jeff? — spytała.

Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że w oczach Bretta zabłyśła niepewność, ale po chwili chłopiec wzruszył ramionami.

— Rozchorował się — powiedział. — Dzwonił do mnie pół godziny temu i mówił, że coś mu zaszkodziło tak, że aż wymiotuje.

Teri spojrzała na niego groźnie. — Jeśli zmyślasz... — zaczęła.

Brett uniósł obie dłonie w geście protestu.

— Hola, czy to moja wina, że Jeff się rozchorował? Miałem go namówić, żeby zaprosił Melissę, prawda? I umowa była taka, że jak uda mi się go namówić, żeby ją zaprosił, pójdziesz ze mną. Ale jak on się rozchorował, to co mam zrobić? Nie mogę go zmusić, żeby z nią poszedł, mam rację?

Teri zaczęła myśleć gorączkowo. Jak nakłoni Melissę, żeby poszła na bal, skoro Jeff wystawił ją do wiatru? Już widziała, jak tej głupiej dziewczynie ciekną po policzkach łzy. Rzuci się pewnie na łóżko i wpadnie w histerię, albo i jeszcze gorzej. I nagle znalazła rozwiązanie.

Będzie tak jak w historii z D'Arcy. Uśmiechnęła się do Bretta.

— Zrób coś dla mnie, dobra? Powiem jej, że Jeffowi coś się przytrafiło i że spotka

się z nami w klubie. Jak tego nie zrobię, to ona nie pójdzie.

Brett parsknął śmiechem. — No i co z tego jak nie pójdzie? — spytał. — Nikt się tym nie przejmie.

— Czyżby? — zapytała Teri tym razem z chytrym uśmiechem na twarzy. — Biorąc pod uwagę to, jak teraz wygląda, każdy w klubie bardzo chciałby ją dzisiaj zobaczyć. Poczekaj chwilę.

Pobiegła schodami na górę, do pokoju Melissy, układając w myślach szczegóły historyjki, którą opowie swej przyrodniej siostrze.

Ale kiedy tam weszła, nikogo w nim nie było.

Przeszukała błyskawicznie pokoje na piętrze, a potem poszła i sprawdziła strych. Ale Melissa zniknęła na dobre. W końcu zeszła na dół, gdzie przy drzwiach wciąż czekał na nią Brett.

— Nie ma jej — powiedziała. — Musiała słyszeć naszą rozmowę i gdzieś polecieć.

— Polecieć gdzieś? — powtórzył Brett. — Dokąd mogłaby pójść?

Teri zrobiła zdziwioną minę. — Kto to wie? Znasz przecież Melissę i wiesz, że jak jej coś odbije, to zawsze ucieka.

— Fakt — przyznał Brett, otwierając Teri drzwi i prowadząc ją po schodach do czarnego porsche. — Może tym razem będziemy mieć szczęście i nie wróci.

Teri nic na to nie odpowiedziała, jedynie kiedy porsche pomknął podjazdem, odwróciła się i spojrzała na dom.

Podobnie jak tej nocy, kiedy zanosila do szopy ciało psa, tak samo i teraz wydawało się jej, że dostrzegła jakiś niewyraźny ruch w jednym z okien na strychu.

Ale przecież sprawdzała strych i Melissy tam nie było.

Czy naprawdę?

Rozdział 19

Jeff Barnstable leżał na plecach i wpatrywał się w sufit. Stojący na biurku telewizor był włączony, ale chłopiec nie zwracał na niego uwagi, zasłuchany w głośne dźwięki rocka płynące wprost do jego uszu ze słuchawek walkmana. Poruszał rytmicznie prawą stopą i co pewien czas wyrzucał gwałtownie w górę ramiona, waląc w wyimaginowaną perkusję. Kiedy taśma dobiegła do końca i wybrzmiał ostatni akord, Jeff sięgnął po następną, lecz rzuciwszy okiem na tytuł rzucił ją z powrotem na nocny stolik. Wstał i podreptał do okna za którym zapadał zmierzch. W oddali, na południowym krańcu zatoki widać już było pałacę się

światła klubu. Zmarszczył lekko brwi, gdy pomyślał, że wszyscy jego przyjaciele bawią się teraz przy muzyce granej na żywo.

Ale przecież gdy dzisiejszego ranka obudził się i pomyślał, że naprawdę będzie musiał iść na bal z Melissą Holloway, już samo to przyprawiło go o mdłości. Kiedy więc zdecydował się, żeby pójść za radą Kenta, i udawać, że jest chory, nie wydawało mu się to wcale takie dalekie od prawdy. Teraz jednak, w godzinę po umówionej porze, o której miał być u Melissy, czuł się świetnie.

Być może przeberze się i uda się jednak na bal. Będzie już wtedy za późno, żeby zabrać Melissę — znając ją będzie siedzieć cała we łzach i nie będzie miała ochoty pójść, nawet jeśli pojawi się w jej domu.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak stoi przed jej drzwiami, w kostiumie, może nawet z bukietem kwiatów, które zerwie w ogródku mamy. A ona gapi się na niego z za-puchniętymi oczami. Zatrzasnęłaby mu pewnie drzwi przed nosem, ale mógłby już wtedy mówić, że rzeczywiście chciał z nią pójść na bal. Ale co będzie, jeśli naprawdę siedzi tam i czeka na niego? Wtedy nie będzie się już mógł od tego wykręcić.

Drzwi pokoju otworzyły się i dobiegły go odgłosy toczącego się na dole przyjęcia rodziców. Odwrócił się i ujrzał matkę stojące w drzwiach i opartą o framugę.

Pełen dezaprobaty wyraz twarzy świadczył o tym, że podejrzewała, iż coś kręci.

— Już czujesz się lepiej? — spytała obojętnym tonem, ale widać było, że w jej oczach kryje się gniew.

Jeff ruszył z powrotem w stronę łóżka, starając się, najlepiej jak umiał, przybrać obolały wyraz twarzy.

— Potrzebowałem po prostu trochę świeżego powietrza — wyjąkał.

— Wydaje mi się — powiedziała wolno — że powinienesz też odświeżyć w swojej pamięci dobre maniery.

Jeff położył się z powrotem na łóżku.

— Nie czuję się najlepiej — zaczął, ale matka nie pozwoliła mu dokończyć.

— Kiedy powiedziałeś mi po południu, że nie czujesz się zbyt dobrze, powinnam się była domyślić, że coś kręcisz. Przecież to nie w twoim stylu opuścić taką zabawę, prawda?

Jeff spojrział niepewnie na matkę, nie odzywając się ani słowem.

— Jak sądzisz, jak się czułam, kiedy Phyllis powiedziała mi, że to bardzo miło z twojej strony, że zaprosiłeś Melissę na bal? Poza tym, że nic mi o tym nie powiedziałeś, to jeszcze wiedziałam, że jesteś tu, na górze, „chory”.

Ostatnie słowo uderzyło Jeff'a jak chłasięcie biczem i chłopiec skulił się ze strachu, wiedząc, że znalazł się naprawdę w tarapatkach.

— Ale mi naprawdę było niedobrze — zaczął znowu.

— Nie chcę tego słuchać, Jeff — odpowiedziała mu matka. — Nie wiem, co cię skłoniło do tej decyzji, i nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Chcę jedynie wiedzieć, czy to prawda. Czy zaprosiłeś Melissę dzisiaj na bal?

— Tak, ale...

— To w takim razie pójdziesz tam — powiedziała krótko

matka. — Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ją zaprosiłeś, lecz mogę ci w tej chwili powiedzieć jedno: jeśli to zrobiłeś, pójdziesz z nią. Pomijając sam fakt, że wszystkie problemy tej dziewczyny rozwiązałyby się same, gdyby uwolniła się spod ręki swojej matki, to pozostaje przecież kwestia dobrego wychowania. — Zniżyła głos, co było wyraźnym znakiem tego, że jest rozgniewana. — Nie wolno umawiać się z dziewczyną, a potem nie przychodzić, Jeff. To nie tylko niegrzeczne, ale i okrutne i niezależnie od tego, co ty i inni myślicie o Melissie lub o jej matce, nie macie żadnego prawa zachowywać się w ten sposób w stosunku do niej.

— Ale... — Żadnego „ale” — odrzekła Paula, potrząsając głową. — Gdybym wiedziała wcześniej, że umówiłeś się z dziewczyną na wieczór, wezwałabym po południu lekarza.

i gdybyś był naprawdę chory, zadzwoniłabym osobiście do Phyllis i Melissy i wyjaśniła wszystko. Ale teraz — ciągnęła dalej jeszcze bardziej ściszym głosem — jeśli jest ci naprawdę niedobrze, to bardzo ci współczuję. Ponieważ za chwilę wstaniesz z łóżka, ubierzesz się i pójdziesz do Melissy. Pójdziesz z nią na bal i nie odstąpisz od jej boku. A jeśli tego nie zrobisz, to wierz mi, czeka cię bardzo smutne lato, ponieważ nie będzie więcej żadnych prywaterek, żadnych wyjść do klubu, żadnego opalania na plaży. Będziesz siedział tutaj i zastanawiał się nad tym, co to znaczy nie dotrzymać słowa.

Nie czekając na odpowiedź syna, Paula odwróciła się i wyszła z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Jeff siedział przez chwilę na łóżku jak sparaliżowany, a w uszach wciąż dźwięczały mu słowa matki. Powinien był wiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie. Był jednak na tyle głupi, że myślał, iż uda mu się wykręcić sianem. Zwłóknął się z westchnieniem z łóżka i powędrował w stronę szafy. Było już za późno, żeby myśleć nad kostiumem. Będzie musiał ubrać zwykłą sportową marynarkę i coś z nią zrobić. Już widział w wyobraźni uśmiech Kenta, kiedy ujrzy go na balu z Melissą u boku. Kiedy jednak w parę minut później kończył się ubierać, przyszła mu do głowy pewna myśl.

Zawarł przecież umowę z Brettem i jeżeli już musiał dotrzymać słowa, to to samo powinien zrobić Brett.

Wychodząc wysączył do dna drinka pozostawionego przez kogoś na stoliku w holu, po czym skierował się pieszo do klubu, by zabrać porsche od przyjaciela.

Cora wzięła pełną zakąsek tacę i pchnąwszy plecami wahadłowe drzwi przeszła do ciasnego pokoiku, gdzie trzymano zastawę. O mały włos a upuściłaby ją, starając się wymanewrować między sprzętami, wreszcie przeszła do jadalni i położyła tacę obok trzech innych, leżących na dębowym stole. Tag rozsunał po południu dodatkowe blaty i stół mógł pomieścić teraz dwadzieścia cztery osoby. Przystanąła na chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym zaczęła układać na nim srebrne sztuce dokładnie tak, jak kazała jej pani Holloway, która zresztą zawsze potem sprawdzała ułożenie sreber, chcąc upewnić się, czy jej polecenie zostało dobrze

wykonane. Przez chwilę żałowała, że nie skorzystała z propozycji wnuka, który chciał jej pomóc w przygotowaniach, lecz natychmiast powiedziała sobie, że postąpiła słusznie — chłopiec dość się napracował przez cały tydzień, po co więc miał jeszcze w sobotni wieczór przygotowywać przyjęcie, w którym nie będzie mu wolno uczestniczyć. Spojrzała na drzwi na taras, przypominając sobie, że powinna jeszcze zapalić tam światła, zanim wróci do kuchni, i już miała zabrać się do układania serwetek, kiedy wydało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk dobiegający z góry. Przystanęła i spojrzała odruchowo w górę, jak gdyby chciała coś dostrzec przez sufit.

Ledwie słyszalny dźwięk powtórzył się i gospodyni zmarszczyła brwi. Dom był pusty — widziała przecież, że państwo wyszli dawno temu i słyszała odjeżdżające porsche Bretta van Arsdale parę minut przedtem, zanim przyszła tu przygotować jadalnię do przyjęcia organizowanego przez państwa Holloway po balu.

Tak więc w domu nikogo nie powinno być.

Zmarszczyła jeszcze bardziej brwi, słysząc kolejny raz niewyraźne odgłosy, odłożyła serwetki i przeszła do holu. Odczekawszy chwilę ruszyła schodami na piętro, przystanęła i znowu usłyszała to samo.

Dźwięki dochodziły z góry, ze strychu.

W następnej sekundzie była pewna, że wie, kto to taki. Z pewnością Tag, korzystając z nieobecności pani Holloway poszedł jeszcze raz na strych szukać psa. — Myślę, że musi tam być — powiedział jej nie dalej jak dziś po południu. — Jeśli Melissa powiedziała, że go widziała, to jej wierzę.

Cora zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by odwieść go od tego zamiaru, i wytłumaczyła raz jeszcze, że Melissa czasem chodzi we śnie. — Nie twierdzę, że kłamie — powiedziała na koniec — lecz czasem ma sny tak wyraźne, że wydaje się jej, że to jawa.

Lecz najwidoczniej jej słowa nie przekonały chłopca i słysząc po raz kolejny te same dźwięki, które niewątpliwie były odgłosami kroków, skierowała się w stronę prowadzących na strych schodów.

Kiedy doszła na górę, zobaczyła, że drzwi są uchylone, ale światło się nie pali. Co w takim razie robił Tag? Przeszukiwał strych po ciemku? Przecież była już prawie noc i trudno było dostrzec w półmroku nawet okienka w dachu.

— Tag? — zawołała. Sięgnęła ręką do wyłącznika, ale w tym momencie dostrzegła niewyraźne, żółte światło dobiegające z drugiego końca strychu. Zaciśnęła poirytowana usta, przekręciła wyłącznik i ruszyła w tamtą stronę.

Szybko wydostała się z potoku światła spływającego z pojedynczej żarówki i szła naprzód, widząc przed sobą wciąż migocący płomyk. Zdawało jej się, że dobiegał z tego sa-

me go pokoiku, w którym znalazła już kilka razy pogrążoną głębokim śnie Melisę. Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, zauważyła, że są uchylone, podobnie jak drzwi na strych. Pchnęła je, spodziewając się, że zobaczy w pokoju spoglądającego na nią z niewyraźną miną Taga. Lecz zamiast wnuka ujrzała jakąś postać w białej sukni,

stojącą przy oknie i wpatrującą się w szybko zapadający zmierzch. Zaparło jej dech

i położyła rękę na piersi, czując, jak serce wali jej z przerażenia na widok zjawy w pokoju.

Postać zwróciła się ku niej i Cora czuła, jak nogi uginają się pod nią z przerażenia. W migotliwym świetle lampy naftowej ujrzała twarz: trupio bladą, obramowaną długimi jasnymi włosami, sięgającymi zjawie prawie do pasa.

Cora odruchowo wyciągnęła rękę, chcąc oprzeć się o framugę. Kiedy tajemnicza postać podniosła lampę i zrobiła krok w jej stronę, gospodyni rozpoznała wreszcie jej twarz.

— Melissa? — spytała.

Postać zatrzymała się i potaknęła lekko głową.

— Co ty, na miłość boską, tutaj robisz?

— Idę na bal — odpowiedziała Melissa.

Na twarzy Cory pojawiło się zdziwienie, bo w głosie dziewczyny było coś dziwnego. Był to jej głos, a jednak trochę inny.

— Na bal? — powtórzyła. — Ale przecież chłopcy pojechali już godzinę temu. Słyszałam samochód...

— Nie byłam wtedy gotowa — odpowiedziała Melissa. — Ale teraz już na mnie czas.

Dziewczyna ruszyła przed siebie, a Cora zaintrygowana jej dziwnym głosem instynktownie usunęła się jej z drogi.

Melissa minęła gospodynię, ale zamiast skierować się w stronę jasno oświetlonych i dobrze widocznych głównych drzwi strychu, podążyła w kierunku dawno nie używanych schodów dla służby.

Cora ruszyła w ślad za nią i po chwili dziewczyna zaczęła schodzić stromymi schodami prowadzącymi do kuchni.

— Melisso? Czy nic ci nie jest? — zapytała gospodyni, kiedy były już na dole. Melissa stała nieruchoma i rozglądała się po kuchni, a na jej twarzy malowało się zdziwienie. Cora odezwała się po raz drugi, a wtedy dziewczyna odwróciła się i uśmiechnęła. Lecz nie był to uśmiech Melissy, podobnie jak i głos nie był jej głosem.

- Nic mi nie jest — odpowiedziała. — Czyż wieczór nie jest cudowny?

Cora przybliżyła się do niej. — Coś mi się w tobie nie podoba — powiedziała. — Masz jakiś dziwny głos. I za kogo ogóle jesteś przebrana? Przecież ty wyglądasz jak upiór! I wtedy zrozumiała. Przecież to był bal kostiumowy i Melissa przebrała się za D'Arcy! Napięcie i niepewność, które dręczyły ją jeszcze przed chwilą, zniknęły i gospodyni roześmiała się cicho.

- No no, nieźle wyglądasz w tej sukni. Muszę przyznać, że kiedy cię zobaczyłam, to myślałam, że zemdleją ze strachu Boże drogi, mam nadzieję, że nie spotkasz nikogo na plaży, bo przestraszyłabyś go na śmierć. — Podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła ramiona do dziewczyny, lecz ta zamiast ją objąć ruszyła w stronę drzwi. — Nie — wyszeptała. — Pognieciesz mi moją nową, śliczną suknię. — Postawiwszy na kredensie wciąż palącą się lampę naftową, przekroczyła próg i zniknęła w ciemnościach nocy. Cora, ogromnie zdziwiona ostatnimi słowami Melissy, ruszyła pospiesznie za nią. Jaka suknia? O czym ona

mówi? Przecież to, co miała na sobie, było stare jak świat. No i jej głos! To nie był wcale głos Melissy. Brzmiał, jak głos dorosłej kobiety. I na dodatek był dziwnie monotony. Wyszła za drzwi i wytyżyła wzrok. Melissa przeszła już połowę trawnika, prawie znikając jej z oczu i Cora mogła dostrzec jedynie niewyraźną, przesuającą się w ciemnościach białą plamę. Wahala się przez chwilę, zastanawiając się, co dalej robić.

Czy powinna zadzwonić do państwa Barnstable i powiadomić o wszystkim panią Holloway?

Porzuciła natychmiast tę myśl, wiedząc dobrze, jaka byłaby reakcja jej chlebodawczyni, gdyby musiała opuścić przyjęcie tylko z tego powodu, że Melissa zachowuje się dziwnie.

Byłaby na pewno wściekła i wyładowałaby swą złość nie tylko na niej, ale także na córce.

Poza tym, może Melissie nic nie dolega?

Może po prostu postanowiła zostać dzisiejszego wieczoru D'Arcy i zachowywała się tak, jak w jej przekonaniu ta nieszczęśliwa dziewczyna musiała się zachowywać w noc balu?

Cora przypomniała sobie szybko wszystkie szczegóły historii, którą usłyszała po raz pierwszy pięćdziesiąt lat temu, gdy przybyła do Secret Cove.

Jeżeli prawdą było to, że D'Arcy Malloy służyła w ich domu, to całkiem możliwe, że mieszkała w małym pokoiku na strychu. I tej sierpniowej nocy, sto lat temu, musiała mieć siedemnaście lub osiemnaście lat.

Gospodyni uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie twarz Melissy z tym bladym makijażem, który nadawał jej tak upiorny wygląd, mogła uchodzić za siedemnastolatkę.

Jej głos także nie był głosem trzynastolatki.

Tak, to na pewno było z powodu balu.

Melissa nie tylko włożyła starą suknię, ale zaczęła także odgrywać rolę dziewczyny sprzed stu lat.

I wychodziło jej to całkiem niezle — pomyślała Cora, wracając do swoich zajęć. — Przez chwilę byłam gotowa przysiąc, że to D'Arcy.

Jeff przekręcił kluczyk w stacyjce i potężny silnik porsche obudził się do życia. Przegazował go kilka razy, wreszcie włączył pierwszy bieg i zwolnił ręczny hamulec. Puścił raptownie sprzęgło, wciskając równocześnie gaz do deski. Opony zapiszczały, tracąc na ułamek sekundy kontakt z podłożem, a samochód wyskoczył jak strzała i z rykiem silnika pomknął podjazdem ku głównej drodze. Miał na liczniku pięćdziesiąt mil kiedy wszedł w ostry wiraż. Skręcił gwałtownie i wszystkie cztery koła oderwały się na moment od jezdni. Odbił natychmiast kierownicę i opanował sytuację. Dojeżdżając do skrzyżowania zwolnił, po czym wjechał na biegnącą wzdłuż zatoki i prowadzącą do wioski drogę. Pokonał kolejny ciasny zakręt i wychodząc z niego na długą prostą, wcisnął pedał gazu do opora. Wskazówka licznika podpełzła do osiemdzie-sięciu pięciu mil na godzinę. Zwolnił dopiero, kiedy zbliżył

się do podjazdu wiodącego do Maplecrest i po niecałych dwóch minutach zatrzymał samochód na wysypanej żwirem alejce przed domem Melissy.

Zostawiając silnik na wolnych obrotach, wbiegł po schodach na ganek i nacisnął dzwonek. Zniecierpliwiony brakiem jakiegokolwiek reakcji nacisnął go raz jeszcze i po chwili usłyszał z drugiej strony przytłumiony głos Cory:

— Chwilę, chwilę, już idę. Na werandzie zapaliło się światło i gospodyni uchyliła drzwi. Ujrawszy Jeffa, otworzyła je szerzej i stała w milczeniu.

— Czy jest tu Melissa? — spytał Jeff. — Przyjechałem, żeby ją zabrać na bal. Cora wyduła wargi. — Chcesz zabrać ją na bal? Wydaje mi się, że się trochę spóźniłeś.

Jeff poczuł, jak na twarzy wykwitł mu rumieniec, i miał jedynie nadzieję, że nie można go było dostrzec w świetle lampy oświetlającej werandę.

— Przygotowania zajęły mi więcej czasu, niż myślałem — odrzekł. — A potem jeszcze musiałem wziąć samochód od Bretta.

Cora spojrzała na stojące nie opodal porsche.

— A od kiedy to wolno ci prowadzić samochód? — spytała.

— Mam młodzieżowe prawo jazdy — odpowiedział. — Poza tym wszyscy chłopcy w okolicy prowadzą sami samochody. Policji i tak to nie obchodzi.

— Może zainteresują się tym, gdy cię złapią — odrzekła gospodyni. — Zresztą to i tak nieistotne, bo Melissy tu nie ma.

— Nie ma? Co pani chce przez to powiedzieć?

— Wyszła może pięć lub dziesięć minut temu. Była ubrana w kostium. —

Spojrzała podejrzliwie na Jeffa. — Z jej zachowania nie wynikało, że spodziewa się, że ktoś po nią przyjedzie.

Jeff przełknął nerwowo ślinę, zastanawiając się, czy nie powinien spróbować jej dogonić. Jeśli pojawi się w klubie bez niego...

Ale nie było tak źle. Kiedy wychodził z domu, przyjęcie u rodziców jeszcze trwało i goście dopiero zaczęli przygotowywać się do wyjścia do klubu. Zdąży jeszcze oddać samochód i poszukać Melissy.

— Którędy poszła? — spytał.

Córa wzruszyła ramionami. — A skąd mam wiedzieć? Myślę, że poszła ścieżką przez las. Nie sądzę, żeby szła wzdłuż plaży, bo wtedy mogłaby zabrudzić sobie suknię.

— Dobra — odpowiedział, Jeff zbiegając po schodach. —

Znajdę ją.

Cora wyszła na ganek. — Może lepiej najpierw oddaj ten wóz. Nie chcę, żeby Melissa jeździła z kimś, kto nie wie, jak prowadzić samochód.

— Ja wiem, jak się prowadzi samochód — odkrzyknął Jeff, sadowiac się za kierownicą porsche. Wrzucił bieg, okrążył wolno duży klomb i wjechał na aleję łączącą Maplecrest z główną drogą. Kiedy już się tam znalazł, wcisnął gwałtownie pedał gazu, aż spod kół wytrysnął żwir. Roześmiał się widząc, jak Cora grozi mu zaciśniętą pięścią, i pomknął w stronę głównej drogi.

Melissa z szeroko otwartymi oczami kroczyła ścieżką, pod-kasawszy lekko suknię,

tak by jej nie pobrudzić. Dziwne uczucie, które owładnęło nią, gdy włożyła ją po raz pierwszy, i które narastało w niej w miarę tego, jak nakładany przez Teri makijaż zmieniał jej twarz, trzymało ją nadal mocno w swoich szponach.

Już nie była Melissa. Melissa spała gdzieś w głębinach jej jaźni, a ona była teraz D'Arcy i szła na bal.

Wszystko wydawało jej się dziwne. Prawie wcale nie rozpoznała Cory, a i sama kuchnia, kiedy ją przemierzała, wyglądała jakoś inaczej. Wszystko jak gdyby się zestarzało i zniknęła nawet skrzynia z lodem. Na jej miejscu stało coś innego — duża, biała metalowa szafa. Także światło było jaśniejsze.

Była zadowolona z tego, że mogła opuścić dom, by po-grążyć się w tak jej drogiej ciemności, i bezzwłocznie poszła w las, Tu nic się nie zmieniło. Czuła pod stopami miękką

ziemię, a ścieżka wiła się między drzewami tak jak dawniej.

W pewnym momencie przez korony sosen dostrzegła światła klubu. Podobnie jak lampa w kuchni były jaśniejsze, a wokół budynku było jasno prawie jak w dzień.

Szła dalej, aż dotarła do rozwidlenia, którego tu kiedyś nie było. Od ścieżki odchodziła odnoga łącząca ją z biegnącą nad nią drogą, którą także widziała po raz pierwszy. Nie wiedziała, dokąd teraz prowadzi ścieżka, więc zatrzymała się z wahaniem. Była jednak pewna, że jeśli pójdzie nową drogą, dotrze szybciej do klubu.

Jeff wchodząc w kolejny zakręt, zmniejszył szybkość. Od biegnącej wzdłuż wybrzeża szosy oddzielał go jedynie krótki odcinek prostej. Nagle w świetle reflektorów zamajaczyła mu jakaś ubrana na biało postać idąca skrajem drogi. Natychmiast przypomniała mu się historia D'Arcy, lecz po chwili uzmysłowił sobie, że to na pewno Melissa idzie na bal.

Zwolnił jeszcze bardziej przypuszczając, że dziewczyna w każdej chwili się odwróci, lecz kiedy tego nie zrobiła, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. A co by było, gdyby wyłączył światła, podjechał do niej cicho i niepostrzeżenie, a potem nagłe nacisnął klakson...?

Zgasił reflektory i zdjął zupełnie nogę z gazu, tak że pracy silnika nie było prawie wcale słychać. Kiedy znalazł się mniej więcej trzy metry za nią, nacisnął klakson. Postać odwróciła się, a on włączył światła.

I w tym momencie zamarł z przerażenia.

To nie była wcale Melissa!

Ujrzał wpatrującą się w niego trupio bladą twarz, około-

Przypomniała mu się znowu historia o D'Arcy i bez namysłu wcisnął gaz do deski. Potężny silnik zawył na wysokich obrotach, samochód z piskiem opon wyskoczył do przodu, a Jeff, zamiast patrzeć na drogę, spoglądał w tylne lusterko.

Groteskowo ubrana biała postać wciąż stała na poboczu i wpatrywała się w niego. Porzucił obraz w lusterku i dostrzegł przerażony, jak w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów przed nim wyrasta barierka odgradzająca drogę od urwiska.

Z gardła wydobył mu się okrzyk przerażenia. Puścił pedał gazu i nacisnął z całej siły hamulec. Opony zapisały raz jeszcze, wszystkie cztery koła znieruchomiały zablokowane tarczami hamulców, a samochód obrócił się dokoła własnej osi,

tracąc przyczepność.

Ułamek sekundy później czarne porsche walnęło w barierkę.

Siła uderzenia oderwała stalową taśmę od betonowych słupków, do których była przytwierdzona.

Samochód przeleciał poza krawędź urwiska, zdawał się wisieć nieruchomo w powietrzu przez ułamek sekundy, wreszcie runął w przepaść.

Spadając przekoziołkował i Jeff miał przez chwilę wrażenie, że skały w dole pędzą ku niemu. W następnej sekundzie porsche uderzyło w ogromne głązy, a Jeff spostrzegł tylko jeszcze, jak przednia szyba rozbija się z głośnym hukiem w drobny mak i deszcz odłamków spada mu na twarz...

Donośny dźwięk klaksonu rozbudził zupełnie Melissę i dziewczyna wpatrywała się z przerażeniem, jak czarne porsche zderza się z barierką i znika za skrajem urwiska. Przez chwilę stała skamieniała, nie wiedząc dobrze, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, było to, że siedziała w swoim pokoju, nakładała perukę i spoglądała na swoje odbicie w lustrze.

Na twarz, która nie była do końca jej własną twarzą.

Lecz teraz, już prawie całkowicie rozbudzona, wiedziała, czyja twarz spoglądała na nią z lustra.

Twarz D'Arcy.

Kiedy dzisiaj wieczorem wkładała suknię, robiła makijaż i nakładała perukę, D'Arcy przyszła do niej sama. Przyszła i uśpiła ją.

Spoglądała tępo na powykrzywiane resztki metalowej barierki i próbowała sobie przypomnieć, co się tu wydarzyło.

Lecz nic szczególnego nie dostrzegła. Pamiętała jedynie, że obudził ją jakiś hałas i że widziała odjeżdżający samochód.

Czarny samochód.

Taki sam, jaki miał Brett.

Westchnęła przerażona i podkasawszy suknię zaczęła biec w stronę barierki. Kiedy tam dotarła, stanęła nad przepaścią i wycężając wzrok spojrzała w dół. Na obmywanych falami skałach majaczył wrak samochodu.

Z jej piersi wydobył się przeraźliwy krzyk. Odwróciła się i popędziła co sił w nogach w stronę jarzącego się światłami budynku klubu.

Rozdział 20

Phyllis zatrzymała się koło basenu i spoglądała na rozlokowany na szczycie przyłądka rześcicie oświetlony budynek. Ogromnie żałowała, że musiała tak wcześnie wyjść z przyje-

u Pauli Barnstable, lecz z drugiej strony, nie była już tanie dłużej oprzeć się pragnieniu, by pójść na główną atrakcję wieczoru — bal — i upewnić się osobiście, że wszystkie jej pieczołowicie opracowane plany powiodły się. Teraz, kiedy przez otwarte okna klubu sączyły się dźwięki muzyki i ciepły, letni wieczór wypełniała łagodna melodia, mogła się wreszcie odprężyć. Jedno już się udało — przybyła orkiestra i na parkiecie tańczyło kilka ubranych w kostiumy par.

- Spójrz tylko — zwróciła się do Charlesa, wsuwając mu rękę pod ramię. — Widzisz te lampiony? Kazałam je założyć na każdą żarówkę w żyrandolu. No i zobacz, jakie piękne światło.

Jego wzrok podążył za ręką żony i Charles uśmiechnął się — zarówno z powodu różnobarwnej tęczy tańczącej na białym suficie sali balowej, jak i z powodu zadowolenia widocznego na twarzy Phyllis, dumnej ze swego osiągnięcia.

Jak na razie, wszystko wskazywało na to, że bal będzie jej wielkim sukcesem. — Nie ma sensu stać tutaj — powiedział, robiąc krok do przodu. — Wejźmy do środka.

Wprowadził Phyllis na stopnie wiodące do klubu, lecz nagle zatrzymał się, czując, jak żona zaciska mu pałce na ramieniu. Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

— Bez przerwy dręczy mnie dziwne przeczucie — powiedziała, zatrzymując się z wahaniem przed drzwiami. — Ciągle wydaje mi się, że coś się na pewno dzisiejszego wieczoru nie uda.

Charles roześmiał się. — Nic w tym dziwnego — powiedział. — Ale to tylko nerwy. A poza tym, jeżeli nawet coś nie pójdzie po twojej myśli, to niewiele można już na to teraz poradzić. Cokolwiek się zdarzy, na pewno nie będzie gorzej niż wtedy, kiedy przewodniczącą komitetu była Eleanor Stevens.

Phyllis jęknęła. — Nawet mi tego nie przypominaj!

— Ależ to właśnie robię — odpowiedział Charles i roześmiał się serdecznie. — Cóż może być gorszego niż widok walącego się pod własnym ciężarem suto zastawionego bufetu? Zwłaszcza kiedy wszyscy kelnerzy ostrzegają przedtem, że coś takiego może się zdarzyć. Eleanor nie mogła wtedy winić nikogo prócz samej siebie, a ja muszę przyznać, że jej mina, kiedy to się stało, warta była całej katastrofy!

Phyllis roześmiała się bezwiednie. Wciąż widziała, jak Eleanor wpatruje się w leżące na podłodze zakąski, a następnie wodzi wzrokiem po gościach, szukając winnego. Ale wszyscy spoglądali nawzajem na swoje zniszczone kostiumy, aż wreszcie powszechne milczenie, które zapanowało na sali, przerwał głos męża Eleanor, który spytał: Czy to twój sposób zdobycia rozgłosu, kochanie?

Eleanor, chyba po raz pierwszy w swoim życiu nie mogła znaleźć słów. Wyszła szybko z sali i nie pokazywała się niko-mu przez cały następny tydzień.

— Masz rację — przyznała Phyllis. — Nic nie może być gorszego od tego.

Z Charlesem u boku ruszyła po ostatnich stopniach w górę, weszła do budynku i oddała szal szatniarce. W końcu, drżąc z niepewności i podniecenia, wkroczyła

przez ogromne dwuskrzydłowe drzwi do sali balowej.

Zlustrowała błyskawicznie całe pomieszczenie, sprawdzając dekorację. Na obwodzie sali ustawiono w podkowę stoliki, a na każdym z nich umieszczono trzy wysokie świece, otoczone bukietem z róż i kwiatu dzikiej marchwi. Wzdłuż ściany, na prawo od niej stały stoły z zakąskami. Jeden z kelnerów zastępował pusty talerz po krewetkach nowym, przyniesionym właśnie z kuchni. W głębi sali przygotowano dwa stojące naprzeciw siebie bary — jeden serwował koktajle, a drugi wyłącznie napoje bezalkoholowe. Na zewnątrz, na tarasie z widokiem na morze, umieszczono jeszcze jeden bar.

Sala była już do połowy zapełniona gośćmi i Phyllis uśmiechała się, widząc sunące po parkiecie i przebrane w różnorakie kostiumy pary. Były tu anioły i diabły, trzy króliki, parę włóczęgów, a nawet strach na wróble, któremu w czasie tańca wypadła z lewej nogawki wiązka słomy. Na środku sali dostrzegła Teri tańczącą z Brettem. Dotknęła ramienia męża:

— Tańcz tam — powiedziała. — Przepowiedziałam jej, że będzie najpiękniejszą dziewczyną na balu.

I rzeczywiście, obserwując jak starsza córka porusza się z gracją w rytm walca, Charles przyznał w duchu rację Phyllis. Różowa suknia, jeszcze parę godzin temu sprawiająca wrażenie zniszczonej i nie nadającej się do noszenia, w tej chwili skrzyła się i błyszczała, gdyż pokrywające tiul cekiny odbijały spływające z żyrandoli światło, mieniając się wszystkimi barwami tęczy. Zdawało się, że dziewczynę otacza wielobarwna mgiełka, która unosi się i wiruje razem z nią po sali.

Kiedy Teri dostrzegła ojca i Phyllis, przestała tańczyć i podeszła pospiesznie do nich. Jej oczy błyszczały prawie tak mocno jak suknia.

— Czy to nie jest piękne, tatusiu? — spytała. — Możemy być dumni z Phyllis. Charles pokraśniał na twarzy. — Nic tutaj nie jest dziś tak piękne jak ty — odrzekł, rozglądając się jeszcze raz po sali. — A gdzie masz Melissę? Już nie mogę doczekać się na tę wielką niespodziankę.

Oczy Teri straciły nagle swój blask. - Jeszcze nie przyjechała... — wyjąkała.

Uśmiech zgasł na twarzy Phyllis. — Ale przecież Jeff miał przyjechać po nią razem z Brettem!

Teri zaczęła myśleć gorączkowo. Jeżeli Phyllis nie wiedziała, to Jeff starał się wymigać od pójścia z Melissą...

— Przyjechał — odpowiedziała bez drżenia w głosie. — Ale Melissa nie była jeszcze gotowa. Więc myśmy już pojechali, a Jeff wziął samochód Bretta i wrócił po nią.

— Jeff? — odezwał się Charles, marszcząc brwi. — Przecież on nie może jeszcze prowadzić samochodu.

Teri przybrała bardzo stroskaną minę.

— Nie może? Gdybym wiedziała o tym wcześniej...

— Ale nie mogłaś o tym wiedzieć — uspokoiła ją Phyllis. — Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Przecież stąd do domu są niecałe dwa kilometry i na pewno pojedzie ostrożnie. A skoro już pojechał, nic nie możemy zrobić, czyż nie?

Już chyba tutaj jadą.

Charles zasępił się.

— Chyba jednak zadzwonię — zaczął, lecz Phyllis ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę parkietu.

— A ja myślę, że lepiej zrobisz, jak zatańczysz z żoną —

powiedziała. — Jak nie przyjadą za pięć albo dziesięć minut, zaczniemy się martwić. Wtuliła się w jego ramiona, a on po chwili wahania poprowadził ją ku tańczącym parom. Pięć minut później, gdy wybrzmiały już ostatnie akordy palca i na sali znów wzmógł się szum rozmów, Phyllis uśmiechała się do męża.

— Udało mi się — wyszeptała tak, by słyszał ją jedynie Charles. — Słyszałeś, co mówią? Nawet Eleanor przyznała, że to najpiękniejszy bal świętojański, jaki mieliśmy kiedykolwiek. A Bal Sierpniowej Pełni Księżycyca będzie jeszcze piękniejszy. Myślałam już o tym i doszłam do wniosku, że powinniśmy sobie podarować te jesienne kolory. Stały się tak banalne... Urwała nagle w pół słowa, spostrzegając, że szmer głosów wokół niej zamiera. Powiodła wzrokiem dookoła, pragnąc dowiedzieć się, co sprawiło, że wszyscy zgromadzeni nagle przerwali rozmowy, lecz z początku nic nie dostrzegła.

Wtedy uświadomiła sobie, że wzrok zebranych skierowany jest na ogromne dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do foyer i spojrzała w tę stronę. Westchnęła przestraszona.

W drzwiach dostrzegła dziwną postać, ubraną na biało. Wpatrując się w nią tępym wzrokiem, miała wrażenie, że to jakiś duch z przeszłości. Stała przed nią dziewczyna w białej, staromodnej sukni, z długimi, opadającymi na ramiona blond włosami. Włosy także okalały jej twarz, trupio bladą i po-brużdżoną od łez. Phyllis zatkało dech w piersiach, bo rozpoznała tę suknię.

Widziała ją nie dalej jak tydzień temu, wiszącą na manekinie na strychu jej własnego domu.

A dziś miała ją na sobie jej córka, która stała nieruchomo w drzwiach i wpatrywała się w nią, a po twarzy spływały jej łzy.

Serce zamarło jej z przerażenia. Przeczucie jej nie myliło — wszystko układało się dobrze, zbyt dobrze. Od początku powinna była wiedzieć, co jest źródłem jej obaw.

Po raz kolejny jej córka wystawia ją na pośmiewisko i to właśnie w tę noc, o której myślała, że stanie się dla niej chwilą triumfu. Zaciśnęła palce na ramieniu męża i odezwała się ledwie słyszalnym głosem przez zaciśnięte zęby:

— Zrób coś! Nie widzisz, że...

Ale było już za późno. Melissa nagle ożyła i popędziła w stronę rodziców, a tłum wpatrywał się w nią i usuwał z drogi bez słowa, jak gdyby ludzie bali się nawet tego, że może ich dotknąć. Dziewczyna, zignorowawszy całkowicie matkę, rzuciła się w ramiona ojcu.

— Melisiu, kochanie? — zapytał Charles. — Co się stało?

— Samochód — wyjąkała dziewczyna. Spojrzała błagalnie na ojca. — Zjechał z drogi, tatusiu, i... — ciągnęła dalej, z trudem opanowując szloch. — To nie była moja wina. Ja nic nie zrobiłam...

Jej słowa utonęły nagle w powodzi głosów i zgromadzeni na sań goście, przepychając się ruszyli w stronę wyjścia.

— Jaki samochód? — spytał Charles. Melissa przełknęła ślinę.

— Czarny — odpowiedziała. — Taki jak ma Brett. Phyllis poruszyła się na te słowa. — Taki jak ma Brett? —

powtórzyła. — Ale przecież ty...

Charles przerwał jej w pół słowa. — Nie teraz! — powiedział zniecierpliwionym głosem. — Trzeba się dowiedzieć najpierw, co się stało!

Trzymając mocno córkę za rękę, odwrócił się i przepychając się przez tłum, ruszył ku drzwiom.

Scena rozgrywająca się na krawędzi urwiska, na którego dnie, na skatach, leżało rozbite porsche Bretta, miała w sobie coś surrealistycznego. Samochody stały wzdłuż drogi z włączonymi światłami, a wokół nich, jak w groteskowym balecie, poruszały się ubrane w kostiumy postaci. Chodziły z miejsca na miejsce, przekazując sobie szeptem najświeższe wiadomości o tym, co działo się na dole, kluczyły i przystawały co chwila, a wszystko to w zimnym świetle reflektorów. Melissa, opanowawszy na chwilę płacz, stała przytulona do ojca trzymając się jego ręki, otoczona opiekuńczym ramieniem.

— Tylko nie Jeff — powtarzała szeptem. — To był przecież samochód Bretta...

Głos jej się załamał, gdy usiłowała przyjąć do wiadomości to, co się wydarzyło.

Przecież to nie mogła być prawda. Jeff był ostatnią osobą, której chciałaby wyrządzić krzywdę. Przycisnęła się jeszcze bardziej do ojca, powstrzymując narastający w piersi szloch.

Z klubu przyniesiono przenośny reflektor i podłączono go za pomocą kilku długich, wijących się na asfalcie przedłużaczy z najbliższym gniazdkiem. Mocna, halogenowa żarówka zaalała intensywnym, białym światłem plażę pod urwiskiem, gdzie siedmiu mężczyzn pracowało w szaleńczym tempie, starając się rozciąć blachy wraku i uwolnić Jeffa.

— Idę tam na dół — odezwał się Charles, wysuwając rękę z objęć córki.

— Nie! — zaprotestowała Melissa. — Nie zostawiaj mnie samej.

— Przecież nie jesteś sama — odpowiedział ojciec. — Jest tu mama i Teri. Nic ci nie będzie.

Zanim Melissa zdążyła coś powiedzieć, odszedł pospiesznym krokiem, po czym zaczął ostrożnie schodzić w dół po stromym zboczu, tą samą trasą, którą parę minut wcześniej zeszła policja i pogotowie. Dotarł w końcu na skalny występ u podnóża urwiska i stąpając ostrożnie między bajorkami pozostałej po przyptywie wody, dotarł do wraku. Jeden z policjantów spojrział na niego i skinął mu głową. Kiedy dochodzące z góry światło reflektora oświetliło jego twarz, rozpoznał go natychmiast. Był to Tom Mallory, pochodził z Secret Cove i zaraz po szkole średniej wstąpił do policji.

— I jak to wygląda? — zapytał Charles. — Wyjdzie z tego?

Mallory potrząsnął głową.

— Cały czas starają się jak mogą, panie Holloway, ale nie wygląda to dobrze. Ma złamane żebra i prawdopodobnie

nastąpiło też uszkodzenie kręgosłupa.

Charles spojrział na jednego z ratowników. Klęczał z palnikiem acetylenowym koło drzwi kierowcy i ciął powykrzywiany metal. Nadchodził przypyływ i Charles obserwował,

jak o brzeg rozbiła się kolejna fala i spieniona woda podpłynęła w jego stronę; zaszumiła między skałami i na chwilę zalała dach samochodu.

Usłyszał, ku swemu przerażeniu, dochodzące z wnętrza samochodu stłumione stęknienie.

— Rany boskie! — odezwał się. — On chyba nie jest przytomny?

— Nie jesteśmy pewni — odpowiedział Mallory. — Jeśli nawet nie stracił całkowicie świadomości, to na pewno niewiele kojarzy. Jęknął kilkakrotnie, ale nie wiemy, czy słyszał, co do niego mówiliśmy. — Na koniec dodał zatroskanym głosem. — Jeśli nie wydobędziemy go w przeciągu najbliższych paru minut, będzie za późno. Nadchodzi przypyływ.

— Może spróbować przesunąć samochód — zauważył Charles.

— Już o tym pomyśleliśmy, panie Holloway. W drodze jest ciężarówka do holowania samochodów, ale obawiam się, że to niewiele pomoże. Potrzebujemy dźwigu, żeby podnieść ten wrak w górę.

— No to załatwcie dźwig — odezwał się Charles, używając z rozpędu rozkazującego tonu.

Policjant parsknął poirytowany. — Myśli pan, że nie próbowaliśmy tego zrobić?! Najbliższy jest o pięćdziesiąt mil stąd. Zresztą też już jedzie, ale zanim tu dotrze, będzie już za późno. Albo uda im się go wydostać w ciągu najbliższych dziesięciu minut, albo... — Wzruszył wymownie ramionami i pokręcił bezradnie głową. Nagle podszedł do nich jeden z sanitariuszy.

— Sierzancie! Chłopak jest w tej chwili zupełnie przytomny. Chyba chce coś powiedzieć.

Mallory podszedł szybko do poskręcane go wraku i uklęknął, schylając głowę i przysuwając się w kierunku okna. Obok niego przyklęknął Charles, nie zważając na sięgającą mu po kostki wodę. — Jeff — powiedział — to ja.

Wszystko...

Mallory uciszył go wzrokiem.

— Wszystko będzie dobrze, synu — zapewnił go cichym i spokojnym głosem, bez śladu napięcia, wyczuwalnego jeszcze kilka sekund temu, gdy rozmawiał z Charlesem. — Wydobędziemy cię stąd, Jeff. Musisz tylko uzbroić się w chwilę cierpliwości, a my wydobędziemy cię za parę minut.

Chłopiec zamrugał oczami i w końcu otworzył je szeroko. Chociaż jego twarz pogrążona była w cieniu, Charles miał nieomyślne przeczucie, że Jeff zdaje sobie sprawę z tego, iż za chwilę umrze. Chłopiec spoglądał przez chwilę na niego, a następnie z powrotem na policjanta.

Od morza nadeszła kolejna fala i zalała skalny występ. Charles, przytłoczony niemożnością uczynienia czegokolwiek, patrzył bezradnie, jak woda wdziera się

do samochodu, jej poziom wznosi się niebezpiecznie, grożąc zalaniem nosa i ust Jeffa, wreszcie opada i wycofuje się. Kiedy odpłynęła następna fala, Tom Mallory wyjął chusteczkę i delikatnie otarł twarz rannego.

Chłopiec otworzył oczy i poruszył ustami, a obaj mężczyźni pochylili się ku niemu.

Przez sekundę panowało milczenie. Wreszcie, kiedy przetoczyła się kolejna fala, z ust Jeffa wydobyło się tylko jedno słowo:

— D'Arcy...

Brzmiało to prawie jak westchnienie i Charles sądził, a może wyobraził sobie, że ciało Jeffa przebiegł lekki dreszcz.

Kolejna fala obmyła nagłe jego stopy i zalała samochód, zakrywając tym razem całkowicie twarz chłopca. Charles wstrzymał przerażony oddech, lecz nagle, gdy usłyszał kaszel, wstrząsający jego ciałem w chwilę po opadnięciu wody, pojawia się w nim nadzieja.

Lecz kiedy fala odpłynęła, w samochodzie panowała już tylko cisza i przez kilka długich chwil Charles w napięciu wpatrywał się w puste oczy chłopca.

— Nie żyje — powiedział Tom. Wyciągnął rękę i delikatnie przymknął mu powieki. W końcu obaj z Charlesem podnieśli się z klęczek. Sierżant polecił jeszcze swoim ludziom zaprzestać rozcinania drzwi i ruszył wolno w stronę ściany urwiska. Zanim zaczął wspinać się na górę, odwrócił się i spojrzał na Charlesa.

— Czy słyszał pan, co on powiedział?

Charles zawahał się, a następnie skinął niepewnie głową.

— D'Arcy.

— D'Arcy... — powtórzył Mallory. — Nie wie pan czasem, co miał na myśli?

Charles milczał przez chwilę, wreszcie przytaknął jeszcze raz głową.

— Chyba wiem — odpowiedział. — Wolałbym nie wiedzieć, ale chyba wiem. — Powlókł się z otępieniem za policjantem na szosę, gdzie czekała na niego reszta rodziny. Spojrzał na Melissę, która stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił.

— Chodź tutaj, kochanie — odezwał się do niej, otaczając ją ramieniem i tuląc do siebie przez chwilę. — Zabiorę cię do domu.

Gdy wyprowadzał Melissę z milczącego tłumu, ciszę nocy przeszył przeraźliwy krzyk.

To Paula Barnstable dowiedziała się właśnie, że zmarł jej jedyny syn, i usłyszała ostatnie, wypowiedziane przez niego słowa: D'Arcy.

Teri MacIver, która przez ostatnią godzinę, która upłynęła od chwili, gdy Melissa pojawiła się w drzwiach sali balowej, aż do teraz, obserwowała w milczeniu wszystko, co działo się dokoła niej, uśmiechała się łagodnie do siebie.

Ostatnie słowa Jeffa — była tego pewna — mówiły wszy-

stko. Już teraz widziała, w jaki sposób wszyscy zaczynają pa-trzeć na Melissę.

Przecież każdy wiedział, że ktoś taki jak D'Arcy nie istnieje.

Jest tylko Melissa Holloway.

I to właśnie ją obwinia o śmierć Jeffa.
Jej twarz pokraśniała z zadowolenia, lecz w ciemnościach nikt tego nie zauważył.
Jednakże, po raz kolejny, Teri miała dziwne przeczucie, że ktoś ją obserwuje.
Odwróciła się i wyteżając wzrok, starała się przebić czerń nocy.
Ale nikogo nie zobaczyła.
A przecież cały czas dręczyło ją uczucie, że śledzi ją czyjś niewidzialny wzrok.
Przebiegł ją lekki dreszcz. Odwróciła się i opuściła pospiesznie urwisko.

Rozdział 21

- On myśli, że zwariowała.

Drżący głos Phyllis, wiernie oddający stan, w jakim znajdowały się w tej chwili jej zszargane nerwy, przerwał ciszę, jaka zapadła w bibliotece w chwilę po wyjściu Toma Mallory. Było już po jedenastej. Policjant był tu prawie godzinę i wysłuchał kilkakrotnie opowiadanej chaotycznie przez Melissę historii.

Phyllis przysłuchiwała się wszystkiemu w milczeniu. Na początku, parę minut po przybyciu sierżanta sprzeciwiła się rozmowie, twierdząc, że Melissa nie powinna niczego mówić, zanim nie pojawi się jej adwokat.

— To chyba niekonieczne — wtrącił Charles. — Już pomijając to, iż tak się składa, że ja jestem prawnikiem...

— Ale nie od prawa karnego — przerwała mu Phyllis, ale Charles zignorował tę uwagę.

— Faktem jest, że Melissa nie była w samochodzie. Sierżant Mallory chce jedynie dowiedzieć się od niej, co widziała.

Melissa starała się, jak umiała najlepiej, ale gdy skończyła, nikt z obecnych nie wiedział więcej o wypadku niż na początku.

— Jedyna rzecz, którą pamiętam, to trąbienie klaksonu. Odwróciłam się i w tym momencie samochód przyspieszył. Przejechał szybko obok mnie i uderzył prosto w barierkę.

— Ale co ty tam robiłaś? — zapytała niecierpliwie Phyllis. Melissa miała wciąż na sobie starą pogniecioną suknię, ale zmyła już makijaż, który jej twarzy nadawał trupa błądź. Poruszyła się niespokojnie na krześle i wbiła wzrok w podłogę.

— Nie wiem... — wyjąkała szeptem.

— Nie wiesz? — zapytała poirytowana Phyllis. Melissa pokręciła bezradnie głową.

— Byłam w pokoju. Przygotowywałam się do balu. Nałożyłam perukę i wtedy...

Głos jej się załamał i po policzku potoczyła łza.

— Ja... tak jakby zasnęłam. Nie pamiętam, co się działo dalej, aż do momentu gdy

usłyszałam, jak Jeff zatrąbił na mnie klaksonem.

Policjanta już nie było i Corę też wysłano na spoczynek, więc Phyllis spojrzała gniewnie na córkę.

— Znowu chodziłaś we śnie, prawda? — Kiedy Melissa nie odpowiedziała, Phyllis ponowiła pytanie. — Mam rację?

Melissa potrząsnęła głową i spojrzała na ojca, błagając go wzrokiem o pomoc.

— Już chyba wystarczy, Phyllis — odezwał się Charles, spoglądając znacząco na zegarek. — Po tym, co dzisiaj przeszła, nie spodziewasz się chyba, że...

— Po tym, co przeszła? — powtórzyła chrapliwym głosem Phyllis. — A co ona takiego przeszła? A co się stało z Jef-fem? Moja własna córka postanawia ubrać się w tę, w tę... — przerwała na chwilę, wpatrując się z nienawiścią w suknię — w tę szmatę, wychodzi na szosę i tak go straszy swoim widokiem, że chłopak umiera. Dlaczego to zrobiłaś?! — Pochyliła się nisko nad dziewczyną i wbiła gniewny wzrok w jej twarz. — Co cię opętało? Jak mogłaś mi zrobić coś takiego?

— Ja, ja... — zaczęła Melissa, ale strach i zamęt w głowie wzięły nad nią górę i ukryła twarz w dłoniach.

— Dość tego, Phyllis! — wtrącił ostrym głosem Charles. — Przestań ją dręczyć! Na miłość boską, czy chociaż raz nie możesz pomyśleć o kimś innym poza sobą?! Pomyśl o Melissie! Pomyśl o Pauli! Jej syn nie żyje!

Phyllis obróciła się gwałtownie ku niemu, jej oczy płonęły z wściekłości.

— Tak! — powiedziała. — Nie żyje! I być może właśnie z powodu naszej córki. Czy ty nie rozumiesz najprostszych rzeczy? Nieważne, co się tam naprawdę wydarzyło. Ważne jest, co ludzie będą o tym sądzić. A wydarzyła się tam rzecz następująca. — Zniżyła głos i zaczęła mówić dobitnie, do przesady akcentując każde słowo, jak gdyby rozmawiała z dzieckiem. — Jeff sądził, że zobaczył D'Arcy i to go tak przstraszyło, że zjechał samochodem z drogi. A tutaj mamy Melisę, naszą Melisę ubraną jak jakiś duch! Rozumiesz, co mam na myśli? Dociera to do ciebie?! Dobrze się skończy, jeżeli ktoś w okolicy będzie chciał z nami jeszcze po tym rozmawiać!

Charles uniósł rękę i żyły wystąpiły na czoło.

— Dość tego! — warknął krótko. — Czy nie rozumiesz, że Melissa i tak czuje się winna, nawet jeśli jej nie oskarżasz

o to, że... — Przerwał i zamilkł, opanowując gniew. — Teraz idziemy spać — oświadczył. — Już dzisiaj ani słowa więcej na ten temat. Spojrzał wymownie na żonę. — Czy wyrażam się jasno?

Phyllis już otworzyła usta, lecz po chwili zmieniła zdanie

i zacisnęła wargi. Z drżącą twarzą, z trudem opanowywała wściekłość. Chwyciła Melisę za rękę, ściągnęła z krzesła i zaczęła ją wyprowadzać z pokoju.

— Dokąd z nią idziesz? — zapytał stanowczo Charles. Phyllis zacisnęła dłoń na ramieniu córki i odwróciła się do męża.

— Idę ją położyć do łóżka — odrzekła zimnym głosem. — Przecież tego chciałeś, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Teri, siedzącej cały czas w milczeniu przy kominku i przysłuchującej się sprzeczce. — Chyba będę

potrzebowała pomocy — powiedziała. Teri natychmiast wstała i podążyła za nią.

Dziesięć minut później, w asyście obserwujących ją siostry i matki, Melissa zaczęła zdejmować nieporadnie suknie. Teri chciała jej pomóc, ale nie zdążyła nawet dotknąć sukni, kiedy powstrzymał ją głos Phyllis:

— Niech sama to zrobi. Nie może wciąż myśleć, że łodzie będą robić za nią wszystko do końca życia. Ma przecież trzynaście lat! Powinna przynajmniej umieć się sama rozebrać!

Melissa męczyła się przez chwilę z drobnymi guzikami z masy perłowej przy mankietach sukni, aż wreszcie udało jej się odpiąć je wszystkie. Wydostała ramiona z rękawów

i suknia opadła na podłogę.

Phyllis spojrzała na nią z niesmakiem i zwróciła się do Teri:

— Zrób z nią coś, kochanie, dobrze?

Teri podniosła suknię. — Co mam z nią zrobić? — spytała.

— Wszystko jedno, bylebym jej więcej nie widziała.

Wyrzuc ją do śmieci, a Cora ją jutro rano spali.

Teri zawahała się i chciała coś powiedzieć, ale widać było, że zmieniała zdanie.

Wyszła z pokoju, zabierając suknię z sobą. Kiedy matka z córką zostały same, Phyllis zwróciła się do Melissy:

— Włóż piżamę i połóż się do łóżka, a ja za chwilę ta przyjdę.

Melissa wpatrywała się w matkę wylęknionymi oczyma, a w dołku zaczęło ją ścisnąć ze strachu.

— Dokąd idziesz? — wyjąkała. Phyllis uśmiechnęła się zimno.

— Po opaski, rzecz jasna. — Ale...

— Nie — zaprotestowała Melissa. — Ja wtedy nie zasnęłam. Ja... — umilkła. Jak mogła wytłumaczyć, co się stało? Już wyobrażała sobie spojrzenie matki, gdyby próbowała wyjaśnić jej, co czuła, gdy przebierała się na bal.

Wydawało się jej przecież wtedy, że zmienia się w kogoś innego.

W kogo? — zapytałaby matka. I kiedy powiedziałyby jej, że czuła, jak gdyby zamieniała się w D'Arcy...

Przestała o tym myśleć. Matka wpadłaby w furię i nie skończyłoby się jedynie na opaskach.

— Może rzeczywiście chodziłam we śnie — odrzekła ledwie słyszalnym szeptem.

— Co powiedziałaś? — zapytała Phyllis. — Nie dosłyszałam.

Melissa zmusiła się, żeby spojrzeć matce prosto w oczy i powtórzyć jeszcze raz:

— Powiedziałam, że może chodziłam wtedy we śnie.

— I jak możemy temu zaradzić? — zapytała Phyllis nieustępliwym głosem, bez przerwy patrząc na córkę.

Melissa przełknęła dławiacą ją ślinę. — Przez... przez opaski — wymamrotała wreszcie.

— Tak, przez opaski — powtórzyła Phyllis. — I o wiele lepiej będzie dla nas obu, jeśli zrozumiesz, że robię to dla twojego dobra. A teraz kładź się do łóżka, a ja za

chwilę wrócić.

Opuściła pokój, a Melissa w tym czasie zdjęła bieliznę i włożyła piżamę. Gdy leżała już w łóżku, weszła Phyllis z budzącymi lęk dziewczyny opaskami, przewieszonymi na łokciu. I Lecz kiedy zaczęła je zapinać Melissie, w drzwiach pojawił mąż Charles.

— Wszedłem tylko, żeby powiedzieć dobranoc... — zaczął, ale gdy spojrzał na żonę, słowa zamarły mu na ustach. - Chryste, Phyllis, co ty robisz?

Phyllis spojrzała niedbale na męża. — Zapinam ją, nie widzisz? Przecież nie możemy jej pozwolić, żeby chodziła we śnie.

- W żadnym wypadku nie będziemy stosować tych sa-dystycznych metod — stwierdził ostrym głosem Charles. — Powiedziałem ci przecież, co sędzę o tych opaskach, a ja nie

rzucam słów na wiatr. Phyllis znieruchomiała.

— Tylko na tę dzisiejszą noc. Charles potrząsnął przecząco głową.

— Ani na dzisiejszą, ani na żadną inną. Nie pozwolę wiązać mojej córki.

— Ale doktor Andrews powiedział...

— Nie rozmawialiśmy już z nim od paru miesięcy, a na pewno nie dzisiaj wieczorem.

Podszedł do łóżka i delikatnie pogładził policzek Melis-sy. — Już dobrze, kochanie — uspokoił ją. — Nie bój się. Nikt cię dzisiaj nie skrępuje. — Spojrzał jej głęboko w oczy i zaniepokoił się dostrzegając, co się w nich kryło. Strach. Ale oprócz strachu coś jeszcze.

Oczy Melissy spoglądały niewidząco, jak gdyby lęk owładnął nią tak mocno, że go nie dostrzegała. Spojrzał na Phyllis.

— Używałaś ich jeszcze kiedyś? — spytał.

Phyllis westchnęła z udanym zdziwieniem. — Oczywiście, że nie — odpowiedziała. — Dzisiaj dopiero pierwszy raz. Dlaczego miałabym to robić?

Charles spojrzał groźnie na żonę. — Nie byłbym tego taki pewien — powiedział.

— Mam nadzieję, że to, co mówisz, to prawda. — Spojrzał z powrotem na Melissę, która teraz patrzyła na niego z ufnością, a dziwna pustka zniknęła z jej oczu.

— Nic ci nie jest, Melisiu? Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Musiałaś już mieć zapięte te opaski wcześniej? — ciągnął dalej ojciec. — To znaczy tego lata?

Melissa zawahała się, ale kiedy już miała odezwać się, dostrzegła złowróźbne spojrzenie stojącej za ojcem matki. Przecież jutro wieczorem tata znowu wyjeżdża na cały tydzień. Serce jej załomotało i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, tatusia — wyszeptła. — Nawet nie wiedziałam, że je jeszcze mamy.

Charles objął ją i przytulił do siebie. — I od jutra już ich nie będzie w domu — zapewnił ją. Spojrzał na Phyllis. — Chcę, żebyś to z niej zdjęła — powiedział

kategorycznym tonem. - Natychmiast. Powiedz jej dobranoc i niech to zniknie i naszego domu. Jeszcze dzisiaj. Phyllis zacisnęła zęby, z trudem tłumiąc gniew.

Zdjęła opaski wyszła z pokoju, nie odzywając się do córki ani słowem. Pięć minut później opaski zostały schowane głęboko w cedrowej komodzie pełnej kocy, która stała w garderobie Charlesa. Wiedziała dobrze, że to jest ostatnie miejsce, do

którego kiedykolwiek zajrzy jej mąż.

Teri stała w łazience za drzwiami do pokoju siostry. Przez grube drewno boazerii słyszała głos ojca, jak ją uspokajał, a raz czy dwa razy zdawało jej się, że słyszy cichy śmiech Melissy. Kiedy w końcu usłyszała, jak mówi jej do-hranoc, wróciła pośpiesznie do swego pokoju, zostawiła prawi na korytarz lekko uchylone i wśliznęła się do łóżka.

Za chwilę ojciec powinien przyjść, aby także i jej powie-dobranoc.

Sekundy mijały powoli i wreszcie usłyszała, jak sąsiednie drzwi zamknęły się i tata kroczy korytarzem.

Czekała, aż drzwi jej sypialni otworzą się i pojawi się w nich twarz ojca.

Lecz zamiast tego zobaczyła jedynie przez szparę mijający ją cień i usłyszała oddalające się kroki. Ojciec przemierzył pół piętro i skierował się do drugiego skrzydła domu, gdzie mieściła się sypialnia rodziców.

Dom pogrążył się w ciszy. Teri leżała w łóżku, wpatrując się w sufit i czuła, jak narasta w mej gniew.

Była przecież dziś wieczorem jego chlubą i każdy w klubie uważał, że była najpiękniejszą dziewczyną na balu!

Pamiętała nawet dumę w oczach ojca, kiedy spoglądał, jak tańczy na środku sali z Brettem.

Ale kiedy zjawiła się Melissa, z twarzą ociekającą łzami, natychmiast o niej zapomniano.

I od tamtej chwili ojciec nie odstępował jej ani na krok, rozczulając się nad nią, tuląc do siebie i całując. Okazując jej swą miłość.

I ignorując całkowicie Teri, tak jakby nie istniała.

Im dłużej o tym myślała, tym jej gniew stawał się większy.

Tymczasem Melissa leżała w swoim pokoju także nie śpiąc i starała się zrozumieć to, co wydarzyło się tej nocy.

Pozwoliła swobodnie płynąć swej wyobraźni i po chwili wszystko zaczęło nabierać sensu.

Dzisiaj wieczorem na pewno włożyła suknię D'Arcy. Aż do teraz nie była tego całkiem pewna, ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej jej pewność rosla.

Może to nawet była ta sama suknia, którą miała na sobie w tę noc, gdy porzucił ją jej narzeczony.

Nie, tak być nie mogło. Tamta suknia musiała być cała we krwi. A poza tym, nikt nigdy już nie widział D'Arcy po tej nocy w klubie.

I wtedy wszystko stało się jasne.

To była suknia na ślub.

Przecież nie miała na sobie żadnych plam z krwi. Była zakurzona i pożółkła ze starości, lecz nawet ubierając ją, Melissa czuła, że nigdy wcześniej jej nie noszono.

I dlatego właśnie D'Arcy przyszła wtedy do niej, mimo że wcale nie spała.

Wiedziała, dokąd się wybiera, i chciała mieć na sobie jej piękną suknię — która była jej ślubną suknią — chociaż

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Była jasna noc i księżyc w pierwszej kwadrze świecił wysoko na niebie. Ocean lśnił srebrzyście, a piana obmywających plażę fal błyszczała a właściwie jej szarą sylwetkę niewidoczną prawie w upiornym świetle księżyca, odbijającym się od kipiącej topieli.

Co tak naprawdę przytrafiło się jej dzisiaj wieczora?

Aż do dzisiaj była pewna, że D'Arcy istniała jedynie w jej wyobraźni. Wymyśliła ją tylko po to, by obronić siebie przed światem, gdy trudności stawały się tak bolesne, że jedyne co mogła zrobić, to uciec przed nimi.

Aż do dzisiaj wieczora D'Arcy przychodziła do niej tylko wtedy, gdy ją wzywała.

Ale dzisiaj wcale tego nie zrobiła.

Dzisiaj, w chwili gdy włożyła suknię i położyła na twarz makijaż, D'Arcy przyszła sama, wyłaniając się z nicości,

Podkradła się i zawładnęła nią całkowicie. ! Przebiegł ją dreszcz. Czy to możliwe?

Czy D'Arcy mogła tak po prostu przyjść i podporządkować ją sobie?

A jeśli tak, to jakie mogą być tego konsekwencje?

Wciąż chodziła jej po głowie historia, którą słyszała na plaży. Czy to prawda, że

D'Arcy miała wrócić w tym roku, sto lat po tym, jak zniknęła w noc balu?

Z zamyślenia wyrwał ją nagle jakiś dźwięk.

Dochodził z góry.

Dźwięk powtórzył się i tym razem wiedziała już, co to było.

Słyszała czyjs szloch i dochodził on z małego pokoiku D'Arcy na strychu, dokładnie nad jej sypialnią.

Przeszył ją chłód i próbowała zdecydować, co powinna teraz zrobić. Ale jeszcze zanim podjęła jakąkolwiek decyzję, wiedziała, że nie ma żadnego wyboru.

Musiała pójść na górę, i zobaczyć, czy D'Arcy tam jest.

Serce zaczęło jej bić szybciej, włożyła szlafrok i biorąc z sobą latarkę ruszyła ku drzwiom. Przystanęła na chwilę przy nich, nasłuchując, lecz poza przytłumionym dźwiękiem dochodzącym ze strychu, w domu panowała absolutna cisza.

Przeszła szybko korytarz i zapaliła latarkę dopiero, gdy znalazła się przed wejściem na strych. Chwyciła za klamkę, nacisnęła ją i otworzyła drzwi.

Zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie i dziewczyna znieruchomiała na chwilę.

Następnie skierowała snop światła w ciemność rozpościerając się nad jej głową.

Ujrzała stojącą postać, ubraną na biało, z twarzą zakrytą welonem i schowanymi za plecami rękoma. Już chciała krzyknąć, ale głos z przerażenia uwiązł jej w gardle, bo oto zjawa uniosła w górę prawą dłoń.

Z jej ust wydobył się demoniczny śmiech i w stronę Me-lissy poleciał jakiś przedmiot. Odbił się od schodów i wylądował u jej stóp.

Przypatrywała się mu szeroko otwartymi oczyma, z walącym sercem.

Była to odcięta dłoń, pokryta czerwoną, nie zakrzepłą jeszcze krwią. Melissa jęknęła i zrobiło jej się niedobrze. Odwróciła się i co sił w nogach pognęła przez korytarz do sypialni rodziców.

Wpadła jak burza przez drzwi i rzuciła się na łóżko taty, szlochając i trzęsąc się ze

strachu.

Charles otrzeźwiał natychmiast, zapalił szybko światło i spojrzał na bladą jak ściana twarz córki.

— Melisiu? Co się stało? Co ci jest?

Leżąca w sąsiednim łóżku Phyllis poruszyła się, po czym usiadła wyprostowana. Gdy zobaczyła córkę tulącą się do ojca, twarz jej spochmurniała.

— Nie, Melisso, to już przesada... — zaczęła, lecz Charles uciszył ją jednym spojrzeniem.

— Co się stało, kochanie? — zapytał.

— D'Arcy — wyjąkała Melissa. — Ja, tatusiu... ja ją widziałam. Ona... ona rzuciła we mnie ręką.

Jej ciałem znowu wstrząsnął szloch i ojciec objął ją i przytulił mocno do piersi.

— Nie, kochanie. To tylko sen. Śnił ci się jakiś koszmar.

— Ale to nie był sen! — upierała się Melissa. — Ja to widziałam, tatusiu!

Wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie jednak, że brzmią tak samo, jak to, co mówiła mamie w tę noc, kiedy

zniknął Blackie. Spojrzała instynktownie w jej stronę i serce w niej zamarło.

Na twarzy matki rysowała się nie skrywana wściekłość.

Lecz w tej chwili usłyszała łagodny głos taty.

— Oczywiście, kochanie, że to widziałaś — zapewnił ją. — Rzeczy, które widzimy w snach, zawsze wyglądają tak, jakby działy się w rzeczywistości. Ale to nie znaczy, że naprawdę istnieją.

Sięgnął ręką do nocnego stolika i wy dobył ze stojącego tam zawsze pudełka chusteczkę higieniczną. Delikatnie otarł jej łzy z oczu.

— A teraz umyjemy ci twarz i napijesz się trochę wody.

Wstał z łóżka i poszedł z córką do łazienki, odprowadzany pełnym dezaprobaty wzrokiem żony. Napuścił do umywalki zimnej wody, zmoczył czysty ręcznik i wytarł jej twarz.

Kiedy zima woda dotknęła jej skóry, Melissa poczuła, jak paraliżujący ją jeszcze przed chwilą strach rozluźnia swoje szpony, i odprężyła się odrobinę. Lecz wytarłszy twarz w podany przez ojca ręcznik rzuciła ukradkowo wzrokiem w stronę drzwi sypialni.

— Mama jest na mnie wściekła — wyszeptwała. — Ona... ona myśli, że ja sobie to wszystko zmyśliłam.

— Cóż, jeśli tak uważa, to się myli — uspokoił ją Charles. — Zły sen może człowieka czasem bardziej przestraszyć niż rzeczywiste wydarzenie, a ty jeśli się boisz, masz zawsze prawo przyjść tutaj. Podał jej szklankę wody i poczekał, aż skończy pić, wreszcie przemówił znowu. — A co byś powiedziała, gdybyśmy ty i ja poszli tam teraz i zobaczyli, co tam znajdziemy?

Melissa przytaknęła i podążyła za ojcem. Po chwili stali oboje przed schodami prowadzącymi na strych. W korytarzu paliły się teraz wszystkie lampy, a ich światło rozpraszało nawet mrok na szczycie schodów.

Melissa przypatrywała się uważnie podłódze, tam gdzie jeszcze przed chwilą leżała skrwawiona ręka.

Teraz nic tu nie było.

Zmarszczyła brwi. Czy to możliwe?

Czy naprawdę uroiła sobie to wszystko?

Przecież miała wrażenie, że to, co widziała, było rzeczywiste, przerażająco rzeczywiste.

Schyliła się i przejechała palcami po pokrytych ciemnymi plamami deskach podłogi, przypatrując się im dokładnie i nie będąc pewna, czy znajdzie ślady krwi, czy też nie.

Ale nic nie odkryła. Poza odrobiną kurzu na palcach nie było śladu czegokolwiek.

— Czy chcesz pójść na górę i rozejrzeć się po strychu? — spytał Charles.

Melissa potrząsnęła przecząco głową.

— Chyba jednak... chyba jednak się myliłam — wyszeptała. — Ale, tatusiu, widziałam to tak wyraźnie, że byłam pewna, że tego nie wyśniłam.

Charles otoczył ją ramieniem i sprowadził na dół. Poszli do jej pokoju i tam położył ją do łóżka.

— Zostawić ci światło? — spytał, pocałowałwszy ją na dobranoc.

Melissa potrząsnęła głową.

— Nie trzeba. Nie boję się ciemności.

— W porządku. Śpij dobrze, a jak ci się znowu coś złego przyśni, to zaraz przyjdź i mnie obudź.

Zgasił światło, zamknął drzwi i wrócił do swojej sypialni.

Kiedy wszedł, zastał Phyllis siedzącą na łóżku z założonymi rękoma i czekającą na niego. Ledwie zamknął drzwi, odezwała się:

— Znowu chodziła we śnie. Gdybyś pozwolił mi użyć tych opasek...

Charles spojrzął na żonę.

— Te cholerne opaski niczego nie rozwiązują! Tak się ich boi, że same są teraz dla niej problemem. Jutro dzwonię po doktora Andrews. Niech z nią porozmawia.

Phyllis podniosła zadziornie głowę.

— Doskonale! — prychnęła z ironią. — Wszyscy w mieście myślą już, że jest stuknięta, a ty jeszcze wysyłasz ją do tego psychiatry!

— Na miłość boską, Phyllis! — wypalił uniesionym głosem Charles, tak by przekrzyczeć słowa żony. — W ciągu ostatnich kilku tygodni ta dziewczyna musiała wiele przejść! Musiała przystosować się do obecności Teri w tym domu, a dzisiaj była świadkiem śmierci swojego rówieśnika! Jest w szoku i musi czuć się zagubiona i przestraszona! Przywią-zywnie jej do łóżka to nie jest wyjście, a rozmowa z lekarzem na pewno nam nie zaszkodzi.

— A co ze mną? — odpowiedziała równie uniesionym głosem Phyllis. — Czy sądzisz, że dla mnie to wszystko też było takie proste? Jedyna dobra rzecz, jaka zdarzyła się tego lata, to przybycie Teri. Jest jak anioł, zarówno dla mnie jak i dla Melissy. A co robi jej siostra?! Ubrała się jak duch — co gorsza, wydaje się jej chyba, że jest nim naprawdę, wyszła na szosę i wystraszyła dosłownie na śmierć syna jednego z naszych przyjaciół! Przecież nie jest wariatką. Wie dobrze, co robi, a robi to wszystko jedynie po to, by mi przynieść wstyd! Ja tego dłużej tolerować nie będę! Powiem ci tylko tyle, że...

Jej tyrada została nagle przerwana i wpatrywała się teraz zdumiona w twarz męża. Po raz pierwszy, odkąd byli małżeństwem, wymierzył jej policzek. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Charles, zdumiony swym własnym postępkami, trwał nieruchomo przez chwilę, wreszcie odwrócił się. — Chyba nie powinienem był tego robić — powiedział niebezpiecznie łagodnym tonem, kładąc się do łóżka. — Ale mówiąc szczerze, zasłużyłaś sobie na to. Zgasił światło i obrócił się plecami do pochlipującej w ciemnościach żony.

Teri, która podsłuchiwała całą rozmowę zaczajona na korytarzu, wycofała się cichaczem spod drzwi i wróciła pospiesznie do swego pokoju. Otworzyła dolną szufladę komody i wyjęła stamtąd jakiś przedmiot zawinięty w chusteczkę. Upewniwszy się, że drzwi do sypialni Melissy są zamknięte, zaniósła go do łazienki i wyjąwszy z chusteczki położyła aa umywalce.

Była to ręka manekina ze strychu i Teri, zmywając keczup, który spełnił rolę krwi, przyjrzała się jej dokładnie. Na skutek zrzucenia jej ze schodów od jednego z palców odprysnął kawałek gipsu, a drugi palec odłamał się zupełnie.

Tym niemniej sztuczka udała się znakomicie. Melissa, podobnie jak to było w tę noc, gdy znalazła psa wiszącego na jednej z krokwi, pobiegła natychmiast do sypialni rodziców i Teri miała wystarczająco dużo czasu, żeby zdjąć suknię, wepchnąć ją do jednego z kufrów, zetrzeć ze schodów kilka kropel keczupu i w końcu wrócić do swojego pokoju i przygotować się na to, żeby się obudzić, gdyby Melissa zaczęła krzyczeć.

Tym razem zamiast Melissy wrzeszczeć zaczęli rodzice i słyszała każde słowo ich sprzeczki.

Psychiatra.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, co on zawyrokuje, kiedy Melissa opowie mu o D'Arcy. Zamkną ją na dobre, to pewne jak dwa razy dwa.

Wysuszyła rękę, poszła na strych i przymocowała ją z powrotem do manekina. W końcu zgasła za sobą światło i wróciła na piętro, do swojego pokoju.

Wchodząc do łóżka spojrzała za okno.

Po drugiej stronie basenu widziała niewielki domek Cory.

W jednym z okien na pierwszym piętrze dostrzegła czyjaś niewyraźną sylwetkę, oświetloną bladym światłem księżyca.

Był to Tag.

Zaniepokoiła się, zastanawiając się, jak długo tam stał i ile widział...

Rozdział 22

Burt Andrews odchylił się do tyłu razem z fotelem i spojrzał jeszcze raz na kalendarz, na którym przy wtorku wykreślona została jego cotygodniowa poranna partia golfa, a na jej miejscu wpisano nazwisko „Holloway”. Kiedy Charles zadzwonił w niedzielę rano, lekarz próbował przełożyć jego wizytę na następny tydzień, na miejsce zwolnione przez innego z jego pacjentów, lecz ten nalegał usilnie i w końcu psychiatra zgodził się, acz niechętnie, poświęcić golfa. W tej chwili słuchał Charlesa, tłumaczącego mu wszystko, co wydarzyło się ostatnio, i spoglądał co pewien czas na Melissę. Dziewczyna siedziała spokojnie i w milczeniu na krześle, między rodzicami, z rękami na kolanach i ze spuszczonej głową. Jak do tej pory odzywała się niewiele i psychiatra był pewien, że wie dlaczego.

Phyllis.

Chociaż robiła wszystko, co w jej mocy, by sprawiać wrażenie, że jedyną sprawą, która leży jej na sercu, jest dobro córki, nie bardzo jej to wychodziło. To co ja rzeczywiście dręczyło, to nie to, co naprawdę dolegało Melissie, lecz to, co jej przyjaciółki będą myślały, że jej dolega. — W porządku — powiedział, pochylając się do przodu i opierając rękami o biurko. — Wiem mniej więcej, co się wydarzyło, i sądzę, że czas, żebym porozmawiał sam na sam z Melissą.

Charles wstał od razu, lecz obserwując Phyllis, lekarz zauważył natychmiast błysk niepewności w jej oczach. Zakodował sobie w pamięci, że musi się dowiedzieć, jakie naprawdę były stosunki pomiędzy matką z córką. Dziwne spojrzenie znikło równie szybko, jak pojawiło, i Phyllis także podniosła się z krzesła.

— Będziemy czekać w poczekalni, kochanie — powiedziała, pochylając się nad córką i całując ją delikatnie w policzek.

Psychiatra nie dał po sobie poznać, że zauważył, jak Melissa odruchowo uchyla się przed ustami matki, i milczał, dopóki rodzice nie wyszli z pokoju. Kiedy jednak drzwi zamknęły się za nimi, rozparł się znowu w fotelu i zwrócił zachęcająco do dziewczyny:

— Wygląda na to, że to nie było najwspanialsze lato w twoim życiu. Nie układa się dobrze między tobą a mamą. Mam rację?

Dziewczyna wahała się przez chwilę i w końcu skinęła głową.

— Jest tak jakby... tak jakby cały czas gniewała się na mnie o coś. Obojętnie co zrobię, zawsze będzie źle. — W oczach zakręciły jej się łzy, ale otarła je szybko i widać było, że nie chce się mazać.

Lekarz uśmiechnął się wyrozumiale.

— Czy czasem nie miałabyś ochoty ot tak po prostu zniknąć?

Dziewczyna pociągnęła nosem i uniosła głowę. Skąd doktor Andrews to wiedział? Przypomniała sobie, jak widziała się z nim po raz pierwszy dwa lata temu. Na początku nie spodobał się jej. Twarz zakrywała mu broda i miała wrażenie, jak gdyby rozmawiała z kimś, kogo nie widziała. Ale kiedy poznała go bliżej i stwierdziła, że cokolwiek by powiedziała, nigdy nie miał zamiaru śmiać się z niej,

zaczęła go lubić. Teraz, kiedy już tu była, zrozumiała, że tak naprawdę to chciała z nim porozmawiać. Był jedyną osobą, poza D'Arcy, z którą nie bała się rozmawiać o wszystkim.

Przytaknęła głową. — Wolałabym, żebyśmy w ogóle nie przyjeżdżali tutaj w lecie — powiedziała. — W mieście podoba mi się o wiele bardziej.

— Masz tam dużo przyjaciół?

— Melissa wzruszyła ramionami. — Na pewno więcej niż tutaj.

— No a co z D'Arcy? — zapytał psychiatra.

Melissa poruszyła się niespokojnie na krześle i jej oczy zachmurzyły się.

— Jak to co z nią? — spytała. Lekarz uniósł lekko głowę.

— Przecież ona była tutaj zawsze twoją najlepszą przyjaciółką, prawda?

Melissa zawahała się, wreszcie przytaknęła.

— Tak, tylko że D'Arcy nie istnieje naprawdę. Ja ją sobie wymyśliłam.

— A gdyby założyć, że jej nie wymyśliłaś — podsunął jej, unosząc lekko brwi. —

A gdyby założyć, że ona rzeczywiście istnieje?

Wzrok dziewczyny spochmurniał jeszcze bardziej.

— Ale to przecież niemożliwe. To znaczy, jest ta historia o duchu, ale... —

Przerwała, przypominając sobie to, co zobaczyła na schodach strychu w sobotę w nocy.

— Nie mówię o historii z duchem — powiedział lekarz, pochylając się do przodu i opierając ręce na biurku. — Wydaje mi się po prostu, że D'Arcy jest może kimś więcej niż wymyśloną przyjaciółką. Może jest kimś, kto pomaga ci uciec, kiedy twoje problemy stają się tak nieznośne, że chciałabyś zniknąć i zapaść się pod ziemię.

Teraz z kolei Melissa uniosła pytająco głowę i zmarszczyła brwi.

— Chodzi panu o sytuację, kiedy mama jest na mnie o coś wściekła?

Psychiatra poczuł lekki dreszcz podniecenia, gdyż w głosie Melissy zabrzmiało coś, co powiedziało mu, że trafił prawie w dziesiątkę.

— Co dzieje się, kiedy mama tak naprawdę jest na ciebie o coś wściekła? — zapytał, powtarzając świadomie słowa Melissy.

Melissa oblizwała nerwowo wargi. — Czasami... — zaczęła z wahaniem — czasami D'Arcy przychodzi wtedy do mnie i tak jakby... usypia mnie. A kiedy się budzę, jest już po wszystkim.

Psychiatra skinął głową. — Rozumiem — powiedział. Wziął z biurka ołówek i zaczął się nim bawić. — A jak to

jest, kiedy tata wraca do domu na weekend. Czy mama też jest wtedy zła na ciebie?

Melissa spojrzała odruchowo w stronę drzwi i potrząsnęła głową. — W weekendy jest lepiej — przyznała.

Lekarz pokiwał głową w zamyśleniu, jak gdyby to, co usłyszał, było bez znaczenia, następnie uśmiechnął się.

— A co byś powiedziała na mały eksperyment? Dziewczyna spojrzała na niego ostrożnie. — Jaki eksperyment?

Burt Andrews uśmiechnął się szerzej. — No, gdybym cię na przykład zahipnotyzował?

Oczy Melissy rozszerzyły się w zdumieniu i spojrzała na niego lekko przestraszona. — Będiesz czuła się tak, jak gdybyś spała — uspokoił ją psychiatra. — Będzie tak samo jak wtedy, kiedy przychodzi do ciebie D'Arcy. Tylko że tym razem ja ją zastąpię.

— A dlaczego? — spytała Melissa, spoglądając na niego niepewnie.

Burt Andrews zastanowił się przez chwilę nad tym, co ma odpowiedzieć. Nie chciał przestraszyć Melissy, ale też nie chciał jej okłamywać. — No cóż — zaczął — chciałbym dowiedzieć się, co dzieje się z tobą, kiedy zasypiasz, a najprościej będzie to zrobić, jak porozmawiam z D'Arcy.

Melissa milczała przez długą chwilę, a kiedy wreszcie przemówiła, w jej głosie słychać było drżenie.

— Czy to będzie bolało? — spytała.

Psychiatra roześmiał się z rozbawieniem. — Ależ skąd! — odpowiedział. — Być może w ogóle nie uda się cię zahipnotyzować. Ale jeśli to zrobię, będziesz się czuła jak gdybyś spała, chociaż tak naprawdę to nie będzie sen.

Melissa wciąż wydawała się niezdecydowana. — Jeżeli już pan z nią porozmawia, opowie mi pan co panu powiedziała?

Lekarz skinął głową.

— Oczywiście. — Tłumaczył jej jeszcze przez chwilę, co zamierza dokładnie zrobić, i wreszcie dziewczyna skinęła przyzwalająco głową.

- Mam patrzeć na wahadełko czy coś takiego? - Nie trzeba. Słuchaj po prostu. Jak będę do ciebie mó-wić, staraj się skoncentrować wyłącznie na dźwięku mojego głosu. Będę mówił, a ty będziesz się robić coraz bardziej senna i senna. Powieki będą ci się robić coraz cięższe, tak że będziesz chciała je zamknąć. Potem ramiona i nogi będą się stawały coraz bardziej bezwładne. Tak że nie będziesz w stanie ich unieść. Będziesz coraz bardziej senna i będziesz chciała zasnąć...

Mówił coraz ciszej i po chwili Melissa zamknęła oczy,

— Melisso, słyszysz mnie? — spytał.

— Otwórz oczy, Melisso.

Dziewczyna zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Siedziała teraz nieruchomo na krześle, wpatrując się w niego.

— Melisso, unieś prawą rękę.

Melissa wyciągnęła ramię i uniosła je wyprostowane na wysokość barku. Trzymała je nieruchomo, tak że wyglądało, jak gdyby podtrzymywane było przez jakieś niewidzialne, zwisające z sufitu linki. Psychiatra mówił do niej bez przerwy monotonnym i szmerzącym głosem i w końcu, kiedy był pewien, że dziewczyna jest już w transie, kazał jej opuścić rękę.

— A teraz chcę, żebyś zamknęła oczy — ciągnął dalej — a następnie, żebyś zasnęła tak, żebym mógł porozmawiać z D'Arcy.

Obserwował, jak dziewczyna opuszcza ramię i kładzie je na oparciu krzesła, po

czym zamyka powtórnie oczy.

— D'Arcy? — spytał łagodnym głosem lekarz. — D'Arcy. słyszysz mnie?

Dziewczyna nie zareagowała. Siedziała wciąż na krześle, bez ruchu.

Psychiatra mówił bez przerwy, zachęcając drugą osobowość dziewczyny, co do której był niemalże pewien, że istnieje, do wyjścia z ukrycia.

- Muszę z tobą porozmawiać o Melissie. Czy chciałabyś mówić ze mną?

I znowu żadnej reakcji z jej strony, żadnego drgnienia w oczach. A przecież po tym, co mu powiedziała, był prawie pewien, że gdzieś, w głębinach podświadomości ukrywała się

jej druga osobowość — „D'Arcy” — i żeby się o tym przekonać, musiał tylko do niej dotrzeć.

Analizował w myślach wszystko, co wiedział na temat rozszczepienia osobowości, którego charakterystyczną cechą było to, że osoba dosłownie dzieliła poszczególne aspekty swojej jaźni na oddzielne byty, z których każdy w specyficzny dla siebie sposób wchodził w relację ze światem zewnętrznym. Jeżeli miał rację, znaczyło to, że D'Arcy — osobowość, której zadaniem było przyjmować na siebie ciągły krytycyzm i gniew Phyllis wobec córki mogła nie widzieć wcale powodu, dla którego miałyby się ujawnić. Co więcej, jeśli D'Arcy bała się, że jej odkrycie mogłoby w jakiś sposób zaszkodzić Melissie, dotarcie do niej może być bardzo trudne.

Wreszcie zdecydował się na zmianę strategii.

— Melissa? — zagadnął. — Słyszysz mnie?

— Tak.

— Chcę, żebyś porozmawiała z D'Arcy zamiast mnie.

Możesz to zrobić?

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Melissa wypowiedziała tylko jedno słowo:

— Nie.

Lekarz ściągnął brwi. A tak był pewien!

— Dlaczego nie? — spytał. — Dlaczego nie możesz z nią porozmawiać?

— Bo jej tu nie ma.

Lekarz zmarszczył brwi jeszcze bardziej. — Gdzie ona jest? Wiesz?

Melissa wahała się, wreszcie odezwała się znowu.

- Tak - wyszeptała.

- Powiedz mi, Melisso gdzie ona jest?

Nastała długa chwila milczenia i w końcu Melissa prze-mówiła jeszcze raz:

- Jest w domu - wyszeptała. - Na strychu.

Psychiatra próbował ją wy badać jeszcze trochę, ale nie dowiedział się niczego więcej.

Widocznie osobowość D'Arcy była ukryta tak głęboko, że Melissa była w stanie kontaktować się z nią wyłącznie w stresie. Ale z czasem — tego był pewien — to się musi zmienić. Chyba że mylił się i D'Arcy wcale nie istniała.

Pięć minut później Melissa zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Spojrzała pytająco na lekarza:

— Kiedy zaczniemy?

Ten uśmiechnął się. — Już zaczęliśmy — odpowiedział. — W zasadzie to nawet skończyliśmy.

Dziewczyna popatrzyła na niego zdumiona. — Już? Jak to możliwe, że nie pamiętam, co się działo?

Psychiatra roześmiał się. — Tak naprawdę to niewiele się działo. Próbowałem porozmawiać z D'Arcy, ale myślę, że mi jeszcze nie ufa. Wcale nie chciała ze mną rozmawiać.

Melissa wzdrygnęła się. — Czy ja zrobiłam coś złego? — spytała niespokojnym głosem.

— Nie, ależ skąd — zapewnił ją pospiesznie lekarz. — Potrzeba trochę czasu, to wszystko. Ale mogłabyś mi wyświadczyć przysługę. — Melissa spojrzała pytająco. — Kiedy będziesz z nią rozmawiała, mogłabyś jej powiedzieć, że nie musi się obawiać spotkania ze mną.

— Ale jak nie będzie chciała rozmawiać z panem... — zaczęła Melissa.

Lekarz wzruszył ramionami. — Jeśli nie będzie chciała, nie musi. Odchylił się do tyłu z fotelem i wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czy rozmawiasz kiedykolwiek z D'Arcy, kiedy mieszkasz w Nowym Jorku? — spytał.

Melissa spojrzała zbita z tropu. — To niemożliwe — odpowiedziała — przecież ona mieszka tutaj, nad zatoką.

Psychiatra przytaknął ze zrozumieniem. Tutaj nad zatoką — pomyślał — jesteś sama bez ojca cały tydzień. Jesteś pozostawiona sam na sam z matką i wtedy najbardziej potrzebujesz D'Arcy. Wyciągnął rękę, nacisnął guzik stojącej na biurku centrali telefonicznej i polecił zaprosić z powrotem rodziców Melissy. — To by było wszystko na dzisiaj — zwrócił się do dziewczyny. — Jeszcze tylko porozmawiam przez chwilę z twoimi rodzicami i potem będziesz mogła wrócić do domu.

Melissa, obróciwszy się, spojrzała ukradkowo na matkę i bez słowa wymknęła się z gabinetu.

Kiedy lekarz został już tylko z rodzicami, uśmiechnął się do nich zachęcająco:

— No cóż — zaczął — mieliśmy parę problemów, ale nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. W ciągu ostatnich kilku tygodni Melissa znajduje się w dość poważnym stresie.

— My wszyscy jesteśmy ostatnio zestresowani — wtrąciła Phyllis, lecz lekarz przerwał jej, unosząc dłoń.

— To prawda — przyznał. — Ale na tym etapie nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, co dzieje się z Melissa. Mam kilka hipotez i chciałbym z nią porozmawiać jeszcze raz,

— Hipotez?! — spytała niecierpliwym głosem Phyllis. — Jakich hipotez?

Lekarz westchnął i zmusił się do tego, by się uśmiechnąć. — Niestety, dopóki nie rozeznam się lepiej w tym wszystkim, nie jestem w stanie państwu nic konkretnego powiedzieć. Nie chciałbym państwa niepokoić, skoro może nie być wcale żadnego powodu do obaw.

— Ale co mamy dalej robić? — nalegała Phyllis. — Jeśli ona wciąż będzie chodziła we śnie...

— Nie jestem pewien, czy na tym właśnie polega problem — przerwał jej psychiatra. — Jest kilka możliwości, które chciałbym zbadać. Jak na razie najlepszą rzeczą, jaką mogą państwo uczynić", jest dać jej odpocząć, żyła ostatnio w ogromnym napięciu i to pozostawia nadal swoje ślady. — Spojrzał na Phyllis. — Proszę pozwolić jej być sobą — po-wiedział. — Proszę jej zbyt nie naginać do czegokolwiek.

Żrenice Phyllis zwęziły się. - Nigdy Jego nie robię -odpowiedziała. — Daje jej pewne wskazówki, co jest moim obowiązkiem, bo przecież jestem jej matką. Chcę jedynie, by potrafiła żyć na dobrej stopie ze swoimi przyjaciółmi. Ale sposób, w jaki się zachowuje, rzeczy, o których mówi, że je widziała...

— Będziemy o tym wszystkim rozmawiać z Melissa — powiedział lekarz, podnosząc się z fotela. — Lecz nadal uważam, że najlepszą rzeczą, jaką możecie państwo teraz zrobić, to po prostu być cierpliwym wobec niej. Przechodzi obecnie wiele zmian. Jej wiek...

Phyllis zacięła usta. — Łatwo to panu mówić, panie do-ktorze, ale co z nami? Co z Teri i ze mną? Może, no cóż... może powinniśmy ją wysłać gdzieś na jakiś czas? Charles, zdumiony słowami żony, spojrział na nią z niedowierzaniem. Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, głos zabrał psychiatra.

- O tym można pomyśleć później — powiedział. — Ale sądzę, że w tej chwili nic by to nie dało, a mogłoby sprawia, że dziewczyna poczułaby się jeszcze bardziej zagubiona i bezbronna. Najlepszą rzeczą, jaką może pani teraz zrobić, pani Holloway, to pokazać Melissie, że kocha ją pani i akceptuje taką, jaka jest. Jeśli robi coś, co panią rozdrażnia, niech pani spróbuje tego nie pokazywać po sobie. Bardzo się boi, szczególnie pani. Potrzebuje bardzo pani aprobaty, ale nie wie, jak ją zdobyć. Więc proszę jej po prostu pokazać, że ją pani kocha. Czy sądzi pani, że potrafi to pani zrobić?

Phyllis uśmiechnęła się sztywno. — Ona wie, że ją kocham — powiedziała. — I wie, że chcę jedynie jej dobra. Tym niemniej nie jestem zwolenniczką rozpieszczania dzieci. Uważam, że potrzeba im dobrej szkoły. Uczynię dla Melissy wszystko, co trzeba uczynić. — Nie czekając na odpowiedź psychiatry, zdecydowanym krokiem wyszła z gabinetu.

Charles, wychodząc za nią, zatrzymał się na chwilę przy drzwiach i wyciągnął rękę do lekarza. — Porozmawiam z nią — obiecał. — Wiem, że czasami jest zbyt surowa wobec Melissy, ale mogę temu zaradzić. Jeśli będzie trzeba, wezmę jeszcze tego lata trochę więcej urlopu.

Lekarz przytaknął. — Sądzę, że to byłby dobry pomysł —powiedział. — Niech pan jednak pamięta, że problem nie polega na tym, czy może pan sobie poradzić z postawą żony wobec córki, ale czy Melissa będzie to w stanie uczynić.

Teri cofnęła się o krok, żeby przejrzeć się w lustrze wiszącym na drzwiach szafy w jej pokoju. Na pogrzb Jeffa wybrała granatową sukienkę, a do niej szeroki,

czerwony pasek, jednak niezbyt jaskrawy, by nie został źle odebrany przez żałobników. Znalazła też parę kolczyków, także czerwonych, postanowiła jednak, że ich nie założy. Ale za parę miesięcy, kiedy wróci do Nowego Jorku, będą idealnie pasowały do sukienki. Gdyby jeszcze udało się jej znaleźć sznur koralu w tym samym kolorze...

Z zamyślenia wyrwały ją przytłumione odgłosy rozmowy i spojrzawszy po raz ostatni z zadowoleniem w lustro, wyszła z pokoju. Teraz słyszała ją już wyraźniej i wiedziała, skąd dochodziły głosy.

Z sypialni rodziców, gdzie do mającego się odbyć dziś po południu pogrzebu, przygotowywali się jej ojciec i Phyllis.

Rzuciła okiem na zamknięte drzwi od pokoju siostry, przemknęła szybko koło schodów i przystanęła, aby zdjąć buty na obcasie, gdyż strasznie hałasowały, gdy szła po drewnianej podłodze korytarza. Głosy rodziców przycichły na chwilę. Niosąc buty w dłoni, zakradła się pod drzwi ich sypialni. Mimo że buty zamknięte, słyszała wyraźnie toczącą się za nimi sprzeczkę.

Wewnątrz Charles wpatrywał się w odbicie żony w lustrze, dokonującej ostatnich poprawek makijażu.

— Czy chcesz, żebyśmy to zrobili? — zwrócił się do niej gniewnym tonem. — Żebyśmy ją gdzieś po prostu zamknęli?!

— Ależ skąd! — odparowała Phyllis, przybliżając twarz do lustra, żeby poczynić dokładniej rzęsy. — To przecież nie ma nic wspólnego z „zamykaniem kogoś”, jak to określiłeś. Jeśli potrzeba jej trochę spokoju, nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy wysłać jej do jakiegoś ładnego miejsca. Na jakiś obóz na przykład lub coś takiego.

— Na obóz! — wybuchnął Charles. — O czym ty, do diabła, mówisz?! Jeśli nie potrafi zaprzyjaźnić się z dziećmi, które już zna, to jak, do cholery, wyobrazasz sobie, że poradzi sobie, kiedy zostanie nagle wrzucona w zupełnie obce jej środowisko?

— Naprawdę dziwisz mnie, Charles — powiedziała Phyllis, rzucając spiralkę do rzęs na stojącą na toalecie podstawkę i zwracając się do męża. — Po prostu wydaje mi się, że powinniśmy też pomyśleć o Teri. Jak to na nią wpłynie, jeśli będzie musiała spędzić całe lato, znosząc fanaberie Melissy. Pomyśl, co ona przeszła...

— A więc teraz chodzi o Teri! — przerwał jej Charles. — Zbierzmy to. Do tej pory twierdziłaś, że powinniśmy ją wysłać dla jej własnego dobra i dla dobra Teri. No a co z tobą? To by ci znacznie uprościło życie, prawda? Mogłabyś wylegiwać się jeszcze dłużej przy basenie w klubie, próbując wywrzeć wrażenie na tych babskach, które traktują cię jak po-

Phyllis podniosła się z krzesła, drżąc cała z wściekłości.

— Jak śmiesz?! Jak śmiesz tak się wyrażać o moich przyjaciółkach?! Lenore Van Aradale to jedna z najmiłszych kobiet, jakie kiedykolwiek...

— Lenore to cholerna snobka, co przede wszystkim ty powiania była już dawno zauważyć, bo nigdy nie odezwie się do ciebie, jeśli może się od tego w jakiś sposób wykręcić. Chryste, czasami myślę, że Polly miała rację. Jedyna rzecz, która ratuje się liczy, to fakt, że się ma odpowiednie nazwisko. Żadne z nich nie robi — ich

życie upływa na prze-chwałkach o tym, co zrobili ich dziadkowie, i na wydawaniu odziedziczonych pieniędzy. Połowa z nich gdyby musiała, nie potrafiłaby podjąć normalnej pracy!

— A ty? — wypaliła gniewnie Phyllis. — Dlaczego to niby wydaje ci się, że ty jesteś inny, co?

Charles parsknął pogardliwie. — A kto powiedział, że jestem? Nie pracuję jako prawnik. Ukończyłem prawo tylko dlatego, że tak robili wszyscy mężczyźni w rodzinie Hollo-

wayów. I co takiego zrobiłem w życiu? Jakie są moje zasługi? Odkryłem jedynie kilka luk w przepisach po to, żebyśmy ja i moi przyjaciele mogli płacić mniejsze podatki. — Zaśmiał się krótko. — Życie godne pozazdroszczenia, prawda? I takie życie jesteś zdecydowana zapewnić Melissie? Szczerze mówiąc wydaje mi się, że lepiej by zrobiła, gdyby, jak dorośnie, wyszła za męża za Taga niż za jednego z tych maminsynków, których wychowali nasi znajomi. Na twarzy Phyllis pojawiła się wściekłość.

— Chcę jedynie jej dobra — wysyczała. — Daliśmy jej wszystko. I jaką zapłatę za to dostaję? Przynosi mi wstyd! Muszę się rumienić przed wszystkimi moimi przyjaciółkami! A na koniec robi taki numer, w którym ginie człowiek, i je-szcze twierdzi, że niczego nie pamięta. Może trzeba ją zamknąć! Może naprawdę nie jest normalna!

Przez ułamek sekundy Charles był pewnien, że wymierzy jej siarczysty policzek, tak samo jak zrobił to w sobotę w nocy. Ale po chwili się opanował.

— Tego właśnie chcesz, prawda? — powiedział chłodno. — Teraz, kiedy masz Teri, to chcesz, żeby zniknęła.

Phyllis uspokoiła się. — Teri nie ma z tym nic wspólnego...

— Dałabyś już spokój! — przerwał jej Charles. — Nie je-stem przecież głupi. Melissa była dla ciebie jedynie namiastką Teri. Kiedy Polly zabrała ją z sobą, to miałem wrażenie, Se przeżywałaś to bardziej niż ja. Ale kiedy pojawiła się Melissa, to pokochałem ją taką, jaka jest. Natomiast wszystko co ty umiałaś zrobić, to próbować zmienić ją w drugą Teri.

— To nieprawda...

— Absolutna prawda. Teraz, kiedy Teri jest znowu tu-taj. Melissa nie jest ci już do niczego potrzebna. Masz dom Polly, jej męża, jej przyjaciółki. Teraz masz jeszcze jej córkę. To po co ci własna?

Ruszył w stronę drzwi, lecz zanim wyszedł, obrócił się

I spojrzął jeszcze raz na żonę. — Ale ja na to nie pozwolę, Phyllis. Nie pozwolę na to, żeby wysłać gdzieś Melisse, i nie pozwolę więcej, żebyś zamieniała jej życie w koszmar. Po-zwól jej być taką, jaka jest. Bo wierz mi, jeśli tego nie zro-Ibisz, to odeślę nie ją, lecz ciebie.

Nim otworzył drzwi i opuścił sypialnię, Teri już była w połowie schodów. Ale i tak usłyszała wystarczająco dużo. Phyllis została już przekonana. Wkrótce przekona się także i jej ojciec.

— Jesteś pewna, że dasz radę? — spytał ojciec Melisse dwadzieścia minut później.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz wcale iść z nami na ten pogrzeb. Jestem pewien, że wszyscy to zrozumieją.

Przez ułamek sekundy Melissa gotowa była ulec tej pokusie i pozostać w domu. Ale kiedy już chciała otworzyć usta i zgodzić się, przypomniała sobie to, co godzinę temu powiedziała jej matka: „Pójdiesz na pogrzeb Jeffa i będziesz tam zachowywać się jak należy. Gdybyś nie poszła, oznaczałoby to, że przyznajesz się do tego, że byłaś świadoma, co robiłaś w sobotę wieczorem. Już mamy wystarczająco dość kłopotów z tego powodu, że wszyscy myślą, że z tobą jest coś nie w porządku. Jeśli dojdą do wniosku, że zrobiłaś to świadomie, już nigdy nie będziemy mogli spojrzeć nikomu prosto w oczy!”

Matka stała nie opodal za ojcem i spoglądała na nią chmurnym wzrokiem. Melissa zmieniła w ostatniej chwili zdanie i skinęła sztywno głową.

— Chcę pójść — wyszeptwała. — Ja... ja zawsze bardzo lubiłam Jeffa.

Ale w godzinę później, siedząc w niewielkim kościele episkopalnym, utrzymywanym głównie przez mieszkańców Secret Cove, żałowała, że nie pozostała w domu.

Już od momentu, w którym weszła do kościoła u boku ojca, wydawało jej się, że wszystkie spojrzenia skierowane są na nią, że ludzie obserwują ją i oskarżają w milczeniu.

Starła się to ignorować i siedziała bez słowa między ojcem a Teri, wpatrując się tępo w modlitewnik, który wręczono jej przy wejściu. Lecz kiedy pastor zakończył mowę pogrzebową i rozpoczął końcowe modły, uniosła głowę i rozejrzała się niespokojnie dookoła. Większość ludzi w świątyni miała głowy spuszczone, lecz tu i ówdzie spoglądały na nią ciekawskie oczy.

Na przykład Cyndi Miller, która wbijała w nią beczelnie swoje spojrzenie.

Lecz kiedy Melissa spojrzała na nią, Cyndi szybko odwróciła wzrok.

Jednak Ellen Stevens wpatrywała się w nią oskarżycielko i tym razem Melissa spuściła szybko głowę.

Przecież nic nie zrobiłam — powiedziała sobie raz jeszcze. — Po prostu szłam skrajem drogi.

Ale czy na pewno?

Wciąż nic nie pamiętała, nie wiedziała, co się stało od chwili, w której założyła perukę, aż do momentu, gdy w jej uszach zabrzmiał klakson samochodu Jeffa.

A co, jeśli to naprawdę była D'Arcy?

Musi odsunąć od siebie tę myśl, musi przestać wciąż zadawać sobie to pytanie. Jeśli tego nie zrobi, zwariuje.

Chyba, że już zwariowała.

Lecz w zasadzie prawie cały czas czuła się normalnie.

Nagłe szturchnięcie Teri wyrwało ją z zamyślenia. Uniosła głowę i ujrzała ludzi idących wolno bocznym przejściem do przodu, gdzie przed ławkami, na katafalku spoczywała otwarta trumna.

Melissa poczuła, jak przechodzą ją ciarki.

Czy musi to zrobić?

Czy musi spojrzeć w twarz Jeffa?

Siedzący obok niej ojciec wstał, a ona podniosła się za nim z odrętwieniem z ławki. Nie spojrzę na niego — powiedziała do siebie. — Dojdę tam, ale kiedy będę miała trumnę, zamknę oczy. Posuwała się bokiem, za ojcem, do bocznego przejścia i po chwili, kiedy poczuła za sobą rosnący tłum, znów ogarnął ją strach.

Rozejrzała się wokół siebie, szukając jakiejś drogi ucieczki. Lecz wszystkie boczne drzwi były zamknięte i przy każdym stał ubrany na czarno człowiek, a nie mogła się zdobyć na to, by przejść przez którąś z pustych ławek i uciec głównym wejściem. Była już teraz niedaleko od katafalku i słyszała, jak idący przed nią, spoglądając w trumnę, wzdychają lub wypowiadają cicho ostatnie słowa pożegnania.

I wtedy i ona znalazła się nad zmarłym.

Zamiast zamknąć oczy, jak sobie to przed chwilą przysięgała, pochyliła głowę i spojrzała w twarz Jeffa.

Wcale nie wyglądał na nieboszczyka.

Miał zamknięte oczy i spokojną twarz, jak gdyby spał.

Wyciągnęła odruchowo rękę i dotknęła jego policzka.

Był twardy i zimny jak marmur.

Westchnęła przerażona, a lęk, który narastał w niej od paru godzin, nagle wybuchnął z całą siłą.

— Neeee... - zaszlochała. — Ja nie chciałam! Ja nie...

Do oczu napłynęły jej łzy, ukryła twarz w dłoniach. Ojciec otoczył ją natychmiast opiekuńczym ramieniem i poprowadził przez środek kościoła ku wyjściu, torując sobie drogę przez zgromadzony tłum.

Tłum żałobników wpatrujących się w nią. Wpatrujących się i szepczących coś między sobą. Prawie ich słyszała, jak ją oskarżali.

— Nie!!! — krzyknęła przeraźliwym głosem. — Ja tego nie zrobiłam! To D'Arcy! D'Arcy to zrobiła!

Po chwili stała już przed kościołem, oślepiona ostrym blaskiem słońca świecącego mocno tego letniego popołudnia. Zamrugła oczami i ujrzała ojca stojącego obok, spoglądającego na nią ze współczuciem i głaszczącego ją delikatnie po włosach.

Lecz w sekundę później dostrzegła matkę.

Chociaż Phyllis nie odezwała się ani słowem, Melissa zadrżała ze strachu, czując wściekłość emanującą z wąskich szparek, w które zmieniły się jej oczy. Przerażona tą niemą furią dziewczyna nie zauważyła delikatnego uśmiešku zadowolenia na twarzy Teri MacIver.

Kiedy ojciec podprowadził ją łagodnie do samochodu, poczuła, jak zalewa ją rozpacz.

Znowu zachowałam się skandalicznie — pomyślała. -Tym razem na pewno mi nie wybaczy.

Rozdział 23

— Nie pojmuję, jak mogła to zrobić — uskarżała się Phyllis. Godzinę temu wrócili do domu i Charles po telefonie do Burta Andrews pojechał natychmiast do miasteczka po środek uspokajający. Melissa leżała teraz w łóżku w swoim pokoju, a Charles siedział przy niej, czekając aż lekarstwo zacznie działać. Kiedy zasnęła, zszedł na dół do biblioteki, gdzie Phyllis z gniewną twarzą przechadzała się niespokojnie tam i z powrotem. Teri, ubrana wciąż w sukienkę, którą miała na pogrzebie, wierciła się niespokojnie na krześle.

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiedział. — Mówiąc szczerze, nie potrafię zrozumieć, dlaczego w ogóle poszła na pogrzeb w takim stanie.

— Poszła — wtrąciła Phyllis — bo wiedziała, że to należało zrobić. Wszystko byłoby w porządku, gdyby po prostu umiała się opanować. Ale żeby robić takie sceny... — Przerwała i potrząsnęła bezradnie głową. Po czym rzuciwszy okiem na zegar westchnęła ciężko. Chyba powinniśmy już pójść — powiedziała bardziej opanowanym głosem. — Już na pewno po pogrzebie i czas iść na stypę.

— Na stypę?! — Charles spojrzał z niedowierzaniem na żonę. — Chyba nie mówisz tego poważnie?

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym Phyllis szybko odwróciła głowę.

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała. — A kłótnia to ostatnia rzecz, której nam teraz potrzeba. Co innego nam pozostało? Po popisie Melissy na pogrzebie powinniśmy przynajmniej pójść, i przeprosić za jej zachowanie. Czy nie pamiętasz twarzy Pauli?

Charles przybrał zaciętą minę. — Nie obchodzi mnie, do cholery, ani Paula Barnstable, ani ta cała reszta! Teraz interesuje mnie jedynie moja córka. Jeśli spodziewasz się, że pójde i zostawię ją samą to...

— Nie zostawisz jej samej — wtrąciła Phyllis. — Teri powiedziała, że z nią zostanie.

Charles spojrzał na swą starszą córkę, uśmiechając się do niego ze współczuciem.

— Sądzę, że Phyllis ma rację, tatusiu. Zauważyłam, w jaki sposób niektóre osoby patrzyły na Melissę. Gdyby żadne z nas nie poszło na stypę to jedynie pogorszyłyby sprawę.

Charles uniósł głowę. — Nic takiego się nie stało. Melissa po prostu straciła panowanie nad sobą... — zaczął, lecz urwał zdumiony, widząc jak Phyllis i Teri wymieniają między sobą szybkie spojrzenie. — Czy jest coś, o czym ja nie wiem? Teri poruszyła się niespokojnie na krześle, jak gdyby nie chciała w ogóle poruszać tego tematu. — Jak by to powiedzieć... Dużo dzieci mówi o Melissie — powiedziała wreszcie, starannie unikając wzroku ojca. — Niektórzy... niektórzy uważają, że ona jest jakby... — Zawahała się przez chwilę, jak gdyby szukała odpowiedniego słowa. — Jakby trochę dziwna.

— Chcesz powiedzieć, że myślą iż jest nienormalna? — spytał zdecydowanym

głosem Charles. — Wiem, jakie są dzieci. Sam też kiedyś byłem dzieckiem.
— Wcale tego nie powiedziałam — odparła pospiesznie Teri. — Myślę po prostu, że Phyllis ma rację. Czy nie byłoby rozsądniej gdybyście poszli i wyjaśnili, że Melissa trochę się zdenerwowała, ale teraz już wszystko w porządku? Przecież jeśli nikt z nas nie pójdzie, to tylko pogorszy jej sytuację, prawda? Każdy pomyśli, że boimy się zostawić ja samą.

Charles już chciał po raz kolejny zaprotestować, lecz po chwili zmienił zdanie. W końcu Teri miała rację. Melissa jedynie rozplakała się na pogrzebie. Jeśli teraz pozwoli sobie

na pewną nadwrażliwość, to na dłuższą metę może to jedynie przynieść szkodę. Już słyszał głosy dzieci: „Musieli ją zabrać do domu i zamknąć na klucz. Wpadła w taką histerię, że nie mogli zostawić jej samej”. „Wiedziałem, że ona jest trochę dziwna, ale na pogrzebie to jej już zupełnie odbiło. Musieli jej założyć kaftan”. Nic z tego oczywiście nie będzie prawdą, ale to nie zapobiegnie gadaniu dzieci. Jeśli razem z Phyllis pójda na stypę i wyjaśnią, że Melissa po prostu się zdenerwowała, może to powstrzyma mielące języki.

— W porządku — powiedział nie do końca przekonany, czy postępuje słusznie, lecz nie miał już sił na dalszą sprzeczkę z żoną. — Pójdziemy. — Podeszedł do Teri i uściskał ją.

— Na pewno chcesz z nią zostać? — spytał.

Teri przytaknęła, a na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. — Ja... ja nie lubię pogrzebów. Wolę raczej zostać w domu, z Melissą.

Dziesięć minut później Charles, rzuciwszy jeszcze raz okiem na pogrążoną w głębokim śnie córkę, zszedł pospiesznie do samochodu, w którym czekała już zniecierpliwiona Phyllis.

Teri pomachała im na pożegnanie z ganku. Po pewnym czasie Cora zastukała i otworzyła drzwi do pokoju dziewczyny. — Jadę do miasteczka — powiedziała.

— Chcę upiec babkę cytrynową dla Melissy i muszę kupić kilka rzeczy.

Teri uniosła głowę znad czasopisma — No i co z tego? — spytała.

Słyszając jej beczelny ton. Cora zacisnęła usta w wąską kreskę. — Chciałam jedynie wiedzieć, czy czegoś nie potrzebujesz. — Po czym spostrzegłszy, że Teri ma na sobie wciąż tę samą sukienkę, w której była na pogrzebie, pokręciła z dezaprobatą głową. — Zniszczysz ją całkowicie, jak będziesz ją tak gniesć — powiedziała. — Przecież to len.

Teri wzruszyła niedbale ramionami. — Jak się zniszczy, to kupię nową. Przecież nie jesteśmy biedni.

Cora nabrała tchu w piersi, chcąc zrobić dziewczynie krótki wykład na temat szacunku dla pieniędzy, lecz nagle zmieniła zdanie. Przez ostatnie kilka tygodni obserwowała Teri dokładnie i doszła do wniosku, że córka Polly nie była taką, za jaką chciała, aby ją uważano. Doszła nawet do przekonania, że nie bardzo ją lubi. Była pewna, że to właśnie Teri kazała się Melissie przebrać za D'Arcy i pójść tak na bal, z czego wyniknęły kłopoty. I mimo współczucia, okazywanego przez nią swej młodszej siostrze, Cora czuła przez skórę, że sprawiało jej radość nieszczęście dziewczyny.

— Dobrze — odpowiedziała. — Rób jak chcesz. Będę z powrotem w ciągu godziny.

Po kilku minutach, gdy Teri usłyszała, jak koła odjeżdżającego samochodu Cory zachręściły o żwir, wstała, zdjęła sukienkę i rzuciła ją niedbale na podłogę. Rozebrała się, włożyła strój kąpielowy i wolnym krokiem pospacerowała w stronę basenu. Już miała się zanurzyć w chłodnej wodzie, kiedy ujrzała Taga. Stał jakieś dwadzieścia metrów od niej z dziwnie wykrzywioną głową, przypatrując się czemuś w oddali.

Stara szopa.

Znieruchomiała i zaczęła myśleć gorączkowo. Po chwili rzuciwszy ręcznik na jedno z krzeseł stojących wokół basenu, przemierzyła trawnik i podeszła do chłopca.

— Co się stało? — spytała. — Na co patrzysz?

Tag spojrział na nią i poruszył nosem. — Czujesz coś? — spytał.

Teri wciągnęła powietrze i jej nozdrza wypełnił ostry odór.

— Straszny smród — powiedziała. — Skąd to dochodzi? Myślę, że to chyba szopa — powiedział Tag, ruszając

przed siebie, Teri podążyła natychmiast w ślad za nim i razem przybliżyli się do stojącej za garażem, walącej się szopy. Im byli bliżej, tym zapach stawał się coraz bardziej nie znośny.

- Chryste — jęknął Tag, krzywiąc się z powodu przykrej woni. — To cuchnie, jakby w środku było jakieś padłe zwierzę... — Przerwał na dźwięk swoich własnych słów. — Boże... — westchnął. Ruszył biegiem i otworzył szeroko drzwi szopy, odskakując odruchowo przed kłębiącą się chmarą much, która z bzykiem wylała się z jej wnętrza. Lecz po chwili, wstrzymując oddech wszedł do środka i rozejrzał się dokoła. Poza starą, pordzewiałą łopatą nic tam nie było. Kiedy jednak przyjrzał się uważnie podłodze, spostrzegł, że część desek jest luźna. Wypuścił powietrze i znów wstrzymał oddech, czując, że płuca wypełnia mu odór dobywający się spod podłogi. Krztusząc się wyskoczył na zewnątrz i zaczerpnął tchu. Powrócił do środka, po czym sięgnął i uniósł jedną z desek.

Gdy zajrzał w szparę pod podłogą, zrobiło mu się niedo-brze. Ciało psa, rozdęte z powodu rozkładu i pokryte rusza-jącą się warstwą pełzających, białych robaków, było prawie nie do poznania, lecz chłopiec wiedział od razu, co to jest. Cofnął się gwałtownie na ten widok i oczy zaszkliły mu się od łez.

— To Blackie! — wysapał i obrócił się ku Teri tak szyb-ko, że ta nie zdążyła ukryć złośliwego uśmiecha, który poja-wił się jej na twarzy, gdy obserwowała, jak chłopiec unosił deskę i znajduje swojego ulubieńca. Patrzył zdumiony na jej wykrzywione wargi, po czym cofnął się o krok.

— To ty! — powiedział półgłosem. — Miałem rację.

— Zgłupiałeś? — powiedziała Teri, przestając uśmiec-chać i spoglądając z pogardą aa chłopca. — Dlaczego niby miałabym zabić twojego psa? Nie rozumiesz, że to musiała zrobić Melissa!

Tag potrząsnął przecząco głowa. — Ona by tego nie zro-biła. Kochała go nawet bardziej niż ja. — Zaczął myśleć go-rączkowo i nagle przypomniał sobie sobotnią

noc, kiedy obudził się i wyjrzał oknem. Widział wtedy Teri chodzącą do domu. Na strychu zapaliło się światło zgasło, po czym po paru minutach zapaliło się znowu. Potem znowu zgasło. lecz wtedy widział już, jak Teri chodzi między swoim pokojem i łazienką, którą dzieliła razem z Melissą. - Co robisz? — spytał. — Co robisz Melissie? — Ale w chwili gdy wypowiadała te słowa, już znał odpowiedź. — To byłaś ty! — powiedział półgłosem. — Ciebie widziała na Itrychu w sobotę w nocy. Ty zabiłaś Blackie! Zrobił krok w jej stronę, a wtedy w oczach Teri pojawiła się niczym nie skrywana nienawiść. Dziewczyna rzuciła się w przód i odepchnęła chłopca. Tag zachwiał się i potknął na prowadzących do szopy schodkach. Tracąc równowagę, przechylił się do tyłu wymachując gwałtownie rękami. Wyciągnął dłoń, by zamortyzować upadek, ale ta natrafiła na odsłoniętą szparę w podłodze i ugrzęzła w rozkładającym się cieple na. Próbował się odwrócić i szukał drugą, wolną ręką czegoś, czego mógłby się uchwycić, ale było już za późno. Teri z oczami przepelnionymi nienawiścią chwyciła opartą o ścianę szopy łopatę, ujęła ją w obie dłonie i uniosła nad głowę.

Ułamek sekundy później ostrze łopaty mignęło w powietrzu i uderzyło w twarz chłopca, miażdżąc mu nos.

Tag poczuł piekący ból i instynktownie usiłował uchylić się przed następnym ciosem, ale na próżno.

Łopata znowu powędrowała w górę i uderzyła go w tył głowy. Chłopiec drgnął cały i po chwili znieruchomiał.

Teri, dysząc ciężko, wpatrywała się przez chwilę w ciało Taga, nie przestając przy tym myśleć gorączkowo. Nie chciała go zabić — powiedziała do siebie. — Gdyby tylko uwierzył w jej historię, że to Melissa zabiła psa, wszystko byłoby dobrze. Ale wtedy przypomniała sobie sobotnią noc i wyobraziła sobie to, co z pewnością widział.

Musiała więc go zabić — nie pozostawił jej żadnego wyboru.

Rozejrzała się instynktownie, ale nikogo nie zobaczyła. Zresztą kogóż miałyby zobaczyć? Wszyscy, poza Melissą i Corą, byli na stypie. Cora wróci za co najmniej czterdzieści minuty.

A Melissa była w swoim pokoju, pogrążona w głębokim śnie. Sen.

Powtórzyła sobie raz jeszcze to słowo i już wiedziała, co zrobi.

Dotknęła delikatnie szyi chłopca. Po chwili poczuła poci palcami słabo bijący puls. Tag wcale nie był martwy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Obróciła go na plecy i spojrzała mu w twarz. Oczy miał zamknięte, a z rozwalonego nosa spływała krew. Słyszała jego oddech; nierówne rżenie przerywane kaszlem spowodowanym dostającą się do tchawicy i duszącą go krwią. Zostawiwszy go tak, ruszyła pospiesznie do domu, pobiegła na strych i z jednego z kufrów wyjęła białą suknię, którą ukryła tam w sobotę w nocy. Zabrawszy ją z sobą zeszała na dół, ale zamiast udać się do szopy, skierowała się do garażu, gdzie trzymano narzędzia ogrodnicze. Tam, oparta o ścianę, stała maczeta, którą widziała u Taga, kiedy odrąbywał dzikie wino, porastające północną ścianę domu.

Uśmiechając się, zabrała ją z sobą.

Kiedy była już z powrotem w szopie, zrobiła większą dziurę w podłodze, obróciła Taga jeszcze raz i zrzuciła jego bezwładne ciało na gnijące zwłoki psa. Następnie wzięła maczetę i uniosła ją w górę. Trzymając ją chwilę nad głową spuściła w dół olbrzymie ostrze, czując, jak drgnęło lekko uderzając o czaszkę Taga i rozszczepiając ją na połowy pogrzyżyło się w rozkładającej się pod spodem masie. Wyszarpnąwszy maczetę zadała jeszcze dwa ciosy i wreszcie odłożyła ją na bok. Wziąwszy białą suknię, starła z podłogi najwięcej ile mogła krwi, a następnie u nurzała ją w posiekanym ciele chłopca. Wstała z klęczek i strzepnęła suknię. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc pokrywające cały przód czerwone plamy.

Zwinęła ją starannie, po czym odłożyła na bok i położyła na miejsce wszystkie deski. Nad podłogą cały czas unosiły się muchy i nawet kiedy uprzątnęła wszystko, dostrzegła, jak kilka z nich zdołało przejść przez szpary między deskami, by karmić się tym, co leżało pod spodem. Jednak teraz, kiedy zwłoki chłopca zakryły rozkładające się ciało psa, znikł przynajmniej ostry odór.

Wziąwszy z sobą pokrwawioną suknię, poszła z powrotem na strych i schowała ją do kufra.

Cora weszła przez kuchenne drzwi do domu i spojrzała na zegar. Nie było jej ponad godzinę, lecz miała jeszcze dość czasu na to, by upiec babkę dla Melissy i włożyć do piekarnika pieczeń dla państwa Holloway. Potem pójdzie do siebie i zrobi kolację dla siebie i wnuka. Rozpakowała torbę z zakupami, odkładając na bok to, czego będzie używała od razu, i już chciała zabrać się do babki, kiedy uświadomiła sobie, że ani Tag, ani Teri nie wyszli jej na spotkanie, nie wspominając już o pomocy przy wypakowaniu zakupów. Rzecz jasna nie spodziewała się przejawów aż tak dobrego wychowania ze strony Teri, ale Tag...?

Zmarszczyła brwi i ściągnęła wargi zastanawiając się, co mogło być tego przyczyną. Przypomniała sobie, że Tag wspominał coś o tym, że pójdzie szukać jeszcze raz psa, ale co z Teri? Nie mogła pójść i zostawić Melissy samej. Przez wahadłowe drzwi przeszła do pokoju, gdzie trzymano zastawę, i zawołała głośno: — Halo? Czy jest ktoś w domu? — Po chwili ciszy usłyszała głos Teri: — Jestem w bibliotece.

Westchnąwszy z ulgą, że dziewczyna nie zostawiła Melissy samej, Cora poszła do biblioteki. Teri, w dżinsach i białej bluzce, leżała na czerwonej, skórzanej sofie i oglądała telewizję. Stopy w adidasach spoczywały na jednym z oparc.

— Nie wierzę w to, że mama nie nauczyła cię, że nie należy kłaść nóg na oparciu kanapy — odezwała się gospodyni, lecz Teri zignorowała całkowicie jej uwagę.

— Czy wszystko w porządku?

— Oczywiście — odpowiedziała Teri. — Dlaczego miałyby nie być w porządku?

— Mogłaś przynajmniej wyjść i pomóc mi z zakupami.

Teri wzruszyła ramionami. — Nie słyszałam, jak wchodziłaś. A poza tym, to nie jest mój obowiązek, prawda?

Coora zacisnęła zęby i bez słowa opuściła bibliotekę. Ruszyła schodami na górę, prawie pewna, że gdyby podczas jej nieobecności coś się stało Melissie, Teri niewiele by się tym przejmowała ani, być może, wcale by tego nie zauważyła. Kiedy jednak weszła do pokoju dziewczyny, Melissa leżała zwinięta w kłębek i spała smacznie. Uspokojona tym gospodyni wróciła do kuchni i zaczęła przygotowywać babkę.

Dwadzieścia minut później, kiedy babka była już w jednym piecyku, a pieczeń w drugim, Cora wyszła przez kuchenne drzwi i skierowała się przez trawnik do swojego domu. Zatrzymała się w małej sieni i zawołała na wnuka, ale nikt jej nie odpowiedział.

— Tag! — zawołała raz jeszcze. — Gdzie jesteś? Nasłuchiwała przez chwilę, po czym spojrzała na duży męski zegarek, który miała na ręku. Było już po szóstej, a Tag nigdy nie spóźniał się do domu. Przeszła przez krótki korytarz do kuchni, sądząc, że znajdzie tam jakąś kartkę zostawioną przez chłopca, lecz nic tam nie było. Zaintrygowana, wróciła do głównego budynku i skierowała się do biblioteki.

— Widziałas Taga?

Teri oderwała niechętnie wzrok od telewizora. — A dlaczego miałabym go widzieć — odpowiedziała opryskliwie. — Był tu w domu?

— Gdybym to wiedziała, to bym teraz ciebie nie pytała, prawda? — odcięła się Cora. — Nie ma go w domu i pomyślałam sobie, czy może go przypadkiem nie widziałas.

Teri potrząsnęła głową. — Może poszedł do kolegów? — spytała.

Gospodyni westchnęła. — Powiedział, że pójdzie poszukać jeszcze raz psa — zaczęła, lecz urwała, widząc drwiący wzrok Teri. — A poza tym, jego najlepszą koleżanką jest Melissa — dokończyła po chwili. — Wydawało mi się, że może przyszedł tu zobaczyć, jak ona się czuje, to wszystko.

Teri odezwała się, na tyle głośno, by Cora mogła ją usłyszeć:

— Jeśli Melissa jest jego najlepszą koleżanką, to jest jeszcze głupszy, niż myślałam. Rumiana twarz gospodyni zrobiła się czerwona. — Niektórzy — zaczęła — nie są ani w połowie tak mili, jak się na pozór wydają, prawda?

Teri uśmiechnęła się z udaną słodyczą. — A jeszcze inni — powiedziała, naśladowując ton Cory — mogą tu już dłużej nie pracować, jeśli nie będą szanowali tych, dla których pracują.

Wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, wreszcie Cora odwróciła głowę i obróciwszy się na pięcie wyszła z biblioteki, zamykając za sobą głośno drzwi.

Teri parsknęła śmiechem, widząc bezsilność gospodyni i zaczęła z powrotem gapić się w telewizor.

Melissa odbudziła się godzinę po północy. Umysł miała ociężały od środka uspokajającego i przez pierwsze kilka sekund nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Lecz po chwili wszystko zaczęło jej się przypominać.

Była na pogrzebie Jeffa i czuła, że wszyscy ją obserwują.

A kiedy zajrzała do trumny i dotknęła jego twarzy...

Nawet teraz, na samo wspomnienie przebiegł ją dreszcz i odruchowo przyciągnęła do siebie bliżej kołdrę. Lecz teraz już wszystko w porządku — powiedziała do siebie. Była w domu, we własnym łóżku, a mama wcale jej nie związała.

Nic złego się nie zdarzyło.

Przekręciła się na drągi bok i poczuła, że coś zaplątało się jej wokół stóp. Przez moment ogarnął ją strach. Czy mimo wszystko nie była to opaska?

Ale nie — ręce i stopy miała wolne! To tylko prześcieradło.

Kopnęła nogami w pościel, chcąc je wydostać. Prześcieradło odwinęło się, ale jej nogi nadal coś krępowało. Zapaliła światło, usiadła na łóżku i odsunęła kołdrę. I wtedy spostrzegła owiniętą wokół swoich stóp suknię. Suknię D'Arcy.

Tę samą, którą miała na sobie tej nocy, gdy zginął Jeff. A teraz, w dzień jego pogrzebu, miała ją w łóżku, owiniętą wokół stóp. I pokrytą plamami. Plamami rdzawymi jak krew.

Westchnęła przerażona i serce zaczęło jej walić jak młotem. To nie działo się naprawdę — to był jeszcze jeden koszmar! To musiał być koszmar!

Zacisnęła powieki, po czym otworzyła oczy jeszcze raz, w złudnej nadziei, że suknia zniknie.

Lecz nie, wciąż miała ją owiniętą wokół stóp i wydawało się, że plamy stały się jeszcze większe. Z gardła wydobył jej się krzyk, ale zatkała dłonią usta. W tym momencie otworzyły się drzwi łazienki i weszła Teri tylko w szlafroku.

— Melissa, czy wszystko... — przerwała, bo spostrzegła pokrwawioną suknię. — Och, Melisso — westchnęła. — Co ty znowu narobiłaś?

Oczy Melissy rozszerzyły się w przestkach, wkułiła się plecami w wezłowie łóżka i udało jej się wreszcie uwolnić nogi z fałdów materiału.

— Ja... ja nic... — wyszeptała głosem pełnym rozpacz. — Właśnie się obudziłam. Poczułam coś i... — Oderwała wzrok od sukni i spojrzała błagalnie na przyrodną siostrę. — Teri, co się tutaj dzieje?

Teri podeszła do łóżka i uniosła suknię. Trzymając ją ostrożnie w palcach, podeszła z nią do Mellisy. — Nie pamiętasz? — spytała.

- Pamiętam? — wyjąkała Melissa. — Pamiętam co? Teri przymknęła na chwilę oczy i potrząsnęła smutno

głową. — O Boże — westchnęła — myślałam, że wtedy nie spałaś. Ale ty pewno znowu chodziłaś we śnie, prawda?

Melisse ogarnęła panika. To przecież niemożliwe! Na pewno nie chodziła dzisiaj we śnie! — O czym ty mówisz? — zaczęła błagalnym tonem. — Ja przecież spałam!

Teri rzuciła suknię i usiadła na skraju łóżka, ujmując w swoje ręce dłonie Melissy. — Przecież wyszaś — powiedziała do niej przekonującym tonem. — Musisz to pamiętać!

Melissa pokręciła w milczeniu głową.

— To było... nie wiem dokładnie... może godzinę temu — zaczęła Teri. — Przed domem był Tag, wołał cię. Obudził też mnie. Powiedziałam mu, że śpisz, ale wtedy ty wyszaś kuchennymi drzwiami. — Rzuciła okiem na suknię, a potem spojrzała z powrotem na Melisse. — Myślałam, że miałaś na sobie szlafrok, wiesz,

ten biały, z frotty. Ale... — przerwała w pół słowa. — Skąd to jest? Skąd to wzięłaś? Chociaż noc była ciepła, Melissę przebiegł zimny dreszcz.

— Nie wiem — zaszlochała. — Myślałam, że już jej nie ma, myślałam, że ją wyrzuciłaś!

— Wyrzuciłam — skłamała Teri, patrząc prosto w oczy Melissie. — Wyniosłam ją na śmieci. Też myślałam, że już jej nie ma. Wywieźli śmieci dziś rano.

Melissa przełknęła ślinę. Jeśli Teri wyrzuciła suknię, jak to możliwe... Zakręciło jej się w głowie. To niemożliwe! To musiał być jakiś koszmar! Nic takiego nie mogło się stać!

— Wyszłaś z Tagiem — powiedziała Teri. — Myślałam, że pewnie idziecie szukać psa.

— Nie! — jęknęła Melissa, zatykając sobie uszy, jak gdyby nie chciała słyszeć słów Teri. — Ja spałam! Nigdzie nie wychodziłam!

— Ale ja cię widziałam! — upierała się Teri. — Gdybym wiedziała, że chodzisz we śnie, to bym poszła za tobą i obudziła cię. Ale myślałam, że nie śpisz. Cokolwiek się wtedy stało, to jest to też moja wina.

— Stało? — powtórzyła bezwiednie dziewczyna. — Co się...

— Krew — powiedziała Teri — skądś się musiała wziąć.

Melissa ukryła twarz w dłoniach, pragnąc ze wszystkich sił obudzić się z tego kosmaru. Kiedy jednak uniosła głowę, wciąż widziała Teri, siedzącą na łóżku.

— Dokąd... — wyszeptwała — dokąd poszliśmy?

Teri potrząsnęła głową. — Nie wiem. Szliście za garaż,

— Ale tam nic nie ma — powiedziała płaczącym głosem

Melissa. — Tylko stara szopa. Teri podniosła się z łóżka.

— Lepiej chodźmy i zobaczmy — powiedziała. — Gdzie masz latarkę?

Melissa potrząsnęła głową. — Nie, nie chcę. Ja...

— Musimy to zrobić — trwała przy swoim Teri. — Musimy się dowiedzieć, co zrobiłaś. Nie rozumiesz? Jeśli coś zrobiłaś...

— Nie! — zaszlochała znowu Melissa. — Nie mogłam nic...

— Musiałaś! — naciskała ją Teri. — Chodź! Zwlokła ją z łóżka i pomogła nałożyć szlafrok. Potem

wyjęła z szuflady nocnego stolika latarkę i zgasiła światło. Sprowadziła ją cicho ze schodów i przez oszklone drzwi wyszły na taras. Noc była jasna, księżyc świecił wysoko na niebie i Teri odruchowo schowała się razem z Melissa w cień otaczający dom. Przemknęły przez odkryty taras, a potem obeszły szybko basen. Po chwili stały już przed szopą.

— Boże — szepnęła Teri, wciągając powietrze. — Śmierdzi, jak gdyby w środku była jakaś padlina.

Melissa spojrzała z przestachem i przebiegł ją dreszcz. Lecz kiedy Teri otworzyła szopę i weszła do środka, podążyła za nią jak w transie. Siostra zamknęła za sobą drzwi, zapaliła latarkę i poświeciła dookoła. W wąskim snopie światła ukazała się maczeta, z ostrzem błyszczącym od krwi.

Melissa ujrzawszy ją, westchnęła przerażona. — Co... co ona tu robi? —

wyszeptała. — Tag trzyma ją zawsze w garażu...

Teri skierowała latarkę w dół i zaczęła omiatać światłem deski podłogi, a z ciemności wyłoniły się plamy krwi.

— Spójrz — powiedziała łagodnym tonem. — Są luźne. Uklękła, podniosła jedną z desek i zaświeciła do wnętrza.

Melissa ujrzała leżące pod podłogą ciało Taga, z rozłupaną głową i robakami pożerającymi mu mózg. Już chciała krzyknąć przeraźliwie, lecz w tym momencie Teri zasłoniła jej szybko ręką usta.

— Nie krzycz — usłyszała jej głos. — Jeśli ktoś cię usłyszy, nic już nie będę mogła zrobić. Będą wiedzieć, co się stało, i wyślą cię do zakładu.

Krzyk uwiązł w krtani dziewczyny i zastąpił go dławiący ją szloch. To niemożliwe, Tag nie mógł być martwy, to wszystko był koszmarny sen, z którego się obudził! Obudzi się, będzie z powrotem w swoim pokoju i wszystko będzie jak należy.

Objęła ramionami swą przyrodnią siostrę, a jej ciałem wstrząsał płacz.

— Nie chciałam niczego zrobić — załkała. — To nie była moja wina. Nie skrzywdziłabym Taga, nigdy nie zrobiłabym mu krzywdy...

Teri uśmiechając się w ciemnościach, pogładziła Melissę delikatnie po włosach. — Już dobrze — powiedziała jak do dziecka. — Jestem przy tobie i nie pozwolę, żeby zrobili ci krzywdę. Coś wymyślę, zobaczysz. Wydostanę cię z tego. Poza tym — dodała, zniżając głos — przecież tak naprawdę to nie ty to zrobiłaś, prawda? Melissa, dusząc się od łez, uniosła głowę i spojrzała zdumiona na Teri.

— Nie rozumiesz? — spytała starsza siostra. — To wcale nie byłaś ty. To była D'Arcy.

I nagle w skołatany umyśle dziewczyny wszystko złożyło się w jedną całość i zrozumiała, co się stało.

D'Arcy przysła do niej jeszcze raz, przysła do niej wtedy, gdy spała.

Przysła i poddała ją swej władzy.

I tym razem, kiedy spała i tak jej ufała, D'Arcy zabiła jej najlepszego przyjaciela.

Wstrząsnął nią znowu bolesny spazm i ukryła się w objęciach Teri.

Wszystko będzie dobrze. Teri była z nią. Teri wszystkiemu zaradzi.

Teri ją ocali.

Rozdział 24

Cora poruszyła się niespokojnie w fotelu i zamrugła oczami. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje, lecz po chwili

uświadomiła sobie. Siedziała do późna w nocy, czekając na Taga i wtedy pewnie musiała zasnąć. Na jej kolanach spoczywała otwarta książka, a mały salonik rozświetlała jedynie stojąca za fotelem lampa, którą gospodyni zapaliła, gdy zaczęło zmierzchać.

Była zdrętwiała i od siedzenia w fotelu bolały ją stawy. Zaczęła rozprostowywać obolałe kończyny i otrząsać się z resztek snu. Wreszcie spojrzała na zegarek.

Była pierwsza w nocy. Musiała spać prawie cztery go-

Wstała z wysiłkiem i ruszyła w kierunku schodów, lecz nagle przystanęła.

Dom wyglądał na pusty. Była prawie pewna, że Tag jeszcze nie wrócił.

Na miejscu trudnego do określenia niepokoju, który narastał w niej cały wieczór, pojawił się strach. Tag nigdy nie wracał do domu tak późno i nigdy nie wychodził na dłużej, nie mówiąc wcześniej, dokąd idzie. A poza tym, gdyby wrócił, zobaczyłby ją przecież śpiącą w fotelu i obudziłby ją.

A może nie — powiedziała sobie, nie chcąc poddać się lękowi, który zaczął już wypełzać z zakamarków jej jaźni. Może zobaczył mnie i po prostu nie chciał mnie budzić.

Poszła na górę, trzymając się za lewe biodra. Z każdym krokiem promieniował z niego dotkliwy ból aż do stop. Pomyślała, że może już czas na to, by przenieść swoją sypialnię na dół. Mogłaby wykorzystać na to małą jadalnię, z której i tak nie korzystali z Tagiem. Skończyłyby się wtedy kłopoty ze schodami. Pozostałyby niestety schody w domu państwa Holloway.

Doszła na piętro i poszukała wyłącznika, lecz zanim światło zalało korytarz, oślepiając ją na chwilę, wiedziała już, że Taga nie ma.

Drzwi do jego pokoju były otwarte, tak jak je zostawiła parę godzin temu. Poszła jednak dalej i sprawdziła obie sypialnie i łazienkę.

Zeszła na dół i skierowała się od razu do kuchni. Postawiła na piecu czajnik z wodą, by zrobić sobie filiżankę kawy. Czekając na to, aż się zagotuje, próbowała zdecydować, co dalej powinna zrobić.

W pierwszym odruchu chciała pójść i obudzić pana Char-lesa. Ale uświadomiła sobie natychmiast, że budząc go, obudziłaby równocześnie Phyllis i już widziała oczyma wyobraźni wyraz jej twarzy i słyszała jej słowa: „Obudziłaś nas tylko dlatego, że Tag nie wrócił na noc do domu? No wiesz co, Coro! Nie pojmuję, jak możesz być tak nietaktowna. Miałam taki ciężki dzień, a ty...”

I trajkotałaby cały czas, aż w końcu pan Charles włożyłby szlafrok i razem zeszliby na dół. Ale nazajutrz Phyllis byłaby wciąż wściekła za to, że ją obudzono, i nie wyładowałaby swej złości jedynie na Corze.

Dostałoby się także Melissie.

Nie, rozmowa z panem Charlesem będzie musiała poczekać do rana. No a policja? Uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie ich reakcję. Pomyśleliby, że głupieje na starość, donosząc o zniknięciu nastolatka, kiedy nie ma go zaledwie parę godzin, a poza tym jest dopiero pierwsza w nocy.

A może rzeczywiście będą mieli rację. Może naprawdę nie ma żadnego powodu do zmartwienia? W końcu ileż to nocy nie było poza domem ojca Taga, kiedy był w jego wieku?

Tak często się to zdarzało, że nie pamięta ile razy. A przecież zawsze wracał w końcu do domu — jeżeli słowo „wracał” jest tu odpowiednie. Był najczęściej tak pijany, że ledwie trzymał się na nogach.

Czajnik zaczął gwizdać, więc wsypała łyżeczkę neski do kubka i zalała wrzątkiem. Może działo się tak, bo chłopiec zaczął dorastać — pomyślała. — Może powiedział sobie, że w końcu nadeszła

pora, aby trochę použíwać życia?

Ale kiedy próbowała przekonać samą siebie do swoich domysłów, wiedziała, że nie mogą być prawdziwe. Tag nigdy, ani teraz, ani kiedykolwiek w przeszłości nie był podobny do swego ojca.

Zamieszała kawę i upiła mały łyżeczek, krzywiąc przy tym usta, bo wrzątek parzył jej wargi.

Wzięła z sobą kubek i wróciła do saloniku. Po raz pierwszy od piętnastu lat była w domu zupełnie sama i nagle zaczęło ją ogarniać dziwne uczucie.

Czuła, że jest samotna. Samotna i bezbronna.

Rozejrzała się niespokojnie dookoła. Czarne kwadraty okien wydawały się spoglądać na nią, poczuła gęsią skórkę i wydało jej się, że z zewnątrz obserwują ją czyjeś oczy. Odstawiła kubek i podchodząc po kolei do każdego z okien, zaciągnęła zasłony. Spojrzała na leżące w palenisku kominka drewno i pomyślała przez chwilę, czy by nie rozpaścić ognia. Lecz była przecież połowa lata i nawet noce były ciepłe. Trzaskające w kominku drwa na pewno wprawiłyby ją w lepszy nastrój, ale upał stałby się wkrótce nie do zniesienia.

Wróciła na fotel i wzięła raz jeszcze do ręki książkę. Może jak skoncentruje się na lekturze, odpędzi złe myśli. Ale im usilniej starała się skupić wzrok na literach, tym bardziej była świadoma panującej w domu pustki.

Miała dziwne przeczucie, że i na zewnątrz dzieje się coś niezwykłego.

Próbowała uspokoić samą siebie i powiedzieć sobie, że to jedynie gra jej wyobraźni, ale im bardziej starała się ignorować niepokój, tym był on większy.

— Jesteś starą, głupią babą — zamruczała do siebie,

wstając jeszcze raz z fotela. — Wymyśliłaś sobie to wszyst-ko, a teraz przestraszysz śmiertelnie samą siebie, wyobrażając sobie rzeczy, które wcale nie ma.

Lecz wbrew swym własnym słowom, podeszła do frontowych drzwi, zapaliła światło i wyszła na werandę.

Jeśli coś było nie tak — szeptał jej jakiś wewnętrzny głos — to z całą pewnością musiało chodzić o Taga.

Teri wpatrywała się w Melissę stojącą w bladym świetle księżycy, wlewającym się przez drzwi szopy. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy i wpatrywała się w zwłoki leżące pod podłogą. Już nie płakała i odkąd zduszonym głosem poprosiła D'Arcy o to, by przyszła jej z pomocą, ogarnął ją dziwny spokój.

Wtedy Teri zrozumiała wszystko. Powtarzała się ta sama sytuacja, która miała miejsce tej nocy, gdy znalazła Melissę przywiązaną do łóżka i wpatrzoną szeroko otwartymi oczami w sufit. Teraz było tak samo. Własna osobowość dziewczyny

zamknęła się jak ślimak w skorupie, a na jej miejsce pojawiła się przyjaciółka, wytwór jej wyobraźni, która miała ją chronić przed brutalnością otaczającej ją rzeczywistości.

Wszystko poszło jak z płatka.

Nawet lepiej, niż się spodziewała.

Nagle gdzieś zapaliło się światło. Na werandzie Cory! Rozświetliło ciemność i Teri schowała się w cieniu szopy błyskawicznie gasząc latarkę. Po chwili ujrzała ciemną sylwetkę, odcinającą się od jasno oświetlonej ściany domu.

To była Cora, jeszcze nie spała, wciąż czekając na Taga. Gdyby tu przyszła...

Ale wszystko było w porządku. Cora miała chyba zamiar pójść w drugą stronę i obejść dom dokoła.

— Melissa, wytrzymaj maczetę — wyszeptała na tyle głośno, na ile mogła.

Melissa stała nieruchomo na swoim miejscu, jak gdyby w ogóle nie usłyszała słów Teri. Wtedy Teri przypomniała sobie, co ma powiedzieć.

— D'Arcy? — spytała. Melissa poruszyła lekko głową i jej dziwnie spoglądające, nieobecne oczy spoczęły na Teri. — Chcesz pomóc Melissie prawda? Przecież po to tu jesteś.

Melissa przytaknęła wolno głową.

— No to wytrzymaj maczetę — wyszeptała znowu Teri. - Weź ją i zetrzyj krew z ostrza.

Obserwowała, jak Melissa posłusznie wyciąga rękę, ujmuje w swą dłoń narzędzie i starą, leżącą w kącie szopy szmę wyciera krew.

— Dobrze — wyszeptała Teri. — Teraz wrzuć szmatę do dziury.

Melissa, poruszając się cały czas jak automat, rzuciła szmatę na ciało Taga.

— A teraz pomóż mi — ciągnęła dalej Teri. — Musimy położyć z powrotem deski. Chwyć za koniec jednej z nich i połóż ją na swoje miejsce, a Melissa, stojąca z drugiej strony, powtórzyła w milczeniu dokładnie jej ruchy. Po chwili wszystkie deski były już na swoim miejscu, dziura w podłodze zniknęła, a maczeta stała, jak przedtem, oparta o ścianę szopy.

— Musisz teraz wrócić do domu, D'Arcy — powiedziała szeptem Teri. Rzuciła okiem na światło, palące się wciąż na werandzie domu Cory, ale nigdzie nie dostrzegła gospodyni. — Musisz zabrać Melissę i położyć ją z powrotem do łóżka.

— Przyrodnia siostra nie odezwała się ani słowem, tylko posłusznie, po raz kolejny, skinęła głową. — Idź wokół łaźni, tak żeby ktoś, kto cię przypadkiem zobaczy, nie wiedział, skąd idziesz.

Wbiła jeszcze raz wzrok w ciemność, szukając, czy gdzieś nie dostrzeże Cory, a następnie Wypchnęła delikatnie Melissę przez drzwi. Melissa, patrząc wciąż tępo przed siebie, ruszyła w stronę łaźni.

Teri natomiast, sprawdzwszy jeszcze raz szopę, pobiegła wokół garażu i kryjąc się w głębokim cieniu otaczającym główny budynek, przez taras weszła do środka i zamknęła za sobą na klucz ogromne drzwi.

Cora obeszła dom, nie zauważywszy niczego podejrzanego przykuł jakiś ruch koło basenu. Osłoniła ręką oczy przed

oślepiającym ją światłem z werandy, ale niewiele to pomogło, więc weszła do środka i zgasiła je. Po chwili jej wzrok przyzwyczał się do ciemności i dostrzegła wyłaniającą się z mroku postać.

Ubrana na biało, szła wolno w stronę kuchennych drzwi domu.

Cora westchnęła, przypominając sobie natychmiast wszystkie usłyszane historie o D'Arcy. Lecz po chwili zaczęła chłodno myśleć i była pewna, że wie, kim jest tajemnicza zjawka w bieli.

Nie zapalając światła na werandzie, zeszła po schodkach w dół, przemierzyła szybko trawnik i już wolniejszym krokiem przybliżyła się do ubranej na biało postaci. Widziała ją

teraz wyraźnie i pokiwała głową ze zrozumieniem, widząc, że jej przypuszczenia były słuszne. Była to Melissa. Kroczyła w stronę domu z szeroko otwartymi oczyma i z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż ciała.

Szła, lecz równocześnie była pogrążona w głębokim śnie.

Cora przypomniała sobie to, co jej mówiono, kiedy odkryto, że Melissa chodzi we śnie.

— Lekarz mówi, że najważniejsze jest, żeby jej nie przestraszyć — powiedział wtedy Charles. — Prawdopodobnie to się już nigdy nie powtórzy, ale gdyby przytrafiło ci się coś takiego, staraj się jej nie zbudzić. Może też obudzić się sama i w takim wypadku powiedz jej, że wszystko w porządku, wytłumacz jej, co się stało, i zaprowadź z powrotem do łóżka. Ale całkiem możliwe, że uda ci się położyć ją z powrotem bez budzenia jej. Wystarczy, jak będziesz mówić do niej łagodnie i spokojnie i starać się zaprowadzić ją do sypialni.

Zaczerpnąwszy tchu, Cora zrównała się z Melissa i ujęła ją za ramię. — W porządku, kochanie — wyszeptwała. — Cora jest z tobą i zaprowadzi cię z powrotem do pokoju.

Zwolniła jeszcze bardziej, dostosowując się do lunatycznego kroku Melissy, i zatrzymała ją na chwilę na tylnej werandzie, szukając w kieszeni klucza do drzwi. Otworzyła je, wprowadziła dziewczynę do środka i już miała sięgnąć ręką do wyłącznika, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili, uprzytomniwszy sobie, że ostry blask światła z kuchni na pewno obudziłby ją i przestraszył.

Mimo ciemności orientowała się doskonale w rozkładzie domu i poprowadziła dziewczynę przez kuchnię do pokoju, gdzie trzymano zastawę.

— Bardzo dobrze — powiedziała łagodnym głosem. — Teraz jeszcze jadalnia, a potem schodami na górę.

Minęły duży stół, przeszły do holu i ruszyły schodami na górę. Kiedy dotarły na pierwsze piętro, Melissa przystanęła, po czym ruszyła w przeciwną stronę niż ta, po której znajdował się jej pokój. Cora uniosła zdumiona brwi, ale po chwili zrozumiała, dokąd kieruje się dziewczyna.

Na strych.

Melissa, tak jak robiła to wielokrotnie przedtem, kiedy chodziła we śnie, udawała się do niewielkiego pokoiku wciśniętego pod dach strychu.

— Nie, kochanie — wyszeptwała Cora. — Nie dzisiaj. Obeszła ją, stając jej na

drodze, a Melissa spojrzała na nią pustymi oczyma. Kiedy Cora obróciła ją o sto osiemdziesiąt stopni, w oczach dziewczyny pojawiło się zdziwienie.

— Już dobrze — powiedziała Cora. — Już jesteś w domu, bezpieczna i nic złego ci się nie stanie.

Wargi dziewczyny poruszyły się i wydobyło się z nich led-

— Tak - wyszeptwała Cora. — Jesteś absolutnie bezpieczna. Mama śpi i nikt nie wie, co się stało.

Melissa westchnęła i zamknęła oczy. Przez chwilę stała nieruchomo, aż nagle kolana się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę. Otworzyła oczy i kiedy Cora spojrzała na oświetloną bladym światłem żarówki twarz dziewczyny, dostrzegła w nich trwożę.

- Coro? - wyjąkała Melissa. Jej wzrok biegał gorącz-

kowo po korytarzu i przypominała teraz ścigane zwierzę, wypatrujące czającego się gdzieś drapieżnika. Przez chwilę nie wiedziała zupełnie, gdzie się znajduje, i nagle do jej pamięci napłynęły falą obrazy. Widziała siebie, jak stoi w szopie, zagląda w dziurę w podłodze i widzi coś przerażającego.

Zdusiła szloch. Co się naprawdę stało? Co robiła teraz na korytarzu?

Dlaczego była z nią Cora?

Jak się tu dostała?

Wpatrywała się w milczeniu w gospodynię.

— Już dobrze, kochanie — odezwała się do niej Cora, pomagając jej podnieść się z podłogi i myśląc gorączkowo. Widziała wyraźnie, jak przerażona jest Melissa. Gdyby spała jeszcze minutkę dłużej, udałoby się zaprowadzić ją bezpiecznie do łóżka.

— Gdzie... gdzie ja... jak się tu dostałam?

— Sza, dziecino — odezwała się Cora, wciąż myśląc, co powinna dalej zrobić, i nie chcąc jeszcze bardziej jej przestraszyć. — Wszystko w porządku. Nie mogłam zasnąć i pomyślałam, że napiję się trochę ciepłego mleka. I popatrz tylko, przyszłam do kuchni, napiłam się i usłyszałam, jak chodzisz po domu. — Zmusiła się do tego, by roześmiać się cicho. — Boże drogi, tak hałasowałaś, że obudziłaś umarłego. Ale mama cię nie usłyszała, a więc wszystko w porządku.

Zaprowadzimy cię teraz do łóżka, dobrze? A może wolałabyś zejść na dół, razem ze mną? Mogłybyśmy razem napić się mleka. — Wiedziała, że trajkocze jak katarynka, zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby Melissa zastanowiła się przez chwilę, jej słowa wydałyby się jej pozbawione sensu. Ale kiedy tak na nią spoglądała, nie była nawet pewna, czy dziewczyna słyszała to, co do niej mówi. Patrzała zdziwiona pełnymi łęku oczami, jak gdyby wciąż starała się zrozumieć, co się stało.

— Chodziłaś znowu we śnie, kochanie — powiedziała Cora, ujmując ją delikatnie za rękę i prowadząc do pokoju. — Wydawało mi się że znowu chcesz pójść na strych. Ale już wszystko w porządku. Zatrzymałam cię w porę i nikt się o tym nie dowie. Chodź, położymy cię z powrotem do łóżka, Stały teraz przed drzwiami jej sypialni i nagle Melissa

zmartwiła. Suknia.

Razem z Teri zostawiły poplamioną krwią suknię na podłodze w sypialni. Jeśli Cora ją zobaczy...

Cora otworzyła drzwi i zapaliła światło, a wzrok dziewczyny powędrował natychmiast ku miejscu, w którym leżała

suknia w chwili, gdy wychodziły z pokoju. Nie było jej tam.

Poruszając się jak automat, pozwoliła Corze zaprowadzić

się do łóżka i zdjąć z siebie szlafrok. Nie była Świadoma prawie wcale tego, co się wokół niej działo, jej umysł wirował. Czuła, jak gospodyni przykrywą ją kołdry. -

Tak... -Usłyszała szeptem wypowiedane słowa. — Już z powrotem w łóżku,

bezpieczna. — Poczwała, jak wargi gospodyni musnęły jej policzek, a palce

pogładziły delikatnie jej brwi. — A teraz śpij sobie — powiedziała Cora. —

Wszystko jest w porządku.

W parę minut po wyjściu Cory Melissa wstała i łóżka i podeszła do okna. Na zewnątrz dostrzegła majaczący w ciemnościach i wyłaniający się zza garażu róg szopy.

Czy rzeczywiście była tam? A moVzeto wszystko było jedynie snem?

Nie. Pamięć tego, co się wydarzyło była zbyt żywa i zbyt wyrazista. Razem z

Teri... Teri.

Teri poszła tam razem z nią. To Teri musiała sprzątnąć

suknię.

Ale w jej pamięci wciąż była luka od momentu w którym ujrzała ten przerażający widok, pod podłogą w szopie i w któ-rym zawołała swoją przyjaciółkę D'Arcy, aby przysłała jej z pomocą, aż do chwili gdy obudzia się na korytarza w domu.

Nic, pustka w głowie, tak jakby anic się wtedy nie wydarzyło.

Odwróciła się od okna i wśliznęła się cicho do łazienki oddzielającej jej pokój od

pokoju Teri i zastukała delikatnie w jej drzwi. Kiedy nie usłyszała żadnej

odpowiedzi, nacisnęła klamkę i ostrożnie weszła do środka. W bladym świetle

księżycy dostrzegła niewyraźną sylwetkę śpiącej siostry, leżącej w łóżku i

przykrytej cienką kołdrą. Nieśmiało i z wahaniem podeszła cichutko do łóżka i przyklękła przy nim.

— Teri? — wyszeptwała. — Teri, śpisz? Dziewczyna milczała.

Melissa wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Przyrodnia siostra zamruczała cicho i przewróciła się na drugi bok, odwracając się do niej plecami.

Serce zaczęło jej walić jak młotem. Jak to możliwe, że Teri zasnęła tak szybko?

Zaledwie parę minut temu były obie w szopie.

Chyba że...

Westchnąwszy z przerażeniem, chwyciła ramię Teri i potrząsnęła nim z całej siły.

— Teri! — szeptała głośno. — Teri, obudź się!

Teri odwróciła się do niej i usiadła na łóżku. Zamrugowała kilka razy oczyma, po

czym mrużąc powieki, spojrzała na rysującą się w bladej poświacie księżycy sylwetkę Melissy.

— Melissa, to ty? — zapytała zaspanym głosem. — Która godzina?

— Nie wiem — wyjąkała dziewczyna.

— No a co ty tu robisz? Dlaczego nie śpisz?

Melissa spojrzała na nią zdumiona. — Suknia — powiedziała drżącym głosem. — Co zrobiłaś z suknią?

Teri wyciągnęła rękę i zapaliła stojącą na nocnym stoliku lampę. Blask żarówki oślepił Melissę na chwilę, lecz po kilku sekundach jej oczy przyzwyczyły się do światła i przyjrzała się badawczo twarzy Teri.

Jej przyrodnia siostra patrzyła na nią zdziwiona. — Jaka suknią? O czym ty mówisz?

Melissę ogarnęło przerażenie. To niemożliwe! To nie mógł być sen. W żadnym wypadku! — Ta biała suknia — wyszeptwała. — Ta ze strychu, którą włożyłam na bal. Była

dzisiaj w moim pokoju!

Teri zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. — Niemożliwe — powiedziała. — Wyrzuciłam ją jeszcze tej samej nocy, kiedy zdarzył się wypadek.

— Nie mogłaś tego zrobić — upierała się Melissa. — Nie pamiętasz? Sama ją dzisiaj widziałas. Potem poszliśmy razem do szopy.

Teri zmarszczyła jeszcze bardziej brwi. — Melissa, o czym ty mówisz? Poszliśmy razem do szopy? Kiedy?

Do oczu dziewczyny napłynęły łzy. — Przecież to było dosłownie przed chwilą. Znalazłyśmy tam Taga. D'Arcy... D'Arcy zrobiła mu coś złego.

Teri potrząsnęła po raz kolejny głową. — Melissa, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Powiedz mi po prostu, co się stało.

Melissa, zdławionym od płaczu głosem opowiedziała, na tyle na ile była w stanie, całą historię. — Ale po tym jak zobaczyłam Taga — dokończyła — niczego już nie pamiętam. To co pamiętam zaraz potem, to jak się obudziłam, tu, na korytarzu. Cora powiedziała, że szłam na strych.

Teri jęknęła i opadła plecami na poduszkę. — Melissa, na miłość boską, kiedy ty wreszcie dorośniesz? Melissa cofnęła się. — Ale przecież... — To był tylko zły sen — oświadczyła Teri. — Czy ty tego nie rozumiesz? Miałaś jakiś koszmar, zaczęłaś chodzić we śnie i wtedy znalazła cię Cora.

— Ale to nie był żaden sen! — trwała dalej przy swoim Melissa. — Przecież ty byłaś tam ze mną!

Teri pokiwała przecząco głową. — Nigdzie nie byłam. Poszłam spać zaraz po dziesiątej i od tamtej pory nie wstawałam z łóżka.

Jej usta wykrzywił drwiący uśmiezek. — Jeśli nie potrafisz odróżnić snu od jawy, to może oni naprawdę mają rację, kiedy mówią, że z tobą jest coś nie tak. A teraz wracaj do łóżka i daj mi spać, dobra? — Nie czekając na odpowiedź, zgasiła światło, odwróciła się na drugi bok i zakryła kołdrą głowę.

Lecz kiedy tylko Melissa wyszła z pokoju, Teri podskoczyła na łóżku, opadła plecami na poduszki i zakryła dłonią usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

Byłaby to ostatnia rzecz, którą powinna była usłyszeć w tej chwili jej siostra.

Rozdział 25

— Melisiu, kochanie, pora wstawać.

Charles Holloway potrząsnął delikatnie córką, a ta obróciła się w jego stronę, otworzyła oczy, po czym natychmiast je zmrużyła, oślepiona ostrym blaskiem słońca, wlewającym się przez okno do pokoju.

— Tatusiu, to ty? — spytała. — Która godzina?

— Dziewiąta, kochanie — odpowiedział ojciec, siadając na skraju łóżka i ujmując w swoje ręce dłoń córki. — Muszą wracać do Nowego Jorku, ale nie chciałem wyjeżdżać bez pożegnania z tobą.

Przed oczami rozbudzonej jut zupełnie Melissy stanęły obrazy z ubiegłej nocy i nie docierało do niej prawie wcale to, co mówił ojciec. Przebiegł ją dreszcz, usiadła i opłótła ramionami jego szyję.

— Nie — powiedziała błagalnym tonem. — Kie wyjeżdżaj. Proszę!

Charles przytulił ją do siebie, lecz po chwili wyzwolił się delikatnie z jej objęć. — Nie trzeba zaraz tak się martwić — powiedział. — To tylko jeden dzień. Muszą załatwić parę spraw, a wieczorem jestem z powrotem. — Uśmiechnął się do niej, żeby jej dodać otuchy. — To tylko parą godzin, Dolecą tam, pójdę na lunch, omówię parę spraw i przylatują z powrotem. Jeśli nie wyjdę za chwilę, ucieknij mi samolot.

Zgoda?

Umysł Melissy ciągle wypełniały przerażające nocne wizje i dziewczyna znieruchomiła na chwilę. Chciała powiedzieć ojcu, co się stało, i prosić go, żeby poszedł z nią natychmiast do szopy i odsłonił deski.

Lecz w tym momencie przypomniała sobie tę noc, w którą widziała psa, wiszącego na strychu, i tę, w którą stojąca na szczycie schodów D'Arcy rzuciła jej pod nogi swą rękę.

W obu tych wypadkach, gdy prosiła jedno z rodziców, żeby poszło i zobaczyło to razem z nią, okazywało się, że tam niczego nie było.

A pamięć tego, co wtedy widziała, była równie żywa jak wspomnienie ciała Taga, skąpanego w bladej poświacie księżyca, przeświecającej przez drzwi szopy.

Czy to możliwe, że to był tylko przerażający koszmar?

Z pewnością tak, skoro następną rzeczą, jaką pamiętała po tym, jak zobaczyła leżące w dziurze pod podłogą poszła-datowane zwłoki, było to, jak się obudziła w domu na korytarzu.

Zaledwie parę metrów od swego pokoju.

I doskonale pamięta słowa Cory: „Znowu chodziłaś we

śnie, kochanie. Chyba chciałaś pójść na strych".

Cora była wtedy w domu, na dole. Gdyby rzeczywiście wyszła na zewnątrz, czy gospodyni nie zauważyłaby jej, jak wraca?

To na pewno musiał być zły sen.

— Ale wrócisz na noc? — spytała drżącym głosem.

— Oczywiście — zapewnił ją ojciec. — Powiedziałem naszemu lekarzowi, że będę dłużej w Maplecrest właśnie po to, by być z tobą, i chcę to zrobić. Ale nie mogę opuścić tego lunchu. Rozumiesz mnie. prawda?

Melissa zdobyła się na niepewne skinienie, lecz gdy ojciec wstał, uczepliła się kurczowo jego dłoni.

— Ja... ja dzisiaj miałam jeszcze jeden koszmar, tatusiu — wyszeptała.

Charles zawahał się przez chwilę, wreszcie usiadł z powrotem na łóżku.

— Jeszcze jeden?

— Śniło mi się, że Tag nie żyje — zaczęła drżącym głosem, spoglądając oczami wilgotnymi od łez. — On...

Charles otoczył jeszcze raz ramionami córkę i kołysał ją przez chwilę na swej piersi. — Sza... — powiedział łagodnie. — To byt tylko sen, Melisiu. Jestem pewien, że nic mu się nie stało.

Melissa cofnęła się i westchnęła przestraszona, spoglądając zalęknionym wzrokiem na ojca.

— Nie ma go? — spytała.

Charles pożałował natychmiast swoich słów.

— Wyszedł gdzieś wczoraj po południu — przyznał niechętnie — i do tej pory jeszcze nie wrócił.

Z ust Melissy wydobył się urwany jęk. — A co by było, gdyby... — zaczęła, lecz ojciec położył jej palec na ustach.

— Dałabyś już z tym spokój — powiedział. — Śnił ci się jakiś koszmar i to wszystko. Na pogrzebie Jeffa byłaś trochę roztrzęsiona, pamiętasz? Żałuję, że w ogóle pozwoliłem ci zajrzeć do trumny. Boże drogi, spoglądanie w twarz zmarłym to strasznie barbarzyński obyczaj i nie rozumiem, dlaczego ludzie jeszcze temu hołdują. Pamiętam sny, jakie mnie dręczyły, kiedy byłem w twoim wieku i musiałem spojrzeć na babkę nieboszczkę. Przez cały następny tydzień budziłem się co noc, pewien, że ją właśnie zobaczyłem. Była martwa, ale miała otwarte oczy i spoglądała na mnie tymi oczami. Ot tak, po prostu patrzyła, jak gdybym jej coś zrobił. I to samo przydarzyło się tobie. Widziałaś wczoraj ciało Jeffa, a w twoim śnie przemieniło się w ciało Taga. Ale to przecież był tylko sen, kochanie. — Spojrzał jej głęboko w oczy i zniżył głos. — Musisz zacząć odróżniać to, co dzieje się naprawdę, od tego, co jest jedynie wymysłem twojej wyobraźni. Sny to tylko sny — nic więcej. Może i niektóre z nich coś znaczą, ale to wcale nie powód, by sądzić, że istnieją naprawdę.

Podniósł się z łóżka i uśmiechnął czule do córki.

— Wiesz co — powiedział. — A może byś tak została dzisiaj na cały dzień w łóżku i dała sobie spokój z tym wszystkim? A kiedy wrócę do domu, to spędzimy razem cały wieczór. Tylko ty i ja. Pójdziemy gdzieś do restauracji, a potem

może do kina, co? Dobry pomysł?

Melissa przytaknęła machinalnie, bo myślami była zupełnie gdzie indziej.

Jeśli Tag zniknął...

Nie — powiedziała sobie — to był tylko koszmarny sen. Lecz chociaż starała się ze wszystkich sił przekonać samą siebie, wiedziała, że sama nie wierzy w to, co mówi.

Godzinę później leżała wciąż w łóżku, gdy usłyszała znajomy chrzęst żwiru na podjeździe. To Cora wyjeżdżała swoim samochodem spod wiaty za domem i udawała się do miasteczka. Jeszcze przed chwilą przyniosła jej na górę śniadanie, lecz taca z jedzeniem stała nietknięta na toalecie. Zapytała ją o Taga, lecz chociaż Cora starała się zapewnić ją, że chłopak będzie lada chwila z powrotem, Melissa widziała wyraźnie, że gospodyni nie wierzy własnym słowom. Zaczęła jej mówić o tym, co jej się śniło, lecz Cora nie chciała jej słuchać.

— Nie chcę, żebyś w ogóle o tym mówiła — powiedziała. — Musisz zapomnieć o snach. Jeśli pozwolisz, żeby cię zaprzętały do tego stopnia, to będziesz o nich myśleć bez końca. To cię może po prostu opętać, ot t co. — Trajkotała dalej, lecz Melissa już jej nie słuchała. Nie mogła zmusić się do tego, żeby przestać myśleć o przerażających scenach, które oglądała zeszłej nocy.

Dom był teraz zupełnie pusty, bo mama i Teri poszły do klubu grać w tenisa.

Wstała z łóżka, włożyła dżinsy i swoją ulubioną koszulkę — tę, którą dał jej Tag, a na nogi włożyła znoszone adidas. Chociaż nie miała apetytu, zmusiła się do tego, żeby wypić szklankę soku pomarańczowego, przynie-sionego jej przez Corę, po czym wzięła taca i zaniósła ją na dół.

Dziwna cisza, panująca w całym domu i przytłaczająca ją pustka sprawiały, że dziewczyna chciała uciec na zewnątrz.

Zabrała się do zmywania naczyń, ale ledwie napuściła wody do zlewu, wiedziała, że dłużej tego nie wytrzyma.

Musiała pójść do szopy i sprawdzić wszystko na własne oczy. Jeśli to, co wydarzyło się w nocy, było jedynie koszmarnym snem, to przynajmniej powinna o tym wiedzieć i wreszcie uwolnić się od paraliżującego lęku, który trzymał ją w swoich szponach od chwili, gdy się obudziła.

A jeśli to nie był koszmar...

Odsunęła od siebie tę myśl.

Zostawiając zlew do połowy wypełniony wodą, a w nim brudne naczynia, otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na werandę, w blask słońca, lecz nawet ciepło poranka nie roztopiło od środka jej lodowatego strachu.

Przeszła przez taras i minęła basen, powtarzając bezwiednie trasę, którą przebyła zeszłej nocy, kiedy to zapadła w sen, ukołysana przez D'Arcy.

Gdy dotarła do szopy i spostrzegła, że drzwi są wyłamane, ogarnął ją niepokój.

Poczuła, jak drżą jej kolana, i przez chwilę była gotowa zawrócić. Lecz wiedziała, że nie może tego zrobić.

Musiała znać prawdę.

Zmusiła się do tego, by zrobić jeszcze kilka kroków w przód i wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była maczeta, której ostrze

błyszczało w ostrych promieniach porannego słońca.
Jej wzrok spoczął na narzędziu; zaklinała je w myślach, żeby zniknęło, żeby
powróciło na swoje stare miejsce pod ścianą w garażu.
Ale maczeta była właśnie tu i oskarżała ją w milczeniu.
W tej chwili poczuła dziwną woń.
Gdy słodkawy zapach rozkładających się zwłok uderzył jej nozdrza, a płuca
wypełnił trupi odór, obrazy drżące w jej pamięci zalały umysł z nową siłą.
Drżącymi rękami sięgnęła i uniosła jedną z desek.
Kiedy zobaczyła, co kryło się pod spodem, zakręciło jej się w głowie.
Zwłoki Taga obsiadły roje much i gdy uniosła deskę, kłębiąca się czarna chmura
owadów poderwała się gwałtownie do góry. Pod muchami, w ranach Taga,
dostrzegła wijące się i pełzające robaki.
Ten przerażający widok wywołał w niej mdłości i zaczęła wymiotować. Przestała
być świadoma tego, co się z nią dzieje, i jej umysł — jak napięta zbyt mocno struna
— pękł na dwie połowy.
Zawołała bezgłośnie o pomoc, zawołała jedyną osobę, która jej nigdy nie zawiodła,
nigdy nie opuściła: Pomóż mi,
D'Arcy, błagam cię, pomóż mi!
Poczuła, jak wkoło niej zamyka się znajoma ciemność,
czuła, jak obrazy, których już dłużej nie mogła znieść, zaczynają znikać i
rozpływać się. Sen.
Musiała natychmiast zasnąć.
I tym razem pragnęła się już nigdy nie obudzić.
Tym razem chciała jedynie pogrążyć się w tej ciemnej otchłani i pozostać na
zawsze w łagodnym mroku wyrozumiałego i dobrego snu.
Nie było przy niej w tej chwili nikogo, kto mógłby być świadkiem tego, jak się
przemienia, kogoś, kto mógłby ujrzyć, jak znowu ujawnia się w niej osobowość
D'Arcy, po raz pierwszy za dnia.
Jej oczy, które jeszcze przed chwilą zacisnęła mocno, by nie doświadczać
budzącego grozę widoku, otworzyły się znowu i spoglądały nieruchomo,
niemalże ciekawie na leżące przed nią zwłoki.
W jej świadomości pojawiły się słowa Teri, słowa, którą jej pamięć odnotowała
jako wypowiedziane zaledwie przed chwilą; „To przecież nie ty to zrobiłaś,
prawda?”
Dlaczego była koło szopy?
Przecież wróciła już do domu.
Wróciła do domu, żeby położyć Meliaaa do łóżka.
Widocznie ktoś ją musiał tu przysłać.
Ktoś z nią rozmawiał i Melissa usłyszała to i obudziła się.
A teraz była z powrotem w szopie, Teri nie było przy
niej, a zamiast nocy był dzień.
Spojrzała raz jeszcze na leżące pod podłogą ciało. Czy zrobiła to Melissa?
Tego nie wiedziała. Ale przecież tak naprawdę nigdy nie wiedziała, dlaczego
Melissa znajdowała się w opałach. Jedyne co wiedziała, to to, że kiedy ją karano,

jej obowiązkiem było przyjść i zaopiekować się nią.

A jeśli Melissa to zrobiła, to z całą pewnością zostanie ukarana.

D'Arcy dobrze wiedziała, co to znaczy.

Odwróciła się od ziewającej w podłodze dziury i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Przeszła przez kuchnię, nie zwracając w ogóle uwagi na leżące w zlewie brudne naczynia i schodami dla służby zaczęła wspinać się szybko na pierwsze piętro.

Wyszła na końcu korytarza w skrzydle dla gości i skierowała się do sypialni rodziców. Otworzyła drzwi, weszła do środka i poszła od razu do cedrowej komody stojącej w pokoju z ubraniami ojca. Na dnie trzeciej szuflady, ukryte głęboko pod stertą swetrów leżało to, czego szukała.

Potem udała się do pokoju Melissy, weszła do środka i przygotowała łóżko do snu. Następnie do jego ramy przypięła nylonowe linki. Kiedy to zrobiła, zdjęła swoje ubranie i włożyła piżamę dziewczyny.

Położyła się, wyciągnęła nogi i zaczęła obwiązywać skórzanymi opaskami kostki. Kiedy skończyła, palcami prawej ręki zapięła kolejną opaskę na lewym przegubie. Wreszcie, nic mogąc zapiąć tej ostatniej, ścisnęła ją mocno w dłoni i wyciągnęła się na wznak.

Znowu po raz kolejny przyjmie na siebie karę Melissy.

Tom Mallory czytał formularz informacji o zaginięciu osoby, wypełniony przed chwilą przez Corę, stukając bezwładnie zakończonym gumką końcem ołówka o przednie gąby. W końcu rzucił go na biurko, poruszył się nerwowo na twardym, drewnianym krześle i spojrzał na siedzącą przed nim Corę.

— Gdyby to był ktoś inny, a nie Tag — zaczął wolno — musiałbym powiedzieć, że w przeciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin niewiele możemy zrobić.

Ale w tym wypadku naprawdę nie wiem... — Westchnął, odchylił się do tyłu i splótł dłonie na brzuchu. — Chyba muszę się z panią zgodzić. Nikomu w tym mieście przez myśl by nie przeszło, że Tag może sprawić jakiś kłopot. Nawet kiedy był małym brzdącem, był bardziej odpowiedzialny niż połowa ludzi, którzy u nas pracują.

Córa po raz pierwszy od chwili zniknięcia wnuka poczuła, jak trochę opada napięcie, które dręczyło ją do tej pory.

— Czyli że będziecie go szukać? — spytała z nadzieją w głosie.

Mallory przytaknął głową. — Każę wszystkim moim ludziom mieć oczy szeroko otwarte i zrobię odbitki tego zdjęcia. — Ujął w dłonie fotografię Taga, przyniesioną przez gospodynię. Chłopiec uśmiechał się na niej szczęśliwie z czapką baseballową na głowie, tą samą, którą Tom podarował mu zeszłego lata. Sierżant pokiwał ze smutkiem głową. — Nie rozumiem, kto mógłby chcieć wyrządzić mu krzywdę — powiedział półgłosem do siebie. — W tym mieście nie ma ani jednej osoby, która by go nie lubiła.

Cora przytaknęła.

— Właśnie dlatego nie potrafię tego zrozumieć. Kiedy pojechałam wczoraj po południu na zakupy, on właśnie robił to, co do niego należało przy domu. A kiedy

wróciłam, to po prostu jakby pod ziemię się zapadł.

Mallory westchnął. — A co z tym jego psem? Znalazł się? Cora potrząsnęła głową.

— To zupełnie co innego. Psy zawsze uciekają.

— No cóż, sądzę, że przede wszystkim powinniśmy wysłać kilku ludzi i sprawdzić łąsy wokół zatoki i może te skały na północy. Jeżeli Tag szukał psa, to może coś mu się stało. Jeśli próbował wspinać się na nie... — Przerwał widząc, jak rumiana twarz gospodyni blednie.

- Nie zrobiłby tego — powiedziała. — Wie, jak niebezpieczne są te urwiska. On...

— Ależ proszę się uspokoić, pani Peterson. Nie powiedziałem, że na pewno coś mu się stało. Wydaje mi się jednak, że najlepsza rzecz, jaka, miejmy nadzieję, się stała, to to, że spadł gdzieś i złamał nogę. A jeśli to prawda, to nic mu nie będzie. Na pewno go znajdziemy.

Lecz Cora wciąż nie była do końca przekonana i poruszyła się niespodzianie na krześle. Było coś, czego nie napisała w doniesieniu, coś, czego jeszcze nie powiedziała sierżantowi Mallory. Dręczyło ją to od wczoraj. Całą noc — a przelewała ją nie śpiąc i nasłuchując, czy nie wróci Tag — całą noc bez przerwy myślała o Teri MacIver. Ale teraz wydawało się jej... no cóż, wydawało się jej, że byłoby bardzo nieładnie z jej strony donosić na policję o rodzonej córce Charlesa Hollowaya.

Sierżant Mallory, zauważając jej nagłą rozterkę pochylił się ku niej. — Czy jest jeszcze coś, pani Peterson, co chciałaby mi pani powiedzieć?

Cora odetchnęła i zdecydowała, że jednak to powie.

— W zasadzie tak — przyznała. — Naprawdę, bardzo trudno mi o tym w ogóle wspominać. To... to chodzi o Teri. Teri MacIver.

Mallory przytaknął ze zrozumieniem.

— Śliczna młoda dama. Wygląda zupełnie jak jej matka.

— Problem polega na tym, że na pewno nie zachowuje się tak jak ona — powiedziała sztywno Cora. Teraz, kiedy już zdecydowała się poruszyć ten temat, słowa popłynęły jej wartkim strumieniem z ust. — Odkąd ta dziewczyna pojawiła się w naszym domu, nic już nie jest tak jak dawniej. Jest słodka jak cukierek, kiedy wie, że się ją obserwuje. Zachowuje się, jakby była najlepszą przyjaciółką Melissy i w ogóle. Ale ja jej nie wierzę i tak samo Blackie jej nie wierzył.

— Blackie? — powtórzył jak echo Mallory.

Cora przytaknęła skwapliwie głową. — Kiedy ją tylko po raz pierwszy zobaczył, zaraz się cofnął. Och, próbowała go do siebie przekonać, ale zawsze na nią warczał. Pies umie poznać się na ludziach, pan dobrze o tym wie. Jeśli pies kogoś nie lubi...

— Przerwała, uświadamiając sobie, że zaczyna mówić trochę nieskładnie. —

Krótko mówiąc, Tag widział ją, jak kiedyś kopnęła psa. I odkąd się pojawiła w naszym domu, Melissa miała coraz więcej problemów: chodzenie we śnie, koszmary. Potrząsnęła głową i cmoknęła ze współczuciem. — Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że Teri w jakiś sposób wyrządza jej krzywdę. Ja...

Mallory uniósł dłoń. — Chwileczkę — powiedział. — Czy powiedziała pani, że Melissa chodzi czasem we śnie?

Cora przerwała zmieszana. Nie chciała tego powiedzieć. Nie chciała w ogóle o tym

wszystkim mówić. Ale teraz, kiedy już się wygadała, nie mogła tego cofnąć.

Przytaknęła Z ociąganiem głowy.

Sierżant zmarszczył brwi. — Dlaczego nikt mi wtedy w sobotę o tym nie powiedział? — zapytał. — Może dlatego nie pamięta, że szła wtedy drogą. Wtedy, kiedy ten chłopak od Barnstable'ów miał wypadek.

Cora spojrzała niepewnie na policjanta. — Naprawdę nie wiem — powiedziała. Cofnęła się w myślach do tej nocy, kiedy Melissa, ubrana w długą białą suknię, przeszła przez kuchnię, idąc na zabawę. Teraz, kiedy myślała o tym, uświadomiła sobie, że w oczach dziewczyny rzeczywiście było coś dziwnego. Co więcej, miała takie samo, nieobecne spojrzenie dziś w nocy.

- Ale teraz, kiedy o tym myślę — ciągnęła dalej — była jakaś inna. Zachowywała się wtedy jakoś dziwnie. Pomyślałam, że ona może, wie pan, udaje tylko inną osobę, odgrywa kogoś, czyj kostium włożyła.

- W porządku — zwrócił się sierżant do gospodyni. — Powiem pani, co zrobię. Każę moim chłopcom rozejrzeć się po okolicy, a ja sam pojedę do Maplecrest. Ot tak, żeby po-rozmawiać z ludźmi, dowiedzieć się, kiedy po raz ostatni widzieli Taga, gdzie wtedy był, tego rodzaju rzeczy. I dowiedzieć się, co się dzieje z Melissa Holloway — dodał w myślach. W sobotę w nocy, kiedy rozmawiał z całą rodziną, nikt mu nie wspomniał, że Melissa czasami chodzi we śnie. Zamiast tego wszyscy, a zwłaszcza Phyllis — upierali się przy tym, że to szok wywołany wypadkiem spowodował brak pamięci.

A jeśli to było coś innego...?

Czy to możliwe, że Melissa, mimo wszystko, spowodowała wypadek, a nie była tylko jego świadkiem?

Tego nie wiedział, ale miał zamiar się dowiedzieć.

* * *

Było już prawie południe, kiedy Phyllis i Teri wróciły z klubu. Ledwie weszły do domu, Phyllis od razu skierowała się do kuchni i zacisnęła zęby ze złością, widząc, że Cora dopiero co zabrała się do przygotowania lunchu.

— No wiesz, Coro! — powiedziała. — Uprzedziłam cię, że do południa będziemy z powrotem i że chcę, żeby do tej pory lunch był gotów. Jeśli nie potrafisz zapamiętać...

— Już jest prawie gotowy — przerwała jej gospodyni, wyciągając z lodówki talerz z pokrojonym w kawałki melonem. — To potrwa najwyżej z dziesięć lub piętnaście minut. Musiałam pojechać do miasta powiadomić policję o zniknięciu Taga.

Phyllis spojrzała znacząco w sufit. — Coro! Nie ma go dopiero dwadzieścia cztery godziny. Na miłość boską, przecież to nastolatek. Wiesz, jaka jest dzisiaj młodzież! — Tag jest inny — oświadczyła gospodyni, patrząc Phyllis prosto w oczy. — A

Tom Mallory zgadza się w tym względzie ze mną. Poza tym — dodała, czując, co jej się rzadko zdarzało, rosnącą w sercu złość na widok Teri, która właśnie pojawiła się w kuchni — przyjdzie tutaj, żeby z wszystkimi porozmawiać. Będzie chciał się dowiedzieć... — Ugryzła się w język. Po co Teri ma wiedzieć, o co będzie się pytać policja? — No, będzie po prostu chciał porozmawiać z ludźmi, to wszystko.

Phyllis wzruszyła obojętnie ramionami. — Nie mamy absolutnie nic przeciwko temu, żeby z nami porozmawiał.

Ale co moglibyśmy mu powiedzieć? Nikt z nas nie ma pojęcia, dokąd poszedł Tag.

— Może tak — powiedziała Cora, wciąż spoglądając na Teri. — A może nie. — Tym razem była prawie pewna, że w jej oczach dostrzegła błysk przestachu, lecz w następnej sekundzie Teri uśmiechnęła się ciepło.

— A gdzie Melissa? Wstała już?

Cora potrząsnęła przecząco głową. — Tata powiedział jej, żeby została dzisiaj w łóżku i pewnie jeszcze śpi. Zaniośłam jej na górę śniadanie i od tej pory jeszcze jej nie widziałam. Może ktoś pomógłby mi tymczasem zrobić tu trochę porządku — dodała, wskazując znacząco głową w stronę pełnego naczyn zlewu.

Lecz Teri już wychodziła z kuchni. — Pójdę na górę i zobaczę, czy się już obudziła — krzyknęła na odchodnym.

Gdy dziewczyna znalazła się na piętrze, zastukała do drzwi pokoju Melissy, po czym weszła do środka. Jej przyrodnia siostra leżała w łóżku, z szeroko otwartymi oczyma i wpatrywała się w sufit. W tym momencie Teri zauważyła opaski.

Marszcząc czoło podeszła do łóżka, wiedząc od razu, że nie patrzy na Melissę, tylko na D'Arcy.

— D'Arcy, czy to ty? — spytała szeptem. Oczy Melissy powędrowały w stronę Teri.

— Wyszła do szopy, prawda?

Odpowiedziało jej ledwie dostrzegalne skinienie głowy.

— Wiesz, co się stało? Cisza.

W tym momencie usłyszała, jak na podjeździe zachrząś-cięły opony. Odwróciła się od łóżka i podbiegła do okna.

Spostrzegła, jak w stronę domu podjeżdża biało-czarny wóz policyjny i zatrzymuje się przed głównym wejściem, znikając jej z oczu. Zaczęła myśleć gorączkowo.

Musiała dowiedzieć się, co pamiętała D'Arcy; ile wiedziała z tego, co zdarzyło się w szopie. A kiedy się już dowie, będzie musiała wykorzystać te informacje i obrócić je przeciwko Melissie.

Wróciła pędem do łóżka i spojrzała raz jeszcze w dziwnie puste oczy siostry. —

Chcesz pomóc Melissie, prawda?

Znowu odpowiedziało jej niewyraźne skinienie.

Teri zaczęła w pośpiechu odpinać z kostek i przegubu dziewczyny skórzane opaski.

Następnie, chwyciwszy ją za ramię, posadziła na łóżku. — No to chodź —

powiedziała. — Jeśli rzeczywiście chcesz jej pomóc, ja wiem, jak możesz to zrobić. Po paru minutach obie były na strychu i Teri ubierała Melissę jeszcze raz w białą suknię.

— Musisz im powiedzieć, co zrobiłaś — szeptała łagodnym tonem. — Jeśli tego

nie zrobisz, cała wina spadnie na Melissę. Nie chcesz, żeby tak było, prawda? Melissa potrzęsnęła lekko głową.

— No to wiesz, co masz zrobić, prawda? — ciągnęła dalej łagodnie Teri, zapinając ostatni z długiego rzędu guzików znajdujących się z tyłu sukni. — Musisz przyjąć na siebie całą karę, tak żeby nikt nie winił Melissy.

Słyszała, jak ze schodów woła ją Phyllis, i pospiesznie wyjęto z jednego z kufrów perukę. Wkładając ją siostrze na głowę, uśmiechnęła się delikatnie.

— A teraz czekaj — powiedziała. — Czekaj tutaj, dopóki po ciebie nie przyjdę. Zostawiając milczącą i stojącą bez ruchu dziewczynę na strychu, zbiegła szybko na dół.

Rozdział 26

— Czy to jeszcze długo potrwa? — zapytała Teri. Si-działa na sofie, w bibliotece, obok swej przybranej matki, stukając nerwowo paznokciem w czerwonej skórce, którą obita była sofa.

Tom Mallory uniósł wzrok znad swojego notesu. Rozmawiał już od ponad pół godziny z Phyllis i Teri i trudno mu było zdecydować, która z nich wzbudzała w nim większą niechęć.

Phyllis ledwie go tolerowała, nie kryjąc wcale, że jeżeli o nią chodzi, jego wizyta była bezprawnym wejściem do jej domu i naruszeniem jej prawa do prywatności.

— Naprawdę nie pojmuję, dlaczego w ogóle chce pan z nami rozmawiać — powiedziała, kiedy wreszcie, każąc mu czekać na siebie ponad dziesięć minut, pojawiła się w bibliotece. — Mam dzisiaj strasznie dużo pracy.

— Jestem pewien, że nie zajmę pani dużo czasu, pani Holloway — przerwał jej sierżant. — Jednak nie ulega wątpliwości, że Tag Peterson zaginął.

Phyllis spojrzała nań z powątpiewaniem. — Nie sądzi pan, że Cora trochę przesadza z tym wszystkim? Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, odkąd go nie ma.

Mallory pokiwał przecząco głową. — Jest sporo dzieciaków, o które chyba nie musiałbym się martwić, gdyby zniknęły na dzień lub dwa. Ale Tag nie należy do nich, pani Ho-loway. A teraz, proszę mi powiedzieć, kiedy go pani widziała po raz ostatni.

Phyllis wzruszyła bezradnie ramionami. — Naprawdę nie wiem, poruczniku...

— Sierżancie — poprawił ją Mallory. Źrenice Phyllis zwięziły się. — Sierżancie — powtórzyła

takim tonem, jak gdyby to słowo budziło w niej niesmak. — Oczywiście. Tak czy

owak, nie jestem pewna, czy mogę powiedzieć panu dokładnie, kiedy go po raz ostatni widziałam. On kręci się tu cały czas, pan rozumie. Rzecz jasna płacimy mu za to, co robi przy domu od czasu do czasu, ale w zasadzie odpowiada za niego Cora, nie my.

— Gdyby jednak zechciała mi pani powiedzieć, kiedy pamięta pani, że go widziała po raz ostatni.

Phyllis westchnęła ciężko. — Sądzę, że to było wczoraj wieczorem po pogrzebie. Chyba, o ile dobrze pamiętam,

kosił trawnik, ale nie jestem pewna. Poza tym jak pan wie, wczoraj — dodała znacząco — wszyscy mieliśmy bardzo ciężki dzień.

Parę minut później do biblioteki weszła Teri i kiedy za-dał jej to samo pytanie, wzruszyła bezradnie ramionami. — Naprawdę nie wiem, kiedy. — Zamilkła i zmarszczyła brwi, jak gdyby usiłowała sobie coś przypomnieć. — Tak napraw-dę — dodała — byłam tu cały czas pod nieobecność taty i Phyllis. Ale wydaje mi się chyba, że pamiętam, jak wołał Melissę.

— Melissę? — powtórzyła Phyllis. — Ale przecież ona spała jak suseł w swoim pokoju.

Teri znowu wzruszyła ramionami. — Nie wiem, naprawdę go nie widziałam i może się myłę. Ale chyba mogłabym przysiąc, że ją wołał. Myślałam, że może rozmawiają przez okno albo coś takiego.

Cora Peterson, która przysłuchiwała się temu wszystkiemu stojąc w drzwiach, spojrzała podejrzliwie na Teri.

— Mogłaś w takim razie tam pójść i zobaczyć, co się z nią dzieje — zauważyła. — Przecież wiedziałaś, że ona po-winna spać.

— A gdzie jest Melissa? — zapytał w tym momencie sierżant Mallory, rzucając w stronę Cory spojrzenie mówiące wyraźnie, że sam potrafi zadawać właściwe pytania.

— Ona śpi — odpowiedziała pospiesznie Phyllis, wywołując w umyśle policjanta wyraźne podejrzenie, że nie chce, aby rozmawiał z córką. Wyczuwając swój błąd, postarała się go natychmiast zaretuszować. — Miała wczoraj bardzo ciężki dzień. Chyba niestety wpadła w lekką histerię na pogrzebie Jeffa Barnstable. Lekarz zalecił, żeby dużo odpoczywała.

— Ale nie jest chora? — naciskał dalej Mallory.

— No nie, niezupełnie — wyjąkała Phyllis.

— No to jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Hol-loway, chciałbym ją obudzić. To zajmie tylko dwie minutki, a jeśli rzeczywiście rozmawiała z Tagiem, chciałbym wiedzieć, o czym mówili.

Phyllis zawahała się, jak gdyby zastanawiając się, co powinna teraz zrobić, po czym wyszła z biblioteki. Gdy jej nie było, Teri od razu przybrała inną postawę. — Nie rozumiem, o co robi się tyle hałasu — zaczęła znudzonym tonem. — Taga nie ma. No i co z tego? Dzieci cały czas uciekają z domu, prawda? Przecież Tag nie ma tutaj żadnych kolegów. On tu jedynie kosił trawniki, obcinał żywopłot, to wszystko. I nawet tego nie robił zbyt dokładnie. Znudziło mu się pewnie to wszystko i tyle.

— Posłuchaj tylko, młoda damo... — zaczęła Cora, lecz Mallory uciszył ją, unosząc rękę.

— Tylko bez emocji, dobrze?

W tym momencie Teri spojrzała na niego gniewnym wzrokiem, pytając, jak długo ma to jeszcze potrwać. — Kilku moich przyjaciół przychodzi dzisiaj do mnie, żeby popływać — powiedziała.

Cora spojrzała na nią zdziwiona. — Dzisiaj? — spytała. — Sądzę, że mogłaś pomyśleć trochę o tym, jak się czuje twoja siostra.

Teri uśmiechnęła się do niej z udaną słodyczą. — Może to zrobiłam — powiedziała. — A może pomyślałam, że dobrze by jej zrobiło, gdyby ją ktoś odwiedził.

— A może wcale o tym nie myślałaś — odburknęła Cora, lecz zanim mogła coś dodać, w drzwiach biblioteki pojawiła się Phyllis.

— Nie ma jej w pokoju.

— Ale musi tam być — odezwała się Teri, a zamiast bezczelnego uśmiechu na jej twarzy pojawiła się głęboka troska. — Przed chwilą byłam na górze i widziałam, jak spała... — przerwała szybko, zatkała sobie dłońią usta, lecz natychmiast opuściła ją z powrotem.

— Co?! — zapytała uniesionym głosem Phyllis. — Poszła znów tam, gdzie zawsze, prawda?

— Tak — wybąkała Teri. Po czym ciągnęła dalej, jak gdyby teraz jej się coś przypomniało. — Ona, ona przyszła do mnie do pokoju dziś w nocy. Powiedziała, że znowu chodziła we śnie. — Zwróciła się do Cory. — Powiedziała, że znalazła ją, jak szła na strych.

Cora oblizła nerwowo wargi i zaczęła myśleć gorączkowo. — Tak — powiedziała.

— To prawda, ale co...

— Nie wiem — przerwała jej Teri. — Może zrobiła to znowu. Spojrzała na Phyllis.

— Przecież to nie pierwszy raz, prawda?

Na twarzy Phyllis ukazała się wściekłość, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że przy obcych będzie się mówić o problemach jej córki. Cora przynajmniej nigdy nie mówiła innym ludziom o Melissie. Zakręciło jej się w głowie, gdy wyobraziła sobie sierżanta na obchodzie, opowiadającego wszystkim o jej córce: „To ich dziecko ma fioła. Chodzi po domu w środku nocy, ma zwidy, kompletna szajba. Powinni ją byli zamknąć u czubków już dawno temu”. No i będzie miał rację, skonstatowała gorzko Phyllis. Doprowadziło ją do wściekłości to, że lekarz po prostu zignorował jej uwagę, że może należałoby ją gdzieś wysłać. Gdyby jej wtedy posłuchał — on i Charles — Melissy dzisiaj już by tu nie było.

— Sądzę, że chyba... — powiedziała niepewnie.

— A może pójdziemy i poszukamy jej, pani Holloway — odpowiedział sierżant, po czym ujął Phyllis za ramię i poprowadził na korytarz.

Po niecałej minucie cała czwórka stała u podnóża schodów prowadzących na strych.

— Przecież to niedorzeczne — zaoponowała Phyllis. — Jest środek dnia. Ona nigdy nie...

Przerwała, bo z góry dobiegł ich jakiś dźwięk.
Był to odgłos czyichś kroków, który po chwili powtórzył się.
I kiedy wszyscy czworo wpatrywali się w drzwi na końcu schodów, te nagle otworzyły się i stanęła w nich jakaś postać.
Była to Melissa; miała na sobie białą suknię i spoglądała w dal szeroko otwartymi oczyma.
Stała tak przez chwilę, wreszcie poruszyła lekko głową i spojrzała tępym wzrokiem w dół.
— Ja to zrobiłam — powiedziała głucho. — To nie była jej wina. Ja to zrobiłam.
Zaczęła schodzić na dół i kiedy znalazła się w świetle dochodzącym z korytarza, wszyscy spostrzegli ślady krwi na sukni.
Od góry aż do dołu suknia była pokryta rdzawymi plamami.
Phyllis westchnęła przerażona, widząc córkę, i chwyciła się instynktownie ramienia Toma Mallory.
Córa oniemiała i wpatrując się w groteskową postać schodzącą ze schodów, poczuła, jak kolana uginają się pod nią, i z pewnością przewróciłyby się, gdyby Tom jej szybko nie podtrzymał.
Jedynie Teri MacIver uśmiechnęła się leciutko do siebie.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego Teri chciała, żebym też przyszedł — odezwał się Kent Fielding. Szli obaj przez plażę w stronę domu państwa Hollowayów. — Przecież ona lubi ciebie.
Brett uśmiechnął się złośliwie do przyjaciela. — Może postanowiła wyswatać cię z Melissą — odpowiedział. Ale natychmiast przypomniał sobie o Jeffie i uśmiech znikł mu z twarzy.
— Jak myślisz, co się naprawdę stało wtedy w nocy? — spytał. — Jak to możliwe, że Melissa przeszła całą drogę od domu prawie aż do klubu i nic z tego nie pamięta?
Kent wzruszył ramionami.
— Stuknięta jest i tyle. — Potem nagle coś mu się przypomniało. — A pamiętasz wtedy po ognisku, kiedy Cyndi i Ellen twierdziły, że widziały, jak D'Arcy chodzi po lesie?
Brett przytaknął.
— Pomyślałem o tym samym. Ale przecież ona sama miała straszego pietra, jak opowiadałem tę historię.
— Tak, ale naprawdę się wkurzyła, jak Teri wygadała się, że ona myśli, że D'Arcy to jej przyjaciółka. Chłopie, przecież to wszystko bardzo dziwnie pachnie. Może wróciła do domu, ubrała tę starą suknię i wyszła do lasu, żeby straszyc ludzi.
Brett zachichotał. — Jeśli naprawdę to zrobiła, to na pewno jej się udało. Chociaż

może Cyndi i Ellen nie kłamały — ciągnął dalej — może naprawdę widziały D'Arcy.

Kent spojrział z ukosa na przyjaciela. — Daj spokój. Przecież nikt nie wierzy w tę historię. Po tym co się stało z Jeffem, możemy być pewni, że dziewczyny widziały Melissę.

— Nie wydaje ci się, że dojdą w końcu do wniosku, że ona to niebezpieczny przypadek, i zamkną ją u czubków? — zauważył Brett.

— Nawet jeśli nie pamięta, co się stało, wyglądała tak strasznie, że nie ma co się dziwić, że Jeff zjechał przestraszony z drogi. Ja bym zrobił pewnie to samo na jego miejsce.

Zeszli z plaży i skierowali się w stronę ogromnego, krytego gontem domu.

— Jesteś pewien, że chcesz tam iść? — spytał Brett, rzucając w Kenta rękami i uchylając się zwinnie, zanim ten zdążył mu oddać. — Co będzie, jak Melissa zakocha się w tobie, tak samo jak w Jeffie?

Kent zmarszczył brwi i spojrział z powagą na Bretta.

— Przeginasz, Brett. Cokolwiek się stało, nie wierzę, że ona zrobiła to specjalnie.

— Urwał nagle, bo za plecami Bretta zauważył wychodzącą przez kuchenne drzwi domu państwa Hollowayów dziwną postać. — Do diabła — powiedział — co tu się, do cholery, dzieje?

Brett, zaintrygowany nagłą zmianą w głosie przyjaciela, odwrócił się i spojrział w tę samą stronę.

Mimo że stał w pewnym oddaleniu, wiedział od razu, że figura ubrana na biało ze spływającymi jej do ramion blond włosami to Melissa.

— Co tu jest grane? — wyszeptał zdumiony. — Ona znowu paradytuje w tym durnym kostiumie.

Obaj chłopcy przyspieszyli kroku i ruszyli biegiem przez trawnik w stronę domu. Zatrzymali się jednak jak wryci, wi-dząc, że Melissa nie jest sama. Podążali za nią, obserwując

ją w milczeniu Tom Mallory i Phyllis Holloway. Kiedy zaś zbliżyli się jeszcze bardziej i doszli do schodów prowadzą-cych na taras, zauważyli, jak z domu wychodzą Cora Peter

son i Teri. Chłopcy znieruchomieli, nie wiedząc, jak się powinni zachować. W tym momencie Kent spostrzegł plamy na sukni i szturchnął Bretta.

— Popatrz na to — szepnął. — To wygląda jak krew. Pierwszy zauważył ich Tom Mallory. Natychmiast odłączył się od Phyllis i ruszył pospiesznie ku nim.

— Znikajcie stąd — zwrócił się do nich cicho rozkazującym tonem. — Nic nie mówcie i nie idźcie za szybko, Po prostu wycofajcie się dyskretnie.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Brett już chciał otworzyć usta, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Chwytając ta ramię Kenta, wycofał się, jak gdyby nie chciał być świadkiem dziwnego widowiska, odgrywanego przez Melissę, która zdawała się w ogóle nie zauważać chłopców. Przemierzała teraz taras, idąc w kierunku basenu.

Mallory, zapomniawszy o nich natychmiast, odwrócił się i dogonił Phyllis.

— Co teraz zrobimy? — zapytał szeptem Kent, obserwując, jak niecodzienna

procesja sunie przez trawnik, po czym skręca za Melissą wokół basenu w stronę łaźni.

— Na pewno nie wracamy — odpowiedział Brett. — Cokolwiek to jest, muszę to zobaczyć.

Ruszyli znów przed siebie, pozostając spory kawałek za całą grupą, jednak nie na tyle, aby stracić ją z oczu,

— Ona wygląda dziwnie — wyszeptał w następnej sekundzie Brett, widząc, jak Melissa wolnym i statecznym krokiem omija łaźnię i zmierza w kierunku garażu.

— Idzie tak, jakby spała, czy coś takiego.

Po chwili dziewczyna zatrzymała się przed starą szopą. Stała przez chwilę bez ruchu, po czym uniosła w górę prawą rękę i otworzyła drzwi.

W środku bzykało kilka much. Skoro tylko drzwi otworzyły się, z wnętrza wydobył się odrażający fetor.

Wszyscy cofnęli się instynktownie, lecz Melissa zdawała się w ogóle nie odczuwać cuchnącej woni. Weszła do środka.

I znowu wyciągnęła przed siebie prawą rękę. Tym razem kierowała wskazujący palec dokładnie w stronę luznych desek podłogi. — Tam — powiedziała.

Jej słowo wisiało przez chwilę w powietrzu, wreszcie Tom Mallory wszedł do środka, uklęknął i uniósł jedną z desek.

I— Chryste... — wyszeptał przerażony i zamknął oczy, ujrawszy leżące pod podłogą pokiereszowane ciało Taga. Milczał przez chwilę, starając się uzyskać władzę nad szalejącymi się w nim emocjami, wreszcie podniósł się z klęczek i nie zwracając uwagi na Phyllis ani Teri, skierował się od razu w stronę Cory i położył jej dłoń na ramieniu.

— Tam leży Tag — powiedział łagodnym głosem. — Ogromnie mi przykro, Coro. Ogromnie mi przykro. I Odwrócił się i ruszył w stronę domu, decydując już w myślach, kogo wyśle na miejsce zbrodni.

Zespół śledczy nie będzie miał zbyt wiele do roboty. Melissa wszak do wszystkiego się przyznała.

Rozdział 27

Burt Andrews znalazł trochę miejsca i zaparkował swoje BMW między karetką pogotowia a jednym z wozów policyjnych stojących przed Maplecrest. Oprócz trzech białoczarnych radiowozów było tam też sporo innych aut, począwszy od brudnego volkswagena z nalepką jakiejś gazety na przedniej szybie, skończywszy na kabrioletcie marki Rolls-Royce Corniche, który zamiast normalnych

nowojorskich tablic rejestracyjnych miał po prostu napis: LENORE.

Wysiadł z samochodu, szybkim krokiem wszedł po schodach i przez otwarte drzwi skierował się do holu. Przez chwilę miał dziwne wrażenie, że mimo tylu zaparkowanych na podjeździe samochodów dom był pusty, lecz wkrótce zobaczył kilka osób stojących na tarasie za domem, a potem jeszcze kilka grupek gapiów, rozsianych po trawniku biegnącym od tarasu aż do zagajnika. Z miejsca, w którym stał, mógł stwierdzić, że przyjechała tu ponad połowa mieszkańców Secret Cove. Już miał przejść przez wahadłowe drzwi na taras, kiedy nagle zatrzymał go czyjś dochodzący ze schodów głos:

— Doktor Andrews?

Spojrzał w górę i spostrzegł wysoką blondynkę, ubraną w białą bluzkę i kolorową, bawełnianą spódniczkę, spoglądającą na niego ze stopni. Mimo zamętu panującego w całym domu, była doskonale opanowana. Zeszła na dół i wyciągnęła do niego rękę.

— Jestem Lenore Van Arsdale — przedstawiła się. — Przyjaciółka państwa Holloway.

Lekarz ujął podaną mu dłoń i puszczając ją natychmiast spojrzał w górę.

— Gdzie oni są?

— Phyllis jest w swoim pokoju — powiedziała Lenore. — Teri jest z nią, a Melissa jest w bibliotece z doktorem Chandlerem. Chcieli ją już gdzieś zabrać, ale kiedy Teri powiedziała mi o panu, poradziłam im, żeby poczekali.

Psychiatra zmarszczył czoło, co nie uszło uwagi Lenore. Uśmiechnęła się z przekąsem. — Mam opinię osoby, która zawsze stawia na swoim, i postanowiłam to dzisiaj wykorzystać. — Uśmiech zgasł. — Melissa jest chyba w szoku. Nie jestem pewna, czy w ogóle zdaje sobie chociaż głębszą sprawę z tego, co się stało, albo czy wie, gdzie się znajduje. Uważałam, że nie ma sensu zabierać jej gdziekolwiek, dopóki pan się nie zjawi.

Lekarz przytaknął głową i ruszył w stronę biblioteki, a Lenore podążyła za nim. — A co z Charlesem? — spytał. — Czy ktoś go powiadomił?

— Jest już w drodze — odpowiedziała Lenore. — Był pierwszą osobą, do której zadzwoniłam. Wynajął samolot od La Guardia. Dzwonił przed chwilą z lotniska w Portland.

Już tu jedzie.

— A Phyllis? — Burt Andrews zatrzymał się w drzwiach biblioteki i zwrócił w stronę Lenore.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widział w jej oczach błysk wahania, lecz natychmiast wzrok kobiety uspokoił się i pokiwała głową. — Jest wstrząśnięta rzecz jasna — powiedziała. — Ale mam wrażenie, że to, co ją dręczy najbardziej, nie ma nic wspólnego z tym, co się tutaj stało. Ona, jakby to powiedzieć... ona bez przerwy pyta, co pomyślą ludzie. — W jej głosie zabrzmiała dezaprobatą. — Wydaje mi się niestety, że jej główną troską jest to, czy ta cała afera nie zszarga jej opinii. Ja zawsze uważałam, że ona tak naprawdę nigdy nie przejmowała się losem Melissy czy kogokolwiek innego.

Lekarz zdziwiony uniósł brwi. — Nie darzy jej pani zbyt dużą sympatią, prawda?

Lenore potrząsnęła głową. — Nigdy nie darzyłam i nie będę darzyć. Jestem wobec niej taktowna, ponieważ wychowałam się razem z Charlesem i współczuję mu. Jemu i Me-lissie. — Westchnęła ciężko. — Może... nie wiem, może my wszyscy powinniśmy byli zrobić coś więcej. Wiedzieliśmy przecież, jaką presję wywiera na tej dziewczynie.

— Nie obwiniajmy na razie nikogo, pani Van Arsdale — przerwał jej lekarz. — Dopóki nie dowiemy się, co się stało.

— Przecież my już wiemy — wpadła mu w słowo Lenore. — Przecież Melissa się chyba do wszystkiego przyznała.

Psychiatra wzruszył ramionami. — Czy sama pani nie powiedziała przed chwilą, że do niej chyba nie dociera to, co

Przez ułamek sekundy wydawało się, że chłodna postawa przyjęta przez Lenore ustąpi miejsca jakiemuś uczuciu, lecz po chwili kobieta opanowała się. — Ma pan rację — powiedziała i dodała: — Mam panu przynieść coś do picia?

Lekarz potrząsnął głową. — Pójdą zobaczyć, co z Melis-są. — Lenore wahała się przez chwilą, jak gdyby oczekując, że lekarz poprosi ją, by mu towarzyszyła, po czym odwróciła się i odeszła.

Burt Andrews wszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Melissa siedziała sztywno na brzeżku sofy, z dłońmi splecionymi niepewnie na kolanach. Miała wciąż na sobie pokrwawioną suknię i spoglądała tępo w kominek. Gdy wszedł, z fotela podniósł się na jego powitanie Fritz Chandler, szpakowaty, pięćdziesięcioparoletni mężczyzna o niewielkiej tuszy, którego Andrews znał od ponad dziesięciu lat.

— Burt — zaczął, zniżając automatycznie głos, tak jak to zawsze robił podczas obchodów w miejscowym szpitalu. — Dobrze, że przyjechałeś. Muszę ci powiedzieć, że widziałem już dziwne rzeczy w moim życiu, lecz ten przypadek...

— przerwał, potrząsając bezradnie głową.

— Dawałeś jej coś? — spytał Burt. — Cokolwiek?

— Nic, absolutnie nic. Zbadałem ją ogólnie i mówię ci, Burt, po prostu nie pojmuję tego. Patrząc jej w oczy, przysięgłbym, że ona jest w szoku, ale nie ma żadnych innych objawów. Tętno, ciśnienie, odruchy — wszystko w normie. Ale jak do tej pory nie odezwała się ani słowem. Kiedy przyjechałem, była wciąż na zewnątrz, stała nieruchomo przy tej cholernej szopie, jak gdyby czekała na autobus czy coś takiego. Chryste, nie wiem, co to jest... — Jego wzrok, skierowany do tej pory na dziewczynę, spoczął w tej chwili na koledze po fachu. — Byłeś na zewnątrz?

Andrews potrząsnął przecząco głową.

— Coś ci powiem, stary. Tam jest normalna jatka. To nie tylko ten wnuk od Cory Peterson, z głową rozplataną prawie na pół przez maczetę. Tam jeszcze jest zdechły pies, który gnił w tym gorącu, jak przypuszczam, od tygodnia. — Spojrzał z powrotem na Melis-sę. — A ona tam stała, jakby nic nie widziała.

Psychiatra przytaknął i spojrzał na Melis-sę, — Co zdarzyło się od chwili, kiedy ją tu przyprowadziłeś? — spytał. — Były jakieś problemy?

— Żadnych. Wszystko, co trzeba było, to powiedzieć jej, co ma robić. Wiem, że

mnie słyszy, i wiem, że rozumie, co do niej mówię, ale milczy.

— Dobra. Obejrzyjmy ją jeszcze raz.

Podszedł do Melissy i uklęknął przed nią. Nawet jeśli go widziała, nie dała tego odczuć w żaden sposób. Wzrok miała utkwiony w kominku, jej twarz była pozbawiona wyrazu.

— Melissa? — spytał psychiatra. — To ja, Burt Andrews. Czy słyszysz mnie? Cisza. Andrews ujął jej rękę, badając puls. Spodziewał się, że skóra dziewczyny będzie zimna i wilgotna od potu, ale pomylił się. Była zupełnie normalna. A jednak Melissa była zupełnie nieświadoma tego, że ją dotknął.

Jej puls, tak jak powiedział mu Chandler, był również zupełnie normalny. Zbadał ją szybko, szukając jeszcze raz tych objawów, które chciał znaleźć jego starszy kolega, lecz podobnie jak i on nie był w stanie ich stwierdzić.

Gdyby nie jej pusty wzrok, absolutne milczenie i bezruch, można byłoby powiedzieć, że dziewczynie nic nie jest.

Jednak przyglądając się dokładniej jej twarzy, lekarz zaczął dostrzegać, że coś się w niej zmieniło.

Wiedział, że patrzy na twarz Melissy, bez trudu wszak można było rozpoznać jej rysy. Ale w jakiś trudny do wytłumaczenia, subtelny sposób — nie potrafił tego dokładnie określić — coś się w nich zmieniło.

I wtedy zrozumiał.

Wcale nie patrzył na Melissę.

— D'Arcy? — spytał. — D'Arcy, słyszysz mnie? Melissa odwróciła głowę i spojrzała na lekarza, lecz jej oczy zdawały się go wcale nie poznawać.

— Jestem Burt Andrews— ciągnął dalej. — Jestem przyjacielem Melissy. Czy ona kiedykolwiek wspominała ci o mnie?

Dostrzegł w oczach Melissy jakąś zmianę. Psychiatra był prawie pewien że widzi, jak w kącikach jej ust zabłąkał się delikatny uśmiech. Lecz nadal nic nie mówiła.

— Gdzie jest Melissa, D'Arcy? Czy mogę z nią porozmawiać?

Przez chwilę dziewczyna siedziała bez ruchu, wpatrując się w niego pustym wzrokiem. Po czym bardzo wolno pokręciła głowę i wypowiedziała tylko jedno słowo: — Śpi.

— Melissa śpi? — spytał lekarz. Dziewczyna przytaknęła głową.

— Możesz ją obudzić?

Melissa potrząsnęła głową. — Ona nie chce się obudzić. Ona już nigdy więcej nie chce się obudzić.

Andrews ujął dłoń dziewczyny i pochylił się ku niej.

— D'Arcy, czy wiesz, czemu nie chce się obudzić? Melissa uśmiechnęła się. — Boi się. Zrobiła coś złego

i boi się, że zostanie ukarana.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do biblioteki wszedł Charles Holloway.

Kiedy zobaczył córkę, siedzącą na sofie w pokrzwawionej sukni, stanął jak wryty, a krew odpłynęła mu z twarzy.

— Melissa? — wyszeptał zdumiony.

Ruszył ku niej, lecz lekarz wyprostował się i powstrzymał go. — Niech pan nie stara się nawet z nią rozmawiać, panie Holloway. Jest coś, co muszę panu wpięrow wyjaśnić.

Charles chciał go ominąć, lecz spojrzawszy na twarz córki, przystanął po raz drugi, bo i on zauważył zmianę, której uległy jej rysy.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, wreszcie spojrzął na Burta.

— Co się dzieje? — spytał. — Ona... ona wygląda inaczej.

— Bo ona jest teraz inna — zwrócił się do niego łagodnie psychiatra. — To wcale nie Melissa. To D'Arcy.

Charles spojrzął nań zdumiony. — D'Arcy? - powtórzył. — Co, do cholery, chce pan przez to powiedzieć? Przecież nie ma żadnej D'Arcy.

— Jest — wyjaśnił lekarz. — D'Arcy to druga osobowość Melissy, z której korzysta, kiedy chce ochronić samą siebie. I tu ją właśnie mamy. Mówi, że Melissa zasnęła i nie chce się obudzić.

Charles poczuł, że kolana się pod nim uginają i usiadł oniemiały na jednym z krzeseł. — Co... co to wszystko zna-czy? — wyjąkał, chociaż w głębi duszy miał już niejasne i złowieszcze przecucie, że chyba wie, co się stało. — To znaczy, że czeka nas sporo pracy — odpowiedział mu lekarz, kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu roztrzęsionego ojca. — Będę musiał znaleźć jakiś sposób dotarcia do Melissy. Lecz jeśli ona nie będzie chciała, by do niej dotrzeć... — Lekarz zamilkł i nie dokończył zdania.

Cora Peterson poruszyła się i usiadła na łóżku. Elsie Connors, gospodyni Fieldingów, która przyszła do niej natychmiast po tym, jak usłyszała, co się stało, wstała ze stojącego pod oknem krzesła i podeszła do łóżka.

— Leż spokojnie, Coro — powiedziała takim tonem, jakim zwykle karciała syna swej chlebodawczyni. — Lekarz powiedział, że masz leżeć.

— Ale ja nie mam zamiaru tego robić, Elsie — odparła Cora. Zsunęła nogi z łóżka i wstała, natychmiast wyglądając odruchowo pomiętą sukienkę. — Straciłam oboje rodziców i męża i nie załamalam się, i sędzę, że Tag też nie chciałby, żeby to się stało.

— Ale lekarz...

— Lekarze nie wiedzą wszystkiego — odburknęła gospodyni. — A teraz jeśli chcesz mi pomóc, to bardzo się cieszę, ale jeśli chcesz mi tu prawić kazania, to lepiej idź już do siebie. — Poszła do łazienki, z której korzystała razem z Tagiem, i sięgnęła po szczotkę do włosów, lecz kiedy jej wzrok spoczął na szczotce i grzebieniu z wygrawerowanymi inicjałami wnuka, które podarowała mu na Boże Narodzenie, poczuła, jak zbiera jej się na płacz.

. Nie, tylko nie to — powiedziała do siebie. Powstrzymała cisnące się do oczu łzy, przecesała włosy i pospiesznie obmyła twarz. Zimna woda pomogła jej trochę i kiedy skończyła się myć, odetchnęła głęboko. Przez ostatnią godzinę, leżąc na łóżku i starając się nie poddać działaniu leku uspokajającego,

zaaplikowanego jej przez doktora Chandlera, myślała bez przerwy. A im dłużej myślała, tym bardziej była przekonana, że musiała tutaj zejść jakaś tragiczna pomyłka.

Wciąż usiłowała wyobrazić sobie Melisę, jak stoi i zabija Taga, i chociaż analizowała morderstwo na wszystkie sposoby, nie była w stanie w to uwierzyć. Jeszcze do tej pory nie widziała wnuka. Ktoś odciągnął ją od szopy w chwilę po tym, jak Tom Mallory powiedział jej, co znalazł pod podłogą. Ale teraz już wiedziała, że musi go zobaczyć, chociażby miało to być dla niej bardzo bolesne. Musiała zobaczyć, jak został zabity, ujrzeć na własne oczy zadane mu rany. Musiała odpowiedzieć sobie na dręczące ją pytanie: czy Melissa mogła to zrobić? Zaczęła schodzić po schodach, a za nią podążyła zatrwożona Elsie Conners. — Coro, dokąd idziesz, nie ma powodu, żebyś...

— Idę zobaczyć mojego wnuka, Elsie — odpowiedziała jej Cora. Ta zdumiona otworzyła usta, słysząc jej słowa i chciała już coś powiedzieć, lecz gospodyni uciszyła ją spojrzeniem. — Nie sprzeczasz się ze mną, Elsie. Wiem, co robię. Nie możemy myśleć jedynie o Tagu. Jest jeszcze Melissa.

— Melissa! — wykrzyknęła Elsie drżącym z zagniewania głosem. — Czy ty zupełnie zwariowałaś? Melissa Holloway zabiła Taga. O czym ty myślisz, o niej?! Gdyby to ode mnie zależało, to...

— Ale nie zależy od ciebie — ucięła krótko Cora. — Dzięki za dobrą radę. Otworzyła drzwi i zatrzymała się nagle, przypominając sobie wydarzenia tamtej nocy. Melissa idąca we śnie. Idąca z...

Z szopy.

Całkiem możliwe. Przygryzła dolną, wargę starając przypomnieć sobie dokładnie każdy szczegół.

Melissa miała wtedy na sobie szlafrok.

Biały, frotowy szlafrok.

Na którym nie było ani śladu krwi.

A dzisiaj miała na sobie tę starą suknię ze strychu, całą w rdzawych plamach.

Odetchnęła głęboko i zeszła na dół, a następnie zaczęła sobie torować drogę między grupkami ludzi, którzy zgromadzili się na trawniku. Zewsząd dochodziły do niej wyrazy współczucia, lecz nie zwracała na nie uwagi, nie mówiąc już o tym, by za nie dziękować.

Wreszcie po upływie czasu, który wydawał się dla niej wiecznością, a który w istocie nie trwał dłużej niż pół minuty, dotarła do szopy.

U jej wejścia postawiono nosze na kółkach i kiedy Cora się zjawiała, z wnętrza wychodziło właśnie czterech mężczyzn. Nieśli ciało Taga zawinięte w worek z nieprzezroczystego plastyku.

Już skłonna była zrezygnować z podjętego wcześniej zamiaru, lecz wzięła się w garść i podeszła bliżej. Sanitariusze umieścili ciało chłopca na noszach, a z szopy wyszedł Tom Mallory. Widząc ją stanął zdumiony:

— Coro, nie ma powodu, żebyś...

— Chcę go zobaczyć, Tom — odrzekła stanowczym głosem. — Chcę zobaczyć mojego wnuka.

Sierżant poruszył sięmniejspokojnie. — Nie ma żadnego powodu, Coro, dla którego miałybyś przez to przechodzić.

— Mam swoje własne powody, Tom. Chcę go zobaczyć.

Mallory zawahał się i przyjrzał się dokładnie twarzy gospodyni, chcąc sprawdzić, czy nie znajdzie na niej śladów załamania nerwowego. Lecz jedyne, co dostrzegł, to bijącą z niej determinację.

— Dobrze — powiedział już spokojnym tonem, skinąwszy głową ku jednemu z mężczyzn stojących przy noszach.

Gdy Córa przybliżyła się do noszy, sanitariusz uchylił worek i oczom gospodyni ukazała się głowa Taga. Westchnęła przerażona, ujrawszy jego zmiażdżony nos i rozplataną czaszkę, lecz po chwili opanowała się.

— Wystarczy — wyszeptła, odwracając pospiesznie wzrok od zmasakrowanych zwłok, a sanitariusz zamknął worek.

— Co się dokładnie stało, Tom? — spytała. Policjant potrząsnął głową. — Coro, nie musisz wcale...

— Powiedz mi, Tom.

Z piersi sierżanta wydobyło się westchnienie. Sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni i wydobył notes. Przekartkował go i po chwili znalazł to, czego szukał. — Przeprowadzimy oczywiście wizję lokalną, ale wygląda na to, że najpierw otrzymał cios w twarz. Nos został złamany i wystąpiło obfite krwawienie, które nie nastąpiłoby, gdyby już nie żył. Prawdopodobnie leżał przez chwilę na podłodze, po czym ona rozplatała mu głowę maczetą.

— Kto? — spytała Cora. — Kto go uderzył? Jaka ona rozplatała mu głowę? Tom Mallory spojrział na nią zdziwiony — Melissa — odrzekł. — Melissa Holloway.

Cora potrząsnęła głową. — Nie — powiedziała miękko. — Nie wierzę w to.

— Coro, przecież byłaś tu. Słyszałaś, co mówiła. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Jestem pewien, że jak zbadamy to dokładnie, znajdziemy jej odciski palców na macze-cie. — Wyciągnął rękę ku niej, lecz gospodyni cofnęła się.

— Nie obchodzi mnie, co powiedziała. Nie obchodzi mnie, co znajdziecie — odezwała się stanowczo. — Znam Melisę. Znam ją od kołyski. Tag był jej najlepszym przyjacielem. Nie zrobiłaby mu tego. Nie mogłaby, Tom. Ta dziewczyna nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu państwa Holloway, ignorując ponownie zgromadzonych gapiów, którzy spoglądali na nią zdumieni.

Weszła do środka w chwili, gdy Melisę sprowadzano na

dół z jej pokoju, do którego parę minut wcześniej zabrał ją Charles. Nie miała już na sobie wywołującej makabryczne

skojarzenia poplamionej sukni i była ubrana w szlafrok, w którym Cora znalazła ją koło basenu. Gospodyni obserwowwała dziewczynę w milczeniu, jak schodziła ze schodów, i przypatrywała się uważnie szlafrokowi, szukając na nim śladów krwi. Nie dostrzegła niczego.

Było na nim jedynie kilka ciemniejszych smug z kurzu lub brudu, które mogło spowodować cokolwiek, niekoniecznie wizyta w szopie.

Gdy Melissa zeszła z ostatniego stopnia, Cora podeszła pospiesznie do niej i przytuliła ją do siebie. — Wszystko będzie dobrze, córeczko — powiedziała półgłosem. — Wiem, że to nie ty skrzywdziłaś Taga, i nie pozwolę, by stało ci się coś złego. — Dostrzegając jednak dziwny bezruch dziewczyny, cofnęła się i przyjrzała się jej twarzy.

Spoglądały na nią puste oczy D'Arcy.

— Boże drogi — wyszeptała zdumiona Cora, zwracając się do Charlesa z oczami pełnymi łez. — Co jej jest? Co oni jej zrobili?

Charles otoczył starą gospodynię ramieniem. — Nic jej nie zrobili, Cora — powiedział. — Ona... ona przeżyła załamanie nerwowe.

— Ale... ale nic jej nie zrobią, prawda? — zapytała niespokojnie Cora.

Charles uściśnął dłoń gospodyni. Miał oczy spuchnięte od łez. — Wszystko w porządku, Cora — zdołał wreszcie wydusić z siebie. — Nic jej nie zrobią. Biorą ją do szpitala. Nic złego jej się nie stanie. Oni chcą jej dobra.

Gdy tak rozmawiali, Melissa stała cały czas nieruchomo, patrząc tępo przed siebie, a jej twarz przypominała maskę. Towarzyszący jej lekarze prowadzili ją, nie stawiającą oporu, w stronę wyjścia. Gdy jednak jeden z sanitariuszy otworzył drzwi, Melissa nagle odwróciła się i spojrzała na ojca. Na jej twarzy ukazał się bolesny kurcz, jak gdyby w jej wnętrzu toczyła się jakaś walka, i razem z potokiem łez, który spłynął jej po policzkach, wypowiedziała tylko jedno słowo:

— Perły...

Wszyscy obecni spoglądali na nią w milczeniu. Nagle Charles zrozumiał, o co jej chodzi. — Naszyjnik — powiedział. — Chce dostać swój naszyjnik.

Rzucił się pędem na górę do jej sypialni, otworzył szufladę, w której trzymała naszyjnik, podarowany jej w zeszłym roku na Boże Narodzenie, i pogrzebawszy w leżących tam swetrach znalazł to, czego szukał. Po chwili był już z powrotem na dole. Delikatnie i ostrożnie zapiął perły na szyi córki, po czym pocałował ją w policzek i zwrócił się łagodnie do Burta Andrewsa:

— To jej najbardziej ulubiony prezent — powiedział. — Czy będzie mogła go tam sobie zatrzymać?

Psychiatra zawahał się, wreszcie przytaknął. — Dopilnuję tego — odrzekł. — To dobry znak, że poprosiła o te perły. Charles spojrzał na lekarza zdziwionym wzrokiem.

— Tym razem to mówiła Melissa — ciągnął lekarz. — Czy nie dostrzegł pan zmiany w jej twarzy? Tak bardzo pragnęła tych pereł, że gotowa była nawet dla nich się obudzić. A skoro obudziła się już raz, na pewno znajdziemy jakiś sposób, żeby obudzić ją ponownie.

Lecz kiedy jego młodszą córkę sprowadzono do czekającego przed domem ambulansu, umysł Charlesa rozdarło bolesne pytanie:

Po co? Po co w ogóle ją budzić?

Dlaczego nie pozwolić jej trwać w tym śnie.

Uświadomił sobie, że być może już nigdy więcej nie zobaczy swojej Melissy, i poczuł, jak w piersi narasta mu szloch.

* * *

Była już prawie północ i w całym domu panowała cisza. Cora dawno temu poszła do siebie, odmawiając delikatnie, ale stanowczo Charlesowi, który prosił ją, by spędziła tę noc w ich domu.

- Wątpię, czy dzisiaj zasnę — powiedziała. — Ale będę przynajmniej w swoim własnym domu i będę czuła przy sobie Taga. — Oczy jej znowu zaszyły łzami i spojrzała na Charle-sa. — Naprawdę nie wiem, co ja bez niego pocznę. Już nawet nie pamiętam, jak się mieszka w pustym domu. Chyba będę musiała się jednak do tego przyzwyczaić — powiedziała. — Człowiek przyzwyczai się do wszystkiego, jak musi. — Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Charlesa. — I proszę się nie martwić o Melissę — dodała. — W głębi serca jestem pewna, że nic mu nie zrobiła. Kochała go równie mocno jak ja.

Charles nie próbował się z nią spierać. Wciąż nie wiedział, jak wyjaśnić Córce, co się stało. Tak naprawdę nawet do niego samego nie dotarło to jeszcze do końca. Fakt, że wewnątrz Melissy mogła istnieć jeszcze jedna, zupełnie inna osobowość, był dla niego nie do pojęcia.

„Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek będziemy dokładnie wiedzieć, co się naprawdę stało — powiedział mu psychiatra, kiedy już zabrano Melissę. — Obecnie wydaje się, że osobowość D'Arcy ma nad nią pełną władzę i dopóki nie nawiąże ponownie w jakiś sposób kontaktu z Melissa, nie jestem nawet w stanie rozpocząć terapii nad integracją obu osobowości. Ale mógłbym w tej chwili dowiedzieć się tego, co przez parę ostatnich lat działo się z Melissa. Są rzeczy, o których D'Arcy wie, a których Melissa nie jest nawet świadoma. A jeśli uda mi się wzbudzić zaufanie D'Arcy na tyle, że będzie chciała ze mną rozmawiać... No ale to nie czas, by teraz o tym mówić, prawda?”

Sąsiedzi wrócili do swoich domów, policjanci skończyli pracę i Maplecrest opustoszało zupełnie. Zostały w nim tylko trzy osoby.

Charles i Phyllis poszli do łóżka z wybiciem północy i jedynie Teri jeszcze nie spała.

Chodziła niespokojnie po ciemnych pokojach i odkrywała je tej nocy powtórnie. Gdyż tej nocy, kiedy zniknęła już stąd Melissa, czuła, że Maplecrest należało teraz wyłącznie do niej.

Wałęsała się po parterze, odwołując jak najdłużej chwilę, o której marzyła. Wreszcie nie mogła już czekać dłużej.

Weszła cichutko na górę i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców, nasłuchując, czy nie dobiegnie stamtąd jakiś dźwięk, który świadczyłby, że ojciec i Phyllis jeszcze nie śpią.

W sypialni panowała cisza.

Przeszła do drugiego skrzydła domu, lecz nie weszła do swojego pokoju. Minęła go

i otworzyła drzwi sypialni Melissy. Wśliznęła się po ciemku do środka, zamknęła drzwi za sobą i dopiero wtedy zapaliła światło.

Zniknęła już z podłogi pokrwawiona suknią, leżąca tam jeszcze parę godzin temu, po tym, jak zdjęto ją z dziewczyny. Musiała ją pewnie sprzątnąć stamtąd gospodyni.

A może wzięła ją policja, żeby upewnić się, że krew na sukni jest krwią Taga?

W tej chwili nie miało to już znaczenia. Melissy już nie było i suknią stała się Teri niepotrzebna.

Spełniła w końcu swoją rolę.

Wyciągnęła się z rozkoszą na szerokim i miękkim łóżku i zaczęła rozmyślać nad tym, co zrobi z pokojem.

Rzeczy Melissy — wszystkie bez wyjątku — powędrują na strych.

A potem zmieni całkowicie wystrój. Spojrzała z niesmakiem na tapety pokrywające ściany. Może każe je wyłożyć jedwabiem. Widziała gdzieś zdjęcia takich ścian i zawsze, gdy leżała w swoim łóżku w San Fernando i myślała o Maplecrest, wyobrażała sobie swoją sypialnię ze ścianami pokrytymi jedwabiem. W kolorze szmaragdu z białym szlaczkiem na górze.

Próbowała to sobie wyobrazić i już sama myśl o tym wywołała na jej twarzy uśmiech. Wtuliła się głębiej w miękki materac i poczuła, jak ogarnia ją przyjemna senność. Rzuciła okiem na sufit i pomyślała o ciasnym pokoiku, wciśniętym gdzieś pod krokwie dachu. — Dzięki ci, D'Arcy — powiedziała, śmiejąc się cicho do siebie. — Naprawdę bardzo mi pomogłaś.

Kiedy zasypiała w parę minut później, do jej uszu dotarł niewyraźny, ledwie słyszalny dźwięk.

Może to D'Arcy — pomyślała. — Może i ona się śmieje.

Rozdział 28

Było to popołudnie, które zdaniem bywalców Cove Club należało się wszystkim w dzień Balu Sierpniowej Pełni Księżycy. Przez cały lipiec i większą część sierpnia nad zatoką zalegał paraliżujący wszystko żar i życie towarzyskie prawie zamarło. O dziewiątej rano korty były najczęściej puste, a garstka tych, którzy odważyli się wyjść na piekące poranne słońce gromadziła się wokół basenu, tłocząc się na małych skrawkach cienia rzucanych przez rozpięte nad stolikami parasole. Codziennie przygotowywano bufet z lunchem, ale gdy upały stawały się stopniowo nie do zniesienia, coraz więcej członków klubu wybierało przyjemny chłód własnych posiadłości i schłodnie przykryte jedzenie w klubowej jadalni

pozostawało nietknięte. Dopiero późnym popołudniem ludzie decydowali się rozsiąść na tarasie wokół basenu i szącąc drinki, powtarzali, że jak długo żyją, nie pamiętają takich upałów i że pewnie następują zmiany klimatu, a Maine zamieni się w drugie Miami.

Lecz w ostatnią sobotę miesiąca, kiedy już przewaliła się fola upałów, nastąpiła idealna pogoda. Niebo było czyste i bezchmurne i przypominało ogromną błękitną kopułę, odgradzającą zatokę od świata zewnętrznego. Wydawało się, że nawet wilgotne powietrze opuściło na jeden dzień Secret Cove. Od strony oceanu wiał orzeźwiający wietrzyk i znużenie panujące w ciągu ostatnich ośmiu tygodni ustąpiło miejscem przyjemnemu dreszczykowi podniecenia.

Nawet tragedia Melissy Holloway odeszła w cień i stała się tylko jednym ze wspomnień, które nieodłącznie wiązało się miały z tym latem. Rodzina Jeffa Barnstable wyjechała z Secret Cove — Paula uparła się, żeby wystawić dom na

sprzedaż. Miał to być pierwszy od trzech pokoleń dom, który mógłby stać się własnością kogoś z zewnątrz i jako że nic udało się go jeszcze sprzedać, zaczęto zastanawiać się, czy nie przekształcić go w muzeum.

— A ktoś by go kupił? — zapytała nie dawniej jak parę tygodni temu Lenore Van Arsdale swoją przyjaciółkę Eleonor. — W końcu każde dziecko na Wschodnim Wybrzeżu wie, że jesteśmy do tego stopnia zamknięci w swoim kręgu, że to aż trąci degeneracją. Staliśmy się anachroniczni.

— Nie możemy być zbyt zwyrodniali, jeśli jeszcze jesteśmy w stanie patrzeć na siebie krytycznie — zauważyła Eleanor, po czym z jej piersi wyrwało się westchnienie. — Ale chyba masz rację. Kto chciałby przeprowadzić się tu, nad zatokę i słuchać nas wszystkich, jak wspominamy stare, dobre czasy, trzy pokolenia wcześniej.

Kay Fielding zaśmiała się fałszywie. — Wyobrażacie sobie, co będą mówić ludzie za pięćdziesiąt lat o tych, którzy kupią ten dom? „Ach, to ci. Kupili dom Barnstable'ów wtedy, kiedy miał miejsce ten straszny wypadek z Melissa. Może w przyszłym roku przyjmujemy ich do klubu...”

Roześmiały się wszystkie na te słowa, a przecież wiedziały, że to prawda. W głębi duszy większość bywalców klubu zaczęła już rozważać możliwość spędzania lata gdzie indziej. Tkany dotychczas jednostajnie kobierzec ich życia uległ w tym roku poważnemu rozdarciu i zamiast go załatać, zaczęli zastanawiać się nad tym, czy nie zastąpić go czymś nowym.

Lecz z czasem wszystko zaczęło powoli wracać do normy i dzisiaj w powietrzu czuć było podniecenie wywołane balem. Cały dzień do klubu zjeżdżały furgonetki ogrodników, drzwi do jadalni były zamknięte przed ciekawskimi, a na oknach zaciągnięto zasłony. Motyw przewodni balu, znany jedynie komitetowi przygotowawczemu pozostawał tajemnicą, chociaż każdy usiłował wydusić jakąś informację, od którejś z jego członków.

Z samego rana pod klub zajechała duża ciężarówka, nie wiadomo z jakiej firmy, z ekipą dekoratorów, którzy pracowali w środku przez cały dzień, ale żaden z nich nie kwapił się, by odpowiedzieć chociaż na jedno pytanie członków klubu. Teri

leżała na tarasie, koło basenu, w towarzystwie Bretta i też próbowała sobie wyobrazić, co się dzieje w środku. Spojrzała na stojącą nie opodal na parkingu ciężarówkę i jęknęła poirytowana:

— Czy twoja mama niczego ci nic powiedziała? — zapytała Brettta już chyba po raz trzeci tego dnia. — Na przykład w co się ubierze.

— A niby skąd mam to wiedzieć? — odpowiedział Brett, nie odwracając głowy.

— Dlaczego nie zapytasz Phyllis.

Teri spojrzała z przekąsem. — Pytałam — powiedziała. — Pytam codziennie od miesiąca. Nie chce powiedzieć ani słowa. Chciałam nawet nakłonić ją do tego, żeby chociaż powiedziała mi, jakiego koloru sukienki mam szukać, ale powiedziała, że mam wybrać sobie to, co mi najlepiej odpowiada.

Brett zaśmiał się krótko. — Założę się, że Melissie tak by nie powiedziała.

Z twarzy Teri znikł nagle uśmiech i dziewczyna zmarszczyła brwi. — To bardzo nieładnie z twojej strony. To nie wina Melissy, że się załamała.

Od dnia, w którym jej siostrę zabrano do szpitala, na każdym kroku broniła jej przed wszelkimi docinkami, twierdząc niezmiennie, że wszystko, co się stało, nie było jej winą. Każdy może się załamać nerwowo — twierdziła z uporem. I chociaż nigdy nie dawała tego po sobie poznać, sprawiało jej ogromną radość, jak ludzie podziwiali ją za lojalność wobec przyrodniej siostry, którą znała zaledwie parę tygodni.

— Jeśli to prawda — odpowiedział Brett, przywołując jeszcze raz pogłoskę, która od kilku tygodni krążyła wśród mieszkańców Secret Cove. — Może ona tylko udaje obłąkaną po to, żeby nie wsadzili jej do więzienia do końca życia.

Teri spojrzała na niego wyraźnie poirytowana - To idiotyczne. Gdybyś ją widział...

- Wiem, wiem... — wtrącił Kent, powtarzając wszystko, co słyszał już przynajmniej z tuzin razy. — Ona nic nie mówi, tylko siedzi i patrzy tępo przed siebie. — Wzruszył przesadnie ramionami. — Ona wygląda mi na jakieś straszdyło żywcem wzięte z horroru.

— No ale przynajmniej nie musimy się już dłużej przejmować D'Arcy — zachichotała Cyndi. — Jeśli ma w tej chwili na głowie Melissę, to dziś w nocy da nam spokój.

— Proszę was! — wtrąciła zniecierpliwionym tonem Teri. — Nie możemy rozmawiać o czymś innym? Chodź, Brett, pójdziemy popływać.

Wstała z leżaka i ruszyła w stronę plaży. Brett podążył za nią i kiedy zeszli ze stopni i ruszyli przez piasek, chwycił ją za rękę.

— To tylko takie gadanie — powiedział, jakby chciał ją przeprosić. — Nikt z nas nie ma przecież niczego złego na myśli.

— Może, ale to podłe — odburknęła Teri.

— Może to i podłe — odpowiedział Brett, wzruszając ramionami. — Ale nikt nie jest dla niej tak dobry jak ty. Zawsze kiedy jej odbiło, choćby nie wiem jak, brałaś jej stronę.

Teri spojrzała na niego uważnie. — I zawsze to będę robić — powiedziała. — Jest moją siostrą i niezależnie od tego, co zrobiła zawsze będę ją kochać. A teraz

skończmy ten temat, co? — Puszczając jego rękę, pobiegła przez plażę w stronę morza i zaczęła brodzić przez fale, nie bacząc wcale na dreszcze wywołane kontaktem z zimną wodą. Odbiła się od dna, dała nurka, po czym wypłynęła i położyła się na plecach na wodzie.

— Chodź tutaj, tchórzu! — krzyknęła do Bretta stojącego wciąż na brzegu. — Jest świetnie!

— Woda jest zimna! — odkrzyknął Brett, jednak w końcu zrobił głęboki wdech, zebrał się na odwagę i zanurkował za nią. Płynął przez jakiś czas pod wodą, lecz w końcu zabrakło mu powietrza i wynurzył się na powierzchnię.

Teri śmiała się, płynąc już dwadzieścia metrów dalej.

Brett znowu ruszył za nią mocnym krawlem, lecz rychło okazało się, że dziewczyna pływała lepiej, niż sądził, i dotarcie do niej zajęło mu prawie pięć minut. Wreszcie zrównał się z nią i przebierając rękami i nogami, utrzymywał się pionowo w wodzie.

— Co to się stało? — wysapał. — Kiedy tu przyjechałaś, nie umiałaś prawie wcale pływać. Pamiętasz, jak pierwszego dnia musiałem cię holować do brzegu? — Ale kiedy ujrzał wyszczerzone w uśmiechu zęby Teri, nagle rozjaśniło mu się w głowie i mrużąc oczy przed słońcem, przyjrzał się jej uważnie. — A może ty wtedy udawałaś?

Na twarzy dziewczyny pojawił się tajemniczy uśmiech.

— Chyba się nigdy nie dowiesz — powiedziała. A kiedy Brett spróbował chwycić ją za rękę, wyrwała mu się i ruszyła z powrotem w stronę brzegu.

* * *

Phyllis, ubrana w spodnie koloru khaki i bluzkę, poprawiła kilkoma delikatnymi maźnięciami pędzla tu i ówdzie litery, po czym cofnęła się o parę kroków, by przypatrzeć się raz jeszcze swojemu dziełu. Transparent, który miał zawisnąć nad miejscem dla orkiestry w końcu sali, był wreszcie gotów. Odgarnęła dłonią włosy, przypominając sobie poniewczasie, że przecież na palcach miała jeszcze trochę świeżej farby. Lecz widząc uśmiech na twarzy Lenore, nie zarumieniła się wcale, jak by należało przypuszczać, tylko zaśmiała kiwając znacząco głową. — Może od razu zadzwonię po fryzjera i każę mu rozsmarować cienie tej farby — powiedziała. Lenore, ku swemu własnemu zdumieniu, przyłączyła się do śmiechu Phyllis. Jeszcze trzy miesiące temu — była tego pewna — Phyllis wcale nie byłoby tutaj w tym stroju. Jeśli zaś przyszlaby, byłaby ubrana jak na uroczysty lunch i wydawałaby tylko władczym tonem rozkazy ludziom pracującym przy dekoracji. Lecz przez trzy ostatnie dni Phyllis była tutaj razem ze wszystkimi i pracowała ciężko, by nadać dziś wieczór tej sali dokładnie taki wygląd, jaki zaplanowały. Cały wczorajszy dzień i dzisiejszy ranek ślęczała nad transparentem, postanowiwszy

sobie, że każda namalowana czerwoną farbą i obramowana złotą obwódką litera, musi być bez zarzutu.

— Mój ojciec był liternikiem — oznajmiła na początku przygotowań, kiedy zobowiązała się, że sama wykona napisy. — Już jak byłam w przedszkolu, uczył mnie tego, co sam potrafił. W liceum, kiedy inne dziewczyny pracowały jako kelnerki, ja robiłam szyldy. Nienawidziłam tego, ale byłam w tym dobra. Słuchające ją kobiety popatrywały na siebie w zdumieniu. Po raz pierwszy bowiem po piętnastu latach dowiedziały się, jaki zawód miał ojciec Phyllis. „Pracował w reklamie” — tak do tej pory odpowiadała najczęściej na to pytanie Phyllis, po czym szybko zmieniała temat rozmowy.

Lecz przecież Phyllis bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich tygodni. Przez kilka pierwszych dni po zabraniu Melissy do szpitala siedziała cały czas w domu i bardzo rzadko ją widywano. Wychodziła tylko po to, by pojechać do szpitala w którym przebywała córka. Lecz po tygodniu — kiedy Teri powiedziała Brettowi, że jej przybrana mama zasłania okna w bibliotece i przesiaduje tam cały dzień zatopiona w myślach — Lenore zrobiło się w końcu jej żal i wybrała się do niej, żeby porozmawiać.

— Nie wiem, co mam dalej robić — przyznała wreszcie niechętnie Phyllis. — Wiem, że wszyscy myślą, że to moja wina, że byłam dla niej zbyt surowa, ale... — Głos jej się załamał, a oczy zaszkliły od łez. Niechęć, żywiona tyle lat przez Lenore wobec tej kobiety, roztopiła się nagle w obliczu samooskarżania się Phyllis za wszystko, co się stało.

— Nonsens — odrzekła, chociaż w głębi serca była przekonana, że większość z tego, co powiedziała Phyllis, była prawdą. — Jestem pewna, że robiłaś, co mogłaś i tak jak umiałaś. Nikt nie może obwiniać ciebie za to, co się stało. Jak będziesz siedziała tu po ciemku do końca życia, to niewiele ci z niego zostanie i nigdy nie pomożesz ani Melissie, ani komukolwiek innemu. Ubierz się teraz i pójdziemy na lunch.

-_Ale ja nie mogę! — zaprotestowała Phyllis. — Nie umiałabym ludziom spojrzeć w oczy. Co ja powiem? Wszyscy będą się na mnie gapić!

— Ludzie na pewno będą się na ciebie gapić, jak będziesz chciała zmienić się w pustelnika — odpowiedziała Lenore. — A teraz rusz się i idź się przebrać! Zaprowadziła Phyllis na górę, przeszukała jej szafy i w końcu wybrała ciemnokasztanowy kostium i prostą bluzkę.

— Włóż to. Kolory nie są może zbyt żywe, ale z drugiej strony gdybyś ubrała coś granatowego lub czarnego, wyglądałabyś, jakbyś była w żałobie.

Na twarzy Phyllis pojawił się bolesny grymas. — Czuję się właśnie tak, jakbym była w żałobie — wybąkała.

Lenore westchnęła ciężko. — No ale nie jesteś. Wszyscy wiedzą, co się stało, i wiedzą też, że Melissa wcale nie umarła. Dlatego nie możesz zachowywać się tak, jakby jej już nie było wśród żywych. To tylko pogorszy całą sprawę.

Teraz z kolei Phyllis westchnęła ciężko. — Chyba masz rację. Tak samo zresztą mówi mi Teri. Ale ja po prostu nie wiem, jak się teraz zachowywać.

Lenore, po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu, powiedziała coś dosłownie bez namysłu. — No cóż, Phyllis, Teri ma rację. Powiedzmy sobie szczerze — ty nigdy nie wiedziałaś, jak się zachować. Spędziłaś całe dziesięć lat, próbując udawać kogoś, kim nie jesteś, ale to ci nigdy nie wychodziło. Może czas najwyższy dać sobie z tym spokój i spróbować być po prostu sobą?

Można powiedzieć, że to właśnie dokonało się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Phyllis znowu zaczęła pojawiać się w klubie, lecz coraz częściej nie sama, lecz w towarzystwie Teri. Zamiast jednak próbować przyłączać się na siłę do już istniejących grup, Phyllis i Teri przebywały same z sobą. Jak to zwykle w takich

razach bywa, ludzie w klubie zaczęli powoli podchodzić do nich na chwilę rozmowy, wprawdzie jedynie z czystego obowiązku, do jakiego

poczuwali się jako

członkowie klubu, a potem dlatego, że odkryli, iż Phyllis naprawdę się zmieniła.

Była teraz spokojniejsza, wydawała się bardziej słuchać rozmówcy i oprócz tego, gdzieś po drodze, opuściło ją jej

poczucie zagubienia. Stała się dojrzała.

Mieszkańcy Secret Cove doszli do wniosku, że być może z tragedii Melissy narodziło się trochę dobra.

Dając ostatnie wskazówki dekoratorom, obie kobiety wyszły z jadalni i natknęły się w holu na Teri.

— Mam cię! — powiedziała Phyllis. — Myślałaś, że uda ci się coś podglądnać, mam rację?

Teri uśmiechnęła się do swojej przybranej matki. — A jeśli nawet, to przecież wolno mi próbować, nie?

— Nie wolno ci nawet tego robić, ale mniejsza z tym — odpowiedziała Phyllis. — Chodź, spóźnimy się do fryzjera. — Zwróciła się do Lenore: — Może tam się spotkamy? — spytała. — Charles jedzie do szpitala do Melissy i chcę, żeby coś dla niej wziął.

Na twarzy przyjaciółki pojawiło się współczucie.

— Jak ona się czuje? Czy coś się zmieniło? Phyllis uśmiechnęła się smutno.

— Chciałabym móc powiedzieć, że tak — odrzekła. Lecz niestety doktor Andrews uważa, że to może potrwać sporo czasu.

Lenore pokiwała ze smutkiem głową.

— Czy mogłabym ci w jakiś sposób pomóc?

— Gdyby to tylko było możliwe... Ale obawiam się, że żadne z nas nic tu nie może zrobić. A kto wie? Może jej jest lepiej, jak jest w takim stanie? Wiem, że to, co mówię, to straszne, ale jeśli ona pewnego dnia wyzdrowieje, to co ją czeka?

Wszystko przed czym będzie musiała stanąć...

Urwała, lecz natychmiast opanowała wzruszenie.

— Przecież nie mogę wciąż o tym myśleć, prawda? Muszę też zatroszczyć się o

Teri. A ciebie — powiedziała, zwracając się do przybranej córki —

czeka dziś jeszcze sporo pra-cy i jak się z nią nie pospieszysz, to Brett pójdzie w końcu na bal sam.

— Na pewno nie — zapewniła ją Teri. — Co jak co, ale zawsze jestem punktualna. Pożegnały się z Lenore i ruszyły w stronę domu. Lenore obserwowała je przez chwilę. To zastanawiające — pomyślała — jak Phyllis i jej przybrana córka dobrze się z sobą rozumieją. Każda z nich zastępowała drugiej bliską, utraconą osobę i wydawało się, że dla obu sytuacja, w której się teraz znajdowały, była lepsza od poprzedniej.

Może rzeczywiście ona i jej przyjaciółki były zanadto niesprawiedliwe wobec Phyllis przez te wszystkie lata. Może Phyllis nie wychowywała wcale zbyt surowo Melissy. Może obłąd cały czas czaił się w tej dziewczynie, a Phyllis robiła wszystko, co mogła, by go opanować. Musiało być dla niej straszną udręką borykać się przez te wszystkie lata z dzieckiem, którego kontakt z rzeczywistością był tak wypaczony.

Tak — pomyślała Lenore, wsiadając do swojego rolls--royce'a — wszystko skończyło się chyba w najlepszy możliwy sposób. Phyllis najprawdopodobniej miała rację.

Może lepiej będzie, jak Melissa nigdy nie przypomni sobie, co się stało. Może lepiej będzie, jak pozostanie w swoim nierzeczywistym świecie fantazji i pozwoli innym zagoić swoje rany, najlepiej jak potrafią.

Gdy tak szły ścieżką do Maplecrest, Teri nagle ujęła dłoń Phyllis.

— No i jak? — spytała. — Czy wszystko dobrze? Phyllis milczała przez chwilę, wreszcie uśmiechnęła się do swojej przybranej córki.

— Bez zarzutu — zapewniła ją. — Rzeczywiście, miałaś rację. Zrobią dla ciebie wszystko, jeżeli tylko będą myśleć, że potrzebujesz pomocy. Przez wszystkie te lata starałam się być taka jak one, a wtedy traktowały mnie jak powietrze. A teraz robię, co chcę, mówię, co chcę, a one gotowe są wybaczyć mi wszystko. To tak jakby nagle zmieniły zdanie o mnie i doszły do wniosku, że jestem świętą,

— No a nie jesteś? — spytała Teri niewinnym głosem. — Nadal nie rozumiem, jak radziłaś sobie przez te wszystkie lata. Kiedy Melissa zachowywała się coraz dziwniej i dziwniej, a ty ze wszystkich sił starałaś się jej pomóc... Dla ciebie to musiało być jeszcze gorsze niż dla niej. Przecież ona nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, że powoli przestaje być normalna.

— Ja też nie wiedziałam — odpowiedziała Phyllis. Zaczęła szybko mówić, słowa potokiem wylewały się jej z ust. Tak łatwo rozmawiało się z Teri. Wydawało się, że dziewczyna rozumie ją doskonale.

Zwłaszcza to, co przeszła z Melissą.

Następnego dnia po tym jak Melissę zabrano do szpitala, nie wiedziała zupełnie, co robić. Była pewna, że wszyscy w miasteczku rozmawiają wyłącznie o niej i jedyne, czego pragnęła, to ukryć się gdzieś przed ludźmi. Lecz wtedy Teri zaczęła ją przekonywać i tłumaczyć jej, że to, co się stało, nie było absolutnie jej winą.

— Nie wiedziałas, co się z nią naprawdę dzieje — twierdziła. — Nikt nie wiedział. Jak więc można ciebie obwiniać?

— Ale wszyscy tak właśnie myślą — odpowiedziała Phyllis. — Zawsze uważali, że

byłam za surowa dla Melissy.

Teri wzruszyła ramionami. — To powiedz im to właśnie — powiedziała. —

Powiedz wszystkim, że to wszystko twoja wina, i zobaczysz, co się stanie.

Ku zaskoczeniu Phyllis, rada Teri okazała się słuszna. Jedyne, go musiała zrobić, to uronić kilka łez przed Lenore, a już kobieta, która przez dziesięć lat bez przerwy robiła jej afronty, zmieniła się nagle w jej najlepszą przyjaciółkę.

A pozostali — wszyscy ci, których uważała za tak bystrych — poszli za nią.

Uśmiechnęła się do siebie. Wszystkie te lata, kiedy Melissa przynosiła jej wstyd przed wszystkimi... Teraz, kiedy Melissy wreszcie już nie ma, zyskiwała należny jej szacunek.

A w osobie Teri zyskała córkę, która także jej się należała.

Jej życie stało się wreszcie takie, jakim je sobie wymarzyła w dniu, w którym przybyła do Maplecrest i kiedy spostrzegła, że Teri jest dokładnie takim dzieckiem, jakie chciałyby mieć.

Teraz były obie razem, a jej życie było wreszcie takie, jakie miało być.

Uścisnęła czułe dłoń Teri, wyrzucając ze swego umysłu

Melissę.

W końcu wszystkim żyło się lepiej, odkąd jej już nie było.

Charles Holloway zatrzymał samochód przed kliniką Har-borview i skinął na strażnika. Ten nacisnął guzik i ogromna, kuta brama zaczęła wolno otwierać się przed nim. Od obu skrzydeł bramy biegło dyskretnie ukryte w żywopłocie ogrodzenie. Otaczało ono pięćdziesiąt malowniczo ukształtowanych akrów terenu, na którym leżała klinika. Zbliżając się jednak do ogromnego budynku, w którym mieszkali chorzy, Charles nie miał wcale wrażenia, że znajduje się w więzieniu. Klinika wyglądała jak zwykła, wiejska posiadłość, którą w istocie kiedyś była, i chociaż pokazano mu system zabezpieczeń, zainstalowany, gdy zamieniono ją w prywatny szpital dla osób umysłowo chorych, zostały one tak zręcznie ukryte, że Charles nie mógł ich dostrzec.

Zaparkował mercedesa na niewielkim placu przed głównym budynkiem i wszedł pospiesznie po schodach do środka. Uśmiech na twarzy recepcjonistki zgasł, kiedy uświadomiła sobie, po co przyjechał.

— Jeszcze nie — powiedziała. — Sprowadzono ją znowu na dół dzisiaj rano, ale zachowywała się tak samo jak zawsze. Chyba najbezpieczniej czuje się w swoim pokoju.

Charles poczuł, jak gaśnie w nim nikły płomyk nadziei, który podtrzymywał w sobie cały dzisiejszy dzień, ale przywołał na twarz uśmiech.

— No cóż, może jutro...

Ruszył schodami na pierwsze piętro, gdzie przy kolejnym biurku, takim samym jak to na dole, siedziała dyżurna pielęgniarka. — Może pan wejść, panie Holloway — powiedziała do niego.

Charles przemierzył długi korytarz, zatrzymując się przy trzecich drzwiach po lewej stronie. Spojrzał do środka przez małą szybkę w drzwiach i ujrzał ten sam

widok co wczoraj i przedwczoraj. Melissa siedziała na krześle przy oknie, z dłońmi położonymi na kolanach i wpatrywała się prosto przed siebie.

Jej oczy spoglądały w próżnię.

Nie — powiedział do siebie Charles, naciskając klamkę i wchodząc do środka. — Ona coś widzi. Patrzy na coś, co istnieje wyłącznie w jej umyśle. Coś, czego nie potrafi zrozumieć. Ale zrozumie to pewnego dnia i wtedy znów będzie normalna. — Melisso? — odezwał się do niej, przysuwając w stronę córki krzesło z oparciem. — Melisiu, to ja. Słyszysz mnie?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zachowywała się tak, jakby nie słyszała jego słów, jakby wcale nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

— To jednak niekoniecznie musi znaczyć, że pana nie słyszy — zapewnił go Andrews nie dalej jak w zeszłym tygodniu. — Osobowość Melissy przecież wciąż w niej jest, chociaż my jej nie dostrzegamy. — Umilkł na chwilę, szukając w myśli odpowiedniego porównania. — Proszę pomyśleć

o grze w chowanego. Nie widzi pan i nie słyszy Melissy, ale bardzo prawdopodobne jest, że ona jest gdzieś w pobliżu

i że słyszy i widzi pana doskonale. Musimy pamiętać, że ona jest bardzo wystraszoną, małą dziewczynką i może tak bardzo boi się tego, co jej się może przytrafić, że po prostu nie chce wyjść z kryjówki.

— Ale D'Arcy mówi, że ona śpi, prawda? — spytał Char-

Lekarz skinął głową. — D'Arcy jednak nie zna prawdopodobnie całej prawdy, nie wie wcale więcej niż Melissa. Melissa wiedziała o istnieniu D'Arcy, ale nie wiedziała nic o jej doznaniach i przeżyciach. Musimy założyć, że podobnie jest z D'Arcy.

— Czy D'Arcy powiedziała, co się stało?

Psychiatra potrząsnął przecząco głową. — Tak jak mówiłem, jest bardzo prawdopodobne, że o niczym nie wie. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że ochrania Melissę. A przynajmniej wydaje jej się, że to robi.

Charlesowi zajęło kilka tygodni, zanim oswoił się z myślą o istnieniu dwóch osobowości swojej córki i chociaż w końcu zaakceptował to na tyle, że mógł rozmawiać o D'Arcy z lekarzem, nie potrafił zmusić się do tego, by rozmawiać z obcą mu, milczącą dziewczyną, która, jak mu się zdawało, przywłaszczyła sobie po prostu ciało jego córki.

Tak więc podczas swoich codziennych wizyt siadywał obok niej, ujmował w swoją dłoń jej nieruchomą rękę i mówił do niej cicho czasami o tym, co robił poprzedniego dnia, lecz najczęściej przypominał jej o przeszłości, o tych wszystkich dobrych chwilach, które spędzili razem.

Dzisiaj był z nią prawie godzinę. Wreszcie spojrzął na zegarek. — Muszę iść — powiedział przeproszającym tonem. — Dziś wieczorem mamy wielkie święto. Twoja mama cały dzień dekorowała klub i nawet nie powiedziała mi, jaki jest motyw przewodni tegorocznego balu. Ale sądząc po jej zachowaniu przez ostatnie kilka dni, musi to być coś wyjątkowego.

Pochylił się ku dziewczynie, ujmując jej dłonie w swoje ręce. — Jakżebym chciał, żebyś też tam mogła być — powiedział łagodnym głosem. — Pamiętasz, co ci

zawsze obiecywałem? Że tego lata, kiedy skończysz trzynaście lat, zabiorę cię na Bal Sierpniowej Pełni Księżycy i zatańczę z tobą pierwszy taniec.

Wydawało mu się, że na ułamek sekundy w oczach córki zabłysła iskierka i serce zaczęło mu bić szybciej. — Meli-siu? — spytał. — Melisiu, słyszysz mnie?

Ale iskierka zgasła równie szybko, jak się pojawiła.

Charles podniósł się z ociąganiem z krzesła. Pocałował córkę delikatnie w czoło i opuścił pokój. Lecz nawet po wyjściu nie opuszczał go obraz dziwnego błysku w oczach dziewczyny.

Odwrócił się i przez szybkę w drzwiach zajrzał jeszcze raz do pokoju.

Jednak Melissa siedziała nieruchomo tak jak przedtem, patrząc tępo przed siebie.

Kiedy już miał się odwrócić, spostrzegł, że unosi prawą dłoń i ujmuje delikatnie w pałce wiszące na szyi perły. W tym momencie Charles przypomniał sobie, co powiedziała, kiedy w zeszłym roku, w Boże Narodzenie, otworzyła szkatułkę ze sznurem pereł, i do oczu napłynęły mu łzy. „Założę je na Bal Sierpniowej Pełni Księżycy” — wyszeptała wtedy z zachwytem.

Lecz nie dane jej było pójść na bal. Nie dzisiaj. Może już nigdy.

Ocierając łzy z oczu, Charles odwrócił się i ruszył pospiesznie korytarzem do wyjścia.

Rozdział 29

Teri otoczyła mocno ramieniem szyję Bretta i oparła głowę na jego piersi. Z zamkniętymi oczyma poddała się powolnej melodii wieńczącego bal walca. Wokół nich także i inne pary kołysały się wolno w rytm muzyki, jak gdyby pragnąc przedłużyć w ten sposób ostatnie chwile tego cudownego wieczoru.

Gdyż od wpół do dziewiątej, od momentu kiedy otwarto uroczyste drzwi do sali balowej, aż do tej pory, wszyscy bawili się wyśmienicie. Większość członków klubu zgromadziła się w foyer już wcześniej i kiedy Phyllis i Lenore wyszły przed czekających gości, by otworzyć ogromne, mahoniowe drzwi, wszyscy wstrzymali oddech.

Tłum westchnął zdumiony, widząc salę balową, będącą wierną kopią tego samego miejsca sprzed stu lat. Na czas balu ściany ozdobiono tapetą z materiału z czerwonymi ornamentami, kolorem przypominającą oryginalną tapetę sprzed lat. Odświeżono także z tej okazji złocenia żyrandoli, nie zmienionych od wieków. Do ścian przymocowano prawdziwe gazowe kinkiety, a żółtawy blask płomieni zdawał się cofnąć czas o cały wiek.

W kątach sali stały umieszczone w ogromnych donicach palmy, a na podium dla

orkiestry nie było mikrofonów. Nad głowami muzyków rozwinięto transparent ze starannie wykaligrafowanymi przez Phyllis literami, ogłaszający wszystkim motyw przewodni tegorocznego balu:

Historia zatoczyła pełny krąg

Wracamy do naszych początków

I rzeczywiście, przez cały wieczór wszyscy mieli wrażenie, jak gdyby znaleźli się w poprzedniej epoce.

Phyllis pomyślała o wszystkim — każda z kobiet otrzymała karnet, który musiała przymocować sobie aksamitną tasiemką do nadgarstka. Muzyka także pochodziła w całości sprzed stu lat, gdyż przed każdym z członków orkiestry leżały połówki nuty, które udało się wygrzebać ze wszystkich strychów w Secret Cove.

Urządzono również wystawę starych fotografii — niewyraźne dagerotypy przedstawiały uczestników pierwszego Balu, sto lat temu, a potomek prawie każdego z nich był obecny dzisiaj na sali.

Brett nasyciwszy się tym wspaniałym widokiem, pociągnął Teri za sobą na parkiet, przytulił ją mocno do siebie i szepnął jej do ucha:

— Już mi przechodzą ciarki po plecach. Chyba nie boisz się, że za chwilę pojawi się tutaj D'Arcy, co?

Zimny dreszcz przebiegł Teri. Szybko otrząsnęła się ze złych myśli, lecz przez całą pierwszą godzinę balu wydawało

się jej, że umysły wszystkich obecnych na sali zaprzątnięte są tym samym.

Tańczący spoglądali co pewien czas ukradkiem w stronę drzwi, a potem, uświadomiwszy sobie, co robią, rumienili się lekko z zakłopotania.

Z upływem czasu jednak goście odprężyli się i w chwili, kiedy wybrzmiały już ostatnie takty kończącego bał walca, na sali rozbrzmiały oklaski.

Ludzie zaczęli powoli posuwać się w stronę drzwi, a każdy przystawał, żeby pogratulować Lenore i Phyllis. Ta druga słuchała komplementów, a słowa pochwał brzmiały w jej uszach niczym najśodsza muzyka.

Wreszcie do drzwi podeszli Teri i Brett, trzymając się za ręce. Dziewczyna pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

— Było cudownie, mamó — wyszeptła.

Na dźwięk tego słowa, wypowiedzianego po raz pierwszy przez Teri, w oczach Phyllis pojawiły się łzy. Cofnęła się zdumiona, zastanawiając się, czy to czasem nie przejęzyczenie.

— Tak to właśnie czuję — powiedziała z uśmiechem na twarzy Teri. — Czuję się tak, jakbyś zawsze była moją mamą. I jesteś dla mnie doskonałą mamą, tak jak ten bal był doskonałą zabawą dla nas wszystkich.

Phyllis poczuła, jak rozpiera ją duma.

— I ja czuję tak samo — powiedziała szeptem do Teri, przytulając ją do siebie. — Wydaje mi się, że jesteś taką córką, jakiej zawsze pragnęłam. No i teraz mam ciebie.

Po chwili Teri i Brett wyszli razem przed budynek klubu. Noc była ciepła, a powietrze przesycone zapachem morza i sosen. Wydawało się, że nawet pogoda przychyliła się ku staraniom Phyllis, by ten wieczór uczynić jedynym w swoim

rodzaju. Chłopiec ruszył w stronę parkingu, ale Teri powstrzymała go.
— Przespacerujmy się — powiedziała. — Chodźmy do domu tak, jak zrobili to oni wtedy, sto lat temu.

Zeszli schodami koło basenu, a potem dalej, na plażę. Teri zatrzymała się, zdjęła buty i weszła boso na chłodny piasek. Księżyc świecił wysoko na niebie i powierzchnia morza lśniła jak lustro. Ruszyli brzegiem plaży, a Teri wsunęła dłoń pod ramię Brett'a i westchnęła:

— Czy ten bal nie był cudowny? Czasami żałuję, że nie mogę żyć w tamtych czasach, kiedy wszyscy mieli służbę, a każdy dom był przez całe lato pełen gości. Czy nie wydaje

mi się, że to musiały być świetne czasy? Brett nic nie odpowiedział, otoczył ją tylko ramieniem przytulił mocno do siebie. Szli w milczeniu, aż dotarli wreszcie do Maplecrest. Kiedy byli już na ganku, objął ją, przytulił i pocałował.

- Może zaprosisz mnie do środka? — wyszeptał. — Twój rodzice są u mnie i wrócą dopiero za parę godzin.

Teri nic nie odpowiedziała, tylko przycisnęła się mocno do niego i pocałowała go raz jeszcze. Po czym odsunęła się i pokiwała przecząco głową, a w kącikach jej ust pojawił się delikatny uśmiešek.

— Nie dzisiaj — wyszeptała. — Teraz jest przecież sto lat temu, zapomniałeś? Grzeczne dziewczynki nie robiły takich rzeczy.

Zanim Brett zdążył coś powiedzieć, wydołała się z jego objęć i weszła cicho do środka.

Światła w holu były zapalone. Dziewczyna zatrzymała się i oparłszy się plecami o drzwi, spojrzała na otaczające ją

Czuła, że jest teraz naprawdę w domu.

Z każdym dniem, który mijał, przeszłość odchodziła coraz bardziej w zakamarki jej pamięci i dziś niemalże wierzyli w to, że nigdy nie opuszczała tego miejsca, nigdy nie wywieziono jej z tych wypełnionych zbytkiem ogromnych komnat do San Fernando, żeby dorastała tam w ciasnocie małego domku na przedmieściach.

Nagle przed oczami stanął jej pożar, który był pierwszym krokiem na jej drodze do Maplecrest. Mimowolnie wzdrygnęła się, dusząc; to i inne wspomnienia czynów, które popełniła.

- Nic z tego nie wydarzyło się naprawdę — powiedziała do siebie.

To co działo się naprawdę, to to, że była z powrotem w domu, który jej się słusznie należał, razem z tymi, którzy ją kochali.

Jeśli nie ją, to przynajmniej jej obraz, który tak pieczołowicie budowała i starannie prezentowała światu.

Westchnęła z zadowoleniem, zsunęła z ramion jedwabną mantylkę, którą kupiła specjalnie na bal, i ruszyła na piętro. Wszedłszy do siebie powiesiła ją do szafy i usiadła z rozkoszą w fotelu przed toaletką, by jeszcze raz z podziwem obejrzeć swój pokój.

Był dokładnie taki, jakim go sobie wymarzyła. Usunęła wszystko, co mogłoby jej przypominać Melissę. Rzeczy przyrodniej siostry zostały zapakowane przez Corę i wyniesione na strych, po czym przyszli dekoratorzy wewnątrz — ci sami, którzy cofnęli czas w sali balowej klubu o sto lat.

Dla niej także cofnęli czas i przygotowali jej pokój o jakim marzyła, odkąd jeszcze była małą dziewczynką, taki że kiedy budziła się w nim co ranka, jej ciało przebiegał przyjemny dreszcz. Ściany pokryto szmaragdową morą w dokładnie określonym przez nią odcieniu. Błyszczącym materiałem obito także łóżko z czterema zdobnymi kolumnami, które Teri odkryła razem z Phyllis w sklepie z antykami w Port-land. Komoda Melissy zniknęła, umieszczono ją w małym pokoiku na strychu. To Teri wpadła na pomysł, żeby mebel należący do Melissy umieścić w pokoju, który ona sama uważała za należący do D'Arcy. Teraz na jej miejscu stała stara, ręcznie rzeźbiona szafa, a uzupełniały ją dwa nocne stoliki stojące po obu stronach łóżka.

Wszystko było dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Kiedy siedziała przed lustrem, rozkoszując się tym wszystkim, usłyszała dobiegający z góry niewyraźny dźwięk.

Zmarszczyła lekko brwi, po czym wzruszyła ramionami. To pewnie tylko gałąź uderzała o ściany domu. Dźwięk się powtórzył.

Cichutkie chlipanie, jak gdyby czyjś płacz. Zmarszczyła czoło i serce zaczęło jej bić szybciej. W tej chwili niewyraźny szloch zamarł i w domu zapanowała cisza.

Lecz po chwili dał się słyszeć odgłos kroków.

Kroki były wyraźne i przesuwwały się nad jej głową wolno i miarowo.

Wydawało jej się, że słyszy, jak drzwi otwierają się, a potem zamykają z delikatnym trzaskiem.

Potem znów cisza.

Nasłuchiwała, czując, jak ciarki przechodzą jej po plecach.

Nie, to tylko jej wyobraźnia. Dom był przecież pusty — dobrze o tym wiedziała! Widziała, że w domu Cory palą się światła, widziała nawet gospodynię drzemącą w fotelu.

Zaczęła się uspokajać, kiedy ponownie usłyszała kroki.

Teraz słyszeć je było na pierwszym piętrze, zbliżały się wolno korytarzem ku zamkniętym drzwiom jej pokoju.

Westchnęła przerażona, po czym rzuciła się do drzwi, przekręciła klucz w zamku i wróciła do toaletki.

Kroki stały się bardziej donośne i była pewna, że za drzwiami ktoś stoi.

Serce zaczęło walić jej jak młotem i poczuła, jak ogarnia ją panika.

Próbowała przekonać raz jeszcze samą siebie, że nic się nie dzieje, że to jedynie jej wyobraźnia płata jej figla, tak jak i ona robiła to Melissie, każąc jej wierzyć w istnienie rzeczy, których nie było.

Nagle coś trzasnęło w jej pamięci i jak rzeka wylały się obrazy tego wszystkiego, co zrobiła, wyrosły przed nią i zaczęły napełniać ją przerażeniem.

Czy tak już miało być do końca życia?

Czy przerażające wizje jej zbrodni miały już zawsze czaić się tuż za jej plecami, wyskakiwać z ukrycia i poddawać ją
Odwróciła się od drzwi, ale obrazy z jej pamięci podążyły za nią, szydząc z niej.
Zamknęła na chwilę oczy, lecz usłyszawszy odgłos przekręcanej w zamku klucza, otworzyła je
natychmiast i wbiła wzrok w lustro.
Drzwi do jej pokoju, te które jeszcze przed chwilą były zamknięte na klucz, te które ona sama zamykała, były teraz lekko uchylone.

Drżała cała ze strachu. Nie mogąc się oprzeć, spojrzała za siebie.

Kiedy tak wpatrywała się w drzwi osłupiałym z przerażenia wzrokiem, te zaskrzyptały lekko na zawiasach i otworzyły się powoli.
Stała w nich postać w białej sukni, z twarzą zakrytą welonem i spoglądała na nią.
Chociaż Teri nie widziała twarzy, jej przerażony umysł sam wstawił w jej miejsce wyraźne rysy zmarłych już osób.

Rysy Polly MacIver — twarz zastygłą w śmiertelnym skurczu po upadku z okna na pierwszym piętrze.

Rysy Toma MacIver — twarz strawioną ogniem i puste oczodoły wbijające w nią oskarżycielski wzrok.

Rysy Taga Petersona — twarz całą unurzaną w krwi z pełzającymi po niej robakami. Także i on skrywał się pod welonem i Teri widziała wyraźnie jego oczy, obserwujące ją, przypatrujące się jej, jak gdyby chciał ją przewiercić wzrokiem.
Przecież musiała go zabić! Nie miała innego wyboru! Wiedział, co robiła, i chciał ją powstrzymać.

Nawet twarz Jeffa Barnstable — on też tam był i teraz, w tym momencie olśnienia, kiedy wszystkie jej ofiary wstały z grobu, by stanąć przed nią, wiedziała, że zabiła także i Jeffa. Może nie z zimną krwią, tak jak pozostałych, ale jednak to ona była odpowiedzialna za to, co się wtedy stało.

I wreszcie — była tego pewna — poprzez zwoje musłinu dostrzec mogła Melisę Holloway patrzącą na nią z politowaniem.

Melisę, której nienawidziła już przez wiele lat, nawet zanim poznała ją osobiście. Melisę, którą w końcu udało się jej wypędzić zarówno z jej życia, jak i z jej domu. Widziała ich wszystkich w spowitej welonem postaci, a wtedy ogrom jej własnej winy sparaliżował ją i przeraził do tego stopnia, że wiedziała już, iż uczyni wszystko, czegokolwiek zażąda stojąca przed nią zjawa.

Zaś zjawa uniosła lewe ramię i skierowała je oskarżyciel-sko w stronę Teri.

Ale na końcu jej ramienia nie było dłoni.

Jedynie krwawy kikut zakończony mięśniami i ścięgnami otaczającymi przerąbaną w połowie kość. Właśnie ta kość, biała i błyszcząca, wskazywała na Teri.

Dziewczyna podniosła się z krzesła i wiedząc już, co musi zrobić, wyszła z pokoju i ruszyła za upiorem.

Tymczasem w jednym z pokojów prywatnego szpitala w Harborview ze snu

budziła się wolno Melissa. Jeszcze zanim otworzyła oczy, wiedziała już, że nie znajduje się u siebie w Maplecrest. Nie, to było jakieś inne miejsce.

Jakiś szpital.

Była w szpitalu i przywieźli ją tu po tym, jak...

Otworzyła gwałtownie oczy i usiadła raptownie na łóżku, bo jej pamięć zalała nagłe rzeka obrazów.

Wspomnienia mieszały się między sobą, a każde starało się przykuć jej uwagę.

Niektóre z nich były jej dobrze znane — przerażająco dobrze znane.

Wspomnienie poćwiartowanego ciała Taga, leżącego pod podłogą szopy.

I widok Blackie'ego, ze sznurem pereł wokół szyi, zwisającego z jednej z krokwi na strychu.

Niektóre jednak byty nowe.

Widziała siebie pod prysznicem szorowaną z wrzaskiem przez matkę, kiedy jaj skórę parzył płynący z góry wrzątek.

Widziała siebie leżącą nieruchomo w łóżku ze skrępowanymi przez opaski rękami i nogami przez nieskończenie długie noce.

Widziała twarz Teri, pochylającą się nad nią w ciemnościach i mówiącą coś do niej.

Nie — Teri nie mówiła do niej. Teri rozmawiała z D'Arcy. Rozmawiała z D'Arcy...

Nagle jej myśli pobiegły innym torem i przypomniała sobie wieczór, kiedy odbywał się bal kostiumowy. Teraz już pamiętała wszystko, co się wtedy wydarzyło. Pamiętała, że nałożyła wtedy perukę i poszła na strych. Pamiętała, jak potem zeszła na dół schodami dla służby i przeszła przez dziwnie obcą kuchnię.

Także ścieżka, którą wtedy szła, wydawała się jakaś inna.

Wszystkie ciemne dotąd miejsca w jej pamięci nagle wypełniły się treścią i przez chwilę ogarnęło ją przerażenie.

Zawołała instynktownie D'Arcy.

Ale nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Nie mogła jej usłyszeć, gdyż D'Arcy już ją opuściła.

Nie, to niezupełnie było tak.

D'Arcy stała się teraz częścią jej samej, jej pamięć została włączona do pamięci Melissy.

Siedziała w milczeniu na łóżku i rozglądała się po pokoju. Nie było w nim nic dziwnego ani obcego. Co więcej, stwierdziła, że zna każdy jego zakamarek, każdą nierówność tapety na ścianie. A przecież wydawało jej się równocześnie, że jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

Jej wzrok powędrował w stronę nocnego stolika i leżących na nim pereł. Wzięła je do ręki i poczuła w palcach znajomą gładkość paciorków.

Ale coś ją zaintrygowało.

Jedna z pereł — trzecia, Ucząc od zapięcia — powinna była mieć lekką skazę, drobniutkie, ledwie wyczuwalne wybrzuszenie.

Marszcząc brwi, przyjrzała się perłom dokładniej raz jeszcze i jej wzrok padł na pozłacane zapięcie.

Na nim wygrawerowane były jej inicjały, literkami tak drobnymi, że trzeba się

było mocno wysilić, żeby je odczytać.

Przysunęła naszyjnik do oczu i wytężając wzrok, poszukała znajomych liter:

M.J.H.

Ale zamiast tego znalazła coś innego: T.E.M. Teresa Elaine MacIver.

Ale to przecież niemożliwe! To były jej perły! Tato dał je jej w zeszłym roku na...

I w tym momencie przypomniała sobie.

Właśnie te perły zdjęła z szyi psa, kiedy znalazła go wiszącego na strychu.

Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, starając się zrozumieć, co oznacza jej odkrycie.

Wszystkie wspomnienia — zarówno jej jak i D'Arcy — zaczęły się układać w logiczną całość.

Z jej twarzy popłynęły łzy — bardziej z powodu tych, którzy zginęli niż z żalu nad sobą. Nacisnęła znajdujący się przy łóżku przycisk i wezwała pełniącą nocny dyżur pielęgniarkę.

Gdy tylko weszli do domu, Phyllis zarzuciła ramiona na szyję męża i przytuliła się mocno do niego.

— Czy to nie był cudowny wieczór? — spytała. — Czy można sobie było wyobrazić coś doskonalszego?

Byłby doskonalszy — powiedział w duchu Charles — gdyby mogła na nim być Melissa. Lecz dzisiejszego wieczoru nie chciał psuć radości Phyllis swoim smutkiem. Chciał jej pozwolić na to, by cieszyła się chwilą tryumfu, by upajała się rozkoszą odniesionego sukcesu. Jutro będzie miała dość czasu na to, by znów borykać się z rzeczywistością.

Wiedział bowiem, że wciąż tego unika, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jedynie szuka nowych wymówek po to, by nie musieć odwiedzić w szpitalu Melissy.

A przecież Melissa była wciąż jej córką i czy jej się to podobało, czy nie, wciąż była za nią odpowiedzialna.

Phyllis, jak gdyby czytając w jego myślach, uwolniła się z jego objęć i uśmiech na jej twarzy zgasł.

— Czy chociaż na jeden wieczór nie możesz przestać myśleć o niej? — powiedziała z wyrzutem.

Nie potrafię. To bardzo bolesne, że nie mogła być dzisiaj z nami. Tak długo cieszyła się na ten wieczór...

Phyllis westchnęła niecierpliwie. — Daj spokój, Charles. Ona nawet nie wie, że na nim nie była. Doktor Andrews mówi, że...

Charles uniósł rękę w jednoznacznym geście.

— Tylko nie dzisiaj. Nie chcę tego teraz wywlekać. Może teraz pójdziesz i powiesz dobranoc Teri? W jej pokoju pali się światło, więc chyba jeszcze nie śpi. A najlepiej będzie, jak poprosisz ją na dół. Ja przygotuję drinka dla nas, a ona może napić się coli.

Gniew Phyllis minął równie szybko, jak się pojawił, i poszła pospiesznie na górę.

Gdy dotarła na pierwsze piętro, czuła, że coś się stało.

Dom wydawał jej się jakiś inny.

— Charles! — zawołała. — Charles! Chodź tutaj na górę!

Charles wspiął się szybko po schodach i zastał Phyllis stojącą nieruchomo i wpatrującą się w podłogę. Gdy spojrział w to samo miejsce co i ona, ujrzał na deskach ciemnoczerwone plamy.

Zmarszczył brwi, widząc, że ślady prowadzą aż do otwartych drzwi pokoju Teri. Ruszył pospiesznie korytarzem, a Phyllis za nim.

— Teri?! — krzyknął. — Teri?! Czy nic ci się nie stało? Pokój był pusty, lecz na środku leżała rzucona bezładnie

pomięta zielona suknia, którą dziewczyna miała na balu.

Wpatrywał się przez chwilę w podłogę, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, wreszcie przeszedł szybko do łazienki.

W niej też nikogo nie było.

Opuścił łazienkę, wyszedł z pokoju i poszedł w drugą stronę za śladami krwi.

Phyllis, bliska płaczu, ruszyła za nim, aż doszli oboje do podnóża schodów wiodących na strych.

Drzwi na strych były otwarte.

Charles, z uczipioną kurczowo jego ramienia Phyllis, wpatrywał się w ziejącą nad ich głowami ciemność.

W końcu, odetchnąwszy, ruszył schodami na górę, lecz Phyllis zacisnęła mu rękę jeszcze mocniej na ramieniu.

- Nnie... — wyszeptała — Ja nie chcę...

- Musimy to zrobić — powiedział Charles przez zaciśnięte zęby. — Jeśli ona tam jest...

Nie dokończył zdania i zaczął się wspinać na strych.

Doszedł na górę, ściskając mocno dłoń żony, która szła tak wolno, że musiał ją prawie ciągnąć za sobą. Kiedy już stała obok niego, wyciągnął w ciemności rękę i na macał wyłącznik.

Zobaczyli to równocześnie.

Pięć metrów przed nimi była Teri. Ubrana w białą, popłaconą krwią suknię, tę samą, którą miała na sobie Melissa, gdy naprowadziła policję do poszlachtowanego ciała Taga Peterso-ta. Zwisiała z krokwi, a wokół jej szyi zaciskał się gruby sznur. Suknia lśniła jaskrawą czerwienią w ostrym świetle nie osłoniętej kloszem żarówki.

Pod stopami Teri rozciągała się czerwona kałuża. Lewe, zakończone kikutem ramię, zwisало jej bezwładnie. Wciąż jeszcze kapały z niego świeże krople krwi. Na podłodze, dokładnie pod ciałem dziewczyny, dostrzegli błyszczące ostrze rzeźnickiego topora.

Phyllis wpatrywała się w odmienioną twarz Teri, w jej wy-bałużone, spoglądające na nią oskarżycielsko oczy, w śmiertelny uśmiech wykrzywający jej wargi. Po czym, wydawszy z siebie przeraźliwy krzyk, upadła na podłogę, a jej ciałem wstrząsnął szloch.

Charles, osłupiały makabracznym widokiem, poczuł, jak zbiera mu się na wymioty. Zdołał jednak opanować się i odwróciwszy się, popędził szybko do

swojej sypialni, do telefonu.

Chwyciwszy jedną ręką słuchawkę stojącego na nocnym stoliku aparatu drugą zapalił światło i zaczął wykręcać numer pogotowia.

I zmartwił przerażony.

Słuchawka opadła na widełki, a on wpatrywał się tępo w poduszkę.

Leżała na niej odcięta dłoń Teri, a pomazane krwią palce zaciskały się na sznurze pereł.

Pereł, co do których jego córka zaklinała się, że ich nigdy nie dostała.

Wpatrywał się w nie przez długą chwilę, starając się zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć, kiedy nagle telefon rozdzwonił się.

Chciał go zignorować, chciał odciąć się od nieustępliwego terkotu aparatu po to, by ogarnąć myślą wszystko to, co zobaczył w przeciągu paru ostatnich minut, lecz telefon dzwonił i dzwonił bez przerwy i w końcu Charles podniósł słuchawkę.

— Halo? — wybełkotał drżącym głosem, W słuchawce panowało przez chwilę milczenie, wreszcie

z drugiej strony dobiegł go głos, nie głos, lecz szept właściwie, równie drżący jak jego:

— Tatusiu...? Mówi Melissa...

Epilog

Melisse przebiegł dreszcz, lecz nie była pewna, czy to ze strachu, czy jedynie z podniecenia. Chociaż nie odezwała się ani słowem, Charles wyczuł jej nagły niepokój i spojrzał na

nią zza kierownicy mercedesa.

— Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie, kochanie. Nie ma żadnego powodu, dla którego musielibyśmy to robić.

Melissa potrząsnęła głową. — Jest wiele powodów, tatusiu. Nie możemy żyć i udawać, że nic się nie stało.

Od ich ostatniego pobytu w Secret Cove minęło już pięć lat i kiedy zaproponowała ojcu, żeby wybrali się na tegoroczny Bal Sierpniowej Pełni Księżycy, spotkała się ze zdecydowaną odmową.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz tam pojechać, nie mówiąc już o tym, że żadna siła nie może mnie zmusić, żebym ja to zrobił — odpowiedział jej ojciec.

Melissa jednak uśmiechnęła się do niego figlarnie:

— A gdybym cię poprosiła?

Tak więc byli teraz w drodze na bal. Cora została w Nowym Jorku. Kiedy powiedzieli jej, dokąd jadą, pokiwała tylko smutno głową i powiedziała:

— Na mnie nie liczcie. Jeśli chcecie rozdrapywać stare rany, nie mogę was powstrzymać. Ale ja już miałam dość cierpień w życiu, a wszystkie wiążą się z Maplecrest. — Jej stare oczy spoczęły na Charlesie. — Panu też to miejsce nie przyniosło wiele szczęścia.

Lecz Melissa trwała przy swoim. — Chcę je zobaczyć — powiedziała, starając się znaleźć odpowiednie słowa do opisania tego, co czuła. — Nie chcę już nigdy tam mieszkać, nawet nie wiem, czy chciałabym spędzić tam chociaż jedną noc. Ale jedno muszę wiedzieć: że jestem w stanie tam pojechać. Zbyt długo przed wieloma rzeczami starałam się uciec. Nie chcę już przed niczym uciekać. A poza tym — dodała — wierz mi albo nie, ale wciąż chcę pójść na Bal Sierpniowej Pełni Księżycy. A więc musisz iść ze mną, bo obiecałeś mi kiedyś, że zatańczysz ze mną pierwszy i ostatni taniec na balu, pamiętasz?

Tak więc po raz pierwszy od pamiętnego lata sprzed pięciu lat wjeżdżali teraz do miasteczka.

Prawa brew Charlesa uniosła się odrobinę w górę.

— Oboje udawaliśmy przez cały czas, że nic się nie stało — zauważył. — Dlaczego nie robić tak dalej?

Melissa dotknęła łagodnie dłoni ojca. — Jeśli nie chcesz tam iść, nie musisz — powiedziała. — Mogę wysadzić cię w miasteczku i pojechać tam sama. Zajrzę do domu, pójdę na bal, a ty możesz zaszyć się na ten czas w jakimś barze i utopić wszystkie swoje troski w kilku drinkach.

Charles przybrał bardzo poważną minę. — Dobrze wiesz, że nigdy tego nie robiłem.

— Nie robiłeś, chociaż miałeś do tego pełne prawo — odpowiedziała Melissa. — Jak ty mogłeś wytrzymać z matką przez te wszystkie lata...? — Przerwała w pół zdania. Zbyt wiele razy wałkowali już ten temat, by wywlekać go teraz ponownie. Wszystko, co wiązało się z Phyllis, było zbyt bolesne, zarówno dla niej jak i dla niego, i rzadko o niej rozmawiali.

Przejeżdżali przez miasteczko i Melissa rozglądała się ciekawie dokoła. — Zawsze tu jest tak samo, prawda? — powiedziała do ojca.

Charles przytaknął. — To właśnie jest najpiękniejsze. Jest coś, na co można liczyć w tym zmieniającym się świecie.

Pięć minut później zajechali przed Maplecrest, ale żadne z nich nie ruszyło się, by wysiąść z samochodu. Siedzieli tyl-

ko i przypatrywali się w milczeniu domowi, w którym oboje, aż do niedawna, spędzali co roku lato. Lecz w przeciwieństwie do miasteczka, Maplecrest zmieniło się.

Było tu widać ślady opuszczenia i porzucenia, tak charakterystyczne dla wszystkich nie zamieszkanym domów. Przy czym nie chodziło tylko o złuszczającą się farbę na ścianach czy o zarosnięte trawniki. Z samej konstrukcji tchnęło samotnością, jak gdyby dom był w pełni świadom, że nikt więcej nie chce

już w nim mieszkać. W końcu wysiedli z samochodu i weszli do środka. Wędrowali w milczeniu po dawno nie wietrzonych pokojach, mijali przykryte białymi pokrowcami meble, a myśli każdego z nich były zaprzątnięte własnymi wspomnieniami.

Wreszcie Melissa poszła na pierwsze piętro, do pokoju, który kiedyś należał do niej.

Teraz to już nie był jej pokój. Były w nim wciąż meble, które wybrała Teri, i całe pomieszczenie wydało się jej obce. Tak nawet lepiej — pomyślała. — Jeśli jeszcze kiedykolwiek powróci do Maplecrest, przynajmniej ten pokój nie będzie jej prześladował i nie każe jej zajmować się przeszłością.

Pamiątki z dzieciństwa — o czym wiedziała — zniknęły, schowane gdzieś na strychu. Może kiedy przyjedzie tu znowu, to zajrzy do nich. Dzisiaj nie.

Dzisiaj wystarczyła jej ta świadomość, że była w stanie wejść do tego domu bez uczucia strachu i obawy, że za chwilę wydarzy się coś złego.

Dom był pełen wspomnień, ale przeszłość została już po-

O ósmej trzydzieści Charles zatrzymał mercedesa przed Cove Club, obszedł samochód z drugiej strony i pomógł wysiąść córce. W holu, przed otwartymi drzwiami do sali balowej stało kilka osób i rozmawiało między sobą. Kiedy ujrzeli Charlesa i Melisse, umilkli wszyscy.

Charles niewiele się zmienił przez ostatnie pięć lat — jedynie włosy posiwiały mu lekko na skroniach, a na czole pojawiły się głębokie bruzdy.

Jednakże Melissa zmieniła się bardzo, odkąd widzieli ją po raz ostatni.

Dorównywała teraz wzrostem ojcu, miała szczupłą i elegancką sylwetkę i dawno już pozbyła się dziecięcej klucho-watości. Jej twarz przesycona była tajemniczym pięknem, miała uwydatnione kości policzkowe i szeroki i mocny podbródek. Ale uwagę ludzi przykuwały przede wszystkim jej oczy. Duże i piwne, emanowała z nich ciekawość świata i dobre serce, a równocześnie głębia i mądrość większe, niż wskazywałyby na to jej wiek.

Miała dzisiaj na sobie ciemnoczerwoną suknię, pasującą idealnie do jej cery i doskonale podkreślającą jej figurę, i czuła, że utkwione są w niej spojrzenia wszystkich gości.

Wpatrzonych w nią, jednak wpatrzonych z podziwem, a nie z drwiną.

Poczuła na ramieniu dłoń ojca. — Czy wszystko w porządku? — zapytał tak cicho, by nikt inny poza nią nie mógł tego usłyszeć.

Uśmiechnęła się do niego. — Tak — odpowiedziała.

Po pierwszej godzinie balu wiedziała już, że to prawda. Kiedy weszli na salę i tak jak się tego spodziewali, wśród wszystkich tam obecnych zapanowała na parę minut cisza, dręczyły ją jeszcze obawy. Ale postanowiła, że nie cofnie się przed murem zaskoczonych twarzy i uśmiechając się ciepło, podała ojcu rękę i ruszyła przed siebie. I wszystko poszło dobrze.

Rozbrzmiały właśnie pierwsze takty wolnego walca i poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i ujrzała dwudziestojednoletniego już teraz Bretta Van Arsdale,

jeszcze przystojniejszego niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni pięć lat temu. Uśmiechał się do niej niepewnie, a kiedy odezwał się wreszcie, w jego głosie słychać było tylko lekkie drżenie. Czuje się tak, jak ja kiedyś — pomyślała. — Nawet nie wie, czy zechcę z nim rozmawiać. Lecz gdy Brett poprosił ją nieśmiało do tańca, przytaknęła natychmiast głową i z wdziękiem poddała się jego ramionom. Poprowadził ją na środek sali i przez pierwsze kilka minut nie odzywał się ani słowem. Wreszcie odsunął się od niej trochę i spojrzał jej w oczy. — Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale jest mi strasznie przykro... — zaczął drżącym głosem. — To nie chodzi tylko o mnie. Nam wszystkim jest strasznie wstyd z powodu tego, jak traktowaliśmy cię przedtem. Dobrze wiem, że jest za późno, żeby cokolwiek naprawić, ale...

Melissa położyła mu delikatnie palec na ustach. — Wcale nie jest za późno, Brett — powiedziała. — Wiem, co czują wszyscy. Widziałam to dzisiaj w oczach gości na sali. Ale wcale nie musimy o tym teraz rozmawiać. Przeszłość to tylko przeszłość i wszystkie duchy przeszłości zostały już pogrzebane.

Brett milczał przez chwilę, po czym spojrzał na nią pytająco.

— Czy możesz mi coś powiedzieć? — spytał.

Melissa uśmiechnęła się figlarnie. — Może mogę — odrzekła. — A co?

Brett wahał się przez chwilę, wreszcie zapytał o coś, co dręczyło go przez pięć długich lat. — Chodzi mi o D'Arcy... — zaczął. — Czy dla ciebie... czy dla ciebie ona istniała naprawdę?

Teraz Melissa odpowiedziała milczeniem. Wreszcie skinęła głową. — Dla mnie tak — powiedziała. — Była częścią mnie. I chyba istniała też naprawdę dla Teri.

Brett uniósł zdumiony brwi. — Ale Teri popełniła samobójstwo.

— Może tak — odrzekła dziewczyna poważnym głosem — a może nie. Może zabiła ją D'Arcy.

Tańczyli dalej, poddając się rytmowi walca, a kiedy wybrzmiały już ostatnie takty i zeszli z parkietu, Brett zadał jej jeszcze jedno pytanie.

— A co się stało z twoją matką?

Melissa poczuła, jak przebiega ją dreszcz, ale po chwili ostrząsnęła się. — Nie wiem — powiedziała mocnym głosem - i nie chcę wcale wiedzieć.

Była to prawda. Dzisiaj wieczorem pogrzebała wreszcie do końca resztki swej przeszłości.

Trzy tysiące mil na zachód w jednym z pokoi okazałej rezydencji, położonej wśród wzgórz okalających Los Angeles, znajdowała się w tej chwili Phyllis Holloway. Siedziała nerwowo na brzeжку krzesła i spoglądała na młodą kobietę, studiującą jej referencje. Kiedy kobieta uniosła wreszcie wzrok i uśmiechnęła się, Phyllis odetchnęła z ulgą. Udało się — pomyślała.

— No cóż, muszę przyznać, że wszystkie poprzednie rodziny były zadowolone z pani pracy, pani Holloway — powiedziała kobieta. — Sądzę, że jest pani właśnie taką osobą, jakiej szukamy. Może pójdziemy na górę i pokażę pani nasze dziecko. Serce Phyllis biło niecierpliwie z podniecenia. Od chwili, kiedy po raz pierwszy znalazła się tutaj dwie godziny temu, wszystko sprawiało na niej dobre wrażenie.

Dom był duży i przestronny, a sama posiadłość zajmowała całe dwa akry na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się piękny widok na Los Angeles z jednej i dolinę San Fernando z drugiej strony. Był tu też basen pływacki o wymiarach olimpijskich, dwa korty tenisowe i starannie utrzymany ogród, który przywoływał w jej sercu wspomnienia domu.

Dom.

Niestety, Secret Cove i Maplecrest już dłużej nie były i nigdy nie będą jej domem. Musiała obiecać Charlesowi, że nigdy więcej nie powróci na Wschodnie Wybrzeże, a on w zamian za to zgodził się, że nie poda jej do sądu za znęcanie się nad dzieckiem.

Jak gdyby znęcała się nad Melissa! Już na samą myśl o takim posądzeniu gotowała jej się krew w żyłach.

Jedyne, co zawsze starała się robić, to nauczyć Melisse dobrych manier. I co otrzymała w zamian? Ani krzty wdzię-esnoftei, do której przecież miała pełne prawo. Mało tego! Pozbyto się jej jak pierwszej lepszej służącej, zabroniono jej kiedykolwiek odwiedzać Melissę, a pieniądze otrzymane po rozwodzie starczyły jej ledwie na rok.

Ale przecież przetrwała, a posada u tego prawnika w średnim wieku i jego młodej żony była doskonałą okazją.

Będzie miała do swej dyspozycji nie jeden, a parę pokoiów, tuż obok pokoju dzieciennego na pierwszym piętrze i będzie traktowana jak członek rodziny. A kiedy w końcu i to małżeństwo się rozpadnie, co niechybnie musi nastąpić... Odsunęła od siebie tę myśl, bo właśnie w tej chwili ta kobieta — jak jej było na imię...? Emily! — otworzyła drzwi pokoju dla dziecka. Ze stojącej obok otwartego okna kołyski dobiegło ją ciche gaworzenie, przeszła przez pokój i pochyliła się nad nią, by przyjrzeć się niemowlęciu, które miało zostać powierzone jej pieczy. Z kołyski spoglądały na nią poważnie duże, piwne oczy. Maleńka twarzączka była okrągła i puciołowata z dołkiem w podbródku.

— Jesteś najśodsza dziecinką, jaką kiedykolwiek widziałam — powiedziała słodko Phyllis i wyjęła dziewczynkę z kołyski, przytulając ją mocno do siebie.

Dziecko natychmiast rozplakało się, a Emily podeszła szybko, chcąc zabrać je z jej rąk. Jednakże Phyllis odwróciła się i potrząsnęła głową.

— Nie, musi się przyzwyczaić do tego, że trzymają ją także inne osoby oprócz matki. Wie pani przecież, że dziecku nic nie zaszkodzi, jak sobie czasem popłacze. To zupełnie naturalne. — Spojrzała na kwilące w jej ramionach niemowlę i przycisnęła jej mocniej do siebie, — Nic ci nie będzie, prawda? Będiesz mnie kochać tak mocno jak ja ciebie i wkrótce będziesz dla mnie jak córeczka.

Dziecko płakało jeszcze przez chwilę, a potem nagle umilkło, jak gdyby wyczuło jakieś niewidzialne niebezpieczeństwo. Wpatrywało się teraz ostrożnie w swą piastunkę.

Phyllis uśmiechnęła się uspokajająco do stojącej obok niespokojnej młodej matki.

— Widzi pani? — powiedziała. — Wszystko będzie w porządku i nie musi się pani o nic martwić. Będę traktowała pani dziecko, jak gdyby było moim własnym. —

Milczała przez jedną, a może dwie sekundy i dodała na koniec ledwie słyszalnym głosem, tylko do siebie:

— Tak... Będzie dla mnie jak moje drugie dziecko.